

Anna
i
początek
w Paryżu

STEPHANIE PERKINS

Przekład
Małgorzata Stefaniuk



JEDNA Z NAJLEPSZYCH POWIEŚCI O MIŁOŚCI WSZECHCZASÓW
według Goodreads

*Początek
w
Paryżu*

Stephanie Perkins



MKS

Jarrodowi, najlepszemu przyjacielowi

i prawdziwej miłości

Rozdział 1

Oto co kojarzy mi się z Francją: *Madeline*, *Amélie* i *Moulin Rouge*. Wieża Eiffla, Łuk Triumfalny — słyszałam o nich, ale nie mam zielonego pojęcia, jakie spełniają funkcje. Napoleon, Maria Antonina i mnóstwo królów o imieniu Ludwik. Mało o nich wiem, choć zdaje mi się, że mieli coś wspólnego z Wielką Rewolucją Francuską, a ta ze zburzeniem Bastylii. Muzeum sztuki nazywa się Luwr, jest w kształcie piramidy i znajdują się w nim obraz *Mona Lisa* i ta rzeźba kobiety bez rąk. Poza tym w Paryżu na rogu każdej ulicy są kawiarnie albo bistra. I mimowie. Kuchnia francuska jest podobno bardzo smaczna, a ludzie piją dużo wina i palą mnóstwo papierosów.

Słyszałam też, że paryżanie nie lubią Amerykanów i białych tenisówek.

Kilka miesięcy temu mój ojciec zapisał mnie do szkoły z internatem. Jego nadęty głos trzeszczał niemile w słuchawce, gdy przekonywał mnie przez telefon, że dłuższy pobyt za granicą to „dobra szkoła życia” i „prezent od losu, który zapamiętam na zawsze”. Taa... Prezent. Wypomniiałabym mu niewłaściwe użycie tego słowa, gdybym już wtedy nie była tak przerażona.

Potem próbowałam wszystkiego: kłótni, błagania, przekonywania i płaczu, ale na ojca nic nie działało. I tak w końcu stałam się posiadaczką nowej studenckiej karty visa oraz paszportu (oba dokumenty deklarują, że nazywam się Anna Oliphant i jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych Ameryki). A teraz jestem tu z rodzicami — rozpakowuję rzeczy w pokoju mniejszym od mojej walizki — nowa uczennica ostatniej klasy licealnej w Amerykańskiej Szkole w Paryżu.

Oczywiście nie jestem jakąś niewdzięcznicą. W końcu to Paryż! Miasto Świata! Najromantyczniejsze miasto świata! Na mnie to też działa. Tylko że w tej całej historii z międzynarodową szkołą chodzi bardziej o mojego ojca niż o mnie. Od chwili gdy się sprzedał i zaczął pisać głupie powieści, na podstawie których powstawały jeszcze głupsze filmy, ojciec stara się zaimponować swoim ważnym nowojorskim znajomym tym, jaki jest kulturalny, obyty i zamożny.

Zamożny jest, fakt, ale nie kulturalny.

Nie zawsze tak było. Jeszcze przed rozwodem rodziców o naszej rodzinie można było spokojnie powiedzieć, że należy do niższej klasy średniej. Dopiero w okolicach rozwodu ojciec zupełnie zapomniał o przyzwoitości. Przestał marzyć, że zostanie kolejnym wielkim pisarzem Południa, i chciał już tylko być kolejnym publikowanym pisarzem. Zaczął więc pisać powieści o małym miasteczku, które się nazywa Georgia, a ich bohaterami zrobił zwykłych ludzi, wyznających dobre amerykańskie wartości. Ludzi, którzy się zakochują, a następnie zapadają na śmiertelne choroby i umierają.

Mówię poważnie.

Na mnie to działa dołująco, ale panie pożerają książki ojca. Uwielbiają jego powieści oraz jego robione na drutach swetry ze wzorkiem w jodełkę, wybielony uśmiech i pomarańczową opaleniznę. Zrobili z niego bestsellerowego pisarza i kompletnego dupka.

Dwie powieści zekranizowano, a kolejne trzy są w produkcji. To właśnie prawdziwe źródło dochodów ojca — Hollywood. I, jakimś sposobem, ta cała duża kasa i pseudoprestiż sprawiły, że ojciec zaczął sobie wyobrażać, iż ja powinnam pojechać do Francji. Na rok. Sama. Nie rozumiem, czemu nie mógł mnie wysłać do Australii albo Irlandii. Gdziekolwiek, byleby angielski był tam narodowym językiem. Jedynym słowem, jakie znam po francusku, jest *oui*, co znaczy „tak”, i dopiero niedawno się dowiedziałam, że pisze się je „o-u-i”, a nie „hi”.

Ale przynajmniej w mojej nowej szkole ludzie mówią po angielsku. Liceum założono z myślą o pretensjonalnych Amerykanach, nieznoszących towarzystwa własnych dzieci. To nie żarty, mówię serio. No bo kto wysyła dzieci do szkoły z internatem? To takie hogwartowskie. Tyle że w mojej szkole nie ma chłopców czarodziejów, magicznych cukierków i nauki latania.

Zamiast tego jest dziewięćdziesięciu dziewięciu innych uczniów. Najstarsza klasa liczy ich sobie tylko dwudziestu pięciu, w przeciwieństwie do sześciuset w liceum w Atlancie. I będę miała te same przedmioty, jakie miałam w Clairemont High, plus francuski dla początkujących.

O, tak. Francuski dla początkujących. Pewnie z pierwszakami. Super.

Mama mówi, że muszę się pozbyć tego zgorzkniałego tonu, ale to nie ona rozstała się ze swoją ukochaną przyjaciółką, Bridgette. Ani z fantastyczną pracą w multipleksie Royal Midtown 14. Ani z Tophem, fantastycznym chłopakiem z multipleksu Royal Midtown 14.

I ciągle nie mogę uwierzyć, że rozdziela mnie z bratem, Seanem, który ma dopiero siedem lat i jest stanowczo za mały, żeby sam siedział po szkole w domu. Beze mnie pewnie uprowadzi go ten straszny facet, który mieszka na naszej ulicy i ma w oknach brudne ręczniki z napisem „Coca-Cola”. Albo zje przez przypadek coś, co zawiera barwnik spożywczy czerwien Allura, zacznie się dusić i nie będzie nikogo, kto zawiezie go do szpitala. Może nawet umrze. I założę się, że rodzice nie pozwolą mi polecieć na jego pogrzeb i dopiero po roku będę mogła odwiedzić jego grób. Pewnie będzie na nim stała jakaś okropna rzeźba kamiennego cherubina, wybrana przez ojca.

No i mam nadzieję, że ojciec nie wpadnie na pomysł, żeby po pobycie w Paryżu zmuszać mnie do aplikowania na studia w Rosji albo na przykład Rumunii. Bo ja marzę o studiowaniu teorii filmu w Kalifornii. Chcę zostać najslawniejszą amerykańską kobietą krytykiem filmowym. Pewnego dnia będę zapraszana na każdy festiwal i będę miała dużą kolumnę w gazecie i własny program telewizyjny oraz niedorzecznie popularną stronę internetową. Na razie mam tylko tę stronę w Internecie, która nie jest jeszcze specjalnie popularna. Jeszcze.

Ale to tylko kwestia czasu. Wystarczy, że nad nią popracuję.

— Anno, już pora.

— Słucham? — Spoglądam w górę, odrywając wzrok od koszulek, które składałam w perfekcyjne kwadraciki.

Mama wpatruje się we mnie, bawiąc się wisiorkiem amuletem w kształcie zółwia, zawieszonym na łańcuszku na szyi. Ojciec, wystrojony w brzoskwiniową koszulkę polo i białe żeglarskie mokasyny, wygląda przez okno. Jest późno, mimo to po drugiej stronie ulicy jakaś kobieta wyśpiewuje pełnym głosem coś, co brzmi jak aria z opery.

Rodzice muszą wracać do hotelu. Oboje mają następnego dnia wczesny lot.

— Och. — Mocniej zaciskam palce na koszulce.

Ojciec odsuwa się od okna, a ja z przerażeniem stwierdzam, że ma zawilgocone oczy. Fakt, że ojciec — nawet mimo że chodzi o mojego — jest na pograniczu płaczu, sprawia, że w gardle czuję grudę.

— Cóż, moja droga, wygląda na to, że jesteś już dorosła. — Cała drętwieję, a ojciec pociąga mnie za zeszywniałą rękę i bierze w niedźwiedzi uścisk. — Dbaj o siebie, ucz się i zawieraj nowe znajomości. I uważaj na kieszonkowców — dodaje. — Oni często pracują parami.

Kiwam głową wciśniętą w jego ramię, a on mnie puszcza. I wychodzi.

Mama się ociąga.

— Czeka cię wspaniały rok — mówi. — Jestem pewna.

Przygryzam dolną wargę, żeby nie drżała, a mama mnie obejmuje. Staram się oddychać. Wdech. Raz, dwa, trzy. Wydech. Skóra mamy pachnie grejpfrutowym płynem do ciała.

— Zadzwoń, gdy tylko dotrę do domu — obiecuje.

Dom. Atlanta nie jest już moim domem.

— Kocham cię, Anno.

Teraz już płaczę.

— Ja też cię kocham, mamó. Opiekuj się Seanem.

— Oczywiście.

— I Kapitanem Jackiem — dodaję. — Dopilnuj, żeby Sean go karmił, czyścił mu klatkę i uzupełniał wodę. I nie pozwól go przekarmiać słodyczami, bo utyje i nie będzie mógł wyjść ze swojego igloo. Ale co kilka dni musi jednak dostać parę dropsów, bo nadal potrzebuje uzupełniać witaminę C, a nie pije wody, kiedy podaję mu te tabletki z witaminą...

Mama odsuwa się i zaczesuje mi za ucho utlenione pasemko włosów.

— Kocham cię — powtarza.

A potem robi coś, czego nawet po tych wszystkich zabiegach z dokumentami, biletami lotniczymi i prezentacjami zupełnie się nie spodziewam. Coś, co i tak wydarzyłoby się za rok, po moim wyjeździe na studia. Coś, na co, mimo że marzę o tym od lat, nadal nie jestem przygotowana.

Mama wychodzi, a ja zostaję sama.

Rozdział 2

Czuję, że się zbliża, ale nie mogę go powstrzymać. Atak paniki!

Zostawili mnie. Moi rodzice naprawdę mnie zostawili! We Francji!

Tymczasem Paryż jest dziwnie cichy. Wraz z nadejściem nocy zniknęła nawet śpiewaczka operowa. Nie mogę się załamać. Tutejsze ściany są cieńsze niż plaster opatrunkowy, więc jeśli pękne, moi sąsiedzi — moi nowi szkolni koledzy — wszystko usłyszą. Zaraz zwymiotuję. Zwrócę tę dziwną bakłażanową tapenadę, którą jadłam na obiad. I wszyscy to będą słyszeli. I nikt potem nie zaprosi mnie na oglądanie mimów, gdy uwalniają się z niewidzialnych pudeł. Lub na cokolwiek innego, czym w czasie wolnym zajmują się tu ludzie.

Pędzę do umywalki przemyć twarz, ale woda tryska z kranu i zalewa mi koszulkę. Płacę już na całego, bo nie rozpakowałam ręczników, a mokre ubranie przypomina mi te głupie wodne wyścigi w Six Flags, na które wyciągali mnie Bridgette i Matt, gdzie woda miała nie taki kolor, jak powinna, śmierdziała jak farba i pełno w niej było bakterii. O Boże, a co, jeśli w tej wodzie też są bakterie? Czy woda we Francji nadaje się do picia?

To żałosne. Jestem żalosna.

Ile siedemnastolatek dałoby się zabić, żeby tylko wyprowadzić się z domu? Moi sąsiedzi nie przeżywają załamań. Z ich pokoi nie dochodzi płacz. Chwytam leżącą na łóżku koszulkę, żeby się nią osuszyć, i wtedy wpadam na genialny pomysł. Poduszka! Rzucam się na łóżko, wciskam twarz w dźwiękoszczelną barierę i zaczynam głośno zawodzić.

Ktoś puka do moich drzwi.

Nie, na pewno nie do moich.

Znowu!

— Hej? — dochodzi mnie dziewczęcy głos z korytarza. — Hej? Wszystko w porządku?

Nie, nic nie jest w porządku. Idź sobie! Ale dziewczyna znów woła, więc zwlekam się z łóżka, żeby otworzyć. Za drzwiami stoi blondynka z długimi, mocno kręconymi włosami. Jest wysoka i duża, ale nie gruba. Ma posturę zawodniczki siatkówki. Diamentowy kolczyk w nosie błyszczy w świetle lampy.

— Nic ci nie jest? — pyta ciepłym głosem. — Nazywam się Meredith. Mieszkam obok. Czy ci ludzie, co właśnie wyszli, to twoi rodzice?

Moje napuchnięte oczy mrugają na potwierdzenie.

— Ja też płakałam pierwszej nocy. — Dziewczyna przechyla głowę na bok, jakby się nad czymś zastanawiała, potem energicznie kiwa głową. — Chodź. *Chocolat chaud*.

— Czekoladowy show? Po co miałabym oglądać czekoladowy show? Moja mama mnie tu

zostawiła, a ja boję się wyjść z pokoju i...

— Nie. — Dziewczyna szeroko się uśmiecha. — *Chaud*. Gorąca. Gorąca czekolada.

Zrobię ją dla nas w moim pokoju.

Och.

Wbrew sobie idę za moją sąsiadką. Meredith zatrzymuje mnie jednak gestem ręki jak jakiś strażnik na przejściu granicznym. Na wszystkich pięciu palcach dłoni ma pierścionki.

— Tylko nie zapomnij o kluczach. Drzwi zamykają się automatycznie.

— Wiem. — I na dowód wyciągam spod bluzki naszyjnik. Wsunęłam na niego klucz podczas obowiązkowego Seminarium Przetwarzania dla nowych uczniów, gdy mówiono, jak łatwo zatrasnąć pokój.

Wchodzimy do pokoju Meredith, a ja wstrzymuję oddech ze zdumienia. Pokój jest tak samo niewyobrażalnie mały jak mój, ma jakieś dwa metry na trzy, i stoją w nim takie same minibiurko, miniszafa, miniłóżko, minilodówka, miniumywalka i minikabina prysznicowa (brak minitoalety, bo te są wspólne i znajdują się na korytarzu). Ale... w przeciwieństwie do mojej sterylnej klatki, każdy centymetr ścian i sufitu pokrywają plakaty, zdjęcia, błyszczący papier prezentowy oraz jaskrawokolorowe ulotki w języku francuskim.

— Jak długo tu jesteś? — pytam.

Meredith podaje mi papierową chusteczkę, a ja wydmuchuję w nią nos, straszliwie trąbiąc, niczym wkurzona gęś. Na szczęście Meredith nawet tego nie zauważa.

— Przyjechałam wczoraj. To mój czwarty rok tutaj, więc nie musiałam być na seminarium. Przyleciałam sama i teraz się objam, czekając na kumpli. — Rozgląda się dokoła z rękami wspartymi na biodrach, podziwiając swoje rękodzieło. Dostrzegam na łóżku stertę pism, nożyczki i taśmę klejącą, i uświadamiam sobie, że Meredith jest w trakcie upiększania pokoju. — Nieźle, co? Nie lubię gołych ścian.

Okrażam pokój, dokładnie mu się przyglądając. Szybko odkrywam, że większość twarzy na plakatach należy do tych samych pięciu osób: Johna, Paula, George'a, Ringo i jakiegoś piłkarza, którego nie rozpoznaję.

— Słucham tylko Beatlesów. Znajomi nabijają się przez to ze mnie, ale...

— A to kto? — Pokazuję na piłkarza. Ma czerwono-biały strój i bardzo ciemne brwi i włosy. Trzeba przyznać, że jest całkiem przystojny.

— Cesc Fàbregas. Najlepszy rozgrywający na świecie. Gra w Arsenalu. Angielskim klubie piłkarskim. Już kojarzysz?

Kręcę głową. Nie interesuję się sportem, chociaż może powinnam.

— Ale za to ma nieźle nogi.

— Prawda? Tymi udami mógłby wbijać gwoździe.

Podczas gdy Meredith przygotowuje *chocolat chaud* na kuchence elektrycznej, dowiaduję się, że jest uczennicą ostatniej klasy i że gra w piłkę nożną, ale tylko latem, bo nasza szkoła nie ma piłki nożnej w programie zajęć. Ale Meredith i tak należy do najlepszej stanowej drużyny w Massachusetts, skąd zresztą pochodzi. I upomina mnie, że tutaj powinnam nazywać soccer futbolem, co — jak się nad tym zastanowić — naprawdę ma większy sens. No i Meredith chyba wcale nie przeszkadza, że zanudzam ją pytaniami i że przeglądam jej rzeczy.

Jej pokój jest niesamowity. Oprócz akcesoriów przyklejonych do ścian ma też tuzin porcelanowych filiżanek wypełnionych pierścionkami. Jedne są błyszczące i plastikowe, inne srebrne z oczkami z bursztynu, a jeszcze inne szklane ze sprasowanymi kwiatkami. Wygląda na to, że Meredith mieszka w internacie od wielu lat.

Przymierzam pierścionek z oczkiem z gumowym dinozaurem. Kiedy na niego naciskam, T. Rex świeci się na czerwono, żółto i niebiesko.

— Też chciałabym mieć taki pokój — mówię, ale wiem, że jestem za bardzo zwariowana na punkcie porządku, żeby coś takiego zrobić u siebie. Potrzebuję pustych ścian, czystego blatu na biurku i przedmiotów, które zawsze stoją na swoim miejscu.

Meredith wygląda na zadowoloną z pochwały.

— Czy to twoi przyjaciele? — Odkładam pierścionek z dinozaurem do filiżanki i wskazuję na fotografię zawieszoną w rogu lustra. Zdjęcie jest szare, zaciemnione i wydrukowane na grubym błyszczącym papierze. Bez wątplenia produkt kogoś uczęszczającego na lekcje fotografii. Widać na nim cztery osoby stojące przed gigantycznym, wydrążonym w środku sześcianem, a obfitość stylowych ciemnych ciuchów i celowo rozczochranych fryzur każą się domyślać, że Meredith należy do lokalnej elity artystów. Z jakiegoś powodu budzi to moje zdziwienie. Wiem, że jej pokój jest artystyczny i że ma te wszystkie pierścionki na palcach i kolczyki w nosie, ale reszta wygląda dość normalnie — liliowy sweterek, wyprasowane dżinsy, miły głos. Z drugiej strony jest jeszcze ta piłka nożna, choć Meredith z pewnością nie jest chłopczycą.

Dziewczyna szeroko się uśmiecha, a kolczyk w jej nosie migocze.

— Tak. Zrobiła je Ellie w La Défense. To Josh i St. Clair, i ja, i Rashmi. Poznasz ich jutro przy śniadaniu. To znaczy oprócz Ellie, bo ona skończyła szkołę w zeszłym roku.

Czuję, że mój żołądek powoli się rozluźnia. Czy to było zaproszenie, żebym usiadła z Meredith?

— Ale pewnie i tak wkrótce ją poznasz, bo chodzi z St. Clairem. Teraz studiuje fotografię w Parsons Paris.

Nigdy nie słyszałam o tej szkole, ale kiwam głową, jakbym sama planowała się kiedyś do niej dostać.

— Ellie ma naprawdę duży talent. — Ostrzejsza nuta w głosie Meredith sugeruje coś

innego, ale nie naciskam. — Josh i Rashmi też są parą — dodaje.

Ach. To znaczy, że Meredith jest sama.

Niestety znajduję się w podobnej sytuacji, chociaż jakiś czas temu przez pięć miesięcy chodziłam z Mattem. To dość wysoki, dość zabawny chłopak o dość przyzwoitych włosach. Ale umawiałam się z nim tylko dlatego, że sytuacja należała do tych z rodzaju „skoro nikogo lepszego nie ma na horyzoncie, może spróbujemy?” Tylko się całowaliśmy i szczerze mówiąc, nie było to wcale wspaniałe. Za dużo śliny. Zawsze potem musiałam wycierać brodę.

Zerwaliśmy, gdy się dowiedziałam o Francji, ale to nie była jakaś wielka sprawa. Nie płakałam i nie wysyłałam Mattowi łzawych mejli. I nie porysowałam kluczykami karoserii samochodu jego matki. Teraz Matt chodzi z Cherrie Milliken, która należy do chóru i ma błyszczące włosy jak z reklamy szamponów. Nieważne.

Naprawdę.

Zresztą dzięki temu, że zerwaliśmy, mogłam spokojnie marzyć o Tophie, wystrzałowym ciachu, koledze z pracy w multipleksie. Oczywiście marzyłam o nim, nawet gdy chodziłam z Mattem, ale czułam się winna. A między mną i Tophem pod koniec lata coś się zaczęło kleić — słowo honoru. Tak czy inaczej, w rzeczywistości chodziłam tylko z Mattem, a on się prawie nie liczy. Kiedyś mu powiedziałam, że miałam chłopaka na obozie letnim — Stuarta Thistlebacka. Stuart Thistleback miał kasztanowe włosy i grał na basie, i byliśmy w sobie zakochani po uszy, ale on mieszkał w Chattanooga, a wtedy żadne z nas nie miało jeszcze prawa jazdy.

Matt wiedział, że całą tę historię zmyśliłam, jednak był tak miły, że mi tego nie wytknął.

Już mam zamiar zapytać Meredith, jakie przedmioty wybrała na ten rok, gdy nagle odzywa się jej telefon pierwszymi taktami *Strawberry Fields Forever*. Meredith przewraca oczami i odbiera.

— Mamo, tu jest północ. Zapomniałaś, że mamy sześć godzin różnicy?

Zerkam na budzik w kształcie żółtej łodzi podwodnej i ze zdumieniem stwierdzam, że Meredith ma rację. Odstawiam dawno już opróżniony kubek *chocolat chaud* na komodę.

— Powinam już iść — mówię szeptem. — Przepraszam, że się tak zasiedziałam.

— Zaczekaj sekundę. — Meredith zasłania dłonią mikrofon słuchawki. — Cieszę się, że się poznałyśmy. Zobaczymy się na śniadaniu?

— Tak, jasne. — Staram się mówić swobodnie, ale jestem tak podniecona, że szybko wymykam się z pokoju i natychmiast wpadam na ścianę.

Ups. To nie ściana, tylko chłopak.

— Uff. — Zatoczył się do tyłu.

— Przepraszam! Nie wiedziałam, że tu stoisz.

Chłopak, trochę chyba oszołomiony, potrząsa głową.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważam, są jego włosy — jest to pierwsza rzecz, jaką zauważam u wszystkich. Są ciemnobrązowe i potargane, i jakoś tak długie i krótkie zarazem. Na myśl przychodzą mi Beatlesi, bo przed chwilą widziałam ich w pokoju Meredith. To włosy artysty. Muzyka. Udaję, że nie robią na mnie wrażenia, ale robią. Włosy zawsze mnie biorą.

Są piękne.

— Nic się nie stało. Ja cię też nie zauważyłem. Nic ci nie zrobiłem?

O rany, to Anglik.

— Eee... To pokój Mer, prawda?

Poważnie, nie znam ani jednej amerykańskiej dziewczyny, która potrafiłaby się oprzeć brytyjskiemu akcentowi.

Chłopak odchrząkuje.

— Meredith Chevalier? Wysoka? Duża, kręcone włosy? — wymienia i spogląda na mnie, jakbym była opóźniona w rozwoju albo na wpół głucha, zupełnie jak moja babcia, która, gdy pytam: „Jaki chcesz dressing do sałatki?” albo „Gdzie odłożyłaś sztuczną szczękę dziadka?”, tylko się uśmiecha i kiwa głową.

— Przepraszam. — Chłopak robi krok w tył. — Szłaś spać.

— Tak! To pokój Meredith. Byłam u niej dwie godziny — oświadczam z dumą, całkiem jak mój brat, Sean, gdy znajdzie jakieś obrzydlistwo na podwórku przed domem. — Nazywam się Anna! Jestem tu nowa! — O Boże. Co się ze mną dzieje?! Moje policzki robią się czerwone i czuję, że zaraz się spalę ze wstydu.

Przystojniak w korytarzu posyła mi rozbawiony uśmieszek. Ma piękne zęby — proste na górze i krzywe na dole. Górne są lekko wysunięte. Uwielbiam ładne zęby, bo moje są do niczego. Między przednimi mam dziurę wielkości rodzynka.

— Étienne — przedstawia się chłopak. — Mieszkam piętro wyżej.

— A ja tutaj. — Jak głupia pokazuję palcem na drzwi mojego pokoju, a mój umysł szaleje: francuskie imię, brytyjski akcent, amerykańska szkoła. Anna jest skołowana.

Chłopak puka dwukrotnie w drzwi Meredith.

— To do zobaczenia, Anno.

Eh-t-jen wymawia moje imię tak: *Ah-na*.

Serce wali mi w piersi jak młotem.

Meredith otwiera.

— St. Clair! — krzyczy z radości. Nadal trzyma telefon przy uchu. Ona i chłopak śmieją się, ściskają i mówią do siebie jednocześnie. — Wchodź! Jak tam lot? Kiedy przyleciałeś? Widziałeś już Josha? Mamo, muszę kończyć.

Telefon i drzwi pokoju zamykają się równocześnie.

Ja bawię się kluczem zawieszonym na łańcuszku. Mijają mnie dwie rozchichotane dziewczyny w takich samych różowych szlafrokach. Grupa chłopaków na końcu korytarza głośno się śmieje i gwizdże. Meredith i jej kolega też się śmieją za ścianą. Znow kurczą mi się serce i żołądek.

Nadal jestem tu nowa. I nadal sama.

Rozdział 3

Następnego dnia rano mam ochotę zapukać do Meredith, ale tchórzę i idę na śniadanie sama. Przynajmniej wiem, gdzie jest stołówka (dzień drugi: Seminarium Przetrwania). Upewniam się, że mam przy sobie kartę posiłków, i otwieram parasolkę z logo Hello Kitty. Na dworze lekko mży. Pogoda nic sobie nie robi z faktu, że to mój pierwszy dzień w nowej szkole.

Przechodzę przez ulicę z grupką trąkoczących uczniów. Nie zauważają mnie, ale razem obchodzimy kałuże. Ze świstem mijają nas samochód, tak mały, że mógłby być jedną z zabawek mojego brata. Ochlapuje dziewczynę w okularach, a ta głośno przeklina. Koledzy się z niej śmieją. Wlokę się za nimi.

Miasto jest spowite perłową szarością. Zachmurzone niebo i kamienne budynki emanują tą samą elegancją. Przede mną połyskuje Panteon. Jego kopuła i masywne kolumny dominują nad całą okolicą. Za każdym razem, gdy na nie patrzę, nie mogę oderwać od nich oczu. Jakby przeniesiono je tu ze starożytnego Rzymu lub co najmniej ze Wzgórza Kapitońskiego w Waszyngtonie. Czegoś takiego na ogół nie ogląda się z okien klas lekcyjnych.

Nie wiem, jaką funkcję spełnia Panteon, ale zakładam, że wkrótce ktoś mi to wyjaśni.

Moim nowym domem jest teraz Dzielnica Łacińska lub inaczej piąty *arrondissement*. Według kieszonkowego słownika oznacza to dzielnicę. W mojej budynki łączą się jeden z drugim i zawijają na rogach ulic niczym wykwintne dekoracje na weselnym torcie. Wszędzie pełno jest studentów i turystów, na chodnikach stoją identyczne ławki i ozdobne latarnie. Pnie drzew o gęstym listowiu otoczone są uroczymi metalowymi płótkami. Wzdłuż ulic ciągną się gotyckie katedry, maleńkie *crêperies*, stojaki z pocztówkami, a nad głowami zwisają kunsztownie rzeźbione balkony z kutego żelaza.

Gdybym była na wakacjach, na pewno byłabym zachwycona. Kupiłabym łańcuszek na klucze z wieżą Eiffla, pstrykałabym zdjęcia brukowanym uliczkom i jadłabym ślimaki. Ale nie jestem na wakacjach. Mam tu mieszkać i czuję się bardzo niepewnie.

Główny budynek szkoły amerykańskiej znajduje się tylko dwie minuty marszu od *Résidence Lambert*, akademika dla uczniów. Prowadzą do niego duża sklepiona brama i porośnięty zadbanymi drzewami dziedziniec. Ze skrzynek w oknach na każdym piętrze zwieszają się pelargonie i bluszcz, a na środku ciemnozielonych drzwi, które są trzy razy wyższe ode mnie, widnieją rzeźbione w drewnie majestatyczne lwie głowy. Po obu stronach wejścia wisi czerwono-biało-niebieska flaga — jedna amerykańska, druga francuska.

Wygląda to jak sceneria z planu filmowego *Małej księżniczki*, gdyby akcja filmu toczyła się w Paryżu. Jak to możliwe, że taka szkoła w ogóle istnieje? Ojciec zwariował, jeśli sądzi, że tu

pasuję. Usiłuję zamknąć parasolkę i pchnąć ciężkie podwoje plecami. W tej samej chwili do środka przepycha się odpicowany chłopak z włosami na surfera i przygniata mi parasolkę, a potem posyła poirytowane spojrzenie. Zupełnie jakbym to ja była winna, że ma cierpliwość dwulatka i że zmókł na deszczu. Dwa punkty minusowe dla Paryża. Chrzań się, lalusiu.

Sufit na pierwszym piętrze jest niewyobrażalnie wysoki. Jest obwieszony żyrandolami i widać fresk z flirtującymi nimfami i lubieżnymi satyrami. Po korytarzu roznosi się lekki zapach pomarańczowego środka czyszczącego i ścieralnych markerów. Idę do kafeterii za odgłosem skrzypienia gumowych podeszew. Pod stopami mam marmurową mozaikę przedstawiającą parę stykających się dziobkami gołębi. Na końcu korytarza, na ścianie, wisi pozłacany zegar. Akurat wybija pełną godzinę.

Szkoła jest imponująca, ale też onieśmielająca. Powinni tu uczęszczać uczniowie z ochroniarzami i szetlandzkimi kucykami, a nie ktoś, kto większość ciuchów kupuje w sieci supermarketów Target.

Mimo że widziałam ją podczas oględzin szkoły, widok stołówki mnie zamurowuje. Dotąd obiady jadałam w zaadaptowanej na stołówkę sali gimnastycznej, zalatującej chlorem i potem. Stały w niej długie stoły z przytwierdzonymi do posadzki ławkami, a naczynia były z plastiku. Panie z siatkami na włosach, obsługujące kasy, serwowały mrożoną pizzę, frytki i nuggetsy. Reszta mojego tak zwanego żywienia odbywała się w barze i automatach ze słodyczami i napojami.

Ale to... Ta stołówka mogłaby być restauracją.

W przeciwieństwie do wykwintnego holu w stylu retro, jest lśniąca i nowoczesna. Ściany mają mandarynkowo-limonkowy kolor, a wytworny Francuz w białej czapce szefa kuchni wydaje jedzenie, które wygląda podejrzenie świeżo. Widzę kilka gablot z butelkowanymi napojami, ale zamiast pełnej cukru i kofeiny coli na półkach stoją soki i tuzin różnych rodzajów wody mineralnej. Jest nawet stolik z kawą. Kawą! Znam kilku uzależnionych od Starbucksa uczniów, którzy zabiliby za kawę podawaną w szkole.

Prawie wszystkie miejsca są zajęte. Ludzie rozmawiają ze znajomymi przy odgłosach pokrzykiwań kucharzy i brzęku naczyń (z prawdziwej porcelany, nie plastiku). Ociągam się z wejściem do środka. Mijają mnie uczniowie, rozchodzący się po sali we wszystkich kierunkach. Czuję ucisk w piersiach. Powinnam najpierw znaleźć wolne miejsce czy zamówić śniadanie? I jak mam zamówić, skoro menu jest po francusku?

Jestem zaskoczona, bo ktoś woła mnie po imieniu. Och tak, tak, tak...

Rozglądam się po tłumie i dostrzegam machającą do mnie dłoń z pierścionkami na wszystkich palcach. Meredith pokazuje na wolne miejsce obok niej. Wdzięczna, czując niemal bolesną ulgę, przedzieram się między stolikami.

— Zamierzałam do ciebie zapukać, żebyśmy razem poszły na śniadanie, ale nie

wiedziała, czy już wstałaś. — Brwi Meredith zbijają się w jedną linię w wyrazie przejęcia. — O, wybacz, szkoda, że nie zapukałam. Wyglądasz na zagubioną.

— Dzięki, że zajęłaś mi miejsce. — Odkładam na ziemię swoje rzeczy i siadam. Przy stole są jeszcze dwie osoby. Te, które widziałam na zdjęciu przy lustrze. Znów ogarnia mnie zdenerwowanie, poprawiam plecak u moich stóp.

— To Anna, dziewczyna, o której wam mówiłam — przedstawia mnie Meredith.

Patykowaty chłopak z krótkimi włosami i długim nosem saltuje mi kubkiem kawy.

— Josh — mówi. — I Rashmi. — Kiwa głową w stronę dziewczyny obok, która jedną rękę trzyma w przedniej kieszeni jego bluzy. Rashmi ma okulary z niebieskimi oprawkami i sięgające pleców gęste, czarne włosy. Prawie mnie nie zauważa.

Nie szkodzi. Przeżyję.

— Są wszyscy poza St. Clairem. — Meredith wykręca szyję, żeby rozejrzeć się po stołówce. — Spóźnia się jak zawsze.

Odchrząkuję.

— Chyba go wczoraj spotkałam. Na korytarzu.

— Ładne włosy i brytyjski akcent? — pyta Meredith.

— Uhm. Taa... Chyba. — Staram się mówić lekkim tonem.

Josh parska śmiechem.

— Wszystkie kochają się w St. Clairze.

— Och, zamknij się — rzuca ze złością Meredith.

— Ja nie. — Rashmi spogląda na mnie po raz pierwszy. Wygląda, jakby oceniała, czy mogłabym się zakochać w jej chłopaku.

Ten puszcza jej rękę i wzdycha głośno z przesadą.

— Ale ja tak. Zaproszę go na bal maturalny. To nasz rok, czuję to.

— To macie tu bal maturalny? — pytam.

— Boże, nie — zaprzecza Rashmi. — Ale Josh i St. Clair wyglądaliby naprawdę dobrze w takich samych smokingach.

— Ale tylko z długimi połami z tyłu. — Brytyjski akcent powoduje, że ja i Meredith podskakujemy na krzesłach. Chłopak z korytarza. Piękny. Włosy ma mokre od deszczu. — Marynarka musi mieć długie poły albo oddam twój bukietik Steve'owi Carverowi.

— St. Clair! — Josh podrywa się z krzesła i wymienia z kolegą męski uścisk. Klepią się dwukrotnie po plecach.

— Bez buziaka? Łamiesz mi serce, bracie.

— Bałem się, że wkurzę moją starą. Jeszcze o nas nie wie.

— Ha, ha, ha — burczy Rashmi, ale się uśmiecha. Ładnie jej z tym. Powinna częściej

używać kącików ust.

Piękny chłopak z korytarza (mam go nazywać Étienne czy St. Clair?) rzuca torbę i opada na wolne miejsce między mną i Rashmi.

— Anno.

Jest zaskoczony, że mnie widzi, i ja też jestem zaskoczona. Zapamiętał mnie.

— Ładna parasolka. Przydałaby się dzisiaj. — Przesuwa ręką po włosach i kropla wody ląduje na moim odsłoniętym ramieniu. Zatyka mnie. Niestety mój żołądek mówi sam za siebie. St. Clair słyszy burczenie i podnosi wzrok. Znowu mnie zatyka — ma takie duże i brązowe oczy. Jakby potrzebna mu była ta kolejna amunicja przeciwko kobiecej części ludzkości.

Josh pewnie miał rację. W St. Clairze muszą się kochać wszystkie dziewczyny w szkole.

— To było straszne. Powinnaś nakarmić to coś. Chyba że... — Uduje badawcze spojrzenie i nachyla się do mojego ucha. — Chyba że należysz do dziewczyn, które nie jedzą. Przykro mi, ale tego nie toleruję. Dostaniesz dożywotni zakaz zbliżania się do naszego stolika.

Za wszelką cenę chcę zachować przytomność umysłu przy tym przystojniaku.

— Nie bardzo wiem, jak mam złożyć zamówienie.

— To proste. Stań w kolejce, powiedz, co chcesz, odbierz smakowite żarcie, a potem oddaj im kartę posiłków i litr krwi.

— Słyszałam, że w tym roku podnieśli do dwóch litrów — zauważa Rashmi.

— I jeszcze trzeba dorzucić szpik kostny albo lewe ucho — dodaje piękny chłopak.

— Bardzo śmieszne, ale miałam na myśli menu. — Pokazuję na tablicę nad głową jednego z kucharzy. Ktoś wykwintnym, pochyłym pismem naniósł na nią poranny jadłospis różową, żółtą i białą kredą. Po francusku. — Nie jest to mój ojczysty język, niestety.

— Nie znasz francuskiego? — dziwi się Meredith.

— Przez trzy lata miałam hiszpański. Raczej nie zakładałam, że zamieszkam w Paryżu.

— Nie martw się — szybko pociesza mnie Meredith. — Tutaj wiele osób nie zna francuskiego.

— Ale większość zna — wtrąca się Josh.

— Tylko że niezbyt dobrze. — Rashmi spogląda na niego wymownie.

— Najpierw nauczysz się nazw jedzenia. Języka miłości. — Josh gładzi się po brzuchu jak wyposzczony Budda. — *Oeuf*. Jajko. *Pomme*. Jabłko. *Lapin*. Królik.

— To wcale nie jest śmieszne. — Rashmi wali go pięścią w ramię. — Nic dziwnego, że Isis cię gryzie. Idiota.

Znowu spoglądam na tablicę. Menu nadal jest po francusku.

— A, hm, co do tej pory?

— Racja. — Piękny chłopak z korytarza podnosi się i odsuwa krzesło. — Chodź. Ja też

jeszcze nie jadłem.

Gdy przedzieramy się przez tłum, zauważam, że kilka dziewczyn gapi się na St. Claira. Blondynka z haczykowatym nosem, w kusej, obcisłej bluzeczce bez rękawów zwraca się do niego słodkim głosikiem, kiedy stajemy w kolejce.

— Hej, St. Clair, jak tam wakacje?

— Cześć, Amanda. Nieźle.

— Zostałeś w Paryżu czy wróciłeś do Londynu? — Dziewczyna opiera się na ramieniu koleżanki — niewysokiej dziewczyny z włosami związanymi w prosty kucyk — i ustawia się tak, żeby jak najlepiej było widać rowek między jej piersiami.

— Byłem u mamy w San Francisco. A tobie jak minęły wakacje? — St. Clair zadaje pytanie uprzejmym tonem, ale z przyjemnością stwierdzam, że w jego głosie słychać obojętność.

Amanda przerzuca włosy na bok i nagle zamienia się w Cherrie Milliken. Cherrie uwielbia potrząsać włosami i okręcać je wokół palców. Bridgette jest przekonana, że weekendy spędza przed wentylatorem i udaje supermodelkę, ale moim zdaniem nie ma na to czasu, bo w niekończącym się pościgu za lśniącymi puklami musi maczać włosy w odżywkach z papai, glonów morskich i błota.

— Fantastycznie. — Kolejne potrząśnięcie czupryną. — Miesiąc byłam w Grecji, a potem na Manhattanie. Ojciec ma tam odlotowy apartament z widokiem na Central Park.

Każde jej zdanie zawiera chociaż jeden zaakcentowany wyraz. Zaczynam prychać, żeby się nie roześmiać, a piękny chłopak z korytarza dostaje ataku dziwnego kaszlu.

— Ale tęskniłam za tobą. Nie dostawałeś moich mejli?

— Eee, nie. Pewnie masz zły adres. Hej. — St. Clair trąca mnie łokciem. — Prawie nasza kolej. — Odwraca się plecami do Amandy, a ta wymienia z koleżanką wściekle spojrzenie. — Czas na pierwszą lekcję francuskiego. Ich śniadania są mało urozmaicone, składają się głównie z pieczywa. Oczywiście najslawniejsze są croissanty. Nie ma parówek i jajecznicy.

— A bekon? — pytam z cieniem nadziei.

— Zapomnij. — Śmieje się. — Druga lekcja. Słowa na tablicy. Słuchaj uważnie i powtarzaj za mną. *Granola*. — Przymrużam oczy, gdy on udaje niewinność i otwiera swoje szeroko. — Znaczą „granola”, kapujesz? A to? *Yaourt*?

— Rany, no nie wiem. Jogurt?

— Masz wrodzony talent. Na pewno nie mieszkałaś wcześniej we Francji?

— Ha, ha, ha.

Uśmiecha się.

— Aaa, rozumiem. Dopiero się poznaliśmy, a ty już się nabijasz z mojego akcentu. Co dalej? Będziesz kpila z moich włosów? Wzrostu? Spodni?

Spodni? No nie, błagam.

Francuz za kontuarem pokrzykuje na nas. Wybacz, szefie Pierre. Jestem trochę rozkojarzona z powodu tego przystojnego angielsko-francuskiego Amerykanina.

— Jogurt z granolą i miodem, jajka na miękko czy słodka *brioche* z gruszką? — pyta rzeczony przystojniak.

Nie mam pojęcia, co to jest „brioche”.

— Jogurt.

Składa nasze zamówienie w perfekcyjnym francuskim. Przynajmniej tak to brzmi dla moich dziewiczych uszu. Szef Pierre się rozluźnia. Przestaje łytać złowrogo i miesza płatki owsiane i miód z jogurtem dla mnie. Przed podaniem posypuje wszystko jagodami.

— *Merci, monsieur* Boutin.

Zabieram tacę.

— Nie ma grzanek z owocami i Cocoa Puffsów? Czuję się, hm, urażona.

— Grzanki są we wtorki, naleśniki w środę, ale Cocoa Puffsów nie podają nigdy. Będziesz się musiała zadowolić Froot Loopsami. Serwują je w piątki.

— Jak na kolesia z Anglii dużo wiesz o amerykańskim fast foodzie.

— Sok pomarańczowy? Grejpfrutowy? Żurawinowy? — Wskazuję pomarańczowy i St. Clair wyciąga z gabloty dwie butelki. — Nie jestem Anglikiem, tylko Amerykaninem.

Uśmiecham się.

— Taa, jasne.

— Naprawdę. Trzeba pochodzić ze Stanów, żeby uczęszczać do ASP.

— Asp?

— Amerykańska Szkoła w Paryżu — wyjaśnia.

Super. Ojciec przysłał mnie tu, bo chce ze mnie zrobić artystkę?

Stajemy w kolejce do kasy. Jestem zaskoczona, jak sprawnie to przebiega. W starej szkole wszyscy się wpychali i nabijali z obsługi. Ale tutaj każdy czeka cierpliwie na swoją kolej. Odwracam się i łapię St. Claira na tym, że obcina mnie wzrokiem. Oddech utyka mi w gardle. Jestem taksowana przez pięknego chłopaka z korytarza. Nie wie, że to zauważyłam.

— Moja mama jest Amerykanką — kontynuuje. — Ojciec Francuzem. Urodziłem się w San Francisco, a wychowałem w Londynie.

Jakimś cudem odzyskuję głos.

— Prawdziwy obywatel świata.

Wybuchają śmiechem.

— Szczera prawda. Nie jestem pozerem jak cała reszta tutaj.

Już mam zamiar powiedzieć coś uszczypliwego, ale nagle sobie przypominam: on ma dziewczynę. Coś złego szturcha szare zwoje mojego mózgu, pamięć podsuwa rozmowę z Meredith

z poprzedniego dnia. Pora zmienić temat.

— Jak naprawdę masz na imię? Wczoraj przedstawiłeś się...

— St. Clair to nazwisko. Na imię mam Étienne.

— Étienne St. Clair. — Próbuję naśladować jego wymowę, brzmiącą obco i wytwornie.

— Straszne, nie?

Parskam śmiechem.

— Étienne brzmi ładnie. Czemu znajomi tak się do ciebie nie zwracają?

— Och, „Étienne brzmi ładnie”. Jakaś ty uprzejma.

W kolejce za nami ustawia się następna osoba — niewysoki chłopak o śniadej cerze, z trądzikiem i gęstą burzą czarnych włosów. Jest wyraźnie ucieszony, że widzi kolegę.

— Hej, Nikhil. Fajnie spędziłeś wakacje?

To samo pytanie St. Clair zadał Amandzie, lecz tym razem jest naprawdę zainteresowany odpowiedzią.

I to wystarczy, żeby Nikhil rozpoczął opowieść o podróży do Delhi, o targach, świątyniach i monsunie. (On pojechał na jednodniową wycieczkę do Tadź Mahal. Ja z całą resztą Georgii do Panama City Beach). Podbiega kolejny chłopak. Chudy, blady i ma włosy postawione na żel. Nikhil zapomina o nas i wita drugiego kolegę tym samym entuzjastycznym trajkotaniem.

St. Clair — postanawiam tak go nazywać w obawie przed ośmieszeniem się — odwraca się w moją stronę.

— Nikhil to brat Rashmi. Pierwszoklasista. Rashmi ma jeszcze młodszą siostrę, Sanjitę, w trzeciej klasie. I starszą, Leelę. Leela skończyła liceum dwa lata temu.

— A ty masz rodzeństwo?

— Nie. A ty?

— Brata, ale został w Stanach. W Atlancie. To w stanie Georgia. Na Południu.

Unosi brwi.

— Wiem, gdzie jest Atlanta.

— No tak, racja. — Podaję kartę posiłków facetowi za kasą. Tak jak *monsieur* Boutin jest ubrany w biały uniform i wykrochmalony czepek. I ma spiczaste wąsy. Hm. Nie wiedziałam, że tu taka moda. *Monsieur* Wąs zmiata mi sprzed nosa kartę i zaraz oddaje z szybkim *merci*.

Dziękuję. Kolejne słowo, które już znałam. Świetnie.

Gdy wracamy do naszego stolika, Amanda obserwuje St. Claira. Otacza ją grupka odpicowanych lalusiów. Nie jestem zaskoczona, że widzę wśród nich koleśka z fryzurą na surfera. St. Clair opowiada o szkole — czego mam się spodziewać pierwszego dnia, jacy są nauczyciele — ale ja go nie słucham. W mojej świadomości jest miejsce tylko dla jego uroczego uśmiechu, w którym widać wystające górne zęby, i jego pewnego, dumnego sposobu chodzenia.

Jestem taką samą kretyką jak inne dziewczyny.

Rozdział 4

Kolejka od H do P porusza się wolno. Chłopak przede mną klóci się z doradcą szkolnym. Zerkam w stronę kolejki od A do G i widzę, że Meredith (Chevalier) i Rashmi (Devi) dostały już plany lekcji i wymieniły się nimi, żeby je porównać.

— Ale ja nie chciałem zająć teatralnych. Zapisalem się na informatykę.

Filigranowa psycholog jest cierpliwa.

— Wiem, ale nie dało się dopasować zajęć z informatyki do twojego planu. Za to przedmiot, który wybrałeś jako alternatywny, tak. Może informatykę wybierzesz w następnym...

— Na przedmiot alternatywny wybrałem programowanie komputerowe.

Chwila. Szybko z powrotem skupiam się na rozmowie. Mogą tak robić? Zapisywać nas na przedmioty, których nie wybraliśmy? Zabiję się — naprawdę się zabiję — jeśli znów będę musiała chodzić na wuef.

— Tak się składa, David — doradczynie przekłada strony dokumentów — że nie wpisałeś przedmiotu alternatywnego, więc wybraliśmy go za ciebie. Ale myślę, że...

Wściekły chłopak wrywa plan zajęć z rąk doradczynie i odchodzi. Rany. Przecież ta kobieta niczemu nie jest winna. Podchodzę do biurka i podaję swoje nazwisko tak uprzejmie, jak to tylko możliwe, żeby nadrobić za kretyna, który właśnie skończył. Kobieta uśmiecha się, a w jej policzkach pojawiają się dołeczki.

— Pamiętam cię, kochanie. Życzę miłego pierwszego dnia. — I podaje mi żółtą kartkę.

Wstrzymuję oddech i czytam. Uff. Żadnych niespodzianek. Angielski, matma, francuski dla początkujących, fizyka, historia Europy i coś o podejrzanej nazwie *la vie*.

Przy zapisywaniu doradca szkolny wyjaśnił, że „życie” to zajęcia tylko dla klas maturalnych. Godzina pracy samodzielnej, choć od czasu do czasu może nas ktoś odwiedzić z wykładem o bilansowaniu książeczek czekowych, wynajmowaniu mieszkań i pieczeniu ciast. Takie tam, ale ulżyło mi, że mama zgodziła się, żebym się na to zapisała. W tej szkole jedną z fajnych rzeczy jest to, że w klasie maturalnej matma, fizyka i historia nie są obowiązkowe. Niestety, mama to formalistka i nie pozwoliła, żebym kończyła liceum bez jeszcze jednego roku uczenia się tych trzech przedmiotów.

— Nie dostaniesz się na żadne studia, jeśli wybierzesz zajęcia z ceramiki — ostrzegła, ze zmarszczonym czołem przeglądając pakiet przedmiotów, jakie wybrałam.

Wielkie dzięki, mamo. Odmawiasz mi dawki kultury w mieście znanym ze sztuki i skazujesz na kolejny rok cierpień na matematyce. Powłócząc nogami, podchodzę do Meredith i Rashmi. Czuję się jak piąte koło u wozu, mimo to modlę się, żebyśmy miały wspólne przedmioty. I

szczęście mi dopisuje.

— Trzy ze mną i cztery z Rash! — Meredith rozpromieniona oddaje mi mój plan. Jej różnokolorowe plastikowe pierścionki stukają jeden o drugi.

Rash[1]. Cóż za nieszczęśliwa ksywka. Dziewczyny zaczynają plotkować o osobach, których nie znam, więc przenoszę uwagę na drugą stronę dziedzińca, gdzie St. Clair i Josh stoją w kolejce Q do Z. Ciekawe, czy z nimi też będę miała jakieś lekcje.

Mam oczywiście na myśli ich obu. Naprawdę.

Przestało już padać. Josh kopie w kałużę i opryskuje St. Claira. Ten się śmieje i mówi coś, przez co obaj wybuchają jeszcze silniejszym śmiechem. Nagle zauważam, że St. Clair jest niższy od Josha. Dużo niższy. Dziwne, że wcześniej tego nie zauważyłam. Ale St. Clair nie zachowuje się jak gość o niskim wzroście. Tacy najczęściej są nieśmiali albo drażliwi, lub jedno i drugie. Ale nie St. Clair. On jest pewny siebie, miły i...

— Jezu, ale się gapisz.

— Co? — Szybko odwracam głowę, ale okazuje się, że Rashmi nie mówi do mnie. Patrzy z naganą na Meredith, która jest tak samo zmieszana jak ja.

— Wypalasz mu dziury w głowie. Nieładnie.

— Zamknij się — warczy Meredith, chociaż do mnie się uśmiecha i wzrusza ramionami.

Cóż. Wszystko jasne. Nie trzeba mi więcej powodów, żebym zapomniała o pięknym chłopcu z korytarza. Durzenie się w nim jest oficjalnie zakazane.

— Tylko nic mu nie mów, błagam — prosi Meredith.

— Jasne.

— Bo my się tylko przyjaźnimy.

— Naturalnie.

Kręcimy się po dziedzińcu aż do przyjazdu dyrektorki szkoły, która ma wygłosić mowę powitalną. Dyrektorka jest pełna wdzięku i porusza się jak balerina. Ma długą szyję, a jej śnieżnobiałe włosy są ściągnięte w schludny koczek. Nie powoduje on jednak, że kobieta wygląda staro, ale raczej wytwornie. W ogóle dyrektorka sprawia wrażenie urodzonej paryżanki, chociaż wiem z listu potwierdzającego przyjęcie, że pochodzi z Chicago. Jej wzrok przesuwają się po nas, setce osobiście przez nią wybranych uczniów.

— Witam na rozpoczęciu kolejnego, ekscytującego roku w Amerykańskiej Szkole w Paryżu. Cieszę się, że widzę tak wiele znajomych twarzy, a jeszcze bardziej cieszy mnie widok nowych.

Najwyraźniej nawet Paryż nie jest w stanie nic poradzić na szkolne przemowy.

— Bardzo proszę uczniów z zeszłych lat, aby przyjęli gorąco uczniów pierwszej klasy oraz tych ze starszych klas, którzy dopiero do nas dołączyli.

Rozlegają się uprzejme oklaski. Rozglądam się i ze zdumieniem stwierdzam, że St. Clair patrzy na mnie. Klaszcze i podnosi ręce w moją stronę. Zalewam się rumieńcem i szybko odwracam głowę.

Dyrektorka nadal przemawia. Skup się, Anno. Skup się. Ale czuję jego spojrzenie na sobie, jakbym stała w pełnym słońcu. Zaczynam się pocić, więc przesuwam się w cień jednego ze starannie przystrzyżonych drzew. Czemu on się gapi? Nadal to robi? Chyba tak. Ale dlaczego? To miłe spojrzenie, niemiłe, obojętne?

Jednak gdy w końcu się odwracam, on wcale nie patrzy, tylko ogryza paznokieć u małego palca.

Dyrektorka kończy i Rashmi podbiega do chłopaków. Meredith prowadzi mnie na lekcję angielskiego. *Professeur* jeszcze nie ma, więc wybieramy miejsce z tyłu. Klasa jest mniejsza niż te, do których jestem przyzwyczajona, i są w niej ciemne, wysokie ozdobne okna, które wyglądają jak drzwi. Ale ławki niczym się nie różnią od tych w liceum w Stanach. Podobnie jak tablica i przymocowana do ściany temperówka. Skupiam uwagę na znajomych przedmiotach, żeby uciszyć nerwy.

— Polubisz *professeur* Cole — zapewnia Meredith. — Jest komiczna i zadaje nam najlepsze lektury.

— Mój tata jest pisarzem. — Mówię to bez zastanowienia i od razu żałuję.

— Naprawdę? Jak się nazywa?

— James Ashley. — To jego pseudonim literacki. Pewnie Oliphant nie brzmiało wystarczająco romantycznie.

— Jak?

Uzucie zażenowania wzmaga się.

— *Decision. Entrance.* Były zekranizowane. Daj sobie spokój, wszystkie miały takie same nijakie tytuły...

Meredith, podekscytowana, nachyla się do mnie.

— Nie, moja mama uwielbia *Entrance!*

Marszczę nos.

— To wcale nie takie złe. Raz to z mamą oglądałam i strasznie płakałam, kiedy ta chora na białaczkę dziewczyna zmarła.

— Kto zmarł? — Rashmi rzuca swój plecak obok mnie. Za nią idzie St. Clair i zajmuje miejsce przed Meredith.

— Ojciec Anny napisał *Entrance* — wyjaśnia Meredith.

Kaszlę.

— Nie jestem z tego specjalnie dumna.

— Przepraszam, ale co to jest *Entrance*? — pyta Rashmi.

— To ten film o chłopcu, który pomaga jakiejś kobiecie urodzić w windzie, a potem, kiedy dorasta, zakochuje się w tej dziewczynie, która się urodziła w tej windzie — opowiada Meredith, a w tym czasie St. Clair wychyla się i podkrada jej plan lekcji. — Ale w dzień po zaręczynach dziewczyna dowiaduje się, że ma białaczkę.

— Jej ojciec prowadzi ją do ołtarza na wózku inwalidzkim — przejmuję opowieść. — A potem ona umiera podczas miesiąca miodowego.

— Uff — prychną razem Rashmi i St. Clair.

Dosyć tego poniżenia.

— A gdzie Josh? — pytam.

— Jest w trzeciej klasie — odpowiada Rashmi takim tonem, jakbym powinna była już to wiedzieć. — Zostawiliśmy go na matmie.

— Och. — Rozmowa utyka w martwym punkcie. Wspaniale.

— Trzy przedmioty razem. Pokaż swój. — St. Clair znowu się odchyła i tym razem podkrada mój rozkład zajęć. — Ooo, francuski dla początkujących.

— Mówiłam ci.

— Nie jest tak źle. — Oddaje mi plan i się uśmiecha. — Nim się obejrzysz, będziesz umiała przeczytać śniadaniowe menu bez mojej pomocy.

Hm, może jednak nie chcę się uczyć francuskiego.

Wrr. Chłopcy lubią robić z dziewczętą kretynki.

— *Bonjour à tous*. — Do sali wkracza kobieta w odważnej turkusowej sukience i zdecydowanym ruchem stawia kubek z kawą na podium. Jest dość młoda i ufarbowana na najsilniejszy blond, jaki widziałam u nauczycielki. — Dla tych... — Przesuwa wzrokiem po klasie i zatrzymuje go na mnie.

Co? Co ja takiego zrobiłam?

— Dla tych, którzy mnie nie znają, *je m'appelle professeur Cole*. — Kłania się teatralnie, a cała klasa wybuchą śmiechem. Uczniowie odwracają się, żeby na mnie popatrzeć.

— Dzień dobry — mówię zduszonym głosem.

Moje podejrzenia się potwierdzają. Z dwudziestu pięciu obecnych osób tylko ja jestem nowa. Co znaczy, że koledzy z klasy mają nade mną jeszcze jedną przewagę — wszyscy znają nauczycieli. Szkoła jest tak mała, że ten sam *professeur* uczy swojego przedmiotu wszystkie cztery roczniki.

Zastanawiam się, kto odszedł z mojej klasy, zwalniając miejsce dla mnie. Pewnie ktoś fajniejszy. Ktoś z dreadami, tatuażami i znajomościami w przemyśle muzycznym.

— Widzę, że woźny po raz kolejny zignorował moje zalecenia — mówi *professeur Cole*.

— Wstańcie, proszę. Wiecie, co macie robić.

Ja nie wiem, ale przepycham swoją ławkę, gdy widzę, że inni pchają swoje. Ustawiamy je w duży okrąg. Dziwnie widzieć wszystkich kolegów naraz. Korzystam z okazji, żeby im się przyjrzeć. Nie sądzę, żebym odstawała, jednak ich dzinsy i buty, i plecaki są droższe od moich. Wyglądają czystiej i bardziej się błyszczą.

Żadne zaskoczenie. Mama uczy biologii i jej pensja nie starcza na luksusy. Tata splaca hipotekę za dom i daje coś na bieżące wydatki, ale to i tak za mało. A mama jest zbyt dumna, żeby prosić o więcej. Twierdzi, że tata i tak by odmówił, i zamiast tego sprawiłby sobie nowy sprzęt do ćwiczeń.

Jest w tym jakaś racja.

Reszta poranka mija mi, jakbym błądziła we mgle. Polubiłam *professeur* Cole i nauczyciel matematyki, *professeur* Babineaux, również sprawia dość miłe wrażenie. Jest paryżaninem i śmiesznie porusza brwiami w górę i w dół, a także pluje, kiedy mówi. Ale nie sądzę, żeby plucie miało jakiś związek z byciem Francuzem. Myślę, że facet po prostu sepleni, choć trudno to ocenić z jego akcentem.

Po matematyce jest francuski. Okazuje się, że *professeur* Gillet również pochodzi z Paryża. Wielkie mi dziwy. Lekcje obcego języka zawsze prowadzą native speakerzy. Moi nauczyciele hiszpańskiego mieli zwyczaj wywracać oczami i wykrzykiwać: „*Aye, dios mio!*”, ilekroć zgłaszałam się do odpowiedzi. Frustrowali się, że nie potrafię pojąć czegoś, co dla nich było oczywiste.

Więc przestałam się zgłaszać.

Jak przewidywałam, klasa składa się z grupy pierwszoklasistów. I ze mnie. Och, i jednego trzecioklasisty, tego wściekłego kolesia z rana. Przedstawił mi się z entuzjazmem jako Dave i widziałam, że, tak jak mnie, ulżyło mu, że nie jest jedynym starszym uczniem.

Może Dave nie jest jednak taki beznadziejny.

W południe w masowym pędzie udaję się do stołówki. Omijam główną kolejkę i choć wokół unosi się smakowity zapach spaghetti, idę prosto do lady z owocami i pieczywem, gdzie obowiązuje samoobsługa. Jestem strasznym tchórzem. Wolę głodować, niż zamówić coś po francusku.

— *Oui, oui!* — powiedziałaabym, pokazując na przypadkowe słowa na tablicy. Potem szef Wąs podałby mi coś niezjadliwego, a ja musiałabym za to zapłacić. A oczywiście moim zamiarem byłoby zamówienie pieczonych gołąbków! Mniam! Takich jak robi babcia.

Meredith i jej przyjaciele siedzą przy tym samym stoliku co rano. Biorę głęboki oddech i

dołączam do nich. Z ulgą stwierdzam, że nikt nie sprawia wrażenia zaskoczonego. Meredith pyta St. Claira, czy widział się już ze swoją dziewczyną. St. Clair siada.

— Nie, ale mamy się spotkać wieczorem.

— Widziałeś ją podczas wakacji? Rozpoczęła już zajęcia? Co będzie miała w tym semestrze? — Zarzuca St. Claira pytaniami, na które on odpowiada krótkimi zdaniami. Josh i Rashmi się całują — widzę nawet język — więc przenoszę wzrok na moją bułkę i winogrona. Jestem taka świątobliwa.

Winogrona są mniejsze niż te w Stanach i mają włóknistą skórkę. Czy to brud? Zanurzam róg serwetki w wodzie i zaczynam przecierać drobne fioletowe kuleczki. Trochę to pomaga, ale nadal są jakieś chropowate. Hm. St. Clair i Meredith milkną. Podnoszę oczy i widzę, że gapią się na mnie ze zdumieniem.

— O co chodzi?

— O nic — odpowiada St. Clair. — Kontynuuj kąpiel.

— Były brudne.

— Próbowałaś? — pyta Meredith.

— Nie. Nadal mają te plamki po błocie. — Podnoszę jedno winogrono, żeby im pokazać.

St. Clair wrywa mi je i wsadza sobie do ust. Patrzę na nie jak zahipnotyzowana, gdy przełyka.

Waham się. Wolę mieć czyste owoce czy zyskać sobie jego dobrą opinię?

Podnosi następne winogrono i się uśmiecha.

— Otwórz usta.

Otwieram.

Winogrono ociera się o dolną wargę, a potem eksploduje mi na języku. Jestem tak zaskoczona ilością soku, że niemal go wypluwam. Smak jest intensywny, bardziej cukierkowy niż owocowy. Powiedzieć, że czegoś takiego wcześniej nie jadłam, to niedomówienie. Meredith i St. Clair się śmieją.

— Zaczekaj, aż ich spróbujesz w postaci wina — mówi Meredith.

St. Clair okręca na widelcu spaghetti.

— No więc... Jak ci minął francuski?

Aż się wzdragam na tę nagłą zmianę tematu.

— *Professeur* Gillet mnie przeraża. Ciągłe się marszczy ze złości. — Odrywam kawałek bagietki. Skórka strzela. Środek jest lekki i puszysty. Och, Jezu. Wpycham do ust następną porcję.

Meredith przybiera poważną minę.

— Na początku może onieśmielać, ale kiedy już cię pozna, jest bardzo miła.

— Mer to jej ulubiona uczennica — wyjaśnia St. Clair.

Rashmi odrywa się od Josha, który wygląda na oszołomionego dopływem świeżego

powietrza.

— I mówi biegle po francusku i hiszpańsku — dodaje.

— Może mogłabyś mnie pouczyć — zwracam się do Meredith. — Obce języki kiepsko mi wchodzi. Nie zauważyli tu moich ocen z hiszpańskiego tylko dlatego, że dyrektorka czyta durne powieści ojca.

— Skąd wiesz? — dziwi się Meredith.

Wywracam oczami.

— Raz czy dwa wspominała o tym przez telefon podczas rozmowy kwalifikacyjnej. — Ciągle pytała o decyzje w sprawie obsady do *Lighthouse*. Jakby ojciec miał coś w tej sprawie do powiedzenia. Albo jakby mi na tym zależało. Nie zdawała sobie sprawy, że mój gust filmowy jest nieco bardziej wyrafinowany.

— Ja chciałabym nauczyć się włoskiego — wyznaje Meredith. — Ale nie ma go w programie. W przyszłym roku zamierzam rozpocząć studia na uczelni w Rzymie. A może w Londynie. Tam też mogłabym się uczyć włoskiego.

— Rzym chyba lepiej się do tego nadaje — zauważam.

— No tak. — Meredith zerka ukradkiem na St. Claira. — Ale ja lubię Londyn.

Biedna Mer. Widać, że nieźle ją wzięło.

— A ty co planujesz robić po liceum? — pytam St. Claira. — Gdzie będziesz studiował?

Wzrusza ramionami. Robi to z rozleniwieniem, całym ciałem. Bardzo po francusku.

Zupełnie jak ten kelner w restauracji poprzedniego wieczoru, kiedy zapytałam, czy mają pizzę.

— Nie wiem. To zależy, ale chciałbym studiować historię. — Nachyla się, jakby zamierzał wyjawiać coś nieprzyzwoitego. — Zawsze marzyłem, żeby być jak ci kolesie, co dają wywiady w BBC i PBS. No wiesz, szalone krzaczaste brwi i zamszowe łaty na łokciach.

Zupełnie jak ja! No, w pewnym sensie.

— Ja marzę o występowaniu w kanale z filmami klasycznymi i omawianiu filmów Hitchcocka i Capry z Robertem Osbornem. Prowadzi większość programów na tym kanale. To znaczy, to już starszy gość, ale bardzo w porządku. Wie wszystko o kinie.

— Naprawdę? — St. Clair wydaje się szczerze zainteresowany.

— St. Clair zawsze tkwi z głową w książkach wielkości encyklopedii — wtrąca się Meredith. — Trudno go wyciągnąć z pokoju.

— To dlatego, że Ellie ciągle w nim przesiaduje — stwierdza oschle Rashmi.

— I kto to mówi — sarka St. Clair, spoglądając wymownie na Josha. — Poza tym uważaj, bo zaraz ci wypomnę... Henriego.

— Henri! — powtarza Meredith i razem z St. Clairem wybuchają śmiechem.

— Jedno pieprzone popołudnie, a wy nie dajecie mi spokoju. — Rashmi zerka na Josha,

który dźga widelcem makaron na talerzu.

— Kim jest Henri? — pytam, potykając się o wymowę. *En-ree*.

— Przewodnik wycieczki do Wersalu, jaką mieliśmy w drugiej klasie — wyjaśnia St. Clair.

— Chudy, mały gnojek, ale Rashmi zostawiła nas w Sali Lustrzanej i rzuciła się na tego faceta...

— Wcale tak nie było!

Meredith potrząsa głową.

— Obmacywali się całe popołudnie. Na oczach wszystkich.

— Cała szkoła czekała w autokarze aż dwie godziny, bo Rash zapomniała, o której mieliśmy zbiórkę — dodaje St. Clair.

— To nie były dwie godziny...

— W końcu *professeur* Hansen wyśledził ją za krzakami w ogrodzie. Na całej szyi miała ślady po ugryzieniach.

— Ślady po ugryzieniach! — powtarza St. Clair z kpiną.

Rashmi wrze z wściekłości.

— Zamknij się, ty angielski jęzorze.

— Co?

— Angielski jęzor — mówi ponownie. — Tak cię nazwaliśmy po waszym oszalamiającym występie z Ellie na targu wiosną zeszłego roku.

St. Clair próbuje się bronić, ale za bardzo się śmieje. Meredith i Rashmi nie przestają sobie dokuczać, a ja... znów czuję się zagubiona. Zastanawiam się, czy Matt, teraz gdy ma kogoś bardziej doświadczonego, z kim może ćwiczyć, nauczył się lepiej całować. Pewnie źle to robił z mojej winy.

Och, nie.

To ja nie umiem się całować. Ja, na pewno.

Kiedyś dostanę nagrodę w postaci statuetki w kształcie ust z wygrawerowanym napisem „Najgorzej całująca dziewczyna na świecie”. A Matt wygłosi mowę o tym, że chodził ze mną tylko dlatego, że był zdesperowany, ale ponieważ nie umiałam wydymać ust, tylko tracił czas, bo Cherrie Milliken była nim zainteresowana, a ona doskonale wydyma usta. O czym wie każdy.

O Boże. Czy Toph też uważa, że nie umiem się całować?

Zdarzyło się to tylko raz. Mój ostatni wieczór w kinie był też ostatnim przed wyjazdem do Francji. Ludzi było mało i prawie cały wieczór spędziliśmy sami w lobby. Może dlatego, że to była moja ostatnia zmiana, a może chodziło o to, że mieliśmy się nie widzieć przez cztery następne miesiące, a może myślałam, że to moja ostatnia okazja — tak czy inaczej, bez względu na przyczynę, zachowaliśmy się lekkomyślnie. Byliśmy odważniejsi. Flirtowaliśmy cały wieczór i gdy już pozwolono nam wracać do domu, nie mogliśmy się rozstać. Dalej... gadaliśmy.

I potem w końcu Toph powiedział, że będzie tęsknił.

I potem w końcu pocałował mnie pod szumiącą markizą.

A potem sobie poszłam.

— Anno? Wszystko w porządku?

Cały stół gapi się na mnie.

Tylko nie płacz. Nie płacz.

— Uhm. Gdzie jest łazienka? — Łazienka to moja najlepsza wymówka na każdą okoliczność. Nikt cię dalej o nic nie pyta, jeśli o niej wspomnisz.

— Na końcu korytarza. — St. Clair wygląda na przejętego, ale nie ma śmiałości dociekać, co się stało. Pewnie się boi, że zacznę mówić o tamponach albo wypowiem przerażające słowo na „O”.

Resztę lunchu spędzam w kabinie. Tak bardzo tęsknię za domem, że to aż boli. Skronie mi pulsują, jest mi niedobrze. To wszystko jest straszliwie niesprawiedliwe. Nie prosiłam, żeby mnie tu wysyłano. Miałam własnych przyjaciół, własne żarty i własne potajemnie wykradane pocałunki. Wolałabym, żeby rodzice dali mi wybór: Chciałabym ostatni rok liceum spędzić w Atlancie czy w Paryżu?

Kto wie? Może wybrałabym Paryż.

Naprawdę żałuję, że rodzicom nie przyszło na myśl, że warto zapytać mnie o zdanie.

Rozdział 5

Do: Anna Oliphant <bananaelephant@femmemfilmfreak.net>

Od: Bridgette Saunderwick <bridgesandwich@freebiemail.com>

Temat: Nie sprawdzaj teraz, ale...

...masz niepodwinięte pod materac prześcieradło w prawym rogu łóżka. Ha! Sprawdziłaś, wiem. Ale już przestań wygładzać niewidzialne zmarszczki. Mówię poważnie. Jak tam Le Academe du Fraunch? Są jakieś ciacha, o których powinnam wiedzieć? A mówiąc o ciachach, zgadnij, kto chodzi ze mną na matkę? Drew! Ufarbował włosy na czarno i zafundował sobie kolczyk w wardze. I ma totalnie fertyczne (sprawdź sobie w słowniku, leniwa dupo) pośladki. W stolówce siedzę tam gdzie zawsze, ale bez ciebie to nie to samo. Nie wspominając, że pokazała się pieprzona Cherrie. Zarzuca włosami jak zawsze i słowo honoru, że słyszałam dzisiaj, jak nuci ten kawałek z reklamy szamponu TRESemmé. Wydłubię sobie oczy figurką Dartha Maula twojego brata, jeśli będzie z nami codziennie siedziała. A przy okazji, twoja mama wynajęła mnie, żebym opiekowała się Seanem po szkole, więc muszę lecieć. Nie chcę, żeby coś się mu stało na mojej zmianie.

Jesteś do niczego. Wracaj.

Bridge

PS Jutro mają ogłosić, kto będzie liderem sekcji. Jeśli dadzą to miejsce Kevinowi Quiggleyowi, jemu wydłubię oczy lalką Dartha Maula.

„Fertyczny” — czerstwy, krzepki, zgrabny. Dobrze, Bridge. Moja przyjaciółka ma hopla na punkcie trudnych słów. Jedną z najcenniejszych rzeczy, które posiada, jest jej *OED*, kupiony prawie za bezcen na jakiejś wyprzedaży dwa lata temu. *Oxford English Dictionary* to dwudziestotomowy słownik, w którym można znaleźć nie tylko definicje słów, lecz także historię ich powstania. Bridge zawsze wtrąca trudne słowa do rozmowy, bo uwielbia patrzeć, jak ludzie się kurczą z zażenowania i próbują jakoś wykaraskać z sytuacji. Ja już dawno temu postanowiłam nie udawać, że wiem, o czym ona mówi. I tak zawsze przyłapie mnie na blefowaniu.

A więc Bridge kolekcjonuje trudne słowa i, jak widać, zajęcia z mojego życia.

Nie mogę uwierzyć, że mama wynajęła ją do opieki nad Seanem. Wiem, że to najlepszy wybór, bo zawsze pilnowaliśmy go razem, ale i tak. Trochę to dziwne, że jest tam beze mnie. I

dziwne, że rozmawia z moją mamą, gdy ja siedzę uwięziona po drugiej stronie świata. Wkrótce mi powie, że zatrudniła się w kinie.

À propos kina. Toph od dwóch dni do mnie nie pisze. Nie żebym oczekiwała, że będzie pisał codziennie albo nawet co tydzień, ale... nie da się zaprzeczyć, że coś między nami zaiskrzyło. W końcu się całowaliśmy, no nie? Czy to — jakkolwiek by nazwać to coś — skończy się teraz, gdy jestem w Paryżu?

Toph naprawdę ma na imię Chris, ale nienawidzi, jak się go tak nazywa. Więc wszyscy mówią mu Toph. Ma szokująco zielone oczy i szałowe baczki. Oboje jesteśmy leworęczni, oboje kochamy podrabiany ser *nacho* sprzedawany w kinowym barze i oboje nie znosimy Cuby Goodinga Juniora. Zadurzyłam się w Tophie pierwszego dnia pracy, kiedy, żeby mnie rozśmieszyć, wetknął głowę do dystrybutora z napojami i pił prosto z kurka. Do końca zmiany miał fioletowe usta po soku jagodowym.

Nie każdy może szczerzyć niebieskie zęby, ale Toph, uwierzcie mi, to potrafi.

Odświeżam moją pocztę — tak na wszelki wypadek — lecz nic nowego nie przychodzi. Tkwiłam przed komputerem kilka godzin, czekając, aż Bridge wyjdzie ze szkoły. Cieszę się, że do mnie napisała. Z jakiegoś powodu chciałam, żeby zrobiła to pierwsza. Może dlatego, że zależało mi, żeby myślała, iż jestem tak szczęśliwa i zajęta, że nie mam czasu na gadanie. Ale w rzeczywistości jestem smutna i sama.

I głodna. Moja minilodówka jest pusta.

Byłam na obiedzie w stołówce, ale znowu ominęłam kolejkę do głównych dań i napchałam się pieczywem. Co nie starczyło na długo. Może jutro St. Clair znowu zamówi dla mnie śniadanie. Albo Meredith; założę się, że z chęcią mi pomoże.

Odpisuję Bridge. Opowiadam o nowych znajomych, szalonej stołówce, która wygląda jak restauracja, i o gigantycznym Panteonie niedaleko akademika. Mimo że nie chcę, opisuję St. Claira i wspominam, jak na fizyce pochylił się nad Meredith, żeby pożyczyć ode mnie długopis, akurat gdy *professeur* Wakefield wyznaczał pary do laboratorium. Pomyślał, że St. Clair siedzi obok mnie, i teraz St. Clair będzie moim partnerem w laboratorium. Przez cały rok!

I to była najprzyjemniejsza rzecz w całym dniu.

Piszę też o tajemniczym przedmiocie, *la vie*, bo całe lato zgadywałyśmy, co to może być (ja: „Założę się, że będziemy dyskutowali o teorii Wielkiego Wybuchu i znaczeniu życia”. Bridge: „Dziewczyno, pewnie będą was uczyć technik oddechowych i sposobów przemiany pożywienia w energię”). Okazało się, że dzisiaj siedzieliśmy w ciszy i odrabialiśmy lekcje.

Szkoda.

Całą godzinę czytałam pierwszą powieść zadaną na angielskim. I, no, no, jeśli do tej pory nie uświadamiałam sobie, że jestem we Francji, to teraz już to doskonale wiem. Bo w *Like Water*

for Chocolate są seksowne kawałki. Mnóstwo seksownych kawałków. Pożądanie bohaterki dosłownie stawia dom w ogniu, a żołnierz zarzuca jej nagie ciało na siodło i robią to w galopie. Nie ma mowy, żeby pozwolili mi coś takiego czytać w pobożnej Atlancie. Najbardziej rozwiązłą powieścią, jaką przerabialiśmy, była *Szkarłatna litera*.

Muszę powiedzieć Bridge o tej książce.

Jest prawie północ, kiedy kończę pisać mejla, ale na korytarzu nadal panuje hałas. Trzecio- i czwartoklasiści mają dużo swobody, bo, rzekomo, jesteśmy już wystarczająco dojrzały na samodzielność. Ja tak, lecz mam poważne wątpliwości co do kolegów. Przed drzwiami kołosa z pokoju naprzeciwko stoi piramida puszek po piwie, bo w Paryżu szesnastolatkom wolno pić piwo i wino. Mocniejszy alkohol dozwolony jest od osiemnastego roku życia.

Ale i mocniejsze trunki tu widziałam.

Zastanawiam się, czy mama, godząc się na tę szkołę, zdawała sobie sprawę, że będę tu mogła pić alkohol. Wyglądała na zaskoczoną, kiedy wspominali o tym na Seminarium Przetrwania. A potem przy kolacji zrobiła mi długi wykład o odpowiedzialności. Ale nie zamierzam się upijać. Moim zdaniem piwo śmierdzi jak siki.

W recepcji jest kilku dorosłych zatrudnionych na niepełny etat, ale tylko jeden kierownik akademika, który mieszka w nim na stałe. Ma na imię Nate, a jego apartament znajduje się na pierwszym piętrze. Jest studentem jakiejś pobliskiej uczelni. ASP musi mu dobrze płacić, skoro zgodził się z nami mieszkać.

Nate ma dwadzieścia kilka lat i jest niski, blady i łysy. To znaczy ma ogoloną głowę, co brzmi dziwnie, ale całkiem nieźle wygląda. Mówi łagodnym głosem i sprawia wrażenie osoby potrafiącej słuchać, ale budzi też respekt i ma autorytet. Rodzicom bardzo się spodobał. A przed jego drzwiami stoi miska z prezerwatywami.

Ciekawa jestem, czy rodzice to zauważyli.

Pierwszo- i drugoklasiści mieszkają w innym akademiku. Muszą dzielić pokoje, piętra są podzielone ze względu na płeć i bardzo ich tam pilnują. Mają też wyznaczoną godzinę, do której mogą wychodzić na zewnątrz. My nie. Wystarczy, że wpisujemy do dziennika, że wychodzimy albo wracamy, żeby Nate wiedział, że żyjemy. Taa... Jestem pewna, że nikt tego nie przestrzega.

Powłócząc nogami, idę korytarzem do łazienki i ustawiam się w kolejce. Kolejka jest zawsze, nawet o północy. Stoję za Amandą, tą dziewczyną, która zaatakowała St. Claira przy śniadaniu. Krzywi się na widok moich wyblakłych dżinsów i podkoszulka z logo lemoniady Orange Crush.

Nie wiedziałam, że Amanda mieszka na moim piętrze. Świetnie.

Nie rozmawiamy. Wodzę palcami po kwiecistym wzorze na tapecie. Résidence Lambert to

dziwna mieszanka paryskiej elegancji i młodzieżowej funkcjonalności. Kryształowe kinkiety na korytarzu spowijają go w złotej poświacie, ale w pokojach mamy jarzeniówki. Podłogi są wyłożone lśniąca klepką, na której jednak leżą zwyczajne tanie bieżniki. Lobby zdobią świeże kwiaty i witrażowe lampy, ale za miejsce do siedzenia służą zniszczone kanapy, a stoły są porysowane inicjałami i przekleństwami.

— A więc jesteś nowym Brandonem — odzywa się Amanda.

— Słucham?

— Brandon. Numer dwadzieścia pięć. Wyrzucili go w zeszłym roku; jeden z nauczycieli znalazł kokę w jego plecaku. — Ponownie mierzy mnie wzrokiem i marszczy czoło. — A w ogóle, skąd jesteś? — Ale ja wiem, o co naprawdę pyta. Chce wiedzieć, czemu wybrali kogoś takiego jak ja na miejsce Brandona.

— Z Atlanty.

— Och — wzdycha, jakby już pojmowała, skąd ten mój prowincjonalny wygląd. Niech się chrzani. Atlanta to jedno z największym miast w Stanach.

— Ty i St. Clair wyglądaliście na mocno zaprzyjaźnionych na śniadaniu.

— Uhm. — Czyżby czuła się zagrożona?

— Na twoim miejscu nie wyobrażałabym sobie za wiele — ciągnie. — Nawet ty nie jesteś wystarczająco ładna, żeby go odbić jego dziewczynie. Są ze sobą od zawsze.

Czy to był komplement? A może nie? Akcentowanie słów przez Amandę naprawdę zaczyna działać mi na nerwy. (Na nerwy).

Amanda przeciągle ziewa.

— Interesująca fryzura.

Dotykam mimowolnie włosów.

— Dzięki. Moja przyjaciółka je utleniła. — W zeszłym tygodniu Bridge rozświetliła mi włosy grubym jasnym pasemkiem. Normalnie zakładam je za prawe ucho, ale teraz tkwi w kucyku.

— I co, byłaś zadowolona? — pyta Amanda. Zwykła gadka wrednych suk, która oznacza: „Moim zdaniem to okropne”.

Opuszczam rękę.

— Tak, dlatego to zrobiłam.

— Ja bym tak nie zaciesywała tego pasemka. Wyglądasz trochę jak skunks.

— Ale przynajmniej nie jedzie od niej jak od skunksa. — Za mną pojawia się Rashmi. Odwiedzała Meredith; przez ścianę słyszałam ich stłumione głosy. — Wspaniałe perfumy, Amando. Następnym razem skrop się bardziej, bo mogą cię nie czuć w Londynie.

Amanda prychnie.

— Fajne okulary.

— Fajne — zgadza się Rashmi z kamienną miną, ale widzę, że poprawia okulary. Paznokcie ma w kolorze elektryzującego błękitu, w tym samym odcieniu co oprawki. Odwraca się w moją stronę. — Jeślibyś czegoś potrzebowała, mieszkam dwa piętra wyżej, w pokoju sześćset jeden. Do zobaczenia na śniadaniu.

A więc Rashmi mnie nie nie lubi! A może bardziej niż mnie nie lubi Amandy. Tak czy inaczej jestem wdzięczna i krzyczę za nią „dzięki”. Macha mi ręką i skręca na klatkę schodową, z której wyłania się Nate. Zbliża się do nas, spokojny i przyjazny.

— Szykujecie się do snu, panie?

Amanda słodko się uśmiecha.

— Oczywiście.

— Wspaniale. Jak ci minął pierwszy dzień w szkole, Anno? Było miło?

To bardzo dziwne, że wszyscy już wiedzą, jak się nazywam.

— Tak. Dzięki, że pytasz, Nate.

Kiwa głową, jakbym powiedziała coś godnego zastanowienia, potem żegna się i odchodzi w stronę grupki chłopaków stojących na końcu korytarza.

— Nienawidzę, gdy to robi — mówi Amanda.

— Gdy co robi?

— Szpieguje nas. Dupek. — Otwierają się drzwi łazienki i drobna rudowłosa dziewczyna wymija Amandę, która stoi w miejscu jak jakaś Królowa Przedśionka. Dziewczyna musi być trzecioklasistką, bo nie pamiętam jej z lekcji angielskiego. — Jezu, wpadłaś do tego klopa, czy co? — wścieka się Amanda. Błada twarz dziewczyny czerwienieje.

— Przecież tylko korzystała z toalety — wtrącam się.

Amanda baletowym krokiem wkracza do łazienki. Podeszwy puszystych fioletowych kapci kłapią o jej pięty. Zatrząskuje za sobą drzwi.

— A co mnie to obchodzi, dziewczyno skunksie?

Rozdział 6

Minął dopiero tydzień szkoły, a ja jestem już po uszy pogrążona w tej ekskluzywnej międzynarodowej edukacji.

W programie nauczania *professeur* Cole, w przeciwieństwie do nauczycieli w Stanach, nie ma Szekspira i Steinbecka. Zamiast tego skupiamy się na tłumaczonych dziełach. Każdego dnia z rana pani Cole prowadzi panel dyskusyjny na temat *Like Water for Chocolate*, jakbyśmy uczestniczyli w spotkaniach jakiegoś klubu książki, a nie siedzieli na nudnej obowiązkowej lekcji.

Tak więc angielski jest super.

Z drugiej strony nauczycielka francuskiego to stuprocentowo analfabetka. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że choć nasz podręcznik nosi tytuł *Francuski, poziom pierwszy, professeur* Gillet z uporem maniaka wymaga od nas mówienia wyłącznie po francusku? Poza tym ciągle wzywa mnie do odpowiedzi. A ja nigdy nie znam poprawnej.

Dave nazywa ją *madame* Guillotine. To też jest super.

Dave chodził już na francuski, co jest pomocne, ale nie do końca, bo przecież nie zaliczył semestru. Jest kędzierzawy i ma wydęte usta. I piegi, choć ma śniadą cerę. Podkocha się w nim kilka dziewczyn. Dave chodzi ze mną także na historię. Uczę się historii z trzecioklasistami, bo czwartoklasiści mają zajęcia z administracji rządowej, a ja już to przerobiłam. Więc siedzę na historii między Davem a Joshem.

Josh jest cichy i zdystansowany w klasie, ale poza klasą jego poczucie humoru dorównuje poczuciu humoru St. Claira. Łatwo zrozumieć, czemu są tak dobrymi przyjaciółmi. Meredith mówi, że idealizują jeden drugiego. Josh z powodu wrodzonej charyzmy St. Claira. St. Clair, bo Josh jest wyjątkowo utalentowany artystycznie. Rzadko go widuję bez flamastrów i szkicownika. Jego prace są niesamowite — a palce zawsze poplamione tuszem.

Jednak najbardziej zauważalnym aspektem mojej nowej edukacji jest to, co dzieje się poza klasą. O czym zresztą nigdy nie wspomina się w błyszczących broszurkach. A mianowicie: uczęszczanie do szkoły z internatem jest jak mieszkanie na stałe w liceum. Nie ma dokąd uciec. Nawet gdy siedzę w swoim pokoju, z zewnątrz bombardują mnie głośna muzyka, odgłosy bójek przy pralkach i pijackie śpiewy dochodzące z klatki schodowej. Meredith twierdzi, że wszystko się uspokoi, kiedy trzecioklasiści oswoją się z wolnością, ale ja bym się nie zakładała.

Jednak...

Jest piątkowy wieczór i *Résidence Lambert* opustoszała. Moi współlokatorzy rozbiegli się po barach i po raz pierwszy mam spokój. Kiedy zamykam oczy, mogę nawet uwierzyć, że jestem w domu. Nie licząc opery. Diwa operowa każdego wieczoru wyśpiewuje arie przed restauracją po

drugiej stronie ulicy. Jak na kogoś z tak potężnym głosem, kobieta jest zaskakująco drobna. Należy również do tych osób, które golą brwi i potem dorysowują je ołówkiem. Przypomina statystkę z *Rocky Horror Picture Show*.

Dzwoni Bridge, akurat gdy wygodnie rozwalona na moim miniłóżku oglądam *Rushmore*. To film, który wypromował Wesa Andersona. Wes jest niesamowity, prawdziwy reżyser zaangażowany w każdy aspekt produkcji. Jego wyróżniający się styl można wszędzie rozpoznać — melancholijny i dziwaczny, pozornie poważny i mroczny. *Rushmore* to mój ulubiony film. Opowiada o koleśku, który między innymi ma obsesję na punkcie prywatnej szkoły, z której go wyrzucono. Jak wyglądałoby moje życie, gdybym była tak samo zwariowana na punkcie ASP jak Max na punkcie akademii *Rushmore*? Przede wszystkim pewnie nie siedziałabym samotnie w swoim pokoju z twarzą pokrytą białym kremem na pryszcze.

— Annnnna-uuuuuu — wyje Bridge. — Nienawidzę ich!

Nie dostała miejsca lidera. A szkoda, bo wszyscy wiedzą, że jest najbardziej utalentowaną perkusistką w szkole. Nauczyciel gry na perkusji oddał tę funkcję Kevinowi Quiggleyowi, bo uważał, że chłopaki z sekcji perkusyjnej nie będą słuchali Bridge — bo jest dziewczyną.

Taa, cóż, teraz na pewno nie będą. Kretyn.

Tak więc Bridge nienawidzi zespołu, nienawidzi instruktora gry i nienawidzi Kevina, który jest strasznym durniem z nieproporcjonalnie wielkim ego.

— Nic się nie martw. Wkrótce będziesz drugą Meg White albo Sheilą E. — staram się pocieszyć przyjaciółkę. — A Kevin Quiggley będzie się przechwalał, że cię znał. I kiedy podejdziesz do ciebie po jakimś dużym występie, oczekując specjalnych względów i przepustki za kulisy, miniesz go bez słowa, jakby był powietrzem.

Słyszę lekkie rozbawienie w głosie Bridge.

— Wy tłumacz mi raz jeszcze, dlaczego wyjechałaś, Banana?

— Bo mój ojciec jest palantem.

— Pierwszoligowym, kochana.

Gadamy do trzeciej w nocy, stąd następnego dnia budzę się dopiero koło południa. Zwlekam się z łóżka, żeby się ubrać, zanim zamkną stołówkę. W soboty i niedziele otwierana jest tylko na drugie śniadanie. Kiedy tam wchodzę, jest cicho, ale Rashmi, Josh i St. Clair siedzą przy tym samym stoliku co zawsze.

Jestem spięta, bo przez cały tydzień nabijali się ze mnie przez to, że unikałam wszystkiego, co wymagało zamawiania. Wymyślałam różne wymówki („mam alergię na wołowinę”, „nic nie smakuje lepiej od chleba”, „ravioli jest przeceniane”). Ale nie mogę wiecznie robić uników. Przyładzie znów ma zmianę *monsieur* Boutin. Chwytam tacę i biorę głęboki oddech.

— *Bonjour*, uch... zupa? *Sopa*? *S'il vous plaît*?

„Dzień dobry” i „proszę”. Najpierw nauczyłam się zwrotów grzecznościowych z nadzieją, że Francuzi mi wybaczą zarzynywanie reszty ich pięknego języka. Pokazuję na zbiornik z pomarańczowoczerwoną zupą. Chyba dyniową. Pachnie cudownie, jak szaflwia i jesień. Mamy początek września, a mimo to nadal jest ciepło. Kiedy we Francji rozpoczyna się jesień?

— Ach! *Soupe* — poprawia mnie delikatnie.

— *Si, soupe*. To znaczy, *oui. Oui!* — Pała mnie policzki. — I, hm, to, hm... coś z kurczakiem i zieloną fasolką.

Monsieur Boutin wybuchają śmiechem. Brzmi to radośnie i rubasznie, jak śmiech Świętego Mikołaja.

— Kurczak i *haricots verts, oui*. Możesz mówić po angielsku. Dobrze go rozumieć.

Czerwienię się jeszcze bardziej. To oczywiste, że mówi po angielsku. Przecież to amerykańska szkoła. A ja przez pięć dni żywiłam się głupimi gruszkami i bagietkami. Podaje mi miskę zupy i mały talerz z sałatką z kurczaka. Na widok ciepłego posiłku mój żołądek zaczyna głośno burczeć.

— *Merci* — mówię.

— *De rien*. Bardzo proszę. I mam nadzieję, że nie będziesz wincej mnie unikać! — Kładzie rękę na piersi, jakby miał złamane serce. Uśmiecham się i kręcę głową, że nie. Nie będę go unikać.

— I co, nie było tak strasznie, prawda, Anno? — krzyczy St. Clair z drugiego końca stołówki.

Odwracam się i z nadzieją, że *monsieur* Boutin nie widzi, pokazuję środkowy palec. St. Clair odpowiada szerokim uśmiechem i brytyjską wersją gestu — znakiem „V” wykonanym dwoma pierwszymi palcami. *Monsieur* Boutin cmoka niecierpliwie za moimi plecami. Płacę za posiłek i idę dosiąść się do St. Claira i reszty.

— Dzięki. Zapomniałam, jak się pokazuje „chrzań się” Anglikom. Następnym razem użyję właściwego gestu.

— Do usług. Zawsze chętnie dzielę się wiedzą. — Ma na sobie te same ciuchy co poprzedniego dnia. Dżinsy i stary T-shirt z sylwetką Napoleona na piersi. Pytam go o nadruk, a on odpowiada, że Napoleon to jego bohater.

— Ale zauważ, że nie dlatego, że był porządnym gościem. Był okropnym dupkiem. Ale za to niskim, jak ja.

Zastanawiam się, czy spał u Ellie. Pewnie dlatego się nie przebrał. Każdego wieczoru jeździ na jej uczelnię metrem i potem gdzieś razem idą. Rashmi i Mer są wściekłe, bo myślą, że Ellie zadziera nosa i nie chce się już z nimi zadawać. Jest na to teraz za dobra.

— Wiesz co, Anno — odzywa się Rashmi. — Paryżanie raczej znają angielski. Nie musisz być aż tak skrupowana.

Taa. Dzięki, że mi to mówisz dopiero teraz.

Josh zakłada ręce za głowę i odchyła się w tył razem z krzesłem. Podciągnięty rękaw koszulki odsłania ramię, a na nim tatuaż przedstawiający czaszkę i skrzyżowane kości. Sądząc po przygnębiającym stylu, sam zaprojektował ten rysunek. Czarny tusz kontrastuje z bladą skórą. Tatuaż jest świetny, chociaż wygląda trochę śmiesznie na chudym ramieniu.

— To prawda — potwierdza. — Znam po francusku trzy słowa na krzyż, a jakoś daję sobie radę.

— Ja bym się tym tak nie przechwalała. — Rashmi się krzywi, a Josh prostuje w krześle, żeby pocałować jej zmarszczony nos.

— Chryste, znowu zaczynają. — St. Clair drapie się po głowie i odwraca wzrok.

— Zawsze są tacy okropni? — pytam ściszone głosem.

— Nie. W zeszłym roku byli gorsi.

— Rany. Znaczy, że są długo razem?

— Eee, od zeszłej zimy.

— Całkiem sporo.

Wzrusza ramionami, a ja milczę, bo się zastanawiam, czy chcę znać odpowiedź na moje następne pytanie. Pewnie nie, ale i tak je zadaję.

— A ty jak długo chodzisz z Ellie?

Myśli chwilę.

— Coś koło roku. — Bierze łyk kawy, tutaj chyba wszyscy ją piją, potem odstawia filiżankę na stół z głośnym brzękiem, na co Rashmi i Josh reagują wzdrygnięciem. — Och, sorry. Przeszkodziłem wam?

Odwraca się do mnie i szeroko otwiera brązowe oczy na znak poirytowania. Wstrzymuję oddech. Nawet zły jest piękny. Nie da się go porównać z Tophem. St. Clair jest atrakcyjny w inny sposób, to całkiem inny okaz.

— Zmiana tematu. — Pokazuje na mnie palcem. — Myślałem, że ślicznotki z Południa mają południowy akcent.

Kręcę głową.

— Tylko, kiedy rozmawiam z mamą. Wtedy mi się wrywa, bo ona mówi z akcentem. Ale na ogół ludzie w Atlancie go nie mają. Atlanta jest całkiem wielkowiejska. Za to dużo osób mówi gangsterskim slangiem — żartuję.

— Jasne — odpowiada ze śmiesznym brytyjskim zaśpiewem.

Prycham pomarańczowoczerwoną zupą na stół. St. Clair, zaskoczony, parska śmiechem. Ja też się śmieję. Aż mi skręca kiszki. Podaje mi serwetkę, żeby wycierać policzki.

— Jasne — powtarza z powagą.

Ha, ha, ha, chrr, chrr.

— Błagam, powiedz to jeszcze raz. To brzmi... — z trudem łapię powietrze — ...zajebicie.

— Trzeba było tak nie mówić. Teraz będę musiał zachować to na specjalne okazje.

— W lutym mam urodziny. — Ha, ha, ha, chrr, chrr. — Błagam, nie zapomnij.

— A moje były wczoraj.

— Nie, zgrywasz się.

— Mówię serio. — Ściera resztki wyplutego przeze mnie lunchu, więc próbuję mu odebrać serwetkę, bo chcę to zrobić sama, ale odpycha moją rękę.

— Faktycznie — wtrąca się Josh. — Zapomniałem, brachu. Wszystkiego najlepszego.

— Nie miałeś wczoraj urodzin, prawda? Przecież coś byś powiedział.

— Miałem. Wczoraj skończyłem osiemnaście lat. — Wzrusza ramionami i rzuca serwetkę na swoją pustą tacę. — W mojej rodzinie nie przepadamy za urodzinowymi tortami i imprezami.

— Ale przecież musiałeś mieć tort — upieram się. — To podstawa. Najlepsza część urodzin. — Przypominam sobie „starwarsowy” tort, jaki mama, Bridge i ja upiekłyśmy dla Seana w zeszłe lato. Był lemonkowiec i miał kształt głowy Yody. Bridge kupiła nawet watę cukrową, z której zrobiłyśmy włosy w uszach.

— Właśnie dlatego nigdy nie mówię nikomu o swoich urodzinach.

— Ale coś wyjątkowego wczoraj robiłeś? Zabrałeś dokądś Ellie?

Podnosi kubek z kawą i zaraz odstawia, nie pijąc.

— Moje urodziny to dzień jak co dzień. Nie przeszkadza mi to. Nie potrzebuję tortu, słowo.

— Dobrze, dobrze. W porządku. — Unoszę ręce w geście poddania. — Nie złożę ci życzeń. Nawet nie będę ci życzyła spóźnionego szczęśliwego piątku.

— Och, tego możesz mi życzyć. — Znów się uśmiecha. — Nie mam nic przeciwko piątkom.

— A mówiąc o piątku — odzywa się Rashmi. — Dlaczego nie poszłaś z nami wczoraj na miasto?

— Byłam zajęta. Miałam randkę z przyjaciółką, Bridgette.

Cała trójka gapi się na mnie, czekając na dalsze wyjaśnienia.

— Przez telefon.

— Ale byłaś gdzieś w ciągu tygodnia? — docieka St. Clair. — Opuściłaś teren szkoły?

— Jasne. — Bo musiałam. Żeby dotrzeć do innej części kampusu.

— Wyjašnjmy to sobie, dobrze? — Josh składa dłonie jak do modlitwy. Ma szczupłe palce, jak reszta ciała, a na jednym widnieje plama po tuszu. — Siedzisz w Paryżu od tygodnia i jeszcze go nie widziałaś? Żadnej części miasta?

— Widziałam z rodzicami w zeszłym tygodniu. Wieżę Eiffla. — Z oddali.

— Z rodzicami, ekstra. A jakie masz plany na dzisiaj? — pyta St. Clair. — Będziesz prała, szorowała prysznic?

— Hej, szorowanie to całkiem miłe zajęcie.

Rashmi marszczy czoło.

— A co będziesz jadła? Stołówkę zamykają.

Jej troska jest poruszająca, ale nie proponuje, żebym dołączyła do niej i Josha. Chociaż i tak nie mam ochoty z nimi nigdzie wychodzić. Co do jedzenia, zamierzałam oczyścić automaty ze słodyczami i napojami w akademiku. Nie są specjalnie dobrze zaopatrzone, ale jakoś sobie poradzę.

— Tak się domyślałem — mówi St. Clair, gdy nie odpowiadam. I kręci głową. Jego włosy lekko się dzisiaj kręcą. Wygląda to naprawdę ładnie. Gdyby istniały zawody olimpijskie w dziedzinie włosów, St. Clair zdobyłby pierwsze miejsce. Dostałby złoty medal.

Wzruszam ramionami.

— To dopiero tydzień. Nie przesadzajcie.

— Przyjrzyjmy się faktom raz jeszcze — proponuje Josh. — To twój pierwszy weekend poza domem?

— Tak.

— Pierwszy weekend bez nadzoru rodziców?

— Zgadza się.

— Pierwszy weekend bez nadzoru rodziców w Paryżu? I chcesz go spędzić w swoim pokoju? Sama? — Wymieniają się z Rashmi spojrzeniami wyrażającymi politowanie. Szukam pomocy u St. Claira, ale on przekrzywił głowę na bok i tylko mi się przygląda.

— No co? — pytam poirytowana. — Mam zupę na brodzie? Fasolkę między zębami?

Uśmiecha się.

— Podoba mi się twoje pasemko — mówi w końcu. A potem sięga ręką i delikatnym ruchem dotyka moich włosów. — Masz super włosy.

Rozdział 7

Imprezowicze opuścili akademik. Napycham się przekąskami z automatu i odświeżam moją stronę w Internecie. Do tej pory spróbowałam batonika Bounty (smakuje zupełnie jak Mounds) i paczkę magdalenek, ciasteczek w kształcie muszli. Były lekko stęchłe, przez co zachciało mi się pić. Ale słodczyce podniosły mi poziom cukru na tyle wysoko, że mogę się zająć pracą umysłową.

Ponieważ nie mam nowych filmów do recenzowania z Femme Film Freak (gdyż jestem odcięta od tego, co w Ameryce dobre, szczere i piękne — kina), dopieszczam układ graficzny strony. Wymyślam nowy nagłówek. Edytuję stare recenzje. Wieczorem dostaję mejla od Bridge:

Byłam wczoraj z Mattem i Cherrie M (od megalomanka) w kinie. I zgadnij, co się stało? Toph pytał o ciebie! Powiedziałam, że jest ci tam świetnie, ale że nie możesz się doczekać grudniowej wizyty. Chyba załapał aluzję. Chwilę gadaliśmy o jego kapeli (oczywiście nadal nie występują), ale Matt cały czas robił miny, więc musieliśmy iść. Wiesz, co on myśli o Tophie. OCH! Cherrie próbowała nas wyciągnąć na ostatni wyciskacz łez twojego ojca. WIEM, nie musisz nic mówić.

Jesteś do niczego. Wracaj do domu.

Bridge

„Megalomania”. Skupienie na własnej doskonałości, zadowoleniu, zawyżona nieprawidłowa samoocena. Tak! To właśnie Cherrie. Mam tylko nadzieję, że Bridge nie opowiadała o mnie, jakbym umierała z tęsknoty, mimo że faktycznie tęsknię za Tophem i jego mejlami. I nie mogę uwierzyć, że Matt ciągle coś do niego ma. Przecież już ze sobą nie chodzimy. Wszyscy lubią Tophę. No, czasami wkurza managerów, ale to dlatego, że zdarza mu się spóźnić do pracy. Albo w ogóle nie przychodzi, bo niby jest chory.

Jeszcze raz czytam mejla od Bridge. Toph mówi, że jest szaleńczo w tobie zakochany i będzie na ciebie czekał do końca życia. Nic takiego w mejlu nie ma, niestety. Więc przeglądam moje ulubione forum, żeby sprawdzić, co mówią o nowym filmie ojca. Recenzje z *Decision* nie są najlepsze, mimo że film stoi wysoko w rankingu kasowych szlagierów. Jeden ze stałych forumowiczów, clockworkorange88, napisał: „Aż jaja bołą. Spoczone jaja. Jakbym biegał w upale w skórzanych spodniach”.

Zgadzam się.

Po jakimś czasie jestem znudzona czytaniem o filmie ojca i sprawdzam *Like Water for*

Chocolate. Chcę się upewnić, że nie przeoczyłam żadnego wątku, zanim napiszę wypracowanie. Jest zadane na za dwa tygodnie, ale mam mnóstwo wolnego czasu. Całą noc.

Bla, bla, bla. Nic interesującego. I już zamierzam ponownie zerknąć do skrzynki pocztowej, gdy zauważam pewien ustęp: „W powieści gorąco symbolizuje seksualne pożądanie. Tita może kontrolować temperaturę w kuchni, ale ogień, jaki trawi jej własne ciało, jest zarówno jej siłą, jak i aspektem niszczącym”.

— Anno? — Ktoś puka do moich drzwi, a ja aż podskakuję na krześle.

Nie. Nie ktoś, tylko St. Clair.

Mam na sobie starą koszulkę z logo mleczarni Mayfield, przedstawiającym żółto-brązową krowę, a do tego jaskraworóżowe flanelowe spodnie od piżamy we wzorek z gigantycznych truskawek. I nie mam stanika.

— Anno, wiem, że tam jesteś. Widzę światło.

— Zaczekaj chwilkę! Już, już. — Wkładam czarną bluzę, zapinam pod brodę, żeby zakryć krowę, i dopiero wtedy otwieram. — Cześć, sorry. Włącz.

Otwieram szeroko drzwi, ale on przez moment stoi w progu i się gapi. Nie umiem odczytać wyrazu jego twarzy. Potem uśmiecha się przebiegle i wchodzi do środka.

— Fajne truskawki.

— Zamknij się.

— Nie, mówię poważnie. Są słodziutkie.

I chociaż nie ma na myśli tego, że ponieważ jestem taka słodziutka, to natychmiast zerwie ze swoją dziewczyną, i tak coś się we mnie rozpala. Płomień siły i zniszczenia, który Tita de la Garza tak dobrze zna. St. Clair stoi na środku pokoju. Drapie się po głowie, a jego koszulka podnosi się z jednej strony, odsłaniając skrawek brzucha.

Bum! Mój wewnętrzny ogień płonie na całego.

— Ale tu... eee... porządek — mówi.

Psss. Płomień gaśnie.

— Naprawdę? — Wiem, że w moim pokoju jest czysto, ale nawet jeszcze nie pomyślałam o zakupie płynu do mycia okien. Ten, kto je mył ostatnio, nie miał pojęcia, jak się używa takiego płynu. Rzecz w tym, że trzeba mało przyskać. Ludzie na ogół za dużo przyskają i wtedy płyn splywa do rogów, a tam trudno go wysuszyć bez zostawiania smug.

— Naprawdę. To nawet trochę niepokojące.

St. Clair krąży po pokoju, podnosi różne rzeczy i je ogląda. Tak jak ja w pokoju Meredith. Przygląda się kolekcji figurek bananów i słoni ustawionych na komodzie. Podnosi szklanego słonika i pytająco marszczy brwi.

— To moje przezwisko.

— Słoń? — Kręci głową. — Wybacz, ale nie pasuje.

— Anna Oliphant. Banana Elephant[2]. Moja przyjaciółka zbiera dla mnie słonie, a ja dla niej mosty i kanapki. Nazywa się Bridgette Saunderwick[3] — wyjaśniam.

St. Clair odstawia słonia i przechodzi do biurka.

— I co, wszyscy nazywają cię Elephant?

— Banana Elephant. I nie. Absolutnie nie.

— Sorry — mówi. — Ale nie za to.

— A za co? Co się stało?

— Poprawiasz wszystko, co odstawiam. — Kiwnięciem głowy pokazuje na moje dłonie, które właśnie przestawiają figurkę słonia na właściwe miejsce. — Nieładnie, że tak dotykam twoich rzeczy.

— Och, nie ma sprawy — mówię pospiesznie i szybko puszczam figurkę. — Możesz dotykać, co chcesz.

St. Clair sztywnieje i robi dziwną minę, a do mnie dopiero teraz dociera, co powiedziałam. Nie to miałam na myśli.

Z drugiej strony, nie byłoby to takie złe.

Tylko że mnie podoba się Toph, a St. Clair ma dziewczynę. I nawet gdyby okoliczności wyglądały inaczej, jest jeszcze Mer. Nigdy bym jej czegoś takiego nie zrobiła, zwłaszcza że była dla mnie taka miła pierwszego dnia. I drugiego. I każdego następnego.

Poza tym, to tylko atrakcyjny chłopak. Nie ma co się tak spinać. W końcu ulice Europy pełne są przystojnych kolesiów, no nie? Wysportowanych, super obciętych i ubranych. Nie żebym widziała kogoś choć w przybliżeniu tak przystojnego jak *monsieur* Étienne St. Clair, ale zawsze.

Odwraca twarz. Czy mi się tylko wydaje, czy jest zakłopotany? Ale czemu miałby być? To ja mam niewyparzoną gębę.

— To twój chłopak? — Pokazuje na tapetę na ekranie mojego laptopa. Jest tam zdjęcie kolegów z pracy i moje, jak się wygłupiamy. Zostało zrobione przed puszczeniem o północy pierwszym seansem filmu zaadaptowanego z powieści fantastycznej. Większość z nas przebrała się za elfy lub magów. — Ten z przymkniętymi oczami?

— Co? — On sądzi, że umawiałabym się z takim facetem jak Hercules? Hercules jest asystentem menadżera. I jest dziesięć lat starszy. I tak, Hercules to jego prawdziwe imię. Facet jest słodki i wie wszystko na temat japońskich horrorów, ale niestety nosi kucyk.

Kucyk!

— Anno, nabijam się. Ten tutaj. Z baczkami. — Pokazuje na Tophę, powód, dla którego tak uwielbiam tę fotkę. Nasze głowy są zwrócone do siebie i posyłamy sobie ukradkowy uśmiech, jakbyśmy śmiali się z czegoś, co tylko my rozumiemy.

— Och. Uch... nie. Nie do końca. To znaczy, już prawie zaczęliśmy się umawiać, ale wyjechałam... — Milknę, bo nagle robi mi się głupio. — Zanim do czegośkolwiek doszło.

St. Clair nie odpowiada. Po chwili krępującego milczenia wypycha ręce do kieszeni spodni i zaczyna się bujać na piętach.

— Troska o wszystkich.

— Słucham? — pytam zdezorientowana.

— *Tout pourvoir*. — Kiwa głową, pokazując na poduszkę na łóżku. Słowa są wyhaftowane nad obrazkiem jednorożca. To prezent od dziadków, a motto i herb należą do klanu Oliphantów. Dawno temu dziadek przeniósł się do Ameryki, żeby ożenić się z babcią, ale nie przestał kochać wszystkiego, co miało związek ze Szkocją. Nieustannie kupuje dla mnie i Seana rzeczy w szkocką kratę (niebiesko-zieloną szachownicę z czarnymi i białymi liniami). Na przykład pościel.

— Tak, wiem, co to znaczy. Ale skąd ty to wiesz?

— *Tout pourvoir*. To po francusku.

Wspaniale. Okazuje się, że wbijane mi do głowy od niemowlęctwa motto klanu Oliphantów jest po francusku. A ja nie miałam o tym zielonego pojęcia. Dzięki, dziadku. Jakbym już i tak nie zrobiła z siebie skończonej idiotki. Tylko skąd miałam wiedzieć, że szkockie motto jest napisane w języku francuskim? Myślałam, że Szkoci nienawidzili Francuzów. A może chodziło o Anglików?

— Eee... no nie wiem. Zawsze myślałam, że to łacina albo inny martwy język.

— To brat? — St. Clair pokazuje palcem na ścianę nad łóżkiem, gdzie wisi tylko jedno zdjęcie. Seany uśmiecha się do aparatu i wskazuje na żółwia badawczego matki, który ma podniesioną głowę i wygląda, jakby chciał odgryźć Seanowi palec. Mama prowadzi badania nad zachowaniami reprodukcyjnymi żółwi jaszczurowatych i odwiedza swoje stadko w Chattahoochee River kilka razy w miesiącu. Brat uwielbia z nią jeździć, ale ja wolę nasz bezpieczny dom. Żółwie jaszczurowate potrafią być złośliwe.

— Tak. To Sean.

— Trochę irlandzkie imię jak na rodzinę, która śpi w pościeli w szkocką kratę.

Uśmiecham się.

— To dość bolesny temat. Mamie strasznie się to imię podobało, ale dziadek — ojciec mojego ojca — o mało nie dostał zawału, kiedy je usłyszał. Chciał, żeby Sean nazywał się Malcolm albo Ewan, albo Dougal.

St. Clair się śmieje.

— Ile ma lat?

— Siedem. Jest w drugiej klasie.

— Duża różnica wieku.

— Cóż, albo był wpadką, albo ostatnią deską ratunku rozpadającego się małżeństwa. Nigdy

nie miałam odwagi zapytać.

Rany. Nie wierzę, że gadam te wszystkie bzdury.

St. Clair przysiada na brzegu łóżka.

— Twoi starzy są rozwiedzeni?

Przechodzę do krzesła przy biurku, bo przecież nie usiądę obok niego. Może gdy już przywyknę do jego obecności, ale jeszcze nie teraz.

— Tak. Ojciec odszedł, kiedy Sean miał pół roku.

— Przykro mi. — I widzę, że naprawdę mu przykro. — Moi są w separacji.

Robi mi się zimno i drzę, więc chowam ręce pod pachy.

— W takim razie mnie też przykro. Paskudna sytuacja.

— Przyzwyczailem się. Poza tym mój ojciec jest strasznym dupkiem.

— Mój też. To znaczy, musi być, skoro zostawił nas, kiedy Seany był taki mały. Poza tym to przez niego tu jestem.

— Wiem.

Wie?

— Mer mi mówiła. Ale gwarantuję, że mój stary jest gorszy. Niestety to on tu mieszka, a mama jest sama, tysiące kilometrów stąd.

— Twój ojciec mieszka w Paryżu? — Jestem zaskoczona. Wiem, że jego ojciec jest Francuzem, ale nie umiem sobie wyobrazić, że ktoś wysyła dziecko do szkoły z internatem, mieszkając w tym samym mieście. To zupełnie bez sensu.

— Ma tu galerię sztuki, a drugą w Londynie. Czas dzieli między nimi.

— Jak często go widzisz?

— Najchętniej w ogóle. — St. Clair posepnieje, a ja sobie uświadamiam, że nawet nie wiem, po co przyszedł. Pytam go o to.

— Nie mówiłem? — Prostuje się. — Och, cóż. Wiedziałem, że jeśli ktoś nie przyjdzie i na siłę cię nie wyciągnie, nigdy się stąd nie ruszysz. Tak więc wychodzimy.

W żołądku czuję dziwne trzepotanie i wiercenie.

— Teraz?

— Teraz.

— No tak. A Ellie?

Opada w tył.

— Nasze plany się rozpadły. — Mówi to z niejasnym machnięciem dłonią i to mnie powstrzymuje przed dalszymi dociekaniem.

Pokazuję na moje spodnie od piżamy.

— Nie jestem ubrana na wyjście.

— Jezu, Anno. Musimy znowu to przerabiać?

Robię powątpiewającą minę i poduszka z jednorożcem ląduje na mojej głowie. Rzucam ją w niego, a on się uśmiecha, ześlizguje z łóżka i znów wali we mnie poduszką. Próbuję mu ją wyrwać, ale mi się nie udaje i dostaję jeszcze dwa razy, aż w końcu przechwytyję poduszkę. St. Clair pokłada się ze śmiechu, a ja go okładam po plecach. Chce mi wyszarpnąć poduszkę, ale nie puszczam, więc się siłujemy. W końcu on puszcza róg, a ja, oszołomiona i spocona, padam na łóżko.

St. Clair, ciężko dysząc, ląduje na nim obok mnie. Leży tak blisko, że jego włosy łaskoczą mnie w policzek. Nasze ręce prawie się stykają. Prawie. Próbuję nabrać powietrza, ale nagle nie wiem, jak się oddycha. A potem przypominam sobie, że jestem bez biustonosza.

I już zupełnie mnie zatyka.

— W porządku. Plan jest... — dyszy — ...taki.

Nie chcę się tak przy nim czuć. Chcę, żeby było normalnie. Chcę być jego przyjaciółką, a nie kolejną głupią dziewczyną, fantazjującą o czymś, co się nigdy nie wydarzy. Podciągam się i siadam. Od walki na poduszki naelektryzowały mi się włosy i teraz stoją dęba, więc biorę gumkę i związuję je w kucyk.

— Włóż jakieś odpowiednie spodnie — mówi. — A ja ci pokażę Paryż.

— To wszystko? To jest ten plan?

— No.

— Ho, ho.

St. Clair chichocze i znowu rzuca we mnie poduszką. Odzywa się mój telefon. To pewnie mama; dzwoni każdego wieczoru. Podnoszę telefon z biurka, żeby wyłączyć dzwonek, i wtedy na wyświetlaczu pojawia się imię. Zamiera mi serce.

Toph.

Rozdział 8

Mam nadzieję, że jesteś w berecie. — Tak właśnie wita się ze mną Toph.

Śmieję się. Jestem szczęśliwa. Zadzwoił! Toph zadzwoił!

— Niestety nie. — Rozmawiam, krążąc po moim małym pokoju. — Ale jeśli chcesz, przywiozę ci jakiś. Każę wyhaftować na nim twoje imię. Będziesz go nosił zamiast plakietki z nazwiskiem.

— W berecie byłoby mi do twarzy. — Słyszę rozbawienie w jego głosie.

— Nikt nie wygląda dobrze w berecie, nawet ty.

St. Clair nadal leży na łóżku. Podparł głowę i mi się przygląda. Uśmiecham się, wskazując na tapetę na ekranie laptopa.

— Toph — mówię cicho.

Kręci głową.

— Baczki — odpowiada bezgłośnie.

— No więc wczoraj była tu twoja siostra. — Toph zawsze nazywa Bridge moją siostrą. Jesteśmy tego samego wzrostu, tak samo szczupłe i obie mamy długie, proste włosy, chociaż jej są jasne, a moje kasztanowe. I jak to się dzieje z ludźmi, którzy spędzają razem mnóstwo czasu, podobnie mówimy. Chociaż Bridge używa trudniejszych słów. I ma bardziej umięśnione ramiona od grania na perkusji. A ja mam przerwę między zębami, a ona aparat ortodontyczny. Czyli Bridge jest jak ja, tylko ładniejsza, mądrzejsza i bardziej utalentowana.

— Nie wiedziałem, że gra na perkusji — mówi Toph. — Jest dobra?

— Najlepsza.

— Mówisz tak, bo to twoja przyjaciółka, czy faktycznie jest niezła?

— Najlepsza — powtarzam. Kątem oka widzę, że St. Clair zerka na budzik na komodzie.

— Mój perkusista zwinął żagle. Myślisz, że byłaby zainteresowana?

Poprzedniego lata Toph założył punkową kapelę, Penny Dreadfuls. Skład się często zmieniał i dochodziło do sprzeczek w kwestii tekstów, ale zespół nigdzie dotąd nie występował. A szkoda. Założę się, że Toph dobrze wygląda z gitarą.

— Tak się składa, że może być — odpowiadam. — Jej szurnięty nauczyciel gry odrzucił jej kandydaturę na lidera sekcji i pewnie chętnie upłynniłaby gdzieś wściekłość. — Podaję mu numer Bridge. Toph powtarza, a St. Clair stuka w niewidzialny zegarek na nadgarstku. Jest dopiero dwudziesta pierwsza, więc nie rozumiem, skąd ten pośpiech. Nawet ja wiem, że to wczesna godzina jak na Paryż. St. Clair głośno odchrząkuje.

— Hej, wybacz, ale muszę lecieć.

— Ktoś z tobą jest?

— No, taa... Znajomy. Zabiera mnie na miasto.

Chwila ciszy.

— Znajomy?

— Kolega. — Odwracam się plecami do St. Claira. — Ma dziewczynę. — Zaciskam oczy.

Nie wiem, czy powinnam to mówić.

— Więc, eee, nie zapomnisz tam o nas? To znaczy... — Toph przerywa. — O nas w Atlancie? Nie rzucisz nas dla jakiegoś Francuzika i nigdy nie wrócisz?

Serce wali mi jak młotem.

— Jasne, że nie. Przyjadę na Gwiazdkę.

— Jak tak, to w porządku. Okej, Annabel Lee. I tak muszę już wracać do pracy. Hercules pewnie się wścieka, że nie pilnuję wejścia. *Ciao*.

— Raczej *au revoir* — żartuję.

— Bez znaczenia. — Śmieje się i rozłącza.

St. Clair podnosi się z łóżka.

— Zazdrosny chłopak?

— Mówiłam już, że nie jest moim chłopakiem.

— Ale go lubisz.

Czerwienię się.

— Cóż... tak...

Trudno określić wyraz twarzy St. Claira. Wygląda na lekko poirytowanego. Kiwa głową, pokazując na drzwi.

— Nadal masz ochotę na wyjście?

— Słucham? — Jestem zdezorientowana. — Tak, jasne. Tylko się przebiorę. —

Wypuszczam go, a po pięciu minutach idziemy ulicą na północ. Włożyłam ulubioną koszulkę, kupioną na wyprzedży, która ładnie mnie opina w odpowiednich miejscach. Do tego dzinsy i czarne płócienne trampki. Wiem, że trampki nie są bardzo francuskie — powinnam mieć spiczaste pantofle lub przerażająco wysokie szpilki — ale przynajmniej nie są białe. To prawda, co mówią o białym obuwiu sportowym. Tylko Amerykanie je noszą, duże, brzydkie buciory, stworzone do wkładania przy koszeniu trawników albo malowaniu domów.

Wieczór jest piękny i ciepły. Paryż mieni się żółtymi, zielonymi i pomarańczowymi światłami. Wszędzie słychać rozmawiających ludzi i stukanie kieliszków w restauracjach. St. Clairowi wrócił humor i referuje mi co makabryczniejsze kawałki z biografii Rasputina, którą skończył czytać tego popołudnia.

— No więc ten drugi Rosjanin aplikuje mu w obiedzie dawkę cyjanku. Była tak duża, że

powaliłaby pięciu chłopca, rozumiesz? Ale nic się nie dzieje, więc realizują plan B — strzelają mu w tył głowy z rewolweru. A on nadal żyje, a nawet ma jeszcze siłę, żeby udusić jednego z nich. Strzelili więc do niego jeszcze trzy razy, a on i tak próbuje się podnieść! Więc go stłukli na krwawą miazgę, owinęli w prześcieradło i wrzucili do skutej lodem rzeki. I wyobraź sobie...

Oczy mu błyszczą. Mają ten sam wyraz co oczy mamy, kiedy opowiada o żółwiach, albo oczy Bridget, gdy nawija o swojej perkusji.

— Podczas autopsji odkryto, że faktycznym powodem zgonu była hipotermia. Od zimnej wody w rzece! Nie zatrucie czy rany postrzałowe ani nawet pobicie. Matka natura. I jeszcze coś. Okazało się, że zamarzł z rękami wyciągniętymi w górę. Jakby chciał rozdrapać lód i przebić się na powierzchnię.

— Co? No nie...

Jacyś Niemcy pozują do zdjęcia przed sklepem z szyldem o odłazących od podłoża złotych literach. Omijamy ich szerokim łukiem, żeby nie zepsuć im ujęcia.

— Potem robi się jeszcze lepiej — wraca do opowieści St. Clair. — Kiedy kremowali jego ciało, usiadł. Daję słowo! Pewnie dlatego, że gość, który przygotowywał zwłoki, zapomniał podciąć ścięgna, a te się skurczyły, kiedy ciało zaczęło się palić...

Kiwam głową z uznaniem.

— Rany, niesamowite. Mów dalej.

— ...więc nogi i plecy się podciągnęły. — St. Clair uśmiecha się triumfalnie. — Wszyscy poszaleli ze strachu na ten widok.

— A mówi się, że historia to same nudy. — Ja też się uśmiecham. Mam wrażenie, że jest doskonale. No, prawie, bo właśnie mijamy wejście do ASP i jestem teraz dalej od szkoły niż kiedykolwiek wcześniej. Uśmiech znika mi z twarzy i wracam do swojego normalnego stanu: jestem niespokojna i dziwaczna.

— Wiesz, dzięki, że to mówisz. Inni zawsze każą mi się zamknąć, zanim... — St. Clair zauważa zmianę w moim zachowaniu, więc się zatrzymuje. — Wszystko w porządku?

— Tak, w porządku.

— Aha. A mówił ci już ktoś, że nie umiesz kłamać?

— Chodzi tylko o... — Milknę, bo jestem zakłopotana.

— O?

— Paryż to takie... obce miejsce. — Szukam odpowiedniejszego słowa. — Onieśmielające.

— Coś ty — zaprzecza natychmiast.

— Łatwo ci mówić. — Wymijamy eleganckiego dżentelmena, który się schyla, żeby zebrać odchody po psie, bassecie ze zwisającym brzuchem. Dziadek ostrzegł mnie, że chodniki Paryża pokryte są psimi minami, ale na razie to się nie potwierdza. — Znasz Paryż od zawsze — ciągnę.

— Mówisz płynnie po francusku, ubierasz się jak Europejczyk...

— Co?

— No wiesz. Modne ciuchy, buty.

Podnosi lewą stopę obutą w coś zdartego i zdefasonowanego.

— O tym mówisz?

— No nie, ale nie jesteś w trampkach. Ja totalnie się wyróżniam. I nie znam francuskiego. I boję się metra. I prawdopodobnie powinnam być w szpilkach, ale nienawidzę szpilek...

— Dobrze, że nie masz szpilek — przerywa mi. — Byłabyś wyższa ode mnie.

— Jestem od ciebie wyższa.

— Ale niewiele.

— Błagam. Przerastam cię prawie o siedem centymetrów. A jesteś w butach.

Szturcha mnie łokciem, a ja zmuszam się do uśmiechu.

— Luzik — mówi. — Jesteś ze mną. A ja jestem prawie Francuzem.

— Jesteś Anglikiem.

Uśmiecha się szeroko.

— Amerykaninem.

— Amerykaninem z angielskim akcentem. Podwójny powód, żeby Francuzi cię nienawidzili.

Przewraca oczami.

— Powtarzasz stereotypy. Lepiej wyrobić sobie własne zdanie.

— Wcale nie powtarzam stereotypów.

— Nie? A to co? — Pokazuje na stopy idącej przed nami dziewczyny, która jak najęta trajkocze po francusku przez komórkę. — Co ona ma na nogach?

— Trampki — mamroczę.

— Ciekawe. A ci faceci po drugiej stronie ulicy? Wyjaśnij mi, proszę, co ma na sobie ten gość po lewej? Jak nazwiesz to coś na jego stopach?

Oczywiście były to trampki.

— Ale, hej. Widzisz tam tego faceta? — Kiwam głową w stronę mężczyzny w dzinsach i T-shircie z logo piwa Budweiser. — Ja też tak wyglądam?

St. Clair zezuje na mnie.

— Jak? Chodzi ci o to, że masz łysinę i wystający bęben?

— Nie, czy wyglądam jak turystka ze Stanów.

Wzdycha melodramatycznie.

— Anno, daj już spokój.

— Po prostu nie chcę nikogo obrazić. Słyszałam, że Francuzów łatwo urazić.

— Nie obrażasz nikogo poza mną w tej chwili.

— A ona? — Pokazuję na kobietę w średnim wieku, w krótkich spodenkach i robionej na drutach bluzeczce w paski i gwiazdy. Przy pasku ma przytroczony aparat fotograficzny i sprzecza się o coś z mężczyzną w płóciennym kapelusiku. Prawdopodobnie mężem.

— Szczyt obrazy.

— Powiedz, wyglądam jak ona?

— Biorąc pod uwagę, że ma na sobie amerykańską flagę, to muszę powiedzieć „nie”. — Zaczyna gryźć kciuk. — Posłuchaj, chyba wiem, jak ci pomóc, ale to trochę potrwa. A na razie, obiecaj, że nie będziesz mi więcej kazała porównywać się z pięćdziesięcioletnimi kobietami.

— Co chcesz zrobić? Jak? Załatwisz mi francuski paszport?

Parska śmiechem.

— Nie powiedziałem, że zrobię z ciebie Francuzkę. — Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale mi przerywa. — Umowa stoi?

— Stoi — odpowiadam, chociaż niechętnie. Nie przepadam za niespodziankami. — Tylko żeby ten twój pomysł był dobry.

— Och, jest świetny. — I St. Clair robi tak zrozumiałą minę, że mam ochotę pociągnąć go za język, tylko że nagle uświadamiam sobie, że nie widzę już budynku szkoły.

Nie mogę w to uwierzyć. Zagadał mnie.

Trochę to trwa, nim do mnie dociera, co czuję, ale drzenie w nogach i wiercenie w żołądku to nieomyślne sygnały. Wreszcie jestem podekscytowana naszym wypadem!

— No to dokąd idziemy? — Nie umiem ukryć podniecenia w głosie. — Nad Sekwanę? Wiem, że to gdzieś w tamtym kierunku. Usiądziemy na nadbrzeżu?

— Nic ci nie powiem. Idziemy.

Przemilczam to. Co się ze mną dzieje? Już drugi raz w ciągu jednej minuty pozwalam, żeby trzymał mnie w napięciu.

— Och! To musisz zobaczyć najpierw! — Chwyta mnie za rękę i ciągnie przez ulicę. Poirytowany skuterzysta trąbi na nas skrzekliwym klaksonem. Śmieję się.

— Zaczekaj, co... — I nagle odbiera mi dech.

Stoimy przed wejściem do wielkiej katedry. Cztery grube kolumny podtrzymują gotycką fasadę z imponującymi posągami, rozetami i wymyślnymi rzeźbieniami. Wąska dzwonnica wznosi się ku atramentowej czerni wieczornego nieba.

— Co to jest? — pytam szeptem. — Coś sławnego? Powinnam to znać?

— To mój kościół.

— Chodzisz tu na msze? — Jestem zdziwiona. St. Clair nie pasuje mi na pobożnisia.

— Nie. — Kiwa głową w stronę kamiennej inskrypcji na znak, żeby przeczytała, co tam

jest napisane.

— Saint Etienne du Mont. Hej! Saint Etienne.

Uśmiecha się.

— Zawsze miałem słabość do tego miejsca. W dzieciństwie przychodziłem tu z mamą. Zabieraliśmy lunch i jedliśmy na tych schodach. Czasami mama brała szkicownik i rysowała gołębie i taksówki.

— Twoja mama jest artystką?

— Malarką. Jej prace wiszą w nowojorskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej. — Słysząc, że jest dumny, a ja sobie przypominam słowa Meredith, że St. Clair podziwia Josha za to, że tak dobrze rysuje. I że ojciec St. Claira jest właścicielem dwóch galerii. I że St. Clair ma w tym semestrze zajęcia z malarstwa. Pytam na głos, czy też jest malarzem.

Wzrusza ramionami.

— Nie bardzo. Chciałbym. Mama nie przekazała mi talentu, tylko upodobanie. Josh jest sto razy lepszy. Podobnie jak Rashmi, skoro już o tym mowa.

— Dobrze się dogadujecie, prawda? Mówię o twojej mamie.

— Kocham ją. — Wyznaje to bez cienia młodzieńczego wstydu.

Stoimy przed podwójnymi drzwiami katedry i patrzymy w górę. Wyobrażam sobie moją mamę, jak wstukuje do domowego komputera dane o żółwiach jaszczurowatych. To jej codzienne wieczorne zajęcia. Tyle że w Atlancie jest teraz dzień, nie wieczór. Może jest na zakupach albo brodzi w rzece Chattahoochee. Albo ogląda z Seanem *Imperium kontratakuję*. Nie wiem, co może robić, i to mi psuje nastrój.

Na szczęście St. Clair przerywa ciszę.

— Chodźmy dalej. Mamy kupę rzeczy do zobaczenia.

Im dalej idziemy, tym robi się tłoczniej. St. Clair opowiada o matce, że robi naleśniki z czekoladą na obiad i makaronową zapiekankę z tuńczykiem na śniadanie. Że każdy pokój w mieszkaniu pomalowała na inny kolor. I że zbiera pomyłki w nazwisku w przychodzącej do niej śmieciowej poczcie. Na temat ojca ani słowa.

Mijamy następną olbrzymią budowlę, wyglądającą jak ruiny średniowiecznego zamku.

— Jezu, tu wszędzie aż kipi przeszłością — zachwyca się. — Co to za miejsce? Możemy wejść do środka?

— To muzeum i tak, możemy, ale nie teraz. Teraz jest pewnie zamknięte.

— Och, no jasne. — Staram się nie pokazywać, jak bardzo jestem zawiedziona.

St. Clair wygląda na rozbawionego.

— To dopiero pierwszy tydzień. Jeszcze zdążymy odwiedzić to muzeum.

My zdążymy? Z jakiegoś powodu wierci mnie w żołądku. St. Clair i ja. Ja i St. Clair.

Po chwili docieramy do miejsca, gdzie panuje jeszcze bardziej turystyczna atmosfera niż w naszym sąsiedztwie. Pełno tu restauracji, sklepów i hoteli. Sprzedawcy uliczni wykrzykują z każdej strony po angielsku: „Kuskus! Lubicie kuskus?”, a ulice są tak wąskie, że auta nie mogą po nich jeździć. Idziemy środkiem jednej z nich w tłumie przechodniów. Jak na jakimś karnawale.

— Gdzie jesteśmy? — Głupio mi, że ciągle o coś pytam.

— Między *rue* St. Michel a *rue* St. Jacques.

Spoglądam na niego z wyrzutem.

— *Rue* znaczy ulica. Poza tym nadal jesteśmy w Dzielnicy Łacińskiej.

— Nadal? Ale przecież szliśmy...

— Dziesięć, piętnaście minut? — nabija się ze mnie.

Hm. Oczywiście paryżanie, londyńczycy lub jakkolwiek inaczej można nazwać St. Claira, nie są przyzwyczajeni do używania własnych aut. Brakuje mi mojego, mimo że ma problem z zapalaniem. I nie ma w nim klimatyzacji. A głośniki działają tylko z jednej strony. Mówię o tym i St. Clair się śmieje.

— Na nic by ci się nie przydało, nawet gdybyś je miała. Tutaj osobom poniżej osiemnastki nie wolno prowadzić.

— Ty mógłbyś nas wozić — zauważam.

— Nie, nie mógłbym.

— Mówiłeś, że miałaś urodziny! Wiedziałam, że kłamiesz. Nikt...

— Nie o to chodzi. — St. Clair głośno się śmieje. — Nie umiem prowadzić.

— Poważnie? — Nie mogę powstrzymać złośliwego uśmiešku. — Chcesz powiedzieć, że jest coś, co ja potrafię, a ty nie?

Odpowiada mi tak samo złośliwym uśmieżkiem.

— Szokujące, co? Ale nie miałem po co się uczyć. Miejska komunikacja w Paryżu, San Francisco i Londynie całkowicie mi wystarczała.

— Całkowicie. Kapuję.

— Zamknij się. — Znowu się śmieje. — Hej, a wiesz, dlaczego tę dzielnicę nazywają Łacińską?

Unoszę brwi.

— Przed wiekami studenci *La Sorbonne*, właśnie ją mijaliśmy... — Gestem dłoni pokazuje kierunek. — To jeden z najstarszych uniwersytetów na świecie. Tak czy inaczej studenci Sorbony pobierali nauki i rozmawiali ze sobą w języku łacińskim. I tym sposobem nazwa przyłgnęła do okolicy.

— I to wszystko? Cała historia? — pytam z zawodem.

— Tak. Jezu, masz rację. Żal.

Wymijam kolejnego agresywnego sprzedawcę kuskusu.

— Żal?

— No wiesz, powiedziałem coś żalnego. Do dupy. Gównianego.

Żal. Fajne powiedzonko.

Skręcamy za róg i... jest — Sekwana. W pomarszczonej wodzie odbijają się światła miasta. Wstrzymuję oddech. Jest cudownie. Wzdłuż brzegu przechadzają się pary, na kartonach sprzedawcy rozłożyli używane książki i stare ilustrowane pisma. Mężczyzna z rudą brodą gra na gitarze i śpiewa rzewną piosenkę. Słuchamy go przez chwilę, potem St. Clair rzuca kilka euro do futerału.

A jeszcze później, gdy przenosimy uwagę z powrotem na rzekę, widzę cud.

Notre Dame.

Oczywiście rozpoznaję sylwetkę ze zdjęć i już wiem, że choć St-Etienne to też katedra, to za nic nie da się jej porównać z Notre Dame. Ta budowla jest jak wielki statek na rzece. Masywny. Olbrzymi. Majestatyczny. Jej podświetlenie absurdalnie przywodzi mi na myśl Disney World, tyle że Waltowi coś tak magicznego nawet się nie śniło. Bajkowy wygląd dopełniają gęste pędy winorośli, spływające po murach do samej rzeki.

Powoli wypuszczam powietrze.

— Jest piękna.

St. Clair mi się przygląda.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Aż brak mi słów.

Musimy przejść przez most, żeby dostać się do katedry. Nie wiedziałam, że stoi na wyspie. St. Clair wyjaśnia, że idziemy na Île de la Cité — Wyspę Miasta. I że to najstarsza część Paryża. Sekwana migocze pod nami, głęboka i szmaragdowa, a pod mostem przepływa długa rozświetlona łódź. Wychylam się za poręcz.

— Patrz na tego gościa! Jest tak pijany, że zaraz wypadnie z... — Oglądam się i widzę, że St. Clair drepcze niepewnie kilka kroków od barierki.

Przez chwilę nic nie rozumiem. Potem mnie oświeca.

— Co ty? Masz lęk wysokości?

St. Clair patrzy przed siebie, na podświetloną sylwetkę Notre Dame.

— Po co mam się przeciskać przy barierce, skoro jest tyle miejsca na chodniku?

— A więc o to chodzi?

— Zmień temat, dobrze? Albo zacznę cię przepytować z życiorysu Rasputina. Lub z odmiany francuskich czasowników.

Znów się wychylam za poręcz i udaję, że się chwieję. St. Clair robi się biały jak kreda.

— Nie! Przestań! — Wyciąga ręce, jakby chciał mnie ratować, zaraz jednak łapie się za

brzuch, jakby teraz dla odmiany miał wymiotować.

— Przepraszam! — Odskakuję od barierki. — Wybacz. Nie sądziłam, że to aż tak poważne.

Macha ręką, żebym przestała gadać. Drugą nadal przyciska do żołądka.

— Przepraszam — powtarzam.

— Chodźmy. — Jest wkurzony, jakbym to ja nas wstrzymywała. Pokazuje na Notre Dame.

— Nie po to cię tu przyprowadziłem.

Nie umiem sobie wyobrazić czegoś lepszego od Notre Dame.

— Nie wejdziemy do środka?

— Jest zamknięta. Jeszcze zdążymy ją obejrzeć. Mamy mnóstwo czasu, pamiętasz? —

Prowadzi mnie na dziedziniec, a ja mam okazję obejrzeć go sobie od tyłu. Fertyczny. Okazuje się, że istnieje coś lepszego od Notre Dame.

— To tutaj — mówi.

Mamy doskonały widok na wejście — setki figur wyrzeźbionych na trzech kolosalnych portalach. Rzeźby wyglądają jak lalki, każda ma swoją indywidualność.

— Niesamowite — szepczę.

— Nie tam. Tutaj. — Pokazuje na ziemię pod moimi stopami.

Spoglądam w dół i ze zdumieniem stwierdzam, że stoję na środku małego kamiennego okręgu. W centrum, dokładnie pod moimi nogami, jest miedzianobrazowa gwiazda, a wokół wyryty w kamieniu napis: „Point Zéro des Routes de France”.

— *Mademoiselle* Oliphant. Tu jest napisane: drogowy punkt zero. Innymi słowy jest to miejsce, od którego mierzone są wszystkie odległości geograficzne we Francji. — St. Clair odchrząkuje. — To początek wszystkiego.

Spoglądam na niego. Uśmiecha się.

— Witaj w Paryżu, Anno. Cieszę się, że tu jesteś.

Rozdział 9

St. Clair wkłada ręce do kieszeni spodni i kopie kamień.

— No i? — pyta w końcu.

— Dzięki. — Jestem oniemiała. — Naprawdę miło, że mnie tu przyprowadziłeś.

— Och, cóż. — Prostuje się i wzrusza ramionami w ten francuski sposób, który tak dobrze mu wychodzi. Potem przybiera swoją normalną pozę, pewnego siebie luzaka. — Musieliśmy od czegoś zacząć. A teraz wypowiedz życzenie.

— Hm? — Taka właśnie jestem wygadana. Powinnam zostać poetką albo wymyślać teksty do reklam karmy dla kotów.

Uśmiecha się.

— Stań na gwieździe i wypowiedz życzenie.

— Och. Tak, jasne. — Złączam stopy, tak żebym stała na samym środku. — Życzę sobie...

— Ale nie na głos. — St. Clair rzuca się do mnie, jakby chciał zatrzymać moje słowa swoim ciałem, a mnie żołądek skacze do gardła. — Co ty, nie znasz się na życzeniach? Nie wiesz, że wypowiada się je w określonych sytuacjach? Spadające gwiazdy, odpadająca rzęsa, dmuchawce...

— Przy zdmuchiwaniu świeczek na urodzinowym torcie.

Ignoruje mój docinek.

— Właśnie. Więc trzeba korzystać, gdy jest okazja, a tutejszy przesąd mówi, że jeśli wypowiesz życzenie na tej gwieździe, ono się spełni. — Milknie na chwilę. — I brzmi to lepiej niż drugi przesąd związany z tym miejscem.

— Że zginę bolesną śmiercią od zatrucia, postrzału, pobicia i utonięcia?

— Nie utonięcia, tylko hipotermii. — St. Clair chichocze. Jego śmiech jest cudownie chłopięcy. — Ale nie. Słyszałem, że każdy, kto tu stanie, powróci jeszcze do Paryża. Tylko, jeśli cię dobrze zrozumiałem, w twoim przypadku pobyt tutaj to katorga.

Zamykam oczy i widzę mamę i Seana. Bridge. Tophę. Kiwam głową.

— W takim razie nie otwieraj oczu i wypowiedz życzenie.

Biorę głęboki oddech. Płuca wypełnia mi chłodna wilgoć pobliskich drzew. Czego ja chcę? Trudne pytanie.

Chcę wrócić do domu, ale muszę przyznać, że ten wieczór mi się podoba. A co, jeśli już nigdy w życiu nie przyjadę do Paryża? Wiem, że powiedziałam St. Clairowi, że nie chcę tu być, jednak jakaś część mnie — bardzo mała — jest ciekawa. Gdyby jutro ojciec zadzwonił i kazał mi wracać, chyba byłabym zawiedziona. Nie widziałam jeszcze Mony Lisy. Nie byłam na szczycie

wieży Eiffla. Nie przechodziłam pod Łukiem Triumfalnym.

Więc czego pragnę?

Pocałunku Toph'a. Chcę, żeby na mnie czekał. Ale znowu jakaś część mnie — część, której naprawdę nienawidzę — wie, że nawet gdyby nam wyszło, i tak w przyszłym roku wyjeżdżam na studia. Więc widziałabym się z Toph'em na Gwiazdkę i latem przyszłego roku, a potem... czy to miałyby być wszystko?

I jest jeszcze jedna osoba.

Osoba, którą próbuję ignorować. Osoba, której nie powinnam pragnąć, której nie mogę mieć.

Która stoi teraz przede mną.

Więc czego mam sobie życzyć? Czegoś, czego nie wiem, czy na pewno chcę? Kogoś, kto może wcale nie jest mi potrzebny? Czy kogoś, kogo nie mogę mieć?

Chrzanić to. Niech los zadecyduje.

Życzę sobie tego, co jest dla mnie najlepsze.

Niezła generalizacja, co? Otwieram oczy i czuję, że wiatr się wzmógł. St. Clair strzepuje z oczu grzywkę.

— To musiało być dobre życzenie — mówi.

W drodze powrotnej prowadzi mnie na nocną przekąskę do ulicznego straganu z kanapkami. Od zapachu pieczywa cieknie mi ślinka, a żołądek burczy z radości, że coś zjem. Zamawiamy panini, płaskie grillowane bułki. St. Clair wybiera na nadzienie wędzonego łososia z ricottą i szczypiorkiem. Ja zamawiam szynkę z serem fontina i szalwią. Nazywa to fast foodem, ale to, co dostajemy, zupełnie nie przypomina anemicznych kanapek z Subwaya.

St. Clair pomaga mi z euro. Na szczęście w tej walucie łatwo się rozeznac. Płacimy i ruszamy dalej, ciesząc się pięknem wieczoru. Wgryzamy się w chrupką skórkę. I pozwalamy, żeby ciepły, ciągnący się ser spływał nam po brodach.

Wydaję jęk rozkoszy.

— Beknęłaś? — pyta St. Clair, wycierając ricottę z ust.

— Gdzie się podziewałaś całe moje życie? — zwracam się do mojej bułki. — Jak to możliwe, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie jadłam?

St. Clair odgryza duży kęs.

— Mniam, mniam, mlask, mlask — pomrukuje i się uśmiecha. Jak się domyślam, znaczy to coś w stylu: „Bo amerykańskie żarcie jest do kitu”.

— Mniam, mniam, mlask, mlask — odpowiadam, co znaczy coś w stylu: „Może, ale hamburgery mamy całkiem niezłe”.

Przed wyrzuceniem wylizujemy papier, w który zawinięte były kanapki. Jesteśmy prawie

przy akademiku. St. Clair opowiada, jak on i Josh zostali zawieszani w prawach ucznia za strzelanie gumą do żucia w malowidła na suficie — chcieli dorobić sutek jednej z nimf — ale mój umysł nagle zaczyna coś przetwarzać. Coś dziwnego.

Minęliśmy właśnie trzecie z rzędu kino umiejscowione przy tej samej przecznicy.

Prawda, że kina są małe, mają prawdopodobnie tylko jedną salę. Ale są aż trzy! Na jednej ulicy! Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć?

No tak, racja. Mój przystojny towarzysz.

— Czy w którymś z nich puszczają filmy po angielsku? — przerywam St. Clairowi.

Jest zdezorientowany.

— Słucham?

— Mówię o kinach. Czy w którymś w okolicy puszczają filmy w wersji angielskiej?

Unosi jedną brew.

— Nie mów, że nie wiesz.

— Co? Czego nie wiem?

Ciesz się, że wie coś, o czym ja nie wiem. A to irytujące, zważywszy, że oboje mamy świadomość, iż wie wszystko o życiu w Paryżu, podczas gdy moja wiedza równa się wiedzy croissanta z czekoladowym nadzieniem.

— A myślałem, że jesteś kimś w rodzaju kinomaniaka.

— No to o co chodzi? Mów.

Z przesadą wodzi ręką dokoła. Sytuacja wyraźnie sprawia mu radochę.

— Paryż to... filmowa stolica świata.

Staję jak wryta.

— Żartujesz.

— Nie żartuję. Nie znajdziesz drugiego miejsca bardziej rozkochanego w kinie. W Paryżu są setki, jeśli nie tysiące, sal kinowych.

Czuję się tak, jakby serce miało mi wyskoczyć z piersi. Mam zawroty głowy. To nie może być prawda.

— Tylko w naszej okolicy jest ich około tuzina.

— Co?

— Naprawdę nie zwróciłaś uwagi?

— Nie, nie zwróciłam! Ale dlaczego nikt mi nic nie powiedział? — To znaczy, o czymś takim powinno być trąbione już pierwszego dnia na Seminarium Przetrwania. Przecież to diabelnie istotne! Idziemy dalej, a ja rozglądam się dokoła i czytam napisy na plakatach i markizach. I modłę się, żeby projekcje były po angielsku.

— Sądziłem, że wiesz. Inaczej bym powiedział. — Widać, że wreszcie ogarnęły go

wyrzuty sumienia. — Kino jest tu bardzo cenione. Dla Francuzów to ważna dziedzina sztuki. Mają mnóstwo kin, w których puszczane są filmy premierowe. I nawet takie ze starszymi produkcjami. Można w nich obejrzeć klasyki, a programy są układane pod kątem reżyserów, gatunku albo mało znanych brazylijskich aktorek. I tak dalej.

Oddychaj, Anno, oddychaj.

— I filmy są w angielskiej wersji?

— Myślę, że przynajmniej jedna trzecia.

Jedna trzecia! Z kilkuset — może nawet tysięcy!

— Niektóre amerykańskie są dubbingowane, ale zazwyczaj tylko te dla dzieci. Reszta leci po angielsku z francuskimi napisami. O, proszę, zaczekaj. — St. Clair wyciąga ze stojaka z gazetami pismo zatytułowane „Pariscope” i płaci za nie zadowolonemu sprzedawcy o haczykowatym nosie. Potem rzuca mi magazyn. — Wychodzi co srode. „Vo” znaczy *version originale*. „Vf”, *version française*, co znaczy, że film jest dubbingowany. Więc wybieraj te z „vo”. Programy filmowe znajdziesz też w Internecie — dodaje.

Wertuję pismo, a oczy mi błyszczą. Nigdy w życiu nie widziałam tylu programów kinowych.

— Chryste, gdybym wiedział, że tylko tego ci trzeba, żeby cię uszczęśliwić, nie zawracałbym sobie głowy resztą.

— Kocham Paryż — deklaruję.

— A on z pewnością kocha ciebie.

Mówi coś jeszcze, ale go nie słucham. W tym tygodniu ma być maraton z Busterem Keatonem. I maraton slasherów, horrorów typu *Psychoza* Hitchcocka. I cały program poświęcony filmom z wyścigami samochodowymi z lat siedemdziesiątych.

— Co? — Uświadamiam sobie, że St. Clair czeka na odpowiedź na pytanie, którego nie słyszałam. Ponieważ nic nie mówi, odrywam oczy od programu. Jest wgapiony w kogoś, kto właśnie wyszedł z akademika.

Dziewczyna prawie dorównuje mi wzrostem. Ma długie włosy, ułożone niedbale w modnym paryskim stylu. Jest ubrana w krótką srebrną sukienkę, migoczącą w świetle lamp. I w czerwony płaszczyk. Obcasy jej skórzanych botków stukają głośno o płyty chodnika. Marszcząc brwi, patrzy przez ramię na Résidence Lambert. A potem odwraca głowę i spostrzega St. Claira. Cała się rozpromienia.

Pismo więdnie w moich dłoniach. To może być tylko jedna osoba.

Dziewczyna zrywa się do biegu i rzuca się w ramiona St. Claira. Całują się, a ona zanurza palce w jego włosach. Jego pięknych, perfekcyjnych włosach. Czuję ucisk w żołądku i odwracam wzrok.

Rozdzielają się i ona zaczyna mówić. Ma zadziwiająco niski głos — zmysłowy — ale mówi bardzo szybko.

— Wiem, że mieliśmy się dzisiaj nie widzieć, ale byłam w pobliżu i pomyślałam, że może dasz się wyciągnąć do tego klubu, o którym ci wspominałam. No wiesz, tego, który polecał Matthieu. Ale cię nie zastałam, więc zapukałam do Mer i przegadałam z nią całą godzinę. Gdzieś ty się podziewał? Trzy razy do ciebie dzwoniłam, ale od razu przekierowywało mnie na skrzynkę głosową.

St. Clair wygląda na zdezorientowanego.

— Eee... Ellie, to Anna. Cały tydzień nie wychodziła z akademika, więc pomyślałem, że pokażę jej...

Z zaskoczeniem stwierdzam, że na twarz Ellie wpływa uśmiech od ucha do ucha. O dziwo, właśnie w tym momencie uświadamiam sobie, że mimo ochryplego głosu i paryskiego wyglądu, dziewczyna jest całkiem... zwyczajna. Ale miła.

Choć to nie znaczy, że ją lubię.

— Anna? Ta z Atlanty? Gdzie byliście? Mówcie.

Ona wie, kim jestem? St. Clair opisuje nasz wieczór, a ja rozmyślam o dziwnym rozwoju wypadków. Czy on mówił jej o mnie? A może to Meredith? Mam nadzieję, że jednak St. Clair, chociaż jeśli nawet, to nie powiedział niczego, co Ellie odebrałaby jako zagrożenie. Nie sprawia wrażenia zaniepokojonej faktem, że trzy minione godziny spędziłam w towarzystwie jej bardzo atrakcyjnego chłopaka. I że byliśmy sami.

Musi być fajnie mieć do kogoś aż takie zaufanie.

— Już dobrze, kotku — przerywa mu w pół zdania. — Resztę opowiesz później. A teraz idziemy? Jesteś gotowy?

Czy mówił, że z nią pójdzie? Nie pamiętam, ale St. Clair kiwa głową.

— Tak, tak, tylko polecę po, eee... — Spogląda na mnie, a potem w stronę wejścia do akademika.

— Po co? Przecież jesteś ubrany na wyjście. Wyglądasz super. Chodźmy. — Ciągnie go za ramię. — Miło było cię poznać, Anno.

Odzyskuję głos.

— Taa... Ciebie też. — Odwracam się do St. Claira, ale on nie patrzy mi w oczy. W porządku. Nieistotne. Posyłam mu mój najlepszy uśmiech typu „nie rusza mnie, że masz dziewczynę” i wesoło się żegnam.

Żadnej odpowiedzi. Dobra, czas się zmywać. Odchodzę, szukając w torbie klucza do wejścia. Jednak gdy otwieram drzwi, nie mogę się powstrzymać i oglądam się za siebie. St. Clair z Ellie oddalają się w ciemność. Są objęci, a Ellie o czymś opowiada.

Kiedy tam tak stoję, St. Clair odwraca głowę w moją stronę. Ale tylko na chwilę.

Rozdział 10

Tak jest lepiej. Naprawdę.

Po kilku dniach uzmysławiam sobie, że to dobrze, że poznałam jego dziewczynę. Wręcz odczuwam ulgę. Niewiele jest rzeczy gorszych od tego, że podoba nam się ktoś, kto nie powinien się nam podobać. Poza tym nie byłam zadowolona z kierunku, w jakim zmierzały moje myśli. A jedno jest pewne: nie chcę stać się kolejną Amandą Spitterton-Watts.

St. Clair traktuje mnie jak przyjaciółkę. Cała szkoła go lubi — *professeurs*, popularni uczniowie, niepopularni uczniowie — i dlaczego by nie? Jest inteligentny, zabawny i uprzejmy. I, tak, niedorzecznie atrakcyjny. Chociaż, mimo że jest taki lubiany, nie zadaje się z wieloma osobami. Tylko z nieliczną grupą. A ponieważ jego najlepszy przyjaciel spędza dużo czasu z Rashmi, St. Clair najczęściej widuje się z, no cóż... ze mną.

Od czasu naszej wyprawy siada obok mnie przy każdym posiłku. Dokucza mi z powodu trampek, wypytuje o ulubione filmy i pomaga odrabiać francuski. I staje w mojej obronie. Na przykład w zeszłym tygodniu na fizyce, kiedy Amanda wyzwała mnie od *la Moufette* i zatykała nos, gdy przechodziłam koło jej ławki, St. Clair kazał jej się odpieprzyć i do końca lekcji rzucał w jej głowę kulkami z papieru.

Później sprawdziłam, co znaczy *la moufette*, i okazało się, że to skunks. Bardzo oryginalne.

Ale potem, akurat gdy znowu zaczyna się to wiercenie w brzuchu, on znika. Siedzę po obiedzie przy oknie, przyglądając się, jak śmieciarze w jaskrawozielonych kombinezonach oczyszczają ulicę, i widzę, że St. Clair wychodzi z akademika i znika w wejściu do *métro*.

Jedzie do Ellie.

Gdy wraca późnym wieczorem, ja zazwyczaj uczę się w lobby z resztą naszej paczki. Siada koło mnie i żartuje z podpitego trzecioklasisty, który próbuje poderwać dziewczynę z recepcji. (Zawsze jest jakiś podpity trzecioklasista uderzający do dziewczyn z recepcji). I czy to tylko moja wyobraźnia, czy jego włosy są bardziej rozczochrane niż zazwyczaj?

Na myśl o nim i Ellie, jak to robią, wzbiera we mnie okropna zazdrość, większa, niż chciałabym przyznać. Toph i ja piszemy do siebie mejle, ale ich charakter nie wychodzi poza przyjacielskie ramy. Nie wiem, czy to znaczy, że nadal jest mną zainteresowany, czy że nie jest. Za to wiem, że wymiana mejli to nie to samo co całowanie. Lub jeszcze coś innego.

Jedyną osobą, która rozumie sytuację z St. Clairem, jest Mer, ale nie mogę jej nic powiedzieć. Czasami boję się, że jest o mnie zazdrosna. Bo na przykład widzę, że nam się przygląda przy obiedzie, a kiedy ją proszę, żeby podała serwetkę, prawie nią we mnie rzuca. Albo kiedy St. Clair rysuje na marginesie mojego zeszytu banany i słonie, Mer spina się i cichnie.

Ale może w gruncie rzeczy oddaję jej przysługę. Jestem od niej silniejsza, bo nie znam St. Claira tak długo jak ona. A przecież on zawsze był dla niej owocem zakazanym. Biedna Mer. No ale to jasne, że każda dziewczyna, skazana na codzienne kontakty z cudownie przystojnym koleśkiem mówiącym z brytyjskim akcentem, musi siłą rzeczy paskudnie i boleśnie się w takim gościu zabujać.

Nie żeby to samo przytrafiło się mnie.

Jak już mówiłam, to ulga wiedzieć, że do niczego nie dojdzie. Wszystko jest wtedy prostsze. Większość dziewczyn zbyt intensywnie śmieje się z żartów St. Claira i szuka okazji, żeby się do niego zbliżyć. Dotknąć go. Ja natomiast się z nim droczę, wywracam oczami na jego dowcipy i odgrywam obojętną. A gdy nasze ramiona niechcący się zetkną, odpycham go, bo tak się zachowują kumple.

Zresztą mam ważniejsze rzeczy na głowie: filmy.

Jestem w Paryżu od miesiąca i chociaż pojechałam na szczyt wieży Eiffla (była ze mną Mer, a St. Clair i Rashmi czekali na dole — St. Clair, bo ma lęk wysokości, a Rashmi, bo nie chce robić nic, co robią turyści) i byłam na platformie widokowej na Łuku Triumfalnym (znowu towarzyszyła mi Mer, St. Clair stał na dole i straszył Josha i Rashmi, że wepchnie ich w szalony korek na rondzie), to nadal nie dotarłam do kina.

Szczerze mówiąc, choć to lekki obciach, jeszcze ani razu nie opuściłam kampusu sama.

Ale mam plan. Najpierw namówię kogoś, żeby poszedł ze mną do kina, co nie powinno być trudne, bo przecież każdy lubi filmy. A potem zanotuję wszystko, co ta osoba będzie mówiła i robiła, i wtedy już bez lęku sama wybiorę się do tego samego kina. A jedno kino jest lepsze niż nic.

— Rashmi. Co robisz wieczorem?

Czekamy na rozpoczęcie *la vie*. W zeszłym tygodniu dowiedzieliśmy się, że należy jeść lokalną żywność, a jeszcze wcześniej, jak napisać podanie o przyjęcie na studia. Kto wie, o czym będzie mowa dzisiaj? Nie ma z nami Meredith i Josha. Josha dlatego, że jest trzecioklasistą, a Mer, bo ma dodatkowe lekcje języka obcego, zaawansowany hiszpański. Zapisała się na nie dla przyjemności. Szaleństwo.

Rashmi stuka długopisem w zeszyt. Już od dwóch tygodni próbuje napisać podanie na uczelnię Browna. To jeden z niewielu uniwersytetów, na których wykładają egiptologię. I jedyny, na który Rashmi chce uczęszczać.

— Nic nie kapujesz — wyjaśnia, gdy pytam, czemu jeszcze nie skończyła podania. — Brown odrzuca osiemdziesiąt procent aplikacji.

Ale wątpię, żeby miała problemy z dostaniem się. W tym roku zalicza same piątki ze wszystkich przedmiotów. Ja moje podanie już złożyłam. Trochę potrwa, zanim otrzymam odpowiedź, ale się nie zamartwiam. Moja uczelnia nie należy do najlepszych.

Tak czy inaczej staram się przyjaźnić z Rashmi, choć to skomplikowane. Zeszłego wieczoru, kiedy głaskałam jej królicę, Isis, aż dwa razy mi przypominała, żebym nikomu nic nie mówiła (trzymanie zwierząt w akademiku jest zabronione). Jakbym była jakąś papłą. Zresztą obecność Isis to żadna tajemnica. Odór jej odchodów czuć nawet na korytarzu.

— Raczej nic — odpowiada Rashmi na moje pytanie.

Biorę głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy. To śmieszne, jak trudno jest o coś poprosić, gdy człowiekowi na tym bardzo zależy.

— Masz ochotę na kino? W Le Champo grają *It Happened One Night*. — To, że nie opuszczałam akademika, nie znaczy, że nie ślęczałam nad wspaniałym *Pariscope*.

— Grają co? I nie będę ci wytykała, jak strasznie zarznęłaś nazwę tego kina.

— *It Happened One Night*. Clark Gable i Claudette Colbert. Dostał pięć nagród Akademii Filmowej.

— W którym wieku?

— Ha, ha. Zobaczysz, spodoba ci się. Słyszałam, że jest świetny.

Rashmi pociera skronie.

— No, nie wiem. Nie bardzo przepadam za starymi filmami. Aktorzy tak dziwnie grają. Chodzą w śmiesznych kapeluszach i mówią takie rzeczy, jak „hej tam, brachu”.

— Och, przesadzasz. — St. Clair spogląda na nas znad grubej książki o rewolucji w Ameryce. Siedzi z mojej drugiej strony. Jak się zastanowić, trochę to głupie, że wie więcej o historii Stanów ode mnie. — Przecież w tym cały urok. W tych kapeluszach i śmiesznym sposobie mówienia.

— To czemu sam z nią nie pójdziesz? — pyta Rashmi.

— Bo umówił się z Ellie — odpowiadam.

— A skąd wiesz? — dziwi się St. Clair.

— Błagam — zwracam się do Rashmi. — Bardzo, bardzo. Spodoba ci się ten film, przysięgam. Mer i Joshowi też.

Rashmi już zamierza odmówić, ale wchodzi nauczyciel. W każdym tygodniu jest ktoś nowy — czasami z administracji, czasami *professeur*. Tym razem ze zdziwieniem stwierdzam, że to Nate. Pewnie *la vie* muszą prowadzić wszyscy pracownicy. Nate drapie się po łysej głowie i uśmiecha życzliwie do klasy.

— Skąd wiesz, co dzisiaj robię? — znów pyta natarczywie St. Clair.

— Błaaaagam — naciskam na Rashmi.

Uśmiecha się kwaśno.

— No dobra. Ale następny film wybieram ja.

Huraa!

Nate odchrząkuje, a Rashmi i St. Clair podnoszą na niego wzrok. I to właśnie lubię u moich nowych znajomych. Że szanują nauczycieli. Bo ja, kiedy uczniowie pyskują nauczycielom albo ich ignorują, dostaję szału. To dlatego, że moja mama jest nauczycielką i bardzo bym nie chciała, żeby ktoś był dla niej nieuprzejmy.

— No już, ludzie, cisza. Amando, wystarczy. — Na swój spokojny, lecz stanowczy sposób Nate zamyka usta Amandzie. A ona zarzuca włosy i wzdycha, zerkając przy okazji na St. Claira.

On ją jednak ignoruje. Ha.

— Mam dla was niespodziankę — zapowiada Nate. — Ponieważ zbliża się zmiana pory roku i zostało nam niewiele ciepłych dni, załatwiłem wam cały tydzień zajęć na zewnątrz.

Będziemy zaliczać zajęcia na dworze. Kocham Paryż!

— Zorganizujemy podchody. — Nate podnosi stosik kartek. — Na liście jest dwieście pozycji. Znajdziecie je w okolicy, ale będziecie musieli prosić o pomoc mieszkańców.

O cholera, nie.

— Podzielicie się na dwie drużyny i będziecie robili zdjęcia przedmiotów z listy.

Uff! Ktoś inny będzie gadał z miejscowymi.

— Zwycięży ta drużyna, która odnajdzie najwięcej przedmiotów, ale żeby zaliczyć zajęcia, wszyscy musicie mieć zdjęcia albo w aparatach, albo w komórkach.

Nieeee!

— Na zwycięzców czeka nagroda. — Nate znowu się uśmiecha. Wszyscy w klasie uważnie na niego patrzą. — Drużyna, która do czwartku znajdzie najwięcej przedmiotów... będzie zwolniona z piątkowych zajęć.

No to może warto się wysilić. Klasa eksploduje gwizdami i oklaskami. Nate wyznacza kapitanów spośród tych, którzy najgłośniej o to błagają. Wybrani zostają Steve Carver — chłopak z fryzurą na surfera — i najlepsza psiapsiółka Amandy, Nicole. Ja i Rashmi w przypiływie poczucia bliskości w biedzie wydajemy głośne jęknięcia. Steve wyrzuca w górę pięść. Co za matoł.

Rozpoczyna się wybieranie członków drużyn i jako pierwsza wywołana jest Amanda. Naturalnie. Potem najlepszy przyjaciel Steve'a. A jakże.

Rashmi trąca mnie łokciem.

— Założymy się o pięć euro, że mnie wybiorą na końcu?

— Założymy się, bo to ja będę ostatnia.

Amanda odwraca się w moją stronę i szepcze:

— Możesz bezpiecznie się zakładać, Dziewczyno Skunksie. Kto by cię chciał w swojej drużynie?

Rozdziawiam szeroko usta, jak skończona idiotka.

— St. Clair! — Okrzyk Steve'a wyrywa mnie z osłupienia. Wiadomo było, że St. Claira

wyborą na początku. Cała klasa patrzy na niego, ale on gapi się na Amandę.

— Ja — mówi. — Ja chcę mieć w drużynie Annę, a ty możesz o tym tylko pomarzyć — zwraca się do Amandy.

Amanda czerwieni się i szybko odwraca, lecz wcześniej posyła mi nienawistne spojrzenie. Czy ja tej dziewczynie coś zrobiłam?

Padają kolejne imiona. Kolejne, tylko nie moje. St. Clair chce, żebym spojrzała w jego stronę, ale udaję, że tego nie widzę. Nie mogę teraz na niego patrzeć. Czuję się za bardzo upokorzona. Wkrótce ze wszystkich osób zostajemy tylko ja, Rashmi i chudy koleś, którego nie wiadomo czemu nazywają Cheeseburger. Chłopak zawsze ma na twarzy wyraz zdumienia, jakby ktoś go właśnie wołał, a on nie wie, skąd dochodzi głos.

— Rashmi — mówi Nicole bez cienia zawahania.

Robi mi się słabo. Teraz to już pojedynek tylko między mną i kimś o ksywce Cheeseburger. Wbijam oczy w pulpit ławki, w moją podobiznę, którą Josh narysował na lekcji historii. Jestem ubrana jak średniowieczna chłopka (uczyliśmy się o czarnej zarazie), twarz wykrzywia mi grymas wściekłości, a z ręki zwisa zdechły szczur.

Amanda szepcze coś do ucha Steve'a. Czuję, że się ze mnie naśmiewa i moje policzki pokrywają się ceglastą czerwienią.

Steve odchrząkuje.

— Cheeseburger.

Rozdział 11

Jesteś mi winna pięć euro — przypominam.

Rashmi się uśmiecha.

— Postawię ci bilet do kina.

Ale przynajmniej jesteśmy w jednej drużynie. Nicole podzieliła listę Nate'a i dzięki temu Rashmi i ja możemy działać same. Nie powinno być źle. Przy pomocy Rashmi zaliczę te zajęcia. Pozwoliła mi zrobić niektóre zdjęcia — posągu jakiegoś faceta o nazwisku Budé i grupki dzieciaków grającej w piłkę nożną na ulicy — mimo że to ona znalazła obie pozycje.

— Brak mi futbolu — skarży się Mer, gdy opowiadamy jej naszą historię. Nawet jej sprężyste loczki wydają się dzisiaj oklapłe i smutne.

Na szerokiej alei szaleje wiatr, a my, mocno zaciskając poły kurtek, trzęsiemy się z zimna. Wszędzie leżą zbrązowiałe, zeschnięte liście, które rozpadają się z chrzęstem pod naszymi stopami. W Paryżu rozpoczyna się jesień.

— Nie ma tu jakiejś ligi, do której mogłabyś się zapisać? — pyta Josh i obejmuje Rashmi ramieniem, a ona się w niego wtula. — Przecież tu wszędzie widzi się ludzi grających w piłkę.

— Buuu! — Między mną i Mer pojawia się znajoma rozczochrana czupryna. Obie odskakujemy w bok jak wystraszone koty.

— Jezu! — krzyczy Mer. — Przez ciebie dostanę zawału. Co tu robisz?

— *It Happened One Night* — przypomina St. Clair. — W Le Champo, tak?

— Nie umówiłeś się z Ellie? — dziwi się Rashmi.

— Co? Nie chcecie, żebym z wami poszedł? — St. Clair na siłę wpycha się między mnie i Mer.

— Jasne, że chcemy — zapewnia Mer. — Po prostu myśleliśmy, że jesteś zajęty.

— Zawsze jesteś zajęty — dodaje Rashmi.

— Wcale nie zawsze.

— A właśnie że tak. I wiesz co? To dziwne, ale tylko Mer w tym roku widziała Ellie. O co chodzi? Czy ona uważa, że jest dla nas za dobra?

— O rany, znowu to samo? Błagam, daj już spokój.

Rashmi wzrusza ramionami.

— Tak tylko mówię.

St. Clair kręci głową, nam jednak nie umyka fakt, że nie zaprzecza. Ellie może i jest miłą osobą, ale to jasne, że już nie potrzebuje przyjaciół z ASP. Nawet ja to widzę.

— A tak w ogóle, to co wy robicie razem każdego wieczoru? — Pytanie samo mi się

wymyka, nim zdążę ugryźć się w język.

— Jak to co? To — rzuca Rashmi. — Zdradza nas dla bzykanka.

St. Clair czerwienieje.

— Wiesz, Rashmi, jesteś tak samo wulgarna jak ci trzecioklasiści na moim piętrze. Ten Dave jak mu tam i Mike Reynard. Boże, ależ to osły.

— Uważaj, St. Clair — ostrzega Josh. W jego zazwyczaj łagodnym głosie czai się ostrzejsza nuta.

— Nazywasz mnie oślicą? — Rashmi napada na St. Claira.

— Nie, ale jeśli się nie odczepisz, to tak zrobię.

Są spięci i gotowi do skoku, jak walczące jelenie w filmach przyrodniczych. Josh próbuje odciągnąć Rashmi, ale ona go odpycha.

— Jezu, St. Clair, nie możesz się z nami kumpłować przez cały dzień, a wieczorem mieć nas w dupie! I wracać, kiedy ci się spodoba, jakby nic się nie stało.

— Hej, hej, hej... — próbuje zakończyć kłótnię Mer.

— Przecież nic się nie stało! Odbiło ci, czy co?

— Hej! — Mer wykorzystuje swój wzrost i masę i rozdziela przeciwników własnym ciałem. Z zaskoczeniem słyszę, że pociesza Rashmi. — Wiem, że brak ci Ellie. Była twoją najlepszą kumpelą i to okropne, że się wyprowadziła, ale nadal masz nas. I wiesz, St. Clair... ona ma rację. — Mówi tak, jakby zaraz miała się rozplakać. — Kiedyś byliśmy bardziej zżyci.

Josh otacza ją ramieniem, a Mer mocno się do niego przytula. Josh spogląda na przyjaciela ponad burzą loczków. To twoja wina. Zrób coś.

St. Clair zwiesza ramiona.

— Taa... W porządku. Macie rację.

Nie są to do końca przeprosiny, ale Rashmi kiwa głową, a Mer wzdycha z ulgą. Josh odsuwa ją od siebie delikatnie i staje przy swojej dziewczynie. Idziemy dalej, pogrążeni w kłopotliwym milczeniu. A więc Rashmi i Ellie się przyjaźniły. Ja rozstałam się z Bridge tylko tymczasowo, a i tak mi ciężko, więc gdyby zerwała znajomość, chyba bym umarła. Mam wyrzuty sumienia i już się nie dziwię, że Rashmi bywa taka zgorzkniała.

— Wybacz, Anno — odzywa się St. Clair po kilku krokach. — Cieszyłaś się na ten film.

— Nic się nie stało. Zresztą to nie moja sprawa. No i moi przyjaciele też się kłócą. To znaczy, przyjaciele w... Stanach. Ale oczywiście was też uważam za przyjaciół. No... chciałam tylko powiedzieć, że... wszyscy przyjaciele się kłócą.

Brr. Tragedia.

Przygnębienie spowija nas jak gęsta mgła. Znow zalega cisza, a ja wpadam w kołowrót myśli. Chciałabym, żeby Bridge tu była. Chciałabym, żeby St. Clair nie chodził z Ellie i żeby Ellie

nie raniła Rashmi. I żeby Rashmi była bardziej podobna do Bridge. Och, szkoda, że jej tu nie ma.

— Hej, patrz — mówi do mnie Josh.

I nagle ciemność znika, ustępując miejsca jasnemu neonowi. Rozświetlający noc napis w stylu art déco jest znakiem, że dotarliśmy do kina Le Champo. Jestem podekscytowana. Kino. Czyż to nie najpiękniejsze słowo na całym świecie? Serce wali mi jak głupie, gdy mijamy kolorowe afisze i przechodzimy przez błyszczące szklane drzwi. Lobby jest mniejsze niż w amerykańskich kinach i choć nie czuć tu popcornu, w powietrzu unosi się znajomy, kojący zapaszek — czegoś lekko zbutwiałego.

Tak jak obiecała, Rashmi płaci za mój bilet. Korzystam z okazji i ukradkowo wyciągam z kieszeni kurtki kartkę i długopis. Mer jest następna w kolejce do kasy. Zapisuję fonetycznie wszystko, co mówi.

Oon ploss si vu ple.

St. Clair zerka nad moim ramieniem i szepcze:

— Zła pisownia.

Zmieszana, spoglądam szybko w górę, ale St. Clair się uśmiecha. Opuszczam głowę, tak żeby włosy zasłoniły policzki. Są czerwone bardziej z powodu jego uśmiechu niż czegokolwiek innego.

Idziemy za niebieskimi światełkami do naszego rzędu. Ciekawe, czy wszędzie we Francji te światełka są niebieskie, czy może w niektórych kinach złociste jak w Stanach. Moje serce bije szybciej. Cała reszta jest taka sama.

Podobne fotele. Ekran. Ściany.

Po raz pierwszy czuję się w Paryżu jak w domu.

Uśmiecham się do moich towarzyszy, ale Mer, Rashmi i Josh tego nie zauważają. Klóćą się o coś, co zaszło przy obiedzie. Tylko St. Clair odpowiada mi uśmiechem.

— Jest jak trzeba?

Kiwam głową. Wygląda na zadowolonego i schylony idzie za mną do naszych miejsc. Zawsze siadam cztery rzędy w górę od środka sali i dzisiaj też tak jest. Zauważam, że fotele mają klasyczne bordo obicie. A potem rozpoczyna się film i na ekranie pojawia się tytuł.

— O rany, musimy to oglądać? — narzeka Rashmi. Chodzi jej o listę z nazwiskami aktorów i realizatorów, w starych filmach puszczaną na początku.

Ja jestem szczęśliwa, że to oglądam. Uwielbiam czytać listę aktorów. Uwielbiam wszystko, co ma związek z filmem.

W kinie jest ciemno, nie licząc czarno-białych i szarych błysków na ekranie. Clark Gable, udając, że śpi, kładzie dłoń na środku pustego fotela w autobusie. Podchodzi Claudette Colbert i mimo że jest poirytowana, ostrożnie odsuwa rękę i siada. Gable uśmiecha się do siebie, a St. Clair

głośno się śmieje.

To dziwne, ale jestem rozkojarzona. Biela jego błyskających w ciemności zębów. Pasmem włosów, które odstaje od głowy niemal pod kątem prostym. Przyjemnym zapachem proszku do prania, bijącym od jego ubrań. Szturcha mnie, pokazując, żebym położyła rękę na oparciu. Kręcę głową, więc on opiera rękę. Nasze ramiona znajdują się teraz blisko siebie. Zerkam na jego dłoń. Jest duża i ma wystające kostki. W porównaniu z nią moja wydaje się bardzo drobna.

I nagle nachodzi mnie pragnienie, żeby go dotknąć.

Nie szturchnąć, odepchnąć ani nawet po przyjacielsku uściskać. Chcę poczuć zmarszczki na jego skórze, połączyć piegi na twarzy niewidzialnym sznureczkiem, przesunąć palcami po wewnętrznej stronie nadgarstka. Porusza się, a ja mam dziwne wrażenie, że jest świadomy mojej bliskości, tak jak ja jego. Nie mogę się skupić. Postaci na ekranie rozmawiają, ale nie umiałabym powiedzieć o czym, nawet gdyby ktoś groził mi śmiercią. Od jak dawna nie śledzę akcji?

St. Clair kaszle i znów zaczyna się wiercić. Jego noga ociera się o moją. I pozostaje w tej pozycji. Jestem sparaliżowana. Powinnam odsunąć nogę. Czuję się skrępowana. Jak to możliwe, że on tego nie zauważa? Kątem oka widzę jego profil: zarys policzka, nosa i — och, Jezu — linię ust.

No i proszę. Zerknął na mnie. Wiem, że to zrobił.

Wbijam oczy w ekran, udając, że film naprawdę mnie wciągnął. St. Clair sztywnieje, ale nie odsuwa nogi. Czy wstrzymał oddech? Chyba tak. Ja też to robię. A potem wypuszczam powietrze i cała się kurczę — bo to wyszło tak głośno i nienaturalnie.

Znów to samo. Znów zerka. Ale tym razem szybko spoglądam w jego stronę, akurat gdy odwraca głowę. To jest jak taniec. Coś unosi się w powietrzu. Przekonanie, że któreś z nas powinno coś powiedzieć. Skup się, Anno. Skup się.

— Podoba ci się? — pytam szeptem.

Chwila ciszy.

— Film?

Cieszę się, że w mroku nie widać moich rumieńców.

— Bardzo — odpowiada.

Ryzykuję i zerkam na niego. On też na mnie patrzy. Jakoś tak intensywnie. Nigdy wcześniej tak nie patrzył. Pierwsza odwracam głowę i czuję, że po sekundzie on też powraca spojrzeniem na ekran.

Wiem, że się uśmiecha. A moje serce szaleje.

Rozdział 12

Do: Anna Oliphant <bananaelephant@femmefilmfreak.net>

Od: James Ashley <james@jamesashley.com>

Temat: Delikatne przypomnienie

Witaj, kochanie. Minęło sporo czasu od naszej ostatniej rozmowy. Sprawdziałaś wiadomości w skrzynce głosowej? Dzwoniłem kilka razy, ale zakładam, że jesteś zajęta zwiedzaniem Paryża. No cóż, chciałbym ci delikatnie przypomnieć, żebyś odezwała się do swojego kochanego staruszka i opowiedziała, jak ci idzie w szkole. Mówisz już po francusku? Próbowełaś *foie gras*? Odwiedziłaś jakieś ciekawe muzea? A przy okazji ciekawostek. Na pewno słyszałaś dobre wieści. *Incident* zadebiutował na pierwszym miejscu w rankingu „NY Timesa”! Wygląda, że nadal posiadam ten magiczny dar. W przyszłym tygodniu jadę w tournée na południowy wschód, więc wkrótce zobaczę się z twoim bratem i uściskam go od ciebie. Miej celownik nastawiony na naukę i DO ZOBACZENIA w święta.

Josh przechyła swe patykowate ciało nad moim ramieniem, żeby zajrzeć w ekran mojego laptopa.

— Czy mi się tylko wydaje, czy to „do zobaczenia” brzmi dość groźnie?

— Nie, nie wydaje ci się.

— Myślałem, że twój ojciec jest pisarzem. Więc skąd te bzdury typu „delikatne przypomnienie” i „celownik nastawiony na naukę”?

— Mój ojciec to mistrz frazesów. Widać, że nie czytałaś żadnej z jego powieści. — Milknę na chwilę. — Nie mogę uwierzyć, że napisał, że uściska Seana ode mnie.

Josh kręci głową zdegustowany. Moi przyjaciele i ja spędzamy weekend w lobby, ponieważ znowu pada. Zazwyczaj się o tym nie mówi, ale okazuje się, że Paryż jest tak samo dżdżysty jak Londyn. Przynajmniej zdaniem St. Claira, jedynej osoby z naszej paczki, której z nami teraz nie ma. Poszedł na jakąś wystawę fotograficzną do szkoły Ellie. Choć właściwie powinien już być z powrotem.

Spóźnia się. Jak zawsze.

Mer i Rashmi siedzą zwinięte na jednej z kanap i czytają naszą ostatnią pracę domową z angielskiego, *Balzac and the Little Chinese Seamstress*. Wracam do mejla od taty.

Delikatne przypomnienie... że twoje życie jest do dupy.

Wspomnienia z początku tygodnia — siedzę obok St. Claira w ciemnej sali kinowej, jego

noga dotyka mojej, wymieniamy się spojrzeniami — znów zalewają mój umysł i wywołują rumieniec wstydu. Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że nic się nie wydarzyło.

Bo nic się nie wydarzyło!

Kiedy wyszliśmy z kina, Rashmi oświadczyła: „Za szybko się skończył. Nie pokazali najlepszego” i nim skończyłam obronę filmu, już byliśmy w akademiku. Chciałam pogadać z St. Clairem, przekonać się, czy pokaże po sobie, że coś się między nami zmieniło, ale przeszkodziła mi Mer. Podeszła do St. Claira, żeby go uścisnąć na dobranoc. A ponieważ ja nie mogłam zrobić tego samego ze względu na moje dziko walące serce, stałam tylko z boku.

A potem tak jakoś głupio sobie pomachaliśmy i poszłam spać, dezorientowana jak zwykle.

Co się wydarzyło? Choć to było podniecające, musiała mnie chyba ponieść wyobraźnia, bo następnego dnia przy śniadaniu St. Clair nie zachowywał się inaczej. Rozmawialiśmy po przyjacielsku, jak zawsze. Poza tym on ma Ellie. Nie potrzebuje mnie. Prawdopodobnie po prostu dokonałam na niego projekcji mojego sfrustrowania dotyczącego Topha.

Josh uważnie mi się przygląda. Postanawiam zapytać go o coś, nim on to zdąży uczynić.

— Jak tam lekcje?

Moja drużyna z *la vie* wygrała konkurs (ale nie dzięki mnie), tak więc nie musiałyśmy z Rashmi iść w piątek na zajęcia. Josh urwał się z ostatniej lekcji, żeby spędzić tę godzinę z nami. Dostał za to zakaz wychodzenia poza kampus i kilka stron dodatkowej pracy domowej.

— Ech. — Opada na krzesło obok i wyciąga szkicownik. — Mam lepsze zajęcia.

— Ale... nie będziesz miał gorszych kłopotów, jeśli tego nie odrobisz? — Ja zawsze wszystko odrabiam. Nie rozumiem, jak można ot, tak olać zadane lekcje.

— Prawdopodobnie. — Josh, krzywiąc się, prostuje palce dłoni.

— Co ci jest? — pytam zaniepokojona.

— Zesztywniała mi ręka. Od rysowania. Ale to nic takiego. Zawsze tak mam.

Dziwne. Dotąd nie sądziłam, że uprawiając sztukę, można dorobić się urazów.

— Masz wielki talent. To właśnie chcesz w życiu robić? To znaczy z tego się utrzymywać?

— Pracuję nad powieścią graficzną.

— Naprawdę? Fajnie. — Odsuwam laptopa. — O czym będzie?

Kącik jego ust unosi się w przebiegłym uśmiešku.

— O koleśiu, który musi chodzić do szkoły z internatem, bo jego starzy nie chcą go w domu.

Prycham.

— Już to wcześniej słyszałam. Czym się zajmują twoi rodzice?

— Ojciec jest politykiem. Prowadzi kampanię reelekcyjną. Nie rozmawiałem z „senatorem

Wassersteinem” od rozpoczęcia szkoły.

— Senatorem? Takim prawdziwym?

— Takim prawdziwym. Niestety.

I co ten mój ojciec sobie wyobrażał, wysyłając mnie do szkoły z dziećmi amerykańskich senatorów?

— Czy tu wszyscy mają okropnych ojców? — pytam. — To warunek przyjęcia?

Josh kiwa głową w stronę Rashmi i Mer.

— Ich starzy nie są okropni. Ale St. Claira to prawdziwy okaz.

— No właśnie, słyszałam. — Ciekawość bierze we mnie górę, więc ściszam głos i pytam:

— Co z nim nie tak?

Josh wzrusza ramionami.

— To zwykły palant. Krótka trzyma St. Clair i jego matkę, ale dla wszystkich innych jest bardzo miły. I z jakiegoś powodu to jest jeszcze gorsze.

Moją uwagę rozprasza nagle dziwaczna robiona na drutach fioletowo-czerwona czapka, która wkracza do lobby. Josh się odwraca, żeby sprawdzić, na co się tak gapię. Meredith i Rashmi zauważają to i podnoszą oczy znad książek.

— O Boże — jęczy Rashmi. — Włożył czapkę.

— Ja tam ją lubię — oświadcza Mer.

— Też mi zaskoczenie — dogryza jej Josh.

Meredith posyła mu mordercze spojrzenie. Odwracam się, chcąc lepiej przyjrzeć się czapce, i z zaskoczeniem stwierdzam, że stoi tuż za mną. I tkwi na głowie St. Claira.

— A więc czapka wróciła — zauważa Rashmi.

— Tak. Wiem, że za nią tęskniliście.

— Czy za czapką kryje się jakaś historia? — pytam.

— Tylko ta, że w zeszłą zimę zrobiła mu ją mama, a my wszyscy uznaliśmy, że jest najbrzydlivszą rzeczą w całym Paryżu — wyjaśnia Rashmi.

— Ach, tak? — St. Clair zdiera czapkę i wpycha ją na głowę dziewczyny. Jej dwa czarne warkoczyki sterczą komicznie spod spodu. — Ale tobie w niej do twarzy. Nawet bardzo.

Rashmi krzywi się i ściąga czapkę, a potem wygładza włosy. St. Clair wtyka czapkę z powrotem na poczochną czuprynę, a ja sobie uświadamiam, że zgadzam się ze zdaniem Mer. W czapce wygląda jak misio, ciepłuchno i miękko.

— Jak tam wystawa? — pyta Mer.

St. Clair wzrusza ramionami.

— Nic szczególnego. A wy co porabialiście?

— Anna czytała nam delikatne przypomnienie od ojca — mówi Josh.

St. Clair robi pytającą minę.

— Sorry, ale wolę do tego nie wracać — oświadczam i zamykam laptopa.

— Skoro skończyłaś, to coś dla ciebie mam — zawiadamia mnie.

— Co? Dla kogo? Dla mnie?

— Pamiętasz, jak obiecałem, że pomogę ci się pozbyć części amerykańskości?

Uśmiecham się.

— Przyniosłeś mi francuski paszport? — Nie zapomniałam jego obietnicy, ale myślałam, że on o niej zapomniał, mówiliśmy na ten temat wiele tygodni temu. Jestem zaskoczona i ucieszona, że jednak pamiętał.

— Coś lepszego. Przyszło wczoraj pocztą. Chodź, mam to w pokoju. — I po tych słowach wkłada rękę do kieszeni kurtki i dumnym krokiem rusza ku klatce schodowej.

Wsuwam komputer do torby, zarzucam ją na ramię i pokazuję reszcie wyrazem twarzy, że nie wiem, o co chodzi. Mer wygląda na zranioną i przez chwilę mam wyrzuty sumienia. Ale przecież ja go jej nie podkradam. Też jestem jego przyjaciółką. Idę za czerwoną czapeczką pięć pięter w górę i gdy docieramy na piętro St. Claira, robię się zdenerwowana i podekscytowana. Nigdy wcześniej nie widziałam jego pokoju. Zawsze spotykamy się w lobby albo na moim piętrze.

— Och, wreszcie u siebie — mruczy i wyciąga z kieszeni breloczek z kluczami z napisem „Zostawiłem swoją ♥ w San Francisco”. Pewnie kolejny prezent od mamy. Na drzwiach, przyklejony taśmą, wisi rysunek z St. Clairem w napoleońskim kapeluszu. Dzieło Josha.

— Hej, pięćset osiem. Twój pokój znajduje się dokładnie nad moim. Nic nie mówiłeś.

Uśmiecha się.

— Może nie chciałem wysłuchiwać skarg na nocne tupanie.

— Człowieku, ty faktycznie głośno chodzisz.

— Wiem, przepraszam. — Śmieje się i otwiera przede mną drzwi. W pokoju ma czyściej, niż się spodziewałam. W moim pojęciu sypialnie wszystkich chłopaków są obrzydliwe — tony brudnych gatek i przepoconych koszulek, nieposłane łóżka z niezmienianą od tygodni pościelą, na ścianach plakaty z piwem i kobietami w neonowych bikini, puste puszki po napojach i torebki od chipsów, no i walające się wszędzie części składanych modeli samolotów i rozrzucone gry wideo.

Tak wyglądał pokój Matta. Budził obrzydzenie. Nigdy nie wiedziałam, czy przypadkiem nie usiądę na paczuszce z sosem z Taco Bell.

Ale pokój St. Claira jest czysty. Łóżko zasłane, a na podłodze leży tylko jedna niewielka sterta ubrań. Nie ma tandetnych plakatów, za to jest zabytkowa mapa świata rozpięta nad biurkiem i dwa kolorowe obrazy olejne nad łóżkiem. I książki. Nie widziałam jeszcze tylu książek w jednym pokoju. Stoją w słupkach pod ścianą jak wieżyczki — grube książki od historii i postrzępione wydania kieszonkowe, i... *OED*. Taki jak Bridge.

— Nie mogę uwierzyć, że znam aż dwie osoby na tyle zwariowane, że są właścicielami *OED*.

— Och, taak? A kto jest tą drugą?

— Bridge. Jezu, twój jest nowy? — Grzbiety słownika są świeże i błyszczące. Słowniki Bridge mają kilkanaście lat, a ich grzbiety są popękane i rozklejone.

St. Clair wygląda na zakłopotanego. Nowiutki *Oxford English Dictionary* wart jest z tysiąc baksów i choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy, St. Clair wie, że nie mam tyle kasy co inni uczniowie. Łatwo się zresztą zorientować, zwłaszcza gdy zamawiam najtańsze rzeczy z menu za każdym razem, gdy jemy na mieście. Tatuś wprawdzie zapragnął zafundować mi ekstrawagancką edukację, ale moje codzienne potrzeby ma głęboko w nosie. Już dwa razy prosiłam o zwiększenie kieszonkowego, lecz odmówił. Twierdzi, że powinnam się nauczyć żyć z tego, co mam.

Co jest trudne, skoro daje za mało.

— A co tam u Bridge i z tym zespołem? — pyta St. Clair, zmieniając temat. — Przyjęła miejsce perkusistki?

— Taa. Pierwszą próbę mają w ten weekend.

— To kapela tego chłopaka, Baczka — prawda?

St. Clair zna imię Topha. Próbuje mnie wkurzyć, więc go ignoruję.

— Tak. No to co masz dla mnie?

— Proszę. Jest w środku. — Podaje mi z biurka żółtą grubą kopertę, a mój żołądek zaczyna tańczyć, jakby to były moje urodziny. Rozrywam kopertę. Na podłogę upada mała naszywka. To flaga Kanady.

Podnoszę ją.

— Uhm. Dzięki.

Rzuca czapkę na łóżko i drapie się w głowę. Włosy sterczą mu na wszystkie strony.

— To na twój plecak, żeby ludzie nie myśleli, że jesteś ze Stanów. Europejczycy traktują Kanadyjczyków o wiele wyrozumialej.

Śmieję się.

— W takim razie jestem zachwycona. Dziękuję.

— Nie czujesz się urażona?

— Nie, to świetny prezent.

— Musiałem ją zamówić przez Internet, dlatego to tak długo trwało. Nie wiedziałem, gdzie taką znajdę w Paryżu. Sorry. — Zagląda do szuflady biurka i wyciąga agrafkę. Potem wyjmuję mi z ręki małą flagę z liściem klonu i przypina do kieszeni przy moim plecaku. — I już. Jesteś oficjalnie Kanadyjką. Postaraj się nie nadużywać swojej nowej mocy.

— To się jeszcze okaże. Zaraz wychodzę na miasto.

— I dobrze. — St. Clair poważnieje. — Powinnaś.

Oboje stoimy nieruchomo. Blisko siebie. Patrzymy sobie w oczy, a moje serce wali boleśnie w piersi. Robię krok do tyłu i odwracam wzrok. Lubię Tophę, nie St. Claira. Czemu ciągle muszę to sobie przypominać? St. Clair jest zajęty.

— To ty je namalowałaś? — Desperacko pragnę zmienić temat. — Te obrazy nad łóżkiem? — Oglądam się i widzę, że nadal na mnie patrzy.

Przed odpowiedzią przygryza kciuk. Jego głos brzmi dziwnie.

— Nie, moja mama.

— Naprawdę? Rany, są dobre. Naprawdę, naprawdę... dobre.

— Anno...

— Czy to jakieś miejsce tutaj, w Paryżu?

— Nie, to ulica, na której się wychowałem. W Londynie.

— Och.

— Anno...

— Hm? — Stoję plecami do niego, próbując przyjrzeć się obrazom. Są bardzo dobre. Tylko jakoś nie mogę na nich skupić wzroku. Oczywiście, że to nie Paryż. Powinnam była...

— Ten chłopak. Baczek. Lubisz go?

Plecy mi płoną.

— Już o to pytałeś.

— Miałem na myśli — kontynuuje podenerwowanym tonem — twoje uczucia do niego.

Może się zmieniły, odkąd tu jesteś?

Muszę się chwilę zastanowić nad pytaniem.

— Nie chodzi o to, co ja czuję — mówię w końcu. — Jestem nim zainteresowana, ale... nie wiem, czy on nadal jest zainteresowany mną.

St. Clair podchodzi bliżej.

— Dzwoni do ciebie?

— Taa. To znaczy, nie za często, ale dzwoni.

— Jasne, jasne, cóż — mówi, mocno mrugając powiekami. — No to masz odpowiedź.

Spoglądam w bok.

— Chyba już pójde. Pewnie jesteś umówiony z Ellie.

— Tak, to znaczy nie. To znaczy, nie wiem. Jeśli ty nie...

Otwieram drzwi.

— To do zobaczenia później. Dzięki za kanadyjskie obywatelstwo. — Pukam w naszywkę na plecaku.

St. Clair sprawia wrażenie zranionego.

— Nie ma za co. Cieszę się, że mogłem się przydać.

Pędzę po schodach na moje piętro. Co się właściwie wydarzyło? Gadamy jak kumple, a po chwili myślę tylko o tym, żeby jak najprędzej uciec z jego pokoju. Muszę się stąd wyrwać. Muszę wyjść z akademika. Może nie jestem odważną Amerykanką, ale chyba mogę być odważną Kanadyjką. Zabieram z pokoju „Pariscope” i zbiegam na dół.

Idę oglądać Paryż. Sama.

Un place s'il vous plaît.

Jedno miejsce, proszę. Powtarzam zdanie dwukrotnie, aby się upewnić, że dobrze je wymawiam, i dopiero wtedy podchodzę do kasy i wysypuję euro na blat. Kobieta sprzedająca bilety bez mrugnięcia przedziera mój bilet i oddaje mi połówkę. Przyjmuję ją i mamroczę podziękowania. W kinie bileterka sprawdza oddartą część. Lekko ją naddziera, a ja wiem od przyjaciół, że teraz powinnam dać jej mały napiwek. Taka bezużyteczna tradycja. Dotykam kanadyjskiej flagi na szczęście, ale niepotrzebnie. Wszystko toczy się jak należy.

Udało się! Udało!

Odczuwam tak wielką ulgę, że ledwie zauważam, iż nogi same niosą mnie do ulubionego rzędu. Kino jest prawie puste. Z tyłu siedzą trzy dziewczyny mniej więcej w moim wieku, a przede mną para starszych ludzi, dzielących się pudełkiem cukierków. Niektórzy nie lubią sami chodzić do kina, ale mnie to nie dotyczy. Ponieważ gdy gasną światła, jesteśmy tylko ja i akcja na ekranie.

Zatapiam się w sprężysty fotel i zatracam w zapowiedziach. Są przeplatane reklamami po francusku, więc mam ubaw, bo nim pokażą produkt, próbuję odgadnąć, co to będzie. Dwóch mężczyzn ściga się po Wielkim Murze Chińskim w reklamie ciuchów. Skąpo odziana kobieta ociera się o kwaczącą kaczkę, zachęcając do zakupu mebli. Muzyka techno i tańcząca postać chcą mnie namówić do czego? Wyjścia do klubu? Upicia się?

Nie mam pojęcia.

A potem rozpoczyna się *Mr. Smith Goes to Washington*. James Stewart gra naiwnego, oddanego ideałom człowieka, który dostaje się do senatu, gdzie wszystkim się wydaje, że wykorzystają biedaka. Myślą, że Stewart popełni jakiś błąd i się wycofa. Ale on im pokazuje, że jest silniejszy, niż sądzili, silniejszy od nich. I to mi się podoba.

Na myśl przychodzi mi Josh. Ciekawe, jakim senatorem jest jego ojciec.

Dialogi są tłumaczone żółtymi napisami biegnącymi u dołu ekranu. W kinie panuje pełna szacunku cisza do momentu pierwszej sceny komicznej. Paryżanie i ja śmiejemy się razem. Dwie godziny mijają w okamgnieniu i już wkrótce stoję pod latarnią, mrugając mocno powiekami. Jeszcze lekko oszołomiona, zastanawiam się, co obejrzę jutro.

— Dzisiaj też idziesz do kina? — Dave sprawdza, na której jestem stronie, i przerzuca kartki swojego podręcznika do francuskiego na rozdział o rodzinie. Jak zawsze przy ćwiczeniach z konwersacji, jesteśmy podzieleni w pary.

— Zgadza się. Idę na *Teksańską masakrę piłą mechaniczną*. No wiesz, żeby się wprawić w

święteczny nastrój. — W weekend jest Halloween, ale jeszcze nie widziałam żadnych dekoracji. To pewnie tylko amerykański zwyczaj.

— Na oryginał czy przeróbkę? — Obok naszego biurka przechodzi *professeur* Gillet, więc Dave szybko dodaje: — *Je te présente ma famille. Jean-Pierre est... l'oncle.*

— Hm. Co?

— *Quoi* — poprawia mnie *professeur* Gillet. Mam stracha, że się przy nas zatrzyma, ale na szczęście odchodzi. Uff.

— Na oryginał, oczywiście. — Ale jestem pod wrażeniem, że wiedział o przeróbce.

— Śmieszne. Nie sądziłem, że możesz być fanką horrorów.

— Bo co? — Najeżam się. — Cenię wszystkie dobre filmy, nieważne jakiego gatunku.

— No tak, tylko że na ogół dziewczyny na takich filmach dostają mdłości.

— A co to ma znaczyć? — Podnoszę głos, a stojąca na końcu klasy *madame* Gilotyna odwraca głowę w moją stronę. — *Marc est mon... frère* — mówię, zerkając na pierwsze francuskie słowo w książce. Brat. Marc jest moim bratem. Ups. Wybacz, Sean.

Dave drapie się po piegowatym nosie.

— Wiesz co? Dziewczyny chodzą na horrory z chłopakami, żeby się do nich kleić, kiedy zaczynają się bać.

Głośno stękam.

— Błagam. Widziałam tyle samo przerażonych koleśki wychodzących w połowie filmu, co przerażonych dziewczyn...

— A tak w ogóle, Oliphant, to ile już filmów obejrzałaś w tym tygodniu? Cztery? Pięć?

W rzeczywistości było ich sześć, bo w niedzielę zaliczyłam dwa. Wyrobiłam sobie pewną rutynę: szkoła, lekcje, obiad, kino. Powoli przedzieram się przez miasto, kino za kinem.

Wzruszam ramionami. Nie chcę się przyznawać.

— A kiedy weźmiesz mnie ze sobą, co? Może ja też lubię straszne filmy.

Udaję, że studiuję drzewo rodzinne w podręczniku. Dave nie po raz pierwszy sugeruje coś podobnego. Jest fajny, ale nie bardzo mi leży. Trudno traktować poważnie chłopaka, który hušta się na krześle, żeby zdenerwować nauczycieli.

— A może ja wolę chodzić do kina sama. Może dzięki temu mam czas zastanowić się nad moimi recenzjami. — Co jest zgodne z prawdą, choć nie wspominam, że zazwyczaj wcale nie idę sama. Czasami towarzyszy mi Meredith, czasami Rashmi i Josh. I, tak, czasami St. Clair.

— Jasne. Twoje recenzje. — Wyszarpuje mój kołnотatnik spod podręcznika do francuskiego.

— Hej! Oddawaj!

— Przypomnij, jak się nazywa twoja strona. — Dave przerzuca kartki zeszytu, a ja próbuję

mu go wyrwać. Nie robię notatek w czasie filmu; wolę poczekać, aż będę się mogła zastanowić. Ale lubię zapisywać pierwsze wrażenia zaraz po projekcji.

— Jasne, już ci mówię. Oddawaj.

— O co w tym w ogóle biega? Czemu nie chodzisz do kina dla przyjemności, jak normalni ludzie?

— To jest przyjemne. Poza tym już ci mówiłam, że muszę się wprawiać. A takich klasyków nie zobaczę w Stanach na dużym ekranie. — Nie wspominając, że nie miałabym możliwości obejrzeć ich w takiej wspaniałej ciszy. W Paryżu ludzie nie gadają podczas projekcji. Niech Bóg ma w opiece tych, którzy przyniosą na salę chrupiące przekąski albo włączone komórki.

— Dlaczego musisz się wprawiać? Przecież takie recenzje to nic wielkiego.

— Taa? Chciałabym zobaczyć, jak piszesz recenzję na sześćset słów o jakimś filmie.

„Podobało mi się. Fajne. Były wybuchy”. — Znowu próbuję odebrać notatnik, ale Dave trzyma go nad głową.

I śmieje się.

— Pięć gwiazdek za wybuchy.

— Oddaj mi mój notes!

Nagle pada na nas cień. To *madame* Gilotyna zatrzymała się przy naszej ławce i czeka, aż wrócimy do pracy. Reszta klasy się gapi. Dave zwraca notes, ja zaś kurczę się w sobie.

— Uhm... *très bien, David* — mówię.

— Kiedy skończycie ta fascynująca dyzkuzja, proszę wracać do zadanie. — *Madame* Gilotyna mruży oczy. — *I deux* strony o *vos familles, en français, pour lundi matin*.

Kiwamy głowami jak wystraszone owce i profesorka odchodzi, stukając obcasami.

— *Lundi matin*? A co to, do diabła, znaczy? — syczę do Dave'a.

Madame Gilotyna nie zwalnia kroku.

— Poniedziałek rano, *mademoiselle* Oliphant.

Przy lunchu walę tacą w stolik, rozlewając przy tym zupę z soczewicy i gubiąc śliwkę.

Łapie ją St. Clair.

— A ciebie co ugryzło? — pyta.

— Francuski.

— Kiepsko ci idzie?

— Kiepsko.

Odkłada śliwkę z powrotem na moją tacę i się uśmiecha.

— Nie martw się. Wkrótce będzie lepiej.

— Łatwo ci mówić, panie Dwujęzyczny.

Uśmiech znika z jego ust.

— Sorry. Masz rację. To nie fair z mojej strony. Czasami się zapominam.

Z agresją mieszam zupę.

— *Professeur Gillet* zawsze sprawia, że czuję się jak idiotka. Jestem idiotką.

— Ależ to nieprawda. Zresztą to szaleństwo oczekiwać, że od razu będziesz mówiła płynnie. Nauka wymaga czasu, zwłaszcza nauka języka.

— Ale ja mam już dosyć chodzenia tam — gestykuluje w stronę okna — i bycia bezradną.

St. Clair jest zdumiony moją sugestią.

— Nie jesteś bezradna. Wychodzisz co wieczór, często sama. To bardzo daleko od tego, jak było, gdy przyjechałaś. Nie bądź dla siebie taka surowa.

— Hm.

— Hej. — Podchodzi bliżej. — Pamiętasz, co *professeur Cole* mówiła o braku w Stanach powieści autorstwa zagranicznych pisarzy? Że to ważne, aby ludzie wystawiali się na wpływ innych kultur i nieznanymi sytuacjami. Ty tak właśnie robisz. Wychodzisz na miasto i badasz teren. Powinnaś być z siebie dumna. Chrzęć lekcje francuskiego, co znaczy miej je w nosie.

Uśmiecham się półgębkiem na te jego brytyjskie wtręty.

— Tak, ale *professeur Cole* miała na myśli prozę, a nie prawdziwe życie. To duża różnica.

— Myślisz? A co z filmami? Przecież chodzisz do kina, bo widzisz w filmach odbicie rzeczywistości. Czy może mówił to jakiś inny sławny krytyk?

— Zamknij się. To co innego.

St. Clair śmieje się, bo wie, że zapędził mnie w kozi róg.

— Widzisz? Powinnaś mniej się przejmować francuskim i więcej czasu... — Milknie, gdyż jego uwagę przykuwa coś za moimi plecami. Na twarzy ma wyraz wzmagającej się odrazy.

Odwracam się i widzę Dave'a, który klęczy przede mną na posadzce stołówki. Ma spuszczoną głowę, a w wysuniętej ręce trzyma talerzyk deserowy.

— Pozwól, że ci podaruję tę eklerkę wraz z wyrazami mych najpokorniejszych przeprosin.

Zalewam się rumieńcem.

— Co ty wyprawiasz?

Dave podnosi oczy i się uśmiecha.

— Przepraszam za dodatkową pracę domową. To moja wina.

Brakuje mi słów. Nie odbieram ciastka, więc Dave wstaje z kolan i teatralnym gestem stawia talerzyk na stole przede mną. Wszyscy się gapią. Łapie krzesło ze stolika za nami i wpycha się z nim między mnie i St. Claira.

Ten nie może uwierzyć w to, co widzi.

— Rozgość się, David. Bez krępacji.

Ale Dave go chyba nie słyszy. Wkłada paluch w gęstą czekoladową polewę i go oblizuje.

Czy ma czyste ręce?

— No więc... Dziś wieczorem *Teksańska masakra piłą mechaniczną*. Nie uwierzę, że nie boisz się na horrorach, jeśli nie pozwolisz mi zabrać się na ten film.

O rany. Dave zaprasza mnie na randkę w obecności St. Claira. A St. Clair nienawidzi Dave'a; pamiętam, jak to mówił przed projekcją *It Happened One Night*.

— Eee... sorry. Ale ja nie mogę. Zmiana planów. Coś mi wyskoczyło — wymawiam się.

— No przestań. Co może być ważnego w piątkowy wieczór? — Szczypie mnie w ramię, a ja z rozpaczą szukam ratunku u St. Claira.

— Praca z fizyki — wtrąca, rzucając gromy na rękę Dave'a. — Zadali nam w ostatniej minucie. Kupa roboty. Robimy to razem.

— Macie cały weekend na lekcje. Wyluzuj, Oliphant. Zabaw się trochę.

— Anna ma całkiem sporo lekcji do odrobienia w ten weekend, i to dzięki tobie — zauważa St. Clair.

Dave w końcu odwraca do niego twarz. Wymieniają się wściekłymi spojrzeniami.

— Przykro mi — mówię. I naprawdę mi przykro. Źle się czuję z tym, że odmawiam Dave'owi, zwłaszcza na oczach wszystkich. To miły chłopak, mimo tego, co sądzi St. Clair.

Ale Dave znów na niego spogląda.

— W porzo — rzuca po chwili. — Kapuję.

— Co kapujesz? — Jestem zdezorientowana.

— Nie zdawałem sobie sprawy... — Dave gestem dłoni pokazuje na mnie i St. Claira.

— Nie! Nie. To nic z tych rzeczy. Poważnie. Pójdziemy do tego kina, tylko nie dzisiaj.

Dzisiaj jestem po prostu zajęta. Fizyką.

Dave jest chyba zły, ale wzrusza ramionami.

— Nie ma problemu. Hej, będziesz na jutrzejszym party?

Nate z okazji Halloween urządza potańcówkę dla Résidence Lambert. Nie zamierzałam się na nią wybierać, ale postanawiam skłamać, żeby Dave poczuł się lepiej.

— Taa, chyba tak. Może się na niej spotkamy.

Wstaje.

— Fajnie, trzymam cię za słowo.

— Pewnie. Jasne. Dzięki za eklerkę! — wołam za nim.

— Bardzo proszę, piękna.

Piękna. Nazwał mnie piękną! Ale zaraz... Ja nie lubię Dave'a.

A może jednak?

— Kutas — mruczy St. Clair, gdy tylko Dave jest poza zasięgiem słuchu.

— Nie bądź wulgarny.

Gapi się na mnie z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy.

— Nie skarżyłaś się, kiedy cię ratowałem z opresji.

Odsuwam eklerkę.

— Zaskoczył mnie, to wszystko.

— Powinnaś mi podziękować.

— Dziękuję — rzucam z sarkazmem. Mam świadomość, że jesteśmy obserwowani. Josh chrząka i pokazuje na rozmazane palcem ciastko.

— Będziesz to jadła? — pyta.

— Często się.

St. Clair podnosi się tak gwałtownie, że przewraca krzesło.

— Dokąd idziesz? — dziwi się Mer.

— Nieistotne. — Odchodzi, pozostawiając nas w zdumionej ciszy. Po chwili Rashmi nachyla się nad stołem, unosząc ciemne brwi.

— Wiecie co? Widzieliśmy z Joshem, jak kilka dni temu się kłócili.

— Kto? St. Clair i Dave? — pyta Mer.

— Nie, St. Clair i Ellie. To dlatego to wszystko, kapujecie?

— Ach, tak? — mówię.

— Tak. Od tygodnia chodzi wkurzony — potwierdza Rashmi.

Zastanawiam się nad tym.

— Masz rację. Słyszałam, jak krąży po pokoju. Nigdy tego nie robił. — Nie żebym specjalnie podsłuchiwała. Ale teraz, kiedy już wiem, że St. Clair mieszka nade mną, jakoś nie umiem się powstrzymać i zwracam uwagę, kiedy wychodzi i wraca.

Josh dziwnie na mnie spogląda.

— Gdzie ich widzieliście? — pyta Mer.

— Przed *métro* przy Cluny. Chcieliśmy się przywitać, ale jak zobaczyliśmy ich twarze, uciekliśmy w przeciwnym kierunku. Woleliśmy nie wtrącać się do rozmowy.

— O co się kłócili? — docieka Mer.

— Nie wiem. Nie słyszeliśmy.

— To przez nią. Strasznie się zmieniła.

Rashmi pochmurnieje.

— Pewnie myśli, że jest od nas lepsza, bo jest w Parsons.

— I jak się ubiera — dodaje Mer z rzadką u niej złośliwą nutą. — Jakby się miała za prawdziwą paryżankę.

— Zawsze taka była — oświadcza z irytacją Rashmi.

Josh cały czas milczy. Zjadł eklerkę, wytarł krem z palców i wyciągnął szkicownik.

Skupienie, z jakim to wszystko wykonuje, jakby specjalnie nie zwracał uwagi na słowa Meredith i Rashmi, sprawia wrażenie... celowego. Przychodzi mi na myśl, że wie o sytuacji St. Claira więcej, niż mówi. Czy faceci gadają o takich sprawach? Czy to możliwe?

Czy St. Clair i Ellie się rozstają?

Rozdział 14

Hej! Nie sądzicie, że piknik na cmentarzu w Halloween to trochę banalny pomysł?

Nasza piątka — Mer, Rashmi, Josh, St. Clair i ja — szwenda się po Cimetière du Père-Lachaise. Cmentarz leży na wzgórzu, u którego stóp rozciąga się Paryż, i sam wygląda jak miniaturowe miasto. Szerokie ścieżki służą za drogi biegnące między wyszukаныmi grobowcami, które swymi zakończonymi łukami drzwiami, posągami i witrażowymi oknami przypominają mi małe gotyckie budowle. Cały teren otoczony jest kamiennym murem z bramami z kutego żelaza. I wszędzie rosną wielkie kasztanowce o wyciągniętych w górę gałęziach, z których opadają ostatnie złote liście.

Jest tu ciszej niż w Paryżu, lecz nie mniej imponująco.

— Hej, słyszeliście, że Anna powiedziała „wy” z południowym zaśpiewem? — pyta Josh.

— Wcale nie. Co ty wygadujesz! — oburzam się.

— A właśnie że tak — zgadza się z Joshem Rashmi. Poprawia plecak na ramieniu i wkracza za Mer w kolejną alejkę. Cieszę się, że moi przyjaciele znają drogę, bo ja się już pogubiłam. — Mówiłam ci, że masz akcent.

— Wiecie, że inna nazwa cmentarza to mogilnik? — popisuje się St. Clair.

— Tak? Nie wiedziałam — odpowiadam, chętnie korzystając z okazji do zmiany tematu.

— Chociaż jest różnica. Cmentarz to parcela specjalnie wyznaczona pod groby, a mogilnik to zawsze cmentarz przykościelny. Oczywiście obecnie używa się prawie wyłącznie nazwy „cmentarz”, więc to raczej bez znaczenia...

— Masz łeb napchany takimi śmieciami, St. Clair, że dobrze, że jesteś taki milusi — podkpiwa sobie Josh.

— A moim zdaniem to interesujące — oświadcza Mer.

St. Clair się uśmiecha.

— „Cmentarz” przynajmniej brzmi bardziej elegancko. A chyba przyznacie — to miejsce jest klasa. Ale może... — odwraca się do mnie — wolałabyś być na imprezie w akademiku? Słyszałem, że Dave Higgenbottom ma przynieść lejek do piwa.

— Higgenbaum.

— Przecież tak powiedziałem, Higgenbum.

— Och, zostaw chłopaka w spokoju. Poza tym cmentarz wcześniej zamykają, więc zdążymy na tę imprezę. — Przewracam oczami przy ostatnim słowie. Żadne z nas nie planuje pokazać się w akademiku, wbrew temu, co powiedziałam Dave’owi poprzedniego dnia przy lunchu.

St. Clair szturcha mnie w ramię długim termosem.

— Może jesteś smutna, bo nie będzie miał okazji zabłysnąć przed tobą swoją zaskakującą wiedzą na temat miejskich wyścigów.

Wybucham śmiechem.

— Odczep się już, dobra?

— Słyszałem też, że ma doskonały gust filmowy. Może cię zabierze na nocną projekcję *Scooby-Doo 2*.

Zamierzam się na niego plecakiem, ale udaje mu się uchylić przed ciosem.

— Aha! Jest! — woła Mer. Wreszcie znalazła pasujące jej miejsce na trawie. Rozkłada tam nieduży koc, a my z Rashmi wypakowujemy z plecaków maleńkie jabłka, kanapki z prosciutto i śmierdzące sery. Josh i St. Clair ganiają się wokół pobliskich pomników. Przypominają mi francuskich uczniów, których widuję w naszym sąsiedztwie. Brakuje im tylko wełnianych sweterków.

Mer nalewa wszystkim kawy z termosu St. Claira. Popijam ją z przyjemnością, ciesząc się rozplywającym się po całym ciele przyjemnym ciepłem. Kiedyś myślałam, że kawa jest gorzka i niesmaczna, ale teraz, jak reszta, piję do kilku filiżanek dziennie. Zabieramy się do jedzenia i w tym samym momencie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiają się chłopcy. Josh siada po turecku obok Rashmi, St. Clair wpycha się między mnie i Meredith.

— Masz liście we włosach. — Mer chichocze i wyjmuje uschły brązowy listek z loczków St. Claira. On go odbiera, miażdży w dłoni na popiół, którym potem dmucha Mer we włosy. Oboje parskać śmiechem, a mnie od tego skręcają się wnętrzności.

— Może powinieneś włożyć czapkę — podpowiadam. St. Clair przed wyjściem z akademika poprosił, żebym schowała ją do plecaka. Rzucam mu go na kolana, może ociupinę zbyt silnie. St. Clair stęka, a potem rzuca się w moją stronę.

— Ostrożnie. — Josh w gryza się w różowe jabłko i mówi dalej z pełnymi ustami. — On ma tam części, których ty nie masz.

— Ooo, części — powtarzam. — Intrygujące. Powiedz coś jeszcze.

Josh posyła mi poważny uśmiech.

— Przykro mi, ale to zastrzeżone informacje. Tylko dla osób posiadających wspomniane części.

St. Clair strzepuje resztkę liści z włosów i wkłada czapkę. Rashmi się krzywi.

— Naprawdę? Dzisiaj? W miejscu publicznym? — pyta.

— Zawsze — odpowiada. — Zawsze, kiedy jesteś przy mnie.

Rashmi prychnie.

— A co u Ellie? Co dzisiaj robi?

— Uff. Idzie na jakieś okropne kostiumowe party.

— Nie lubisz takich? — ciekawi się Mer.

— Nie lubię się przebierać.

— Nie licząc czapki — dogryza mu Rashmi.

— Nie miałam pojęcia, że oprócz ASP gdzieś jeszcze ktoś obchodzi Halloween — mówię.

— Co poniektórzy obchodzą — odpowiada Josh. — Sklepikarze chcieli przed laty zrobić z tego komercyjne święto, ale się nie przyjęło. Co nie zmienia faktu, że laski z wyższych uczelni polecą na każdą okazję przebrania się za rozpustną pielęgniarzkę.

St. Clair rzuca w Josha kawałkiem *chèvre* i trafia go w policzek.

— Dupek. Ona się wcale nie przebiera za rozpustną pielęgniarzkę.

— Tylko za zwykłą? — pytam niewinnym głosem. — Taką w krótkim fartuszk i z bardzo dużym dekoltem?

Josh i Rashmi parskają śmiechem, a St. Clair naciąga czapkę na oczy.

— Wrrr, nienawidzę was.

— Hej, ja nic nie mówiłam — upomina się Mer.

— Wrrr, nienawidzę wszystkich poza Mer.

Blisko nas zatrzymuje się grupka turystów ze Stanów. Wyglądają, jakby się zgubili. Brodaty dwudziestolatek otwiera usta, żeby o coś zapytać, ale Rashmi go ubiega.

— Do Jima Morrisona tamtędy. — Pokazuje właściwą ścieżkę. Brodacz uśmiecha się z ulgą, dziękuje i grupa się oddala.

— Skąd wiedziałaś, o co chodziło? — pytam.

— Zawsze chodzi o to samo.

— A powinni szukać Victora Noira — dopowiada Josh. Pozostali wybuchają śmiechem.

— Kogo? — To frustrujące, kiedy się nic nie rozumie.

— Victora Noira. To dziennikarz zastrzelony przez Pierre'a Bonaparte — mówi St. Clair, jakby to coś wyjaśniało. Podciąga czapkę w górę, odsłaniając oczy. — Podobno posąg na jego grobie pomaga na... płodność.

— Mały aż się błyszczy od pocierania — uzupełnia wyjaśnienia Josh. — Pocierania na szczęście.

— Czemu znowu rozmawiamy o częściach? — irytuje się Mer. — Nie możemy czasami pogadać o czymś innym?

— Naprawdę się błyszczy? — dopytuję się.

— Bardzo — potwierdza St. Clair.

— W takim razie muszę to zobaczyć. — Wypijam resztkę kawy, strzepuję okruchy z ust i podrywam się na nogi. — Którędy do Victora?

— Zaprowadzę cię. — St. Clair też się podnosi i rusza przed siebie. Idę za nim przez mały

zagajnik ogołoconych z liści drzew. Śmiejemy się. A gdy znów wychodzimy na ścieżkę, wpadamy prosto na strażnika. Patrzy na nas srogo spod daszka służbowej czapki. St. Clair posyła mu uśmiech anioła i lekko wzrusza ramionami. Strażnik kręci głową, ale nas przepuszcza.

St. Clairowi wszystko uchodzi na sucho.

Dalej kroczymy już nad wyraz spokojnie, aż w końcu docieramy do miejsca, gdzie stoi grupka ludzi i pstryka zdjęcia. Czekamy z boku, aż odejdą. Widzimy wychudzonego czarnego kota, który wyskakuje zza nagrobka ozdobionego różami i butelkami wina, i ucieka w pobliskie zarośla.

— No, to było wystarczająco straszne. Wszystkiego najlepszego z okazji Halloween.

— Słyszałaś, że na tym cmentarzu żyje około trzech tysięcy kotów? — pyta St. Clair.

— Tak. Utkwił mi w głowie pod nazwą Koci Paryż.

St. Clair wybuchła śmiechem. Turyści przenoszą się do następnej atrakcji, którą można sfotografować, a my, uśmiechnięci, podchodzimy do grobu Victora Noira. Przystawiająca go rzeźba jest wielkości człowieka i leży na płycie nagrobnej. Oczy są zamknięte, obok leży wysoki kapelusz. I choć szarawo-zielonkawa spatynowana postać jest odziana, przy rozporoku widać wybrzuszenie, które faktycznie od pocierania przybrało barwę błyszczącego brązu.

— Czy jeśli go dotknę, spełni się jakieś moje marzenie? — pytam, wspominając Punkt Zero.

— Nie. Victor działa tylko na płodność.

— No to już. Potrzyj go.

St. Clair cofa się pod inny grób.

— Nie, dzięki. — Znów się śmieje. — Nie potrzebuję takich problemów. — Ja też się śmieję, ale śmiech utyka mi w gardle, gdy dociera do mnie, co miał na myśli. Opanuj się, Anno. Nie powinnaś się czymś takim przejmować. Nie daj mu poznać, że cię to obeszło.

— Cóż, skoro ty nie chcesz, ja go dotknę. Nie grozi mi to, o czym wspominałaś. — Zniżam głos do drwiącego szeptu. — No wiesz, słyszałam, że trzeba uprawiać seks, żeby zajść w ciążę.

Widzę, że natychmiast w jego głowie pojawił się wielki znak zapytania. Cholera. Może pospieszyłam się z żartem. St. Clair sprawia wrażenie zakłopotanego, ale również zaciekawionego.

— To znaczy, że, eee, jesteś jeszcze dziewicą?

Wrrr! Ja i moja wielka gęba.

Mam ogromną chęć nałgać, ale w końcu mówię prawdę.

— Jeszcze nie poznałam nikogo, na kim aż tak by mi zależało. To znaczy, jeszcze nie chodziłam z kimś takim. — Czerwienię się i klepię Victora. — Mam zasadę.

— To znaczy?

Rzeźba jest jeszcze ciepła po wizycie poprzednich zwiedzających.

— Zadaję sobie pytanie, czy gdyby doszło do najgorszego — gdybym zaszła — czy

wstydziałabym się powiedzieć dziecku, kto jest jego ojcem. Jeśli odpowiedź choć w najmniejszym stopniu jest bliska twierdzącej, cała sprawa upada.

Wolno kiwa głową.

— Świetna zasada.

Uświadamiam sobie, że nadal trzymam dłoń na victorze Victora, więc szybko ją zabieram.

— Chwilę, chwilę. — St. Clair wyciąga telefon. — Połóż jeszcze raz, żeby ci się wiodło w życiu.

Pokazuję język i zamieram w tej idiotycznej pozie. St. Clair robi mi zdjęcie.

— Doskonale. To będę widział za każdym razem, gdy zadzwonisz... — Odzywa się jego komórka, a on się wzdryga. — Upiorne.

— Na pewno duch Victora. Chce się dowiedzieć, dlaczego nie chcesz go dotknąć.

— Żaden duch, tylko mama. Czekaj, odbiorę.

— Uuuuu, potrzyj mnie, St. Clair.

Odbiera telefon, próbując zachować powagę. W tej samej chwili za nami pojawiają się Meredith, Rashmi i Josh. Niosą pozostałości po pikniku.

— Dzięki, że o nas zapomnieliście — mówi z pretensją Rashmi.

— Przecież wiedzieliście, gdzie poszliśmy — bronię się.

Josh łapie rzeźbę za intymne miejsce.

— Myślę, że to będzie siedem lat nieszczęścia.

Mer wzdycha.

— Joshua Wasserstein, co by powiedziała twoja matka?

— Byłaby dumna, że Wyśmienity Instytut Edukacji, do którego mnie posłała, nauczył mnie tak wyrafinowanych manier. — Nachyla się i liże Victora.

Ja, Rashmi i Mer piszczymy z obrzydzenia.

— Dostaniesz liszaja. — Wyszarpuję z plecaka płyn odkażający do rąk i wyciskam odrobinę na dłoń. — Mówię poważnie. Przetrzyj tym usta.

Josh kręci głową.

— Straszna z ciebie neurotyczka. Wszędzie to ze sobą zabierasz?

— Wiesz co? — wtrąca się Rashmi. — Słyszałam, że jak się tego za dużo stosuje, można się wysterylizować na amen i jeszcze bardziej być podatnym na zarazki i choroby.

Zamieram w miejscu.

— Co? Nie, to nieprawda.

— A właśnie, że prawda! — woła Josh.

— O mój Boże, co ci się stało?

Na alarmujący okrzyk Mer szybko odwracam się w jej stronę.

St. Clair osunął się na nagrobek. Gdyby nie on, upadłby na ziemię. Wszyscy czworo podbiegamy do niego. Nadal trzyma telefon przy uchu, ale już nie słucha rozmówcy.

— Co się stało? Coś cię boli? O co chodzi? — pytamy jedno przez drugie.

Nie odpowiada. Nawet na nas nie patrzy.

Spoglądamy po sobie z przestraczem. Nie, z przerażeniem. Wydarzyło się coś naprawdę złego. Josh i ja pomagamy mu położyć się na ziemi, zanim upadnie. St. Clair podnosi wzrok, zdumiony, że go trzymamy. Jest blady jak ściana.

— Moja mama.

— Co się stało? — pytam.

— Ona umiera.

Rozdział 15

St. Clair jest pijany.

Twarz wciska w moje uda. W innych okolicznościach byłoby to nawet podniecające. Jednak ponieważ jest bliski zwiątowania, to już nie tak pociągające. Przepycham jego głowę na kolana, aby pozycja była mniej krępująca, a on stęka. Po raz pierwszy dotykam jego włosów. Są miękkie jak Seana, gdy był malutki.

Josh z St. Clairem pokazali się piętnaście minut temu, śmierdzący papierosowym dymem i alkoholem. Żaden nie pali, więc domyśliłam się, że byli w barze.

— Sorry. Musieliśmy tu przyyyjść — tłumaczył się Josh, wtaszczac bezwładne ciało kolegi do pokoju. — Ciągłe gada o tym durniu. Ha, ha, durniu.

St. Clair bełkotał coś z silnym brytyjskim akcentem.

— Mój stary to łajdak. Zabiję go. Zabiję, taki jestem nabuzowany. — Potem głowa mu opadła, a broda mocno walnęła o pierś. Wystraszona, podprowadziłam go do łóżka, pomogłam usiąść na podłodze i oparłam o bok łóżka, żeby się nie przewrócił.

Josh zagapił się na zdjęcie Seana na ścianie.

— Dureń — powtórzył.

— Aaaaaanno, mój ojciec to dupek. Mówię poważnie. — St. Clair szeroko otworzył oczy w celu podkreślenia swoich słów.

— Wiem, wiem. — Mimo że nie wiedziałam. — Przystaniesz wreszcie? — warknęłam do Josha. Stał na łóżku z nosem wciśniętym w zdjęcie Seana. — Co z nim?

— Matka mu umiera. Chyba źle to znosi. — Josh zszedł chwiejnie na podłogę i sięgnął po mój telefon. — Obiecałem Rashmi, że zadzwonię.

— Jego matka wcale... no wiesz? Jak możesz tak mówić? — Odwróciłam się do St. Claira. — Nic jej nie będzie. Twoja mama czuje się dobrze. Słyszysz mnie?

St. Clair beknął.

— Jezu. — Nie byłam przygotowana na tego typu sytuację.

— Rak. — Zwiesił głowę. — Ona nie może mieć raka.

— Rashmi, tooo jaaa — pluł Josh do telefonu. — Mer? Daj Rashmi. Toooo pilne.

— To nic pilnego — krzyknęłam. — Oni się tylko spili.

Sekundę później zapukała Mer, a ja ją wpuściłam.

— Skąd wiedziałaś, że tu jesteeemy? — Czoło Josha zmarszczyło się pod wpływem skrajnego zdumienia. — Gdzie Rashmi?

— Słyszałam was przez ścianę, idioto. I dzwoniłeś do mnie, nie do niej. — Mer podniosła

komórkę i wykręciła numer Rashmi, która przybiegła minutę później. Stały tam z rozdziawionymi buziami, podczas gdy St. Clair bełkotał, a Josh nie przestawał wyglądać na zaszokowanego ich nagłym pojawieniem się. Mój pokój z pięcioma osobami w środku wydawał się jeszcze mniejszy niż zazwyczaj.

W końcu Mer przykucnęła przy łóżku.

— Nic mu nie jest? — Dotknęła czoła St. Claira, ale on odtrącił jej dłoń. Chyba zrobiło jej się przykro.

— Nic mi nie jest. Tylko mój ojciec to dupek, a mama umiera i... och, Boże, ale jestem nabuzowany. — St. Clair znowu na mnie spojrzał. Oczy mu błyszczały jak czarne szklane kulki. — Nabuzowany, nabuzowany, nabuzowany.

— Wiemy, że jesteś zły na ojca — powiedziałam. — I rozumiemy. To palant. — Co innego miałam powiedzieć? St. Clair właśnie się dowiedział, że jego mama ma raka.

— „Nabuzowany” w brytyjskim slangu znaczy pijany — wyjaśniła Mer.

— Och — mruknęłam. — No tak, jasne, pijany też jest.

Tymczasem nasza Para zaczęła się kłócić.

— Gdzie byliście? — zapytała Rashmi. — Miałeś być trzy godziny temu!

Josh wywrócił oczami.

— Na mieście. Byliśmy na mieście. Ktoś musiał mu pomóc...

— Ty to nazywasz pomocą? Jest kompletnie zalany. Prawie w śpiączce. A ty? Boże, jedzie od ciebie jak od rury wydechowej i zapoconych pach...

— Nie mógł pić sam.

— Miałeś go pilnować! A jeśli coś by się stało?

— Piwo. Wódka. To się stało. Nie bądź taką świętoszką, Rash.

— Chrznąć się — warknęła Rash. — Poważnie, Josh. Idź się pierdol.

Josh się zachwiał, więc Mer pchnęła go na łóżko. Ciężar jego ciała uderzającego w materac potrząsnął St. Clairem, którego głowa znowu opadła w dół, a podbródek znów walnął w klatkę piersiową z niepokojącą siłą. Rashmi jak burza wypadła z pokoju i klnąc, zaczęła się przedzierać przez tłumek gapiów, jaki zebrał się na korytarzu. Mer wybiegła za nią.

— Rashmi! Rashmi!

I drzwi mojego pokoju głośno trzasnęły.

I wtedy właśnie głowa St. Claira opadła między moje uda.

Oddychaj, Anno, oddychaj.

Josh chyba skonał. I dobrze. Jeden kłopot mniej.

Pewnie powinnam dać St. Clairowi wody. Chyba to się daje pijanym ludziom? Żeby się nie zatruli alkoholem lub coś w ten deseń. Odsuwam go z moich nóg i wstaję.

— Zaraz wracam. Obiecuję.

Pociąga nosem. O, nie. Chyba nie zaczniesz płakać? Bo choć to słodkie, gdy faceci płaczą, to wcale nie jestem na to przygotowana. W skautach nie nauczyli mnie, co się robi z rozbitymi emocjonalnie, urzniętymi kolesiami. Wyjmuję z lodówki butelkę wody i kucam. Podnoszę mu głowę — już drugi raz dotykam jego włosów — i podstawiam butelkę pod usta.

— Pij.

Kręci wolno głową.

— Jeśli coś wypiję, zwymiotuję.

— To nie alkohol, tylko zwykła woda. — Przechyliłam butelkę i woda wlewa mu się do ust i skapuje po brodzie. Zabiera mi butelkę, ale ją upuszcza. Woda rozlewa się po całej podłodze.

— Och, nie — szepcze. — Wybacz, Anno. Przepraszam.

— Nie ma sprawy. — I ponieważ wygląda tak bardzo smutno, kładę się obok niego, a woda wsiąka mi w dżinsy. Ble. — Powiedz, co się stało.

St. Clair wzdycha. Mocno i z rezygnacją.

— Nie pozwala mi odwiedzić matki.

— Co? Jak to?

— Tak właśnie działa mój ojciec. Zawsze tak było. To jego sposób na utrzymanie kontroli.

— Nie ro...

— Jest zazdrosny. Że ona bardziej kocha mnie niż jego. Więc się nie zgadza, żebym do niej pojechał.

Jestem oszołomiona. To, co słyszę, nie ma sensu. Żadnego.

— Jak on może? Twoja mama zachorowała. Będzie miała chemioterapię, będzie cię potrzebowała.

— On nie chce pozwolić mi się z nią zobaczyć aż do przerwy na Święto Dziękczynienia.

— Ale to przecież dopiero za kilka tygodni. Do tego czasu ona... — Milknę. A gdy kończę zdanie w myślach, robi mi się niedobrze. Tylko że to niemożliwe. Osobom w moim wieku rodzice nie umierają. Mama St. Claira przejdzie chemioterapię i na pewno wyzdrowieje. — Więc co zamierzasz? Polecisz do San Francisco bez jego zgody?

— Ojciec by mnie zamordował.

— No i co z tego! — Jestem zbulwersowana. — Tak czy inaczej musisz ją zobaczyć!

— Nic nie rozumiesz. Ojciec byłby bardzo, bardzo wściekły. — Sposób, w jaki to wypowiada, wywołuje na moich plecach lodowate dreszcze.

— Ale... czy twoja mama nie będzie go prosiła, żebyś do niej przyjechał? Przecież jej nie odmówi, prawda? Nie odmówi... chorej?

— Ona mu się nie sprzeciwi.

Sprzeciwi. Jakby mowa była o dziecku. Nagle zaczynam pojmować, czemu St. Clair nigdy nie opowiada o ojcu. Mój wprawdzie jest egoistą, ale nie próbuje separować mnie od mamy. Czuję się strasznie winna. Moje kłopoty wydają się mało istotne w porównaniu z problemami St. Claira. W końcu najgorsze, co mnie spotkało, to fakt, że ojciec wysłał mnie do Francji.

— Anno?

— Taa?

Chwila milczenia.

— Nieważne.

— No, mów.

— Już nic.

Ale ton jego głosu sugeruje, że nie chodzi o nic. Odwracam się i widzę, że zamknął oczy. Twarz ma bladą i zmęczoną.

— No co? — pytam ponownie, siadając. St. Clair otwiera oczy i też próbuje usiąść.

Pomagam mu, a kiedy chcę się odsunąć, zatrzymuje mnie.

— Lubię cię — mówi.

Sztywnieję.

— I nie mam na myśli, jak przyjaciel.

Czuję się tak, jakbym połknęła własny język.

— Och. Hm. A co z...? — Zabieram rękę z jego uścisku. Ciężar niewypowiedzianego imienia pewnej dziewczyny wisi w powietrzu.

— Nie układa się nam. Nie układa, odkąd cię poznałem. — Jego oczy znowu się zamykają, a ciało chwieje.

Jest pijany. Po prostu pijany.

Uspokój się, Anno. Upił się i przechodzi kryzys. Niemożliwe, żeby kojarzył, co mówi. Więc co powinnam zrobić? O mój Boże, co mam robić?

— A ty mnie lubisz? — pyta. I patrzy na mnie tymi wielkimi brązowymi oczami, które, no tak, są trochę przekrwione od alkoholu i płaczu, ale i tak czuję, że serce mi pęka.

Tak, St. Clair, lubię cię.

Ale nie mogę powiedzieć tego na głos. Bo się przyjaźnimy. A przyjaciele nie pozwalają przyjaciółom składać pijackich deklaracji i nie oczekują, że następnego dnia będą o nich pamiętali.

Choć z drugiej strony... to przecież St. Clair. Przystojny, doskonały, wspaniały...

No właśnie. Wspaniały.

St. Clair wymiotuje. Na mnie.

Rozdział 16

Wycieram się właśnie ręcznikiem, gdy nagle słyszę pukanie. Otwieram drzwi łokciem, bo nie chcę wymiocinami zabrudzić klamki.

To Ellie. Ręcznik nieomal wypada mi z rąk. Rozpustna pielęgniarka. Nie mogę uwierzyć. Kusy biały fartuszek i czerwone krzyże na prawie odsłoniętym biuście.

— Anno, strasznie mi przykro — jęczy St. Clair za moimi plecami. Ellie szybko wchodzi do środka.

— O Boże, St. Clair! Dobrze się czujesz? — Ponownie jestem zaskoczona, że ma taki ochrypliwy głos. Jakby nie wystarczyło przebranie pielęgniarki, przez które i tak czuję się jak zasmarkana gówniara.

— Chyba to jasne, że nie. — Josh zwleka się z łóżka. — Właśnie zrzygał się na Annę. Josh się ocknął?

Ellie mocno szturcha jego zwisające z łóżka nogi.

— Wstawaj i pomóż mi zaprowadzić go do pokoju.

— Cholera jasna, sam pójdę. — St. Clair próbuje się podnieść, a ja wraz z Ellie nachylamy się, aby mu pomóc. Ellie rzuca mi wściekłe spojrzenie, więc się odsuwam.

— Skąd wiedziałaś, że tu jest? — pytam.

— Meredith zadzwoniła, ale i tak tu jechałam. Gdy tylko odebrałam jego wiadomość.

Dzwonił kilka godzin temu, ale nie mogłam odebrać, bo się szykowałam na tę głupią imprezę. — Zła na samą siebie, pokazuje na swój kostium. — Powinnam tu być. — Szczesuje St. Clairowi włosy z czoła. — Już dobrze, skarbie. Jestem przy tobie.

— Ellie? — W głosie St. Claira słychać zdumienie, jakby dopiero teraz zauważył obecność swojej dziewczyny. — Anno? Czemu Ellie tu jest? Nie powinno jej tu być.

Ellie posyła mi nienawistne spojrzenie, a ja, zmieszana, wzruszam ramionami.

— On naprawdę bardzo się upił — wyjaśniam.

Ellie ponownie grzmoci Josha pięścią i Josh zwleka się z łóżka.

— Już dobrze, dobrze! — O dziwo, udaje mu się wstać i pomóc St. Clairowi podnieść się z podłogi. Razem z Ellie zarzucają sobie jego ręce na ramiona.

— Otwórz drzwi — nakazuje ostrym tonem Ellie.

Otwieram i cała trójka wytacza się z pokoju.

St. Clair odwraca głowę.

— Anno, Anno, przepraszam.

— Nie ma za co. Już i tak wszystko wyczyściłam. Jest w porządku, nie przejmuj się.

— Nie. Chodzi o całą resztę.

Ellie gwałtownie odwraca się w moją stronę. Jest zła i zdezorientowana. Ale mam to w nosie. St. Clair bardzo źle wygląda. Powinni go zostawić. Mógłby spać w moim łóżku, a ja przenocowałabym u Mer. Ale oni prowadzą go już do rozklekotanej windy. Rozsuwają metalową kratkę i wciskają się do środka. St. Clair patrzy na mnie ze smutkiem, gdy drzwi windy się zamykają.

— Nic jej nie będzie! Twoja mama wyzdrowieje!

Nie wiem, czy mnie słyszy. Winda rusza z piskliwym zgrzytem. Patrzę za nią do chwili, aż zniknie.

Niedziela, pierwszy listopada, dzień Wszystkich Świętych. O dziwo, właśnie w tym dniu paryżanie odwiedzają cmentarze. Powiedziano mi, że udają się na groby bliskich i składają na nich kwiaty i osobiste pamiątki.

A mnie na myśl o tym robi się słabo. St. Clair nie pamięta, że dzisiaj jest święto.

Po obudzeniu zajrzałam do Meredith. Była już u St. Claira, ale on jest padnięty albo nie miał ochoty na gości. Prawdopodobnie jedno i drugie.

— Najlepiej, jeśli damy mu się wyspać — oświadcza Mer. I pewnie ma rację, lecz jakoś nie umiem się powstrzymać i ciągle wsłuchuję się w odgłosy z góry. Pierwsze słyszę późnym popołudniem — powolne szuranie i ciężkie stukanie.

Mimo to St. Clair nie pokazuje się na kolacji. Josh, poirytowany i z przekrwionymi oczami, mówi, że wpadł do niego w drodze do pizzerii, w której się teraz znajdujemy — i w której zawsze jadamy w niedzielny wieczór — ale St. Clair nie chciał towarzystwa. Josh i Rashmi pogodzili się, choć Rashmi wygląda na zadowoloną, że Josh cierpi katusze z powodu kaca.

Mną natomiast targają sprzeczne uczucia. Martwię się o matkę St. Claira, martwię się o niego samego, ale jestem również wściekła na jego ojca. I nie mogę się na niczym skupić dłużej niż sekundę, bo mój umysł nieustannie powraca do tej oto myśli:

St. Clair mnie lubi. Bardziej niż przyjaciółkę.

Czułam, że mówił szczerze, tylko jak tu pominąć fakt, że był pijany? Totalnie, absolutnie, na sto procent zalany. I choć bardzo pragnę się z nim spotkać, upewnić na własne oczy, że nadal żyje, nie wiem, jak miałabym się zachować. Powinnam poruszyć sprawę wyznania? A może udawać, że nic się nie stało?

On teraz potrzebuje przyjaciela, nie miłosnych dramatów. I dlatego czuję się naprawdę okropnie, bo już o wiele trudniej jest mi oszukiwać samą siebie, że uwaga St. Claira mi nie pochlebia lub że mi na niej aż tak nie zależy.

Koło północy dzwoni Toph. Nie rozmawialiśmy przez telefon od wielu tygodni, ale z

powodu tego, co się wokół mnie rozgrywa, jestem rozkojarzona przez całą rozmowę. Najchętniej po prostu poszłabym spać. Żeby o wszystkim zapomnieć. Uciec od zamieszania w głowie.

St. Clair znowu nie przyszedł na śniadanie. I myślę, że nie zjawi się nawet na lekcjach (kto by go winił?). Ale się pojawia — na angielskim, spóźniony piętnaście minut. Zbiera mnie lęk, że *professeur* Cole go zrugą, jednak najwyraźniej ktoś ją powiadomił o sytuacji, bo nie mówi ani słowa. Rzuca tylko pełne współczucia spojrzenie i powraca do prowadzenia lekcji.

— Więc czemu Amerykanie nie są zainteresowani tłumaczonymi powieściami? Dlaczego rocznie wydaje się tak niewiele przełożonych na angielski obcojęzycznych pozycji?

Próbuję nawiązać wzrokowy kontakt z St. Clairem, ale on wpatruje się w swój egzemplarz *Balzac and the Little Chinese Seamstress*. A raczej patrzy poprzez niego. Twarz ma bladą, wręcz przezroczystą.

— Cóż — kontynuuje *professeur* Cole. — Często się mówi, że nasze współczesne społeczeństwo interesuje wyłącznie natychmiastowa gratyfikacja. Bary szybkiej obsługi. Samoobsługowe kasy. Muzyka z Internetu. SMS-y. Działające po jednym dniu diety cud. Mam wymieniać dalej?

Klasa się śmieje, ale St. Clair milczy. Obserwuję go z przejęciem. Na brodzie widać zarys ciemnego zarostu. Nie zdawałam sobie sprawy, że potrzebuje się tak często golić.

— Zagraniczne powieści nie są tak bardzo nastawione na akcję. Mają inne tempo; są bardziej refleksyjne. Zmuszają nas do szukania ukrytego za główną historią wątku. Weźmy choćby *Balzaca*. Czyja to historia? Narratora? Małej szwaczki? Chin?

Mam ochotę podejść do niego, uścisnąć za rękę i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Nie powinien tu być. Nie potrafię sobie wyobrazić, co bym zrobiła, gdybym znalazła się w jego sytuacji. Ojciec powinien zabrać go ze szkoły. St. Clair powinien polecieć do Kalifornii.

Professeur Cole puka w obwolotę książki.

— Dai Sijie, urodzony i wychowany w Chinach. Przeprowadził się do Francji. Napisał *Balzaca* po francusku, ale historia z powieści toczy się w jego rodzinnym kraju. Następnie powieść zostaje przetłumaczona na angielski. A zatem, jak bardzo oddaliliśmy się od oryginału? Czy mamy brać pod uwagę tłumaczenie z francuskiego na angielski? A może pierwszy przekład? Ten, którego autor dokonał we własnym umyśle, z chińskiego na francuski? Co tracimy przy każdym przekładzie?

Słucham nauczycielki tylko połowicznie. Po angielskim Meredith, Rashmi i ja idziemy w milczeniu wraz z St. Clairem na matematykę. I wymieniamy zmartwione spojrzenia, gdy tego nie widzi. Ale jestem pewna, że wie, że to robimy, i czuję się z tego powodu jeszcze gorzej.

Moje podejrzenia, że grono pedagogiczne zostało o wszystkim powiadomione,

potwierdzają się, gdy *professeur* Babineaux przed rozpoczęciem lekcji prosi St. Claira na stronę. Nie słyszę całej rozmowy, tylko jej część, gdy nauczyciel pyta, czy St. Clair nie wolałby spędzić lekcji w gabinecie pielęgniarek. St. Clair odpowiada, że wolałby, i wychodzi. I zaraz potem Amanda Spitterton odwraca się do mnie i pyta:

— Co się dzieje z St. Clairem?

— Nic. — Myślała, że jej powiem?

Amanda zarzuca włosami, których pasemko, ku memu zadowoleniu, przykleja się do błyszczyka na jej ustach.

— Bo Steve mówił, że on i Josh kompletnie się zalali w sobotni wieczór. Widział ich, jak się zataczali, a St. Clair wyklinał na swojego ojca.

— Cóż, Steve musiał coś źle usłyszeć.

— Steve mówił, że St. Clair wrzeszczał, że zabije ojca.

— Steve to skończony dupek — wtrąca się Rashmi. — A poza tym, gdzie ty byłaś w sobotę wieczorem? Tak się skułaś, że musisz polegać na plotkach, które roznosi Steve?

Ale to jej nie uciszyło na długo. W porze lunchu o sprawie wie już cała szkoła. Nie jestem pewna, kto się wygadał — nauczyciele czy Steve lub może któryś z jego durnowatych koleśi przypomniał sobie coś jeszcze, co mówił St. Clair. Tak czy inaczej, w szkole wrze jak w ulu od plotek. Gdy St. Clair wreszcie zjawia się w stołówce, wygląda to jak scena z kiepskiego filmu dla nastolatków. Rozmowy cichną. Dłonie trzymające butelki z napojami zastygają w połowie drogi do ust.

St. Clair zatrzymuje się w wejściu, ocenia sytuację i natychmiast robi w tył zwrot. Nasza czwórka rzuca się w pogoń za nim. Doganiamy go przy wyjściu ze szkoły.

— Nie chcę o tym gadać — mówi, nie odwracając się do nas.

— Więc nie będziemy o tym gadać — zapewnia Josh. — Chodźmy coś zjeść na mieście.

— *Crêpes*? — proponuje Mer. To ulubiona potrawa St. Claira.

— Świetny pomysł — woła Rashmi radośnie.

— Więc chodźmy, bo umieram z głodu — dodaje Josh. Ruszamy z nadzieją, że St. Clair z nami pójdzie. Tak się dzieje, a my z trudem powstrzymujemy westchnienie ulgi. Przodem idą Mer i Rashmi, Josh z tyłu z St. Clairem. Josh paple o niczym — o nowym pisaku kupionym na zajęcia malarskie, rapowym kawałku o spoconych dupeczkach, który na cały regulator nieustannie puszcza kolesie z sąsiedniego pokoju. I St. Clair, na szczęście, wykazuje minimalne oznaki życia. Mamrocze coś w odpowiedzi.

Ja krążę między obiema grupami. Wiem, że postępuję po koleżeńsku, ale choć przejmuję się St. Clairem, to również martwię się, że się zerwałam. Nie chcę sobie napytać biedy. Oglądam się na budynek ASP, jednak Josh posyła mi spojrzenie mówiące: „Dzisiaj szkoła nie będzie robiła

problemów”.

Mam nadzieję, że się nie myli.

Nasza ulubiona *crêperie* znajduje się blisko szkoły i mój niepokój, że się urwałam, nieco słabnie, gdy patrzę, jak facet za ladą rozsmarowuje masło na patelni. Składam zamówienie tak jak zawsze tutaj, pokazując na zdjęcie banana i naleśnika z nutellą i mówiąc „proszę”. Obsługujący nalewa na cienkie ciasto ciepłą czekoladowo-orzechową polewę, zawija w naleśnika banana i na wszystko nakłada jeszcze jedną porcję nutelli. A na koniec dodaje łyżkę lodów waniliowych. Z prawdziwą wanilią z ciemnymi plamkami.

Przy pierwszym kęsie wydaję jęk rozkoszy. Naleśnik jest ciepły, słodki, czekoladowy i w ogóle doskonały.

— Masz nutellę na brodzie — mówi Rashmi, pokazując widelcem.

— Mhm — odpowiadam.

— Fajnie to wygląda — zauważa Josh. — Jak męska bródka.

Zanurzam palec w czekoladzie i domalowuję sobie wąsy.

— Teraz lepiej?

— Może gdybyś nie przypominała Hitlera — komentuje Rashmi.

Ku memu zaskoczeniu St. Clair cicho prychnęła. Zachęcona, znowu zatapiam palec w czekoladzie i z jednej strony domalowuję zakrętas.

— Źle to robisz — oświadcza Josh. — Przysuń się. — Teraz on wkłada palec w moją polewę i ze starannością artysty poprawia oba końce wąsów. Zerkam na swoje odbicie w szybie i przekonuję się, że mam na twarzy potężne, zakręcone wąsiska. Wszyscy się śmieją i klaszczą, a Mer pstryka mi zdjęcie.

Mężczyźni w zawile przewiązanych apaszkach, siedzący przy stoliku obok, patrzą na nas z niesmakiem. Więc udaję, że podwijam końce nutellowych wąsów. Moi przyjaciele pokładają się ze śmiechu i w końcu, w końcu, nawet St. Clair leciutko się uśmiecha.

To wspaniały widok.

Ścieram czekoladę i też się uśmiecham. Kręci głową. Reszta wdaje się w dyskusję na temat dziwnego zarostu na twarzy — Rashmi ma wujka, który pewnego razu zgolił wszystkie włosy poza tymi porastającymi obrzeża twarzy — i St. Clair nachyla się do mnie, żeby porozmawiać. Jego twarz znajduje się blisko mojej. Mówi zachrypniętym głosem.

— Co do wczoraj...

— Zapomnij o tym. Nic wielkiego się nie stało — mówię. — Wszystko sprzątnęłam.

— Co sprzątnęłaś?

Ups.

— Nic, nic.

— Coś stłukłem, złamałem? — Jest strapiony.

— Nie! Niczego nie stłukłeś. Tylko... no wiesz... — Wykonuję odpowiedni gest.

St. Clair zwiesza głowę i stęka.

— Tak mi przykro, Anno. Wiem, jak dbasz o porządek w pokoju.

Odwracam wzrok, zakłopotana, że wspomina moją obsesję czystości.

— Wszystko jest w porządku. Naprawdę.

— Zdążyłem przynajmniej do umywalki? Prysznic?

— Zwymiotowałeś na podłogę. I moje nogi. Tylko trochę! — dodaję, widząc przerażenie na jego twarzy.

— Zwymiotowałem ci na nogi?!

— Ale to nic takiego. Też bym tak zrobiła, gdybym była w twojej sytuacji. —

Wypowiadam to zdanie, nim zdążę się zastanowić. A tak się starałam nie poruszać tej sprawy. Ma bladą twarz, ale pomija ten temat na rzecz równie rozdzierającego.

— Czy ja... — Zerka na resztę, upewniając się, że nadal są zajęci rozmową o zaroście na twarzy. Są. Podsuwa krzesło jeszcze bliżej i zniża głos. — Czy mówiłem coś dziwnego? Wczoraj wieczorem?

Ech... och...

— Dziwnego?

— Rzecz w tym, że... ledwie pamiętam, że byłem w twoim pokoju. Ale mógłbym przysiąc, że rozmawialiśmy o... czymś.

Moje serce zaczyna bić szybciej i mam kłopoty z nabraniem oddechu. On pamięta. W pewnym sensie. Co to może znaczyć? Co powinnam powiedzieć? Mimo że bardzo chciałabym poznać prawdę, nie jestem jednak przygotowana na tę rozmowę. Próbuję zyskać na czasie.

— O czym?

Widać, że jest zmieszany.

— Mówiłem coś dziwnego o... o naszej przyjaźni?

A więc jednak.

— Albo o mojej dziewczynie?

I to też. Przyglądam mu się dłuższą chwilę. Ma podkrążone oczy, nieumyte włosy i zwieszane smutno ramiona. Wygląda na straszliwie nieszczęśliwego, zupełnie jak nie on. Nie będę dodawała mu cierpienia, nieważne, jak bardzo pragnę poznać prawdę. Nie mogę go o nią zapytać. Bo jeśli nawet czuje do mnie sympatię, to nie jest właściwy moment do tworzenia nowego związku. Ani do kończenia starego. A jeśli nie czuje, wtedy prawdopodobnie straciłabym przyjaciela. To się często zdarza w podobnych sytuacjach.

A St. Clair potrzebuje teraz przyjaciół.

Przybieram obojętny, lecz szczery wyraz twarzy. — Nie. Rozmawialiśmy o twojej mamie.
To wszystko. Odpowiedź była słuszna. Wygląda, jakby mu ulżyło.

Rozdział 17

W *pâtisserie* podłoga jest z grubych trzeszczących desek, a żyrandol ozdobiony sznureczkami brzęczących topazowych kryształków, mieniających się jak krople miodu. Sprzedawczyni za ladą układa luksusowe torty w pudełkach w brązowo-białe paski i każde przewiązuje turkusową wstążką z dołączonym srebrnym dzwoneczkiem. Kolejka jest długa, ale klienci cierpliwie pławią się w atmosferze lokalu.

Mer i ja czekamy między piętrowymi ekspozycjami, wysokimi jak my. Jedna to drzewo zrobione z *macarons*, okrągłych ciasteczek z chrupkim wierzchem tak delikatnym, jak skorupka jajka i nadzieniem tak wilgotnym i aromatycznym, że nieomal mdleję na jego widok. Druga to kompozycja z miniaturowych ciasteczek, *gâteaux*, glazurowanych migdałowym lukrem i ustrojonych cukrowymi fiołkami.

Rozmawiamy o St. Clairze. Jak zawsze ostatnio.

— Martwię się tylko, że go wywałą — mówię, wspinając się na palce. Próbuję zajrzeć do szklanej gabloty na początku kolejki, ale widok zasłania mi facet w marynarce w prążki, trzymający wyrywającego się z uścisku szczeniaka. Dzisiaj w sklepie jest kilka psów, co w Paryżu wcale nie zaskakuje.

Mer kręci głową, aż podskakują jej loki wystające spod wełnianej czapeczki. W odróżnieniu od czapeczki St. Claira, ta jest jasnoblękitna i bardzo twarzowa.

Ale mnie bardziej podoba się czapka St. Claira.

— Nie wywałą — zapewnia Mer. — Nie wywalili Josha, a on już od dawna często urywa się z lekcji. Poza tym dyrektorka nie wyrzuci kogoś, kogo matka jest... no wiesz.

Z matką St. Claira nie jest najlepiej. Ma raka szyjki macicy drugiego stopnia. To zaawansowane stadium.

Słowa, których nigdy nie chciałam usłyszeć w powiązaniu z kimś, kogo kocham — radioterapia, chemioterapia — są teraz codzienną częścią życia St. Claira. Susan, jego matka, rozpoczęła leczenie tydzień po Halloween. Ojciec jest w Kalifornii i wozi żonę pięć razy w tygodniu na radioterapię i raz w tygodniu na chemioterapię.

St. Clair jest tutaj.

Najchętniej zabiłabym jego ojca. Rodzice St. Claira żyją w separacji od wielu lat, ale ojciec nie chce dać matce rozwodu. I ma kochanki w Paryżu i Londynie, podczas gdy Susan mieszka samotnie w San Francisco. Co kilka miesięcy ojciec St. Claira ją odwiedza. Zostaje na kilka dni. Odnawia dominację nad żoną lub cokolwiek innego, za pomocą czego trzyma ją w garści. A potem znowu wyjeżdża.

Ale teraz to on się nią opiekuje, a St. Clair cierpi z odległości prawie dziesięciu tysięcy kilometrów. Ta cała sytuacja tak mnie rozstraja, że prawie nie mogę o niej myśleć. A St. Clair w ostatnich tygodniach zachowuje się jak nie on. Opuszcza lekcje i się nie uczy. A także nie pojawia się na śniadaniach, obiady zaś je z Ellie. Oprócz lekcji i lunchu, gdzie siedzi obok mnie milczący jak kamień, widuję go tylko w te dni, gdy budzę go rano do szkoły.

Robimy to na zmianę z Meredith. Inaczej, gdybyśmy nie budziły go waleniem w drzwi, w ogóle by nie wstawał.

Drzwi *pâtisserie* otwierają się i do środka wpada powiew zimnego wiatru. Żyrandole trzęsą się jak żelatyna.

— Czuję okropną bezradność — mówię. — Bardzo chciałabym móc coś zrobić.

Mer wzdyga się i rozciera ramiona. Dzisiaj jej pierścionki są ze szkła, które wygląda jak oblane karmelizowanym cukrem.

— Wiem. Ja też. I jakoś ciągle nie mogę uwierzyć, że jego ojciec nie chce pozwolić, żeby odwiedził matkę na Święto Dziękczynienia.

— Naprawdę? — Jestem zaszokowana. — Kiedy tak powiedział? — I dlaczego Mer o tym wie, a ja nie?

— Gdy się dowiedział, że St. Clair opuścił się w nauce. Josh mówił, że dyrektorka wezwała ojca — bo się martwiła o St. Claira — a on zamiast pozwolić mu polecieć do domu, oświadczył, że będzie mógł to zrobić dopiero, kiedy znów zacznie się odpowiedzialnie zachowywać.

— Ale to przecież jasne, że nie będzie umiał się na niczym skupić, dopóki jej nie zobaczy! A ona go tam potrzebuje; potrzebuje jego wsparcia. Powinni być teraz razem.

— To typowe dla jego ojca, że wykorzystuje takie sytuacje jak ta przeciwko niemu.

Zżerająca mnie ciekawość bierze górę.

— Poznałaś go? Ojca? Wiem, że mieszka niedaleko ASP, ale nigdy go nie widziałam. A St. Clair oczywiście nie ma jego zdjęcia.

— Taa... — odpowiada z niezdecydowaniem. — Widziałam.

— I?

— Wydawał się... miły.

— Miły?! Jak to? Przecież ten facet to potwór!

— Wiem, wiem, ale... w rozmowie jest bardzo uprzejmy. Dużo się uśmiecha. I jest przystojny. — Mer zmienia niespodziewanie temat. — Nie uważasz, że Josh ma zły wpływ na St. Claira?

— Josh? Nie. To znaczy, może. Nie wiem. Nie. — Kręcę głową, a kolejka przesuwa się do przodu. Już prawie jesteśmy przy wystawowej gablocie. Widzę skraj złocistej jabłkowej *tarte tatins* i lśniącego czekoladowo-malinowego *gâteau*.

Na początku wszystko wydawało mi się zbyt wyrafinowane, ale po trzech miesiącach pobytu już rozumiem, czemu Francuzi słyną ze swojej kuchni. Tutaj jedzeniem ludzie się rozkoszują. Obiad w restauracji mierzy się na godziny, a nie minuty. Zupełnie inaczej niż w Stanach. Paryżanie codziennie bywają na targu po najładniejsze owoce i warzywa. I odwiedzają specjalistyczne sklepy z serami, rybami, mięsem, drobiem i winem. I ciastami.

Ciastkarnie lubię najbardziej.

— Mam wrażenie, że Josh chce w pewnym sensie przekonać St. Claira, że nie warto się starać — podejmuje temat Mer. — Ja dla odmiany czuję się jak zła mamuśka. „Wstawaj, idź do szkoły, odrób lekcje”. No wiesz. A Josh mówi: „Chrzań to, człowieku, daj sobie z tym spokój”.

— No, może... Ale chyba nie chodzi mu o to, żeby St. Clair wszystko olał. Po prostu rozumie, że w tej chwili z wieloma rzeczami nie jest w stanie sobie poradzić. — Ale ja też się trochę zżymam na tę sytuację. Wolalabym, żeby Josh wspierał St. Claira w nieco bardziej pozytywny sposób.

Mer chce jakoś skomentować moją wypowiedź, ale jej przerywam.

— Jak tam soccer?

— Piłka nożna — poprawia, a jej twarz się rozpromienia. Meredith w zeszłym miesiącu zapisała się do lokalnej ligi dziewczęcej i prawie każdego popołudnia ma treningi. Opowiada mi o swoich ostatnich przygodach na boisku do momentu, aż docieramy do frontowej gabloty. Cała mieni się równymi rzędami kwadratowych *tarte citrons*, pulchnych, ociekających roztopioną czekoladą tortów, karmelowymi eklerkami wyglądającymi jak baletki tancerek i posypanymi cukrem pudrem czerwonymi ciastami owocowymi.

I jeszcze większą ilością makaroników.

Kosz za koszem, w każdym możliwym smaku i kolorze. Zielone, czerwone, żółte. Gdy Mer zastanawia się nad wyborem ciastek, ja zamawiam sześć sztuk.

Z różą. Z czarnej porzeczki. Pomarańczowe. Figowe. Pistacjowe. Fiołkowe.

I wtedy dostrzegam cynamonowe i orzechowe praliny i mam ochotę umrzeć na miejscu. Wczołgać się pod ladę i wbić palce w delikatną skorupkę, a potem wylizywać aromatyczne nadzienie aż do utraty tchu. Jestem tak rozkojarzona, że dopiero po chwili uzmysławiam sobie, że stojący za mną mężczyzna coś do mnie mówi.

— He? — Odwracam się i widzę dystygowanego dżentelmena z bassetem. Uśmiecha się, wskazując na moje prążkowane pudełko. Wydaje się znajomy. Przysięgłabym, że już go gdzieś widziałam. Mówi szybko po francusku, życzliwym tonem.

— Eee... — Macham anemicznie ręką i wruszam ramionami. — *Je ne parle pas...*

Nie mówię...

Mężczyzna zwalnia, ale nadal nie mam pojęcia, o co mu może chodzić.

— Mer? Pomożesz? Mer?

Przybywa z pomocą. Przez chwilę rozmawiają i oczy mężczyzny błyszczą do momentu, gdy Mer mówi coś, co ogromnie porusza nieznanego.

— *Ce n'est pas possible!*

Nie muszę znać języka, żeby rozpoznać, gdy ktoś mówi „Och, nie!” Mężczyzna spogląda na mnie posmutniałym wzrokiem, następnie się żegnają. Ja też mamroczę niewyraźne „do widzenia”. Potem płacimy za zakupy — Mer wybrała *un millefeuille*, ciasto ptysiowe ze słodkim sosem — i wychodzimy z ciastkarni.

— Kto to był? Czego chciał? O czym rozmawialiście?

— Nie poznałaś? — Mer jest szczerze zaskoczona. — To właściciel kina przy rue de Écoles, tego małego z czerwono-białymi światłami. Często spaceruje z Poucem przed naszym akademikiem.

Idziemy, przedzierając się przez stadko gołębi, które wcale nie zwracają na nas uwagi, za to robią mnóstwo hałasu gruchaniem, trzepotaniem i przepychankami.

— Poucem?

— To jego pies, basset.

Żarówka się zapala. Oczywiście, że ich widywałam.

— Ale o co mu chodziło?

— Był ciekawy, czemu od jakiegoś czasu nie widuje cię z twoim chłopakiem. St. Clairem — dodaje w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie. — Zdaje się, że często bywaliście w tym kinie?

— W zeszłym miesiącu chodziliśmy tam na przegląd spaghetti-westernów. — To interesujące. Ten facet myślał, że chodzę z St. Clairem?

Mer milczy. Czuję, że jest zazdrosna. Ale nie ma powodów. Między mną i St. Clairem nic — ale to zupełnie nic — się nie dzieje. I mnie to odpowiada. Słowo. Za bardzo się martwię o St. Claira, żeby myśleć o nim w ten inny sposób. Jemu teraz potrzeba kogoś znanego i zaufanego, i tym kimś jest Ellie.

Zresztą ja też ostatnio dużo myślę o znajomych, zwłaszcza że znów odezwała się tęsknota za Tophem. Brakuje mi jego zielonych oczu i tych późnych wieczorów w kinie, kiedy rozmieszał mnie prawie do łez. Bridge mówi, że o mnie wypytuje, ale dawno już nie rozmawialiśmy, bo jest bardzo zajęty swoją kapelą. W Penny Dreadfuls dobrze się teraz dzieje. Udało im się wreszcie załatwić pierwszy występ. Ma się odbyć tuż przed Bożym Narodzeniem i ja, Anna Oliphant, będę na nim obecna.

To za miesiąc, ale i tak nie mogę się doczekać.

Wprawdzie mogłabym spotkać moich przyjaciół już za tydzień, ale ojciec stwierdził, że na

tak krótką przerwę szkoda płacić za przelot, a mamy nie stać. Więc spędzam Święto Dziękczynienia w Paryżu sama. Chociaż... już nie.

Przypominam sobie, co zaledwie kilka minut temu powiedziała Mer. St. Clair nie leci do domu na Święto Dziękczynienia. Za to wszyscy inni, łącznie z jego dziewczyną, wracają do Stanów. Co znaczy, że przez cztery dni my dwoje będziemy w akademiku zupełnie... sami.

Ta myśl nie daje mi spokoju przez całą drogę powrotną.

Rozdział 18

Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia! Wszystkieeeego najlepszeeeeego, St. Claaaair...

Drzwi pokoju otwierają się gwałtownie i staje w nich St. Clair, który mierzy mnie wściekłym wzrokiem przez zapuchnięte oczy. Ma na sobie zwyczajny biały T-shirt i białe spodnie od pizamy w niebieskie prążki.

— Przestań śpiewać!

— St. Clair! Cieszę się, że cię widzę! — Częstuję go swoim najradośniejszym uśmiechem. — Wiesz, że dzisiaj mamy święto?

Człapie z powrotem do łóżka, ale zostawia drzwi otwarte.

— Słyszałem — rzuca ponurym tonem.

Wchodzę bez zaproszenia do środka. W pokoju panuje większy... bałagan niż przy pierwszej mojej wizycie. Na podłodze walają się brudne ciuchy i ręczniki, i na wpół opróżnione butelki z wodą mineralną. Zawartość plecaka szkolnego wylewa się spod łóżka wraz z pogniecionymi kartkami i pustymi arkuszami roboczymi. Ostrożnie wciągam powietrze nosem. Pleśń. Śmierdzi pleśnią.

— Podoba mi się, co zrobiłeś z tym pokojem. Bardzo tu teraz stylowo. Jak w prawdziwym pokoju akademickim.

— Jeśli chcesz krytykować, wracaj, skąd przyszedłeś — mamrocze niewyraźnie z twarzą wciśniętą w poduszkę.

— Ależ skąd. Przecież znasz mój stosunek do nieporządku. To źródło wielkich możliwości. Wzdycha — przeciągle i boleśnie.

Usuwa leżące na krześle przy biurku podręczniki, spomiędzy których wypada na podłogę kilka szkieł. Wszystkie są namalowane węglem i przedstawiają anatomiczny rysunek serca. Wcześniej widziałam tylko jakieś bazgroły w wykonaniu St. Claira. Niczego poważnego. I choć to prawda, że Josh jest lepszy technicznie, to szkice, które mam teraz przed sobą, są wspaniałe. Szalone. Namiętne.

Podnoszę je.

— Super. Kiedy to narysowałeś?

Cisza.

Ostrożnie, żeby ich nie pobrudzić, wkładam rysunki z powrotem między strony podręcznika o zarządzaniu.

— No więc, dzisiaj świętujemy. Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która została w Paryżu.

Niewyraźny pomruk.

— Tylko trudno będzie znaleźć restaurację, gdzie serwują nadziewanego indyka.

— Nie potrzebuję indyka, tylko zaznaczenia faktu, że dzisiejszy dzień jest ważny. Tam nikt — pokazuję za okno, mimo że St. Clair na mnie nie patrzy — nie ma o tym pojęcia.

St. Clair szczerzej opatula się kołdrą.

— Jestem z Londynu. Też nie obchodzę tego święta.

— Błagam. Kiedy się poznaliśmy, mówiłeś, że jesteś Amerykaninem. Pamiętasz? Nie możesz zmieniać pochodzenia, jak ci pasuje. A dzisiaj nasi krajanie objadają się mięsnymi plackami i zapiekankami i my też musimy mieć w tym swój udział.

— Hm.

Nie idzie tak, jak sobie zaplanowałam. Czas na zmianę taktyki. Przysiadam na brzegu łóżka i szturcham St. Claira w nogę.

— Ładnie cię proszę.

Cisza.

— No, daj spokój. Muszę się rozerwać, a ty musisz wyjść z tego pokoju.

Nadal cisza.

Moja frustracja rośnie.

— Wiesz co, ten dzień jest do kitu dla nas obojga. Nie tylko ty tu utknąłeś. Oddałabym wszystko, żeby być teraz w domu.

Cisza.

Biorę powolny, głęboki wdech.

— W porządku. Chcesz wiedzieć, o co naprawdę chodzi? Martwię się o ciebie. Wszyscy się o ciebie martwimy. Do cholery, dzisiaj po raz pierwszy od wielu dni tak długo rozmawiamy. A i tak to przede wszystkim ja poruszam ustami! Wiem, że stało się coś strasznego. Tym bardziej, że nikt nie może nic zrobić, aby to zmienić. To znaczy, ja nie mogę nic zrobić, co mnie cholernie wkurza, bo nienawidzę widzieć cię w takim stanie. Ale wiesz co? — Podnoszę się. — Nie sądzę, żeby twoja mama chciała, żebyś się tak dołował z powodu czegoś, na co nie masz wpływu. Nie chciałaby, żebyś przestał się starać. I myślę, że pragnie usłyszeć jak najwięcej dobrych wieści, gdy zjawisz się w przyszłym miesiącu w domu...

— Jeśli się tam zjawię...

— Gdy tam pojedziesz, będzie chciała widzieć, że jesteś szczęśliwy.

— Szczęśliwy? — Teraz jest już naprawdę wściekły. — Jak mogę...

— No dobrze, może nie szczęśliwy — szybko się poprawiam. — Ale takiego jak teraz na pewno nie chciałaby cię oglądać. Nie spodobałoby się jej, że nie chodzisz na lekcje, że się nie starasz. Ona chce, żebyś skończył liceum, pamiętasz? Jesteś już tak blisko, St. Clair. Nie zawał

sprawy.

Cisza.

— Okej. — To nienormalne, nieracjonalne, że się tak nim przejmuję, ale nic na to nie mogę poradzić. — Zostań lumpem. Niech cię wywalą. Spędź sobie ten nieszczęsny dzień w wyrze. — Idę do drzwi. — Może jednak nie jesteś osobą, za jaką cię miałam.

— To znaczy? — pada zadane cierpkim tonem pytanie.

— To znaczy taką, która nie gnije w łóżku, nawet jeśli wszystko układa się do dupy. Taką, która dzwoni do matki na Święto Dziękczynienia, żeby złożyć jej życzenia, zamiast unikać kontaktów ze strachu, co może powiedzieć. Taką, która nie pozwoli wygrać ojcu palantowi. Ale chyba się co do ciebie pomyliłam. To... — pokazuję ręką na pokój, mimo że St. Clair leży odwrócony do mnie plecami — najwyraźniej ci pasuje. Więc baw się dobrze, a ja wychodzę.

Drzwi zamykają się z kliknięciem, ale mimo to słyszę jego okrzyk.

— Czekaj!

St. Clair otwiera drzwi. Ma przekrwione oczy i spuszczone ramiona.

— Nie wiem, co mam powiedzieć — mówi.

— Nic. Weź prysznic, włóż jakieś ciepłe ciuchy i zejdź po mnie. Będę u siebie.

Wpuszczam go dwadzieścia minut później, stwierdzając z ulgą, że jego włosy są mokre.

Wykąpał się.

— Chodź tu. — Każę mu usiąść na podłodze przy łóżku i biorę ręcznik. Żeby wytrzeć nim jego ciemne włosy. — Zaziębisz się.

— Przecież wiesz, że to mit. — Ale nie powstrzymuje mnie. Po minucie lub dwóch lekko wzdycha, jakby z przyjemnością. Trę włosy wolno, metodycznie.

— To dokąd idziemy? — pyta, kiedy kończę. Włosy są nadal wilgotne i zaczynają się skręcać.

— Masz świetne włosy — mówię, powstrzymując chęć wsunięcia w nie palców.

Prycha.

— Mówię serio. Jestem pewna, że słyszysz to na okrągło, ale włosy masz naprawdę super.

Nie mogę zobaczyć wyrazu jego twarzy, ale gdy odpowiada, jego głos jest lekko zdławiony.

— Dziękuję.

— Nie ma za co — mówię formalnym tonem. — I nie wiem, gdzie idziemy. Myślałam, że po prostu wyjdziemy i... coś wymyślimy.

— Jak to? Nie masz planu? Rozpiski każdego kroku?

Zdzielam go ręcznikiem po głowie.

— Uważaj, bo zaraz coś zaplanuję.

— Jezu, tylko nie to. — Wydaje mi się, że mówi poważnie, do chwili gdy odwraca się do mnie i widzę półuśmiezek na jego ustach. Znów go walę, ale szczerze mówiąc, odczuwam taką ulgę z powodu tego półuśmiešku, że mam ochotę się rozplakać.

Skup się, Anno.

— Buty. Muszę zmienić buty. — Wkładam trampki i chwytam zimowy płaszcz, czapkę i rękawiczki. — A gdzie twoja czapka?

Patrzy na mnie z ukosa.

— Mer? To ty? Mam też włożyć szalik? Będzie zimno, mamusiu?

— A marznij sobie, skoro chcesz. Mnie to nie obchodzi. — Ale on jednak wyciąga z kieszeni płaszcza swą wełnianą czapkę i wciąga ją na głowę. I uśmiecha się przy tym szeroko i promiennie, czym mnie całkowicie zaskakuje. Moje serce się zatrzymuje.

Gapię się na niego, aż w końcu, skonsternowany, przestaje się uśmiechać.

Tym razem to ja odzywam się zdławionym głosem.

— Chodźmy.

Rozdział 19

Jest! To mój plan.

St. Clair podąża wzrokiem za moim spojrzeniem, skierowanym na masywną kopułę. Fioletowo-szare niebo — to samo, które Paryż widzi codziennie, odkąd zrobiło się zimniej — przytłumiło ją, odarło ze złocistej poświaty, ale na mnie ona nadal robi ogromne wrażenie.

— Panteon? — upewnia się.

— No wiesz, jestem tu od trzech miesięcy, a wciąż nie mam pojęcia, co to jest. — Wchodzę na skrzyżowanie prowadzące do gigantycznej budowli.

St. Clair wzrusza ramionami.

— To po prostu panteon.

Zatrzymuję się i patrzę na niego oburzonym wzrokiem, a on mnie popycha, ratując przed nadjeżdżającym niebieskim autokarem.

— Ach, tak. Panteon. Głupio, że wcześniej na to nie wpadłam.

Spogląda na mnie kątem oka i się uśmiecha.

— Panteon to miejsce z grobowcami — sławnych ludzi, osób ważnych dla kraju.

— I to wszystko? — Odczuwam lekki zawód. Budynek wygląda, jakby złożono w nim zwłoki co najmniej kilku koronowanych głów lub coś w tym stylu.

Unosi brwi.

— Chodzi mi o to, że tu wszędzie są grobowce i pomniki. Czym ten różni się od innych? — Wspinamy się po stopniach, a ja czuję się przytłoczona wysokością kolumn, które pierwszy raz widzę z tak bliska.

— Nie wiem. Chyba niczym. Zresztą to raczej drugorzędny zabytek.

— Drugorzędny? Chyba żartujesz. — Teraz już jestem szczerze urażona. Lubię Panteon.

Kocham Panteon. — Kto jest w nim pochowany? — pytam prawie wrogo.

— Eee... Rousseau, Maria Curie, Louis Braille, Victor Hugo...

— Ten od *Dzwonnika z Notre Dame*?

— Ten sam. Voltaire. Dumas. Zola.

— Ho, ho. A widzisz. Nie powiesz, że to nie imponujące. — Kojarzę nazwiska, mimo że nie zawsze wiem, czym się poszczególne osoby zajmowały.

— Nic takiego nie twierdziłem. — Wyciąga portfel i płaci za nasze wejściówki. Chcę mu za nie zwrócić, bo w końcu to ja wymyśliłam ten wypad, ale St. Clair odmawia. — Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia — mówi, wręczając mi bilet. — Chodźmy popatrzeć na zmarłych.

Wita nas niewyobrażalna liczba kopuł, kolumn i łukowych sklepień. Wszystko jest ogromne i okrągłe. Na ścianach widnieją olbrzymie freski ze świętymi, wojownikami i aniołami. Kroczymy po marmurowej posadzce w oniemiałym milczeniu, nie licząc chwil, gdy St. Clair zwraca moją uwagę na jakiś istotny element, jak Joanna d'Arc lub św. Genowefa, patronka Paryża. Mówi, że św. Genowefa uratowała miasto od głodu. Myślę, że to była prawdziwa osoba, ale wstydzę się zapytać. Kiedy jestem z St. Clairem, dobitnie sobie uzmysławiam, jak mało wiem.

Z najwyższego punktu centralnej kopuły zwiesza się poruszająca się wahadłowo kula z brązu. Okej, teraz już nie mogę się powstrzymać.

— A to co?

St. Clair wzrusza ramionami i rozgląda się za tabliczką informacyjną.

— Szokujące. Myślałam, że wiesz wszystko.

Zauważa tabliczkę.

— Wahadło Foucaulta. Och, racja. — Spogląda w górę z podziwem.

Informacja jest po francusku, więc czekam na wyjaśnienia. Ale St. Clair milczy.

— I?

Pokazuje na okrąg na posadzce z wartościami pomiarowymi.

— To dowód, że Ziemia się kręci. Widzisz? Płaszczyzna wahań obraca się co godzinę.

Wiesz, to zabawne — dodaje, patrząc wysoko na sufit — ale wahadło nie musiało być aż tak duże, aby udowodnić założenie.

— Jakież to francuskie.

Uśmiecha się.

— Chodźmy, obejrzymy krypty.

— Krypty? — Sztywniej. — Takie krypty krypty?

— A gdzie, twoim zdaniem, spoczywają zwłoki?

Odchrząkuję.

— Racja. Jasne. Krypty. No to chodźmy.

— Chyba że się boisz.

— Na cmentarzu nie miałam problemu, prawda? — St. Clair tężeje, a ja jestem zrozpaczona. Nie mogę uwierzyć, że wspomniałam Père-Lachaise. Muszę szybko zająć go czymś innym. Potrzebuję czegoś do odwrócenia jego uwagi! Wykrzykuję to, co pierwsze przychodzi mi na myśl.

— Ścigajmy się! — I biegnę ku najbliższemu wejściu do podziemi. Odgłos moich walących o posadzkę butów roznosi się echem po całym budynku. Turyści się gapią.

Zaraz umrę ze wstydu!

Ale potem — St. Clair wymija mnie pędem. Zaskoczona, wybucham śmiechem i

przyspieszam. Biegniemy ramię w ramię, już prawie docieramy na miejsce, gdy nagle przed nami wyrasta zagniewany strażnik. Próbuje się zatrzymać i nieomal się przewracam, wpadając na St. Claira, który mnie przytrzymuje, żeby do tego nie doszło. A strażnik krzyczy na nas po francusku. Czerwienię się, ale nim zdążę wydukać przeprosiny, robi to St. Clair. Strażnik mięknie i puszcza nas po wygłoszeniu łagodnej reprimendy.

To samo co na Père-Lachaise. St. Clair idzie obok mnie dumny jak paw.

— Tobie to wszystko uchodzi na sucho.

Śmieje się. Nie zaprzecza, bo wie, że to prawda. Ale jego nastrój zmienia się, gdy tylko na widoku pojawiają się schody. Kręcona klatka schodowa prowadząca do krypt jest stroma i wąska. Moja irytacja przechodzi w niepokój, gdy widzę przerażenie w jego oczach. Zapomniałam, że ma lęk wysokości.

— Wiesz co... chyba nie chce mi się ich oglądać — mówię.

St. Clair strzela wzrokiem w moją stronę, więc się zamykam. Gotowy na wszystko, opiera dłoń o kamienną ścianę i posuwa się wolno w dół. Krok za krokiem. Schody nie są długie, ale przeżywamy na nich męczarnie. W końcu docieramy do ich podnóża, poganiani przez zniecierpliwione stado turystów. Zaczynam przeproszać — głupio zrobiłam, że go tu przywlekłam — ale mi przerywa.

— Ta krypta jest większa, niż sądziłem — mówi zdyszczanym i napiętym głosem. I nie patrzy na mnie.

Zmiana tematu. W porządku. Łapię aluzję.

— Słyszałam, jak ktoś mówił, że krypta rozciąga się pod całym budynkiem — dzielę się swoją wiedzą i dodaję: — Myślałam, że to będą niekończące się katakumby ozdobione trupimi szkieletami, ale nie jest tak źle.

— Nie ma czaszek i kości — dorzuca i śmieje się wymuszenie.

W gruncie rzeczy krypta jest dobrze oświetlona i panuje w niej przeraźliwy chłód. Ale jest też czysto, przestronnie i biało. W niczym nie przypomina lochów. Mimo to St. Clair nadal wydaje się podenerwowany i zawstydzony. Podchodzę do jakiejś rzeźby.

— Hej, zobacz! Czy to Voltaire?

Potem wchodzimy w korytarze. Jestem zadziwiona, że tak tu wszędzie pusto. Dużo wolnej przestrzeni, miejsca na przyszłe groby. Po jakimś czasie St. Clair wreszcie się rozluźnia i zaczynamy gadać o mało istotnych sprawach, jak na przykład niedawny test z matematyki lub dziwna kurtka, jaką ostatnio nosi Steve Carver. Już dawno tak ze sobą nie rozmawialiśmy i zaczynam odnosić wrażenie, że jest jak... niegdyś. Jednak potem słyszymy za nami pełen sarkazmu głos jakiegoś Amerykanina.

— Nie idźmy za nim, bo utkniemy tu na wieki.

St. Clair zamiera.

— Jak ktoś się boi kilku stopni, niech lepiej siedzi w domu.

Chcę się odwrócić, ale St. Clair chwyta mnie za ramię.

— Nie warto — mówi i popycha mnie w stronę następnego korytarza. Próbuję odczytać wyryte na ścianie nazwiska, ale jestem tak wściekła, że mam czarne plamki przed oczami. St. Clair nadal jest spięty. Muszę coś zrobić.

Mrużę oczy, aż wreszcie wzrok mi się wyostrza.

— Emily Zola. To dopiero druga kobieta, jaką tu widzę. O co w tym chodzi?

Ale zanim St. Clair zdąży odpowiedzieć, odzywa się zrzędlawy głos:

— Émile. — Odwracamy się i widzimy zadowolonego z siebie gościa w koszulce z napisem Euro Disney. — Émile Zola jest mężczyzną.

Moja twarz płonie. Łapię ramię St. Claira, żeby go odciągnąć, ale jest za późno.

— Émile Zola był mężczyzną — poprawia. — A ty jesteś dupkiem. I lepiej zajmij się swoimi sprawami, a ją zostaw w spokoju.

Ją zostaw w spokoju. Spokoju! Spokoju! Okrzyk odbija się echem od ścian krypty, a Euro Disney, zaskoczony wybuchem, wycofuje się do żony, która głośno wciąga powietrze. Wszyscy wokół gapią się na nas z rozdziawionymi ustami. St. Clair łapie mnie za rękę i ciągnie ku schodom, a ja strasznie się denerwuję tym, co się zaraz może wydarzyć. Adrenalina pcha go aż na samą górę kręconych schodów, lecz potem jego ciało nagle jakby się orientuje, co się dzieje, i St. Clair raptownie się zatrzymuje i niebezpiecznie odchyła w tył.

Podpieram mu plecy.

— Jestem tu.

Mocno zaciska moją dłoń. Delikatnie prowadzę go dalej, aż jesteśmy z powrotem pod kopułami, kolumnami i łukowymi sklepieniami, na otwartej przestrzeni parteru. St. Clair puszcza mnie i opada na najbliższą ławkę. Zwiesza głowę, jakby miał zwymiotować. Czekam, aż coś powie.

Ale on milczy.

Więc siadam na ławeczce obok niego. Ławka jest upamiętnieniem Antoine'a de Saint-Exupéry, który napisał *Małego księcia*. Zginął w wypadku lotniczym, więc pewnie jego szczątków nie wystarczyło na grobowiec na dole. Przyglądam się ludziom robiącym zdjęcia freskom. Przyglądam się strażnikowi, który nakrzyczał na nas wcześniej. Nie patrzę tylko na St. Claira.

W końcu podnosi głowę. Jego głos brzmi spokojnie.

— Poszukamy restauracji z indykiem?

Mijają godziny sprawdzania menu w różnych miejscach, zanim znajdujemy coś, co nam odpowiada. Poszukiwania przemieniają się w zabawę, wyprawę odkrywczą, coś, w czym możemy

się zatracić. Musimy zapomnieć o facecie z krypty. Musimy zapomnieć, że nie jesteśmy w domu.

Gdy w końcu znajdujemy restaurację, która się reklamuje, że obchodzi Święto Dziękczynienia, wiwatujemy z radości, a ja wykonuję taniec zwycięstwa. *Maitre d'* jest lekko wystraszony naszym entuzjazmem, lecz mimo wszystko prowadzi nas do stolika.

— Wspaniale — oświadcza St. Clair, gdy pojawia się główne danie. Unosi kieliszek gazowanej wody i szeroko się uśmiecha. — Za odnalezienie w Paryżu restauracji serwującej indyki.

Też się uśmiecham.

— Za twoją mamę.

Jego uśmiech nieco przygasa, ale po sekundzie na usta wypływa inny, za to cieplejszy.

— Za mamę.

Stukamy się kieliszkami.

— No więc, hm, możemy o tym nie rozmawiać, jeśli nie chcesz, ale jak ona się czuje? — Pytanie pada z mych ust, nim zdążę się powstrzymać. — Bardzo jest wymęczona radioterapią? Ma apetyt? Czytałam, że jeśli człowiek co wieczór nie nasmaruje się kremem, może dostać poparzeń. I tak się zastanawiałam... — Milknę na widok wyrazu jego twarzy. Ma taką minę, jakby wyrosły mi kły. — Wybacz. Wtykam nos w nie swoje sprawy. Już się za...

— Nie — przerywa mi. — Nie o to chodzi. Tylko że... jesteś pierwszą osobą, która wie coś na ten temat. Skąd... skąd ty...?

— Och. Hm. Tak się martwiłam, że zrobiłam rozeznanie. I stąd moja... wiedza — kończę nieco nieskładnie.

Przez chwilę siedzi i nic nie mówi.

— Dziękuję ci.

Opuszczam wzrok na serwetkę na moich kolanach.

— Przecież to nic takiego.

— Właśnie przeciwnie. Gdy próbuję rozmawiać o tym z Ellie, nie ma najmniejszego, cholernego pojęcia... — Przerywa, jakby się zorientował, że powiedział za dużo. — Tak czy inaczej, dzięki.

Znowu napotykam jego wzrok i widzę, że patrzy na mnie ze zdumieniem.

— Bardzo proszę — odpowiadam.

Resztę posiłku spędzamy na rozmowie o jego matce. I kiedy wychodzimy z restauracji, też o niej rozmawiamy. Idziemy wzdłuż Sekwany. Księżyc jest w pełni, świecą się latarnie i St. Clair mówi i mówi, aż w końcu ma się wrażenie, że zrobił się lżejszy o dobrych kilka kilogramów.

Zatrzymuje się.

— Nie chciałem tyle gadać.

Biorę głęboki oddech, wciągając w płuca przyjemny zapach rzeki.

— A ja się cieszę, że się wygadałeś.

Jesteśmy na ulicy, w którą skręciliśmy, żeby dotrzeć z powrotem do akademika. St. Clair patrzy na nią z wahaniem, a potem nagle rzuca niespodziewaną propozycję.

— Chodźmy do kina. Nie chcę jeszcze wracać.

Nie musi prosić dwa razy. Znajdujemy kino, w którym puszczają nowy film, amerykańską komedię, i oglądamy ją dwa razy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się śmiałam, a siedzący obok St. Clair śmieje się jeszcze bardziej. Dochodzi druga w nocy, gdy docieramy do akademika. Recepcja przy wejściu jest pusta, a światła w mieszkaniu Nate'a zgaszone.

— Chyba jesteśmy sami w całym budynku — zauważa St. Clair.

— W takim razie nikt nie będzie krzyczał, jeśli zrobię coś takiego! — Wskakuję na biurko w recepcji i paraduję po nim w tę i z powrotem. St. Clair wyśpiewuje na całe gardło jakąś piosenkę, a ja kołyszę się w jej takt. Kiedy kończy, wykonuję głęboki, pełen gracji ukłon.

— Szybko! — mówi.

— Co? — Zeskakuję z biurka. Pojawił się Nate? Widział nas?

Ale St. Clair biegnie ku klatce schodowej, otwiera drzwi i głośno krzyczy. Aż podskakujemy, gdy wraca do nas echo tego okrzyku, i potem już razem drzemy się na całe gardło. Wrażenie jest niesamowite. St. Clair goni mnie do windy, którą wjeżdżamy na dach. Trzyma się z dala od jego krańca, ale się śmieje, gdy pluje, próbując trafić w tablicę z reklamą bielizny. Silny wiatr mi to uniemożliwia, więc zbiegam dwa piętra niżej. Nasza klatka schodowa jest szeroka i niezbyt stroma, dlatego St. Clair biegnie niemal tuż za mną. Docieramy na jego piętro.

— Cóż — mówi. Po raz pierwszy od kilku godzin nasza rozmowa utyka w martwym punkcie.

Patrzę ponad jego ramieniem.

— Hm. Dobranoc.

— Zobaczymy się jutro? Na późnym śniadaniu w *crêperie*?

— Byłoby fajnie.

— Chyba że... — urywa raptownie.

Chyba że co? Waha się, zmienił zdanie? Chwila mija. Rzucam mu jeszcze jedno pytające spojrzenie, ale on się już odwraca.

— W porządku. — Jest mi trudno ukryć ton zawodu w głosie. — Widzimy się rano. — Idę do drzwi na klatkę schodową i przy nich oglądam się za siebie. Patrzy za mną. Unoszę rękę i macham. Stoi dziwnie nieruchomo. Popycham drzwi i wychodzę na klatkę, kręcąc głową. Nie rozumiem, czemu między nami raz jest normalnie, a zaraz potem tak dziwacznie. Jakbyśmy nie byli zdolni do zwykłych ludzkich interakcji. Zapomnij o tym, Anno.

Drzwi na klatkę otwierają się z hukiem.

Moje serce staje w miejscu.

St. Clair wygląda na zdenerwowanego.

— To był dobry dzień. Mój pierwszy dobry dzień od bardzo dawna. — Idzie wolno w moją stronę. — Nie chcę, żeby się kończył. Nie chcę być teraz sam.

— Och. — Nie mogę złapać oddechu.

Zatrzymuje się przede mną, lustrując badawczo moją twarz.

— Nie miałabyś nic przeciwko, gdybym z tobą został? Nie chcę sprawić ci kłopotu...

— Nie! To znaczy... — W głowie mi wiruje. Ledwie mogę zebrać myśli. — Tak. Tak.

Jasne. Chodź.

Przez chwilę stoi nieruchomo. A potem kiwa głową.

Zdejmuję z szyi łańcuszek i wkładam klucz do dziurki. St. Clair czeka za mną. Gdy otwieram drzwi, dłonie mi drżą.

Rozdział 20

St. Clair siedzi na podłodze i ściąga buty, które potem rzuca przez pokój. Uderzają w drzwi z głośnym plaśnięciem. To pierwszy odgłos, jaki rozlega się w moim pokoju od chwili, gdy do niego weszliśmy.

— Przepraszam. — Jest skrępowany. — Gdzie mam je postawić?

Ale nim zdążę się odezwać, on zaczyna szybko mówić.

— Ellie uważa, że powinienem polecieć do San Francisco. Już nieraz byłem bliski kupienia biletu, ale mama by tego nie chciała. Nie chce niczego, czego nie aprobuje ojciec. To by tylko pogorszyło sytuację.

Jestem zaskoczona tym nagłym wyznaniem.

— Czasami myślę, że ona... Ellie... że, no wiesz... — Zniża głos. — Chce, żebym wyjechał.

Nigdy nie mówi o swojej dziewczynie. Czemu więc robi to teraz? Nie mogę uwierzyć, że muszę stawać w jej obronie. Przenoszę jego buty i ustawiam równo koło łóżka, żeby uniknąć patrzenia mu w oczy.

— Prawdopodobnie ma już dosyć oglądania cię takim nieszczęśliwym. Jak my wszyscy — dodaję. — Ale jestem pewna, że... że nadal jak zawsze szaleje na twoim punkcie.

— Hm. — Przygląda się, jak odstawiam moje buty i opróżniam zawartość kieszeni. — A co z tobą? — pyta po minucie.

— Jak to?

Ogląda swój zegarek.

— Baczki. Zobaczysz go w przyszłym miesiącu.

Próbuje odbudować... co? Dzielącą nas granicę? Przypomnieć, że jest zajęty i ja również? Tyle że ja nie jestem. Nie tak naprawdę.

Jednak nie zdobędę się na powiedzenie tego teraz, gdy wspomniał o Ellie.

— Taa. Nie mogę się już doczekać naszego spotkania. To fajny gość, polubiłbyś go. Będę na występie jego kapeli. Toph to świetny chłopak, naprawdę byś go polubił. Mówiłam to już, prawda? Ale tak by było. Jest naprawdę... zabawny.

Zamknij się, Anno. Zamknij się.

St. Clair zapina i rozpina pasek zegarka.

— Jestem skonana — mówię. I to prawda. Jak zwykle nasze rozmowy mnie wyczerpały. Wczołguję się do łóżka, zastanawiając się, co zrobi on. Położy się na podłodze? Wróci do siebie? Ale St. Clair kładzie zegarek na biurku, wspina się na łóżko i układa na nim obok mnie. Leży na kołdrze, a ja pod nią. Ciągłe jesteśmy w ubraniach, choć bez butów, i sytuacja wygląda gorzej niż

niezręcznie.

St. Clair podrywa się nagle na nogi. Jestem przekonana, że zamierza wrócić do siebie, i nie wiem, czy odczuwam z tego powodu ulgę, czy zawód. Ale... on tylko gasi światło i w pokoju zapadają egipskie ciemności. Wraca do łóżka i uderza w nie nogą.

— Uff — stęka.

— Hej, uważaj, tu jest łóżko.

— Dzięki za ostrzeżenie.

— Proszę bardzo.

— Strasznie tu u ciebie zimno. Masz jakiś grzejnik albo coś w tym stylu?

— To wiatr. Okno jest nieszczelne, więc utknęłam ręcznik pod framugę. Ale mało to pomogło.

Oklepuje materac i znowu wślizguje się na łóżko.

— Oo — mruczy.

— Co?

— Pasek. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli...

Dziękuję Bogu, że nie widzi moich czerwonych policzków.

— Jasne, że nie. — I słucham plaskania skóry, gdy wyjmuję pasek ze szlufek przy spodniach, a następnie odkłada go ostrożnie na podłogę.

— Uhm. A mógłbym jeszcze...

— Nie.

— Och, spadaj. Nie mam na myśli spodni. Chcę tylko wejść pod koc. Ta bryza od okna jest okropna. — Wsuwa się pod narzutę i teraz leżymy tuż obok siebie. W moim wąskim łóżku. Śmieszne, ale nigdy sobie nie wyobrażałam, że pierwszy chłopak, który będzie spał u mnie w pokoju, będzie w nim, cóż... właśnie spał.

— Brakuje nam już tylko *Szesnastu świeczek* i gry w „Szczerość czy odwaga?”

St. Clair zaczyna kasłać.

— C...co?

— Mówię o filmie, zbrojeńcu. Przyszło mi po prostu na myśl, że już dawno nikogo u siebie nie nocowałam.

Chwila ciszy.

— Och.

— ...

— ...

— St. Clair?

— Taa?

— Wbijasz mi łokieć w plecy.

— O cholera. Przepraszam. — Zmienia pozycję, a potem jeszcze raz i jeszcze raz, aż jest nam wreszcie wygodnie. Jego jedna noga opiera się na mojej i choć dzieli nas materiał spodni, czuję się naga i bezbronna. Porusza się znowu i teraz już moja cała noga, od łydki do uda, opiera się na jego nodze. Czuję zapach jego włosów. Mhm.

Nie!

Przetykam ślinę i wychodzi mi to bardzo głośno. St. Clair znowu kaszle. Staram się nie wiercić. Po jakimś czasie — który mnie wydaje się godzinami, choć z pewnością chodzi tylko o minuty — jego oddech zwalnia, a ciało się rozluźnia. I ja też wreszcie zaczynam się rozluźniać. Pragnę zapamiętać jego zapach, dotyk — jego ramienia stykającego się z moim — pragnę pamiętać wrażenie, jakie robi na mnie jego zwarte, silne ciało. Nieważne, co się jeszcze wydarzy, ale ja będę to pamiętała do końca życia.

Przyglądam się jego profilowi. Ustom, linii nosa, rzęsom. Jest taki piękny.

Szyby w oknach brzęczą od uderzeń wiatru, z korytarza płynie miękkie buczenie fluorescencyjnych żarówek. St. Clair śpi mocno. Pewnie już dawno nie spał tak głęboko. Czuję nieprzyjemny ucisk w sercu. Czemu tak bardzo się nim przejmuję i czemu wolałabym, żeby było inaczej? Dlaczego ciągle mam przez niego zamęt w głowie?

O co w tym wszystkim chodzi? O pożądanie? A może o coś zupełnie innego? I czy to w ogóle możliwe, żebym czuła coś takiego do kogoś, wiedząc, że moje uczucia nie są odwzajemnione? Powiedział, że mnie lubi. Tak mówił. I mimo że był wtedy pijany, nie powiedziałby czegoś takiego, gdyby nie było w tym ziarnka prawdy. Tak czy nie?

Sama nie wiem.

Jak zawsze, gdy jestem z nim. Wtedy nigdy nic nie wiem. We śnie przysuwa się bliżej; jego ciepły oddech owiewa mi szyję. Nic nie wiem. Jest taki piękny, doskonały. Ciekawe, czy... czy...

W oczy wpada mi promień światła, więc je przymrużam. Jestem zdezorientowana. Dzień. Czerwone cyfry na moim budziku pokazują jedenastą dwadzieścia siedem. Ha. Czy to znaczy, że zasnęłam? Jaki to w ogóle dzień? I wtedy dostrzegam czyjeś ciało obok siebie. I prawie wyskakuję ze skóry.

A więc to nie był sen.

St. Clair śpi z rozchyłonymi ustami w skopanej pościeli. Jedno ramię opiera na moim brzuchu. Jego brzuch wystaje mu spod podciągniętej koszuli. Wpatruję się w niego jak zaczarowana.

A to ci dopiero. Spałam z St. Clairem.

Rozdział 21

To znaczy, nie spałam z nim w sensie, że spałam. Ale spałam.

Spałam w łóżku z chłopakiem! Z szerokim uśmiechem z powrotem zakopuję się w pościeli. Już się nie mogę doczekać, kiedy powiem Bridge. Tylko że... Co, jeśli ona coś wypaple Tophowi? I Mer też nie mogę pisać ani słowa, bo będzie zazdrosna. Co znaczy, że muszę również milczeć przy Rashmi i Joshu. Nagle uświadamiam sobie, że nie ma nikogo, komu mogłabym opowiedzieć o tym, co się wydarzyło. Czy to znaczy, że zrobiłam coś złego?

Leżę w łóżku tak długo, jak się da, w końcu jednak mój pęcherz zwycięża. Kiedy wracam z łazienki, St. Clair wygląda przez okno. Odwraca się w moją stronę i wybucha śmiechem.

— Ale fajnie wyglądasz. Włosy sterczą ci na wszystkie strony — mówi i przytyka do głowy rozcapierzone palce, jakby to były rogi.

— Lepiej spójrz na siebie.

— Och, ja mam tak specjalnie. Całe wieki mi zajęło, zanim załapałem, że aby uzyskać taki bałagan, muszę po prostu przestać się czesać.

— A więc twierdzisz, że ja w potarganych włosach wyglądam strasznie? — Zerkam do lustra i przekonuję się, że faktycznie przypominam rogatego potwora.

— Nie, bardzo mi się tak podobasz. — Uśmiecha się i podnosi swój pasek z podłogi. — Śniadanie?

Podaję mu buty.

— Jest już południe.

— Dzięki. W takim razie lunch?

— Najpierw muszę się wykapać.

Rozchodzimy się i po godzinie spotykamy znowu w jego pokoju. Drzwi do niego są uchylone; na korytarz wylewają się dudniące dźwięki francuskiego punk rocka. Jestem zaskoczona, bo po wejściu przekonuję się, że St. Clair posprzątał. Brudne ciuchy przeznaczone do prania zebrał na jedną kupkę i wyrzucił puste butelki i torebki po chipsach.

Spogląda na mnie z nadzieją w oczach.

— Dopiero zacząłem.

— Jest świetnie. — I pokój naprawdę wygląda lepiej. Uśmiecham się.

Dzień ponownie spędzamy na szwendaniu się po mieście. Wpadamy do kina na festiwal filmowy Danny'ego Boyle'a i jeszcze raz wybieramy się na spacer wzdłuż Sekwany. Uczę St. Claira puszczać kaczki; nie mogę uwierzyć, że tego nie umie. Zaczyna siąpić, więc chowamy się w księgarni naprzeciwko Notre Dame. Żółto-zielony napis na witrynie obwieszcza: „Shakespeare and

Company”.

W środku zastajemy totalny chaos. Przy ladzie tłoczy się tłum klientów i wszędzie, gdzie nie spojrzę, są książki. Mnóstwo książek. Ale to nie jest sieciowa księgarnia, gdzie wszystko jest równo poukładane na półkach i stołach. Tutaj książki stoją w chwiejnych stosikach na podłodze i na siedzeniach krzesel. Wysypują się z napęczniałych regałów. Leżą nawet w kartonach. A przy stosiku na schodach drzemie czarny kot. Ale najbardziej zadziwiającą rzeczą jest to, że wszystkie pozycje są po angielsku.

St. Clair dostrzega moje zdumienie i zachwyty.

— Nie byłaś tu nigdy wcześniej?

Kręcę głową, a on jest zaskoczony.

— Ta księgarnia jest całkiem sławna. Hej, spójrz... — Podnosi egzemplarz *Balzac and the Little Chinese Seamstress*. — Skądś znajome, co?

Przechadzam się po księgarni w oszołomieniu, podniecona, że otaczają mnie książki w moim rodzimym języku. Ale jestem też lekko przerażona, że coś strącę. Jeden nieprzemyślany ruch mógłby doprowadzić do katastrofy w całym lokalu. A my zginęlibyśmy, przywaleni morzem pożółkłych kartek.

Deszcz dzwoni w szyby witryny. Przeciskam się między grupą turystów do działu literatury pięknej. Nie wiem, czemu go szukam, ale nie mogę się powstrzymać. Christie. Cather. Caldwell. Burroughs. Brontë. Berry. Baldwin. Auster. Austen. Ashley. James Ashley.

Cały rząd powieści ojca. Sześć pozycji. Wyciągam egzemplarz *Incident* w twardej oprawie i krzywię się na widok znajomego obrazka na obwolucie z zachodem słońca.

— Co to? — pyta St. Clair.

Wystraszył mnie. Nie wiedziałam, że przy mnie stoi.

Zabiera mi powieść z ręki i w jego oczach pojawia się błysk zrozumienia. Przekłada strony i nagle z końcowej uśmiecha się do nas autorskie zdjęcie mojego ojca. Jest przesadnie opalony, a zęby połyskują sztuczną bielą. Ma na sobie lawendową koszulkę polo; włosy lekko zmierzwione wiatrem.

St. Clair unosi brwi.

— Nie widzę podobieństwa. Twój stary jest od ciebie sto razy ładniejszy.

Odpowiadam coś nerwowym bełkotem, a St. Clair puka mnie książką w ramię.

— Gorzej, niż myślałem. — Śmieje się. — Zawsze tak wygląda?

— Zawsze.

Otwiera obwolutę i czyta streszczenie na zakładce. Z niepokojem obserwuję jego twarz, na której po chwili pojawia się wyraz zaskoczenia. Widzę, że przerywa i odczytuje urywek ponownie. Podnosi na mnie wzrok.

— To o raku — mówi.

O mój Boże.

— Ta kobieta ma raka. Co się z nią stanie?

Nie mogę przełknąć śliny.

— Mój ojciec jest kretynem. Mówiłam ci, że to skończony dupek.

Zapada rozdzierająca cisza.

— Pewnie dużo tego wydaje?

Kiwam głową.

— I ludziom one się podobają? Lubią takie powieści?

— Tak mi przykro, St. Clair. — Do oczu napływają mi łzy. Jeszcze nigdy nie czułam takiej nienawiści do ojca jak w tym momencie. Jak on może? Jak śmie zbijać majątek na czymś tak straszliwym? St. Clair zamyka książkę i wkłada ją z powrotem na półkę. Wybiera następną, *Entrance*. Powieść o białaczce. Ojciec jest na zdjęciu w rozpiętej nonszalancko pod szyją koszuli, ręce trzyma skrzyżowane na piersiach i uśmiecha się tak samo idiotycznie jak poprzednio.

— To szajbus — mówię. — Totalny... skończony kretyn.

St. Clair prychnie i już ma zamiar coś powiedzieć, ale widzi, że płaczę.

— Nie, Anno. Anno, przepraszam.

— Nie, to ja przepraszam. Nie powinieneś tego oglądać. — Wyrrywam mu książkę i wpycham z powrotem do regału, potrącając kolejne książki, które spadają na ziemię. Schylamy się szybko, żeby je pozbierać, i zderzamy się głowami.

— Au! — stękam.

St. Clair trze czoło.

— Nic ci nie jest?

Wyszarpuję mu książki.

— Nie, nic. Wszystko w porządku. — Układam książki na półce i odchodzę w głąb księgarni, jak najdalej od St. Claira i ojca. Ale po kilku minutach St. Clair znów jest przy mnie.

— To nie twoja wina — zaczyna cichym głosem. — Rodziców się nie wybiera. Wiem, co mówię, Anno.

— Nie chcę teraz o tym rozmawiać.

— Rozumiem. — Pokazuje mi tomik poezji Pabla Nerudy. — Czytałaś to?

Potrząsam przecząco głową.

— I dobrze, bo ci go kupiłem.

— Co?

— Masz go w programie lektur z angielskiego w następnym semestrze. I tak musiałybyś sobie kupić. Otwórz — prosi.

Skonsternowana, otwieram i na pierwszej stronie widzę stempelek: „Shakespeare and Company, Kilometer Zero Paris”. Mrugam.

— *Kilometer Zero?* Czy to to samo co Punkt Zero? — Myślę o naszym pierwszym wspólnym spacerze po mieście.

— Na cześć starych dobrych czasów. — St. Clair się uśmiecha. — Chodźmy, przestało już padać. Wyjdźmy stąd.

Na ulicy milczę. Przechodzimy przez ten sam most, którym szliśmy pierwszej nocy — ja, jak wtedy, idę od strony poręczy, St. Clair od wewnętrznej — i St. Clair prowadzi rozmowę za nas oboje.

— Mówiłem ci już, że chodziłem w Stanach do szkoły?

— Co? Nie.

— No więc chodziłem. Przez rok. W ósmej klasie. I było okropnie.

— Wszyscy cierpią w ósmej klasie.

— Ja miałem gorzej. Rodzice dopiero co się rozstali i mama przeniosła się do Kalifornii. Nie byłem tam od wczesnego dzieciństwa, ale pojechałem z nią i poszedłem do jednej z tych strasznych publicznych szkół...

— Och, nie mów! Szkoła publiczna? Faktycznie koszmar!

Szturcha mnie łokciem.

— Inne dzieciaki były dla mnie okrutne. Nabijały się ze wszystkiego — mojego wzrostu, akcentu, tego, jak się ubierałem. Przysiągłem sobie, że nigdy tam nie wrócę.

— Ale przecież dziewczyny ze Stanów uwielbiają angielski akcent. — Wypalam to bez zastanowienia, a potem się modłę, żeby nie zauważył rumieńca na moich policzkach.

St. Clair podnosi kamyk i ciska go do rzeki.

— Nie te z gimnazjum. Zwłaszcza nie u chłopaka, który sięga im do kolan.

Śmieję się.

— Więc kiedy rok się skończył, rodzice znaleźli mi nową szkołę. Chciałem wrócić do Londynu, bo tam miałem kumpli, ale ojciec się uparł na Paryż. Żeby mógł mieć na mnie oko. I tak wylądowałem w amerykańskiej szkole.

— Jak często tam jeździsz? Mam na myśli Londyn.

— Nie tak często, jak bym chciał. Nadal mam tam znajomych i dziadków — rodziców ojca — więc dzieliłem wakacje między Londyn a San...

— Twoi dziadkowie pochodzą z Anglii?

— Dziadek. Babcia jest Francuzką. A drudzy dziadkowie są oczywiście Amerykanami.

— Ho, ho. Prawdziwy z ciebie mieszaniec.

St. Clair się uśmiecha.

— Rzekomo najbardziej jestem podobny do dziadka Anglika, ale chodzi pewnie o akcent.

— No, nie wiem. Ja zazwyczaj myślę o tobie właśnie jak o Angliku. Nie tylko ze względu na sposób mówienia, ale też, bo wyglądasz jak Anglik.

— Naprawdę? — Jest zaskoczony.

Uśmiecham się.

— Taa. Ta twoja... blada karnacja. Oczywiście mówię w pozytywnym znaczeniu — dodaję, gdy widzę, że się zaniepokoił. — Serio.

— Hm. — Zerka na mnie kątem oka. — Tak czy inaczej, w zeszłym roku latem nie mogłem już dłużej patrzeć na ojca, więc całe wakacje spędziłem z mamą.

— I jak było? Założę się, że dziewczyny już nie żartowały z twojego akcentu.

Parska śmiechem.

— Nie, nie żartowały. Ale ze wzrostem nie dało się nic zrobić. Już zawsze pozostanę niski.

— A ja zawsze będę dziwolągiem, jak mój ojciec. Wszyscy mówią, że jestem do niego podobna. Też jest taki... porządnicki.

St. Clair robi szczerze zdziwioną minę.

— A co w tym złego, że ktoś lubi porządek? Sam bym chciał być bardziej zorganizowany. I wiesz co, Anno, nie znam twojego ojca, ale założę się, że w ogóle nie jesteś taka jak on.

— Czemu tak uważasz?

— Cóż, po pierwsze, on wygląda jak lalka Ken. A ty jesteś piękna.

Potykam się i upadam na chodnik.

— Nic ci się nie stało? — pyta z niepokojem.

Nie patrzę mu w oczy, kiedy podaje mi rękę i pomaga wstać.

— Nie, nie! — zapewniam, strząsając żwir z dłoni. O mój Boże, naprawdę jestem dziwolągiem.

— Chyba zauważyłaś, jak faceci się na ciebie patrzą? — podejmuje temat.

— Jeśli nawet patrzą, to tylko dlatego, że ciągle robię z siebie pośmiewisko. — Podnoszę otartą dłoń.

— Choćby tamten gość, który właśnie cię obcina.

— Co? — Odwracam się i widzę, że jakiś młody mężczyzna z ciemnymi długimi włosami gapi się na mnie. — Dlaczego on tak patrzy?

— Pewnie dlatego, że mu się podoba to, co widzi.

Rumienię się, a St. Clair wyjaśnia.

— W Paryżu to normalne, że ludzie pokazują, że im się ktoś podoba. Francuzi nie odwracają wzroku, jak to ma miejsce w innych kulturach. Nie zauważyłaś?

St. Clair uważa, że jestem atrakcyjna. Nazwał mnie piękną.

— Hm, nie. Nie zauważyłam — odpowiadam.

— No to lepiej szerzej otwórz oczy.

Ale ja się gapię na nagie gałęzie drzew, na dzieci z balonikami w rękach, na grupę turystów z Japonii. Wszędzie, byleby nie na niego. A gdy znowu zatrzymujemy się przed Notre Dame, pokazuję na znajomą gwiazdę i, odchrząkując, pytam:

— Chcesz wypowiedzieć nowe życzenie?

— Ty pierwsza. — Przygląda mi się uważnie, jakby się nad czymś zastanawiał. I gryzie kciuk.

Tym razem nie umiem się powstrzymać. Myślałam o tym cały dzień. O nim. O naszej tajemnicy.

Chcę, żeby St. Clair spędził ze mną kolejną noc.

Wchodzi za mną na miedzianobrazową gwiazdę i zamyka oczy. Uzmysławiam sobie, że jego życzenie musi dotyczyć matki, i ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Ja zupełnie o niej zapomniałam, bo moje myśli krążą wyłącznie wokół jej syna.

Dlaczego jest zajęty? Czy byłoby inaczej, gdybym poznała go wcześniej od Ellie i gdyby jego mama nie zachorowała?

Powiedział, że jestem piękna, ale nie wiem, czy mówił to flirtujący, zaprzyjaźniony ze wszystkimi St. Clair, czy może wyznanie było bardziej osobiste. Czy widzę tego samego St. Claira co wszyscy? Nie, nie sędzę. Jednak mogę się doszukiwać w naszej przyjaźni czegoś bardziej znaczącego, bo pragnę to w niej znaleźć.

Mój niepokój ustępuje stopniowo podczas obiadu. Restauracja, w której jemy, jest cała w mahoniach, a rozpalony kominek tworzy przytulną atmosferę. Gdy z niej wychodzimy, jesteśmy najedzeni jak bąki, zwłaszcza pysznym czekoladowym musem.

— Wracajmy do domu — proponuje St. Clair, a moje serce na te słowa zaczyna bić szybciej.

Dom. Mój dom to jego dom.

Gdy docieramy do akademika, recepcja nadal jest pusta, ale ze swojego mieszkania wygląda Nate.

— Anno! Étienne!

— Cześć, Nate — witamy się.

— Miło spędziliście Święto Dziękczynienia?

— Tak. Dzięki, że pytasz, Nate — odpowiadamy.

— Czy mam do was później zajrzeć? Znacie zasady, prawda? Żadnego spania w pokoju odmiernej płci.

Oblewam się rumieńcem, na policzkach St. Claira też pojawiają się czerwone plamy. To prawda. Taka zasada istnieje. Zasada, którą mój umysł — kochający zasady i zawsze się im podporządkowujący — poprzedniej nocy zupełnie wyparł. Zasada, o której notorycznie zapomina również personel akademika.

— Nie, Nate. Nie musisz — zapewniamy.

Nate potrząsa łysą głową i znika w swoim mieszkaniu, lecz już po chwili drzwi otwierają się znowu i w naszą stronę leci garść czegoś niezidentyfikowanego. A drzwi zamykają się z trzaskiem.

Prezerwatywy. O mój Boże, ale upokorzenie.

St. Clair, który się pochyla i zbiera małe srebrne kwadraciki i wpycha je potem do kieszeni kurtki, jest czerwony jak rak. A gdy wchodzimy po schodach na moje piętro, nic do siebie nie mówimy. Nawet nie patrzymy w swoją stronę. Moje tętno rośnie z każdym krokiem. Czy St. Clair pójdzie ze mną, czy może Nate zniszczył wszelkie na to szanse?

Docieramy do podestu i St. Clair drapie się po głowie.

— Eee...

— Więc...

— Idę się przebrać do spania. Okej? — Jego głos brzmi poważnie i widać, że jest ciekaw, co odpowiem.

— Taa... Ja też pójde. Pójde się przebrać.

— Czyli do zobaczenia za minutkę?

Z ulgą wypuszczam powietrze.

— U ciebie czy u mnie?

— Zaufaj mi, nie chciałabyś spać w moim łóżku. — Wybuchła śmiechem, a ja muszę odwrócić twarz, bo właśnie, że bym chciała. Cholera, bardzo bym chciała. Ale wiem, o co mu chodzi. Moje łóżko faktycznie jest czystsze. Pędzę do siebie i wskazuję w spodnie od piżamy, te w truskawki, i w koszulkę z festiwalu filmowego w Atlancie. No bo przecież nie planuję nikogo uwieść.

Zresztą nie wiedziałabym nawet jak.

St. Clair puka kilka minut później i znów ma na sobie te białe spodnie w niebieskie paski i czarny T-shirt z logo francuskiej kapeli, której utworu słuchał wcześniej. Czuję, że zaczynam mieć problemy z oddychaniem.

— Obsługa hotelowa — mówi.

W głowie mam... pustkę.

— Ha, ha — śmieję się anemicznie.

On też się uśmiecha i gasi światło, a potem pakujemy się do łóżka i robi się absolutnie,

totalnie krępująco. Jak zawsze. Przekręcam się na bok, żeby leżeć jak najbliżej brzegu. Oboje jesteśmy spięci i sztywni. Uważamy, żeby się nie dotykać. Chyba jestem masochistką, skoro sama z własnej woli pakuję się w takie sytuacje. Powinnam się leczyć. Powinnam umówić się na wizytę do psychiatry lub powinni mnie zamknąć w pokoju bez klamek albo wsadzić w kaftan bezpieczeństwa, albo coś jeszcze.

Po dłuższej chwili ciszy, która mnie wydaje się wiecznością, St. Clair głośno wypuszcza powietrze i zmienia pozycję. Jego noga ociera się o moją, a ja się kurczę w sobie.

— Przepraszam — mówi.

— W porządku.

— ...

— ...

— Anno?

— No?

— Dzięki, że pozwalasz mi tu znowu spać. Zeszłej nocy...

Ucisk, jaki czuję w klatce piersiowej, jest nie do zniesienia. Co? Co, co, co?

— Już od dawna tak dobrze nie spałem.

W pokoju zalega cisza. Po jakimś czasie przekręcam się i bardzo wolno prostuję nogę, do chwili aż moja stopa napotyka jego stopę. St. Clair ostro wciąga powietrze. A ja się uśmiecham, bo wiem, że w ciemności nie może zobaczyć mojej miny.

Rozdział 22

W sobotę znowu szwendamy się po mieście, cośjemy i idziemy do kina, a potem dochodzi do krępującej rozmowy na schodach, która się kończy obecnością ciepłego ciała w moim łóżku. Potem następuje pełne napięcia układanie się i szukanie wygodniej pozycji, i wreszcie sen.

Ale nawet z tymi krępującymi momentami jeszcze nigdy tak dobrze nie spędziłam ferii.

Jednak w niedzielę rano sytuacja się zmienia. Kiedy się budzimy, St. Clair, prostując ramiona, niechcący trafia ręką w mój biust. Co nie tylko cholernie boli, ale też oboje nas wprawia w straszliwe zakłopotanie. Potem przy śniadaniu znowu robi się zdystansowany. Sprawdza wiadomości w telefonie, a ja gadam. Gapi się na ulicę przez okno kawiarni. I zamiast zwiedzać Paryż, mówi, że ma lekcje do odrobienia.

Jestem przekonana, że to prawda. Ostatnio nie bardzo przykładał się do nauki. Ale w jego głosie jest coś odstręczającego. Znam prawdziwy powód, dla którego się wycofuje. Uczniowie wracają do akademika. Josh, Rashmi, Mer będą tu wieczorem.

Podobnie jak Ellie.

Staram się nie brać jego zachowania do siebie, ale to boli. Zastanawiam się nad pójściem do kina, w końcu jednak wybieram pracę domową z historii. A potem sama przed sobą udaję, że ją odrabiam, choć tak naprawdę ciągle tylko nasłuchuję, co się dzieje piętro wyżej. St. Clair jest tak blisko, a zarazem tak daleko. Gdy zaczynają się pojawiać uczniowie, w Résidence Lambert robi się coraz głośniejsze i jest mi coraz trudniej rozróżniać poszczególne dźwięki. Już nawet nie wiem, czy St. Clair nadal siedzi u siebie.

Koło ósmej wpada Mer i wybieramy się razem na kolację. Mer paple o pobycie w Bostonie, ale moje myśli są gdzie indziej. Pewnie jest teraz z nią. Przypominam sobie moment, gdy zobaczyłam ich razem po raz pierwszy — jak się całowali, a ona wsuwała mu ręce we włosy — i tracę apetyt.

— Jesteś dzisiaj bardzo milcząca — zauważa Mer. — Jak ci minęły ferie? Zdołałaś wyciągnąć St. Claira z pokoju?

— Poniekąd. — Nie mogę jej opowiedzieć o naszych nocach, ale z jakiegoś powodu nie chcę też opowiadać, co robiliśmy za dnia. Chcę zachować te wspomnienia dla siebie. W tajemnicy.

Ich pocałunek. Dłoń Ellie w jego włosach. Żołądek mi się wywraca.

Mer wzdycha.

— A ja miałam nadzieję, że wreszcie wylezie ze swojej skorupy. Trochę pospaceruje, powdycha świeżego powietrza. No wiesz, poszaleje.

Ich pocałunek. Dłoń Ellie w...

— Hej, wy chyba nie zrobiliście nic wariackiego, gdy nas nie było, co? — niepokoje się nagle Mer.

Prawie dławię się kawą.

Następne kilka tygodni mijają mi jak we mgle. Jest więcej nauki, bo *professeurs* chcą nadgonić z programem. Dlatego często siedzimy po nocach i kujemy, szykując się do końcowych egzaminów. Po raz pierwszy zauważam, że w tej szkole panuje naprawdę duża rywalizacja. Uczniowie poważnie traktują naukę i w akademiku jest niemal tak cicho jak podczas Świąt Dziękczynienia, gdy nikogo tu nie było.

Przychodzą odpowiedzi z wyższych uczelni. Przyjęto mnie do wszystkich, do których złożyłam podanie, ale prawie nie mam czasu tego świętować. Rashmi dostaje się do Browna, Meredith do dwóch wymarzonych przez nią uczelni — jednej w Londynie, drugiej w Rzymie. St. Clair nie rozmawia o studiach. Żadne z nas nie wie, gdzie złożył podanie, ani czy w ogóle złożył, a on zmienia temat, ilekroć go poruszamy.

Jego matka skończyła chemoterapię i ma ostatni tydzień zewnętrznej radioterapii. W przyszłym tygodniu, gdy wszyscy już będziemy w domu, rozpocznie pierwszą wewnętrzną radioterapię. Wymaga to trzech dni pobytu w szpitalu i ja się cieszę, że St. Clair będzie wtedy przy matce. Twierdzi, że jest w dobrym nastroju i że dobrze się czuje — na tyle, na ile jest to możliwe w danych okolicznościach — ale St. Clair niecierpliwie czeka, aż się o tym przekona na własne oczy.

Dzisiaj mamy pierwszy dzień żydowskiego święta Chanuka i z tej okazji nauczyciele nie zadali nam lekcji i nie robili sprawdzianów.

Cóż, głównie ze względu na Josha.

— Jestem jedynym Żydem w ASP — mówi, przewracając oczami. Jest poirytowany i nic dziwnego, bo kretyni typu Steve'a Carvera przy śniadaniu klepią go po plecach i mu dziękują.

Razem z przyjaciółmi jesteśmy w domu towarowym. Korzystając z wolnego popołudnia, robimy zakupy. W sklepie jest pięknie w ten znajomy sposób. Błyszczące czerwone i złote wstążki spływają z podwieszonych pod sufitem świątecznych wieńców. Zielone girlandy i białe światełka zdobią boki ruchomych schodów i kontuarów. A z głośników płynie amerykańska piosenka.

— A skoro już o tym mowa — zwraca się Mer do Josha. — Ciebie chyba nie powinno tu być, co?

— Dopiero od zmierzchu, moja katolicka przyjaciółko, od zmierzchu. Choć w gruncie rzeczy... — Josh spogląda na Rashmi — chyba powinniśmy już lecieć, jeśli nie chcemy się spóźnić na kolację w Marais. Nie mogę się już doczekać na moje latkes.

Rashmi sprawdza godzinę w telefonie.

— Masz rację. Lepiej chodźmy.

Żegnają się i zostajemy we troje. Jestem zadowolona, że Meredith jest z nami. Od Święta Dziękczynienia moje stosunki z St. Clairem uległy oziębieniu. Ellie to jego dziewczyna, a ja jestem tylko przyjaciółką. I coś mi się zdaje, że gnębią go wyrzuty sumienia za to, że pozwolił sobie przekroczyć granice. Ja natomiast czuję się winna, że go do tego zachęcałam. Żadne z nas nie wspomina słowem tamtego weekendu i mimo że nadal siedzimy obok siebie na posiłkach, to między nami tkwi teraz to coś. Nasze kontakty nie są już tak swobodne jak wcześniej.

Na szczęście nikt tego nie zauważa. Taką mam przynajmniej nadzieję. Raz tylko widziałam, jak Josh mówił coś po cichu do St. Claira i wskazywał na mnie. Nie wiem, o czym była mowa, ale St. Clair pokręcił głową na znak, żeby Josh się zamknął. Ale mogło im chodzić o cokolwiek.

Coś przykuwa moją uwagę.

— Czy to... melodia z *Looney Tunes*?

Mer i St. Clair nastawiają uszu.

— Chyba tak — potwierdza St. Clair.

— Kilka minut temu słyszałam *Love Shack* — dodaje Mer.

— W takim razie to już pewne, Ameryce w końcu udało się zniszczyć Francję — oświadczam.

— To co, wracamy? — St. Clair unosi małą prezentową torebkę. — Ja już kupiłem wszystko co trzeba.

— Ooo, a co takiego? — ciekawi się Mer. Zagląda do torebki i wyciąga z niej delikatną błyszczącą chustkę. — To dla Ellie?

— O cholera.

Mer nieruchomieje.

— Nie kupiłeś nic dla Ellie?

— Nie, chustka jest dla mamy. Wrrr. — Mierzwi ręką włosy. — Nie będziecie miały nic przeciwko temu, że w drodze powrotnej zajrzemy jeszcze do Sennelier?

Sennelier to słodki mały sklepik z artykułami dla artystów, taki, z powodu którego chciałabym mieć jakiś pretekst do zakupienia zestawu farb olejnych i pasteli. Mer i ja poszłyśmy tam z Rashmi w zeszłym tygodniu, bo Rashmi chciała kupić nowy szkicownik dla Josha na Chanukę.

— Ho, ho, gratulacje, St. Clair — odzywam się. — Zdobywasz dzisiaj główną nagrodę dla najbardziej kiepskiego chłopaka roku. A myślałam, że to Steve jest najgorszy. Widzieliście, co się dzisiaj stało na matmie?

— Masz na myśli to, że Amanda przyłapała go na pisaniu sprośnych SMS-ów do Nicole? — upewnia się Mer. — Już się bałam, że dźgnie go ołówkiem w szyję.

— Byłem zajęty — tłumaczy się St. Clair.

Zerkam w jego stronę.

— Przecież tylko żartowałam.

— Cóż, mogłabyś sobie odpuścić te swoje idiotyczne żarty.

— Wcale nie są idiotyczne, a ty nie musisz być taki nadęty...

— Odchrząń się, dobra? — Wyrywa torebkę z rąk Mer i posyła mi wściekłe spojrzenie.

— Hej! — stopuje nas Mer. — Jest Boże Narodzenie. Przestańcie się kłócić.

— My się nie kłócimy — odpowiadamy jednocześnie.

Mer kręci głową.

— St. Clair ma rację. Chodźmy stąd, bo od tego miejsca dostaję już ciarek na całym ciele.

— A ja uważam, że jest ślicznie przystrojone — mówię. — Zresztą wolę patrzeć na wstążki niż na martwe króliki.

— Tylko znowu nie króliki — jęczy St. Clair. — Jesteś tak samo upierdliwa jak Rashmi.

Przeciskamy się przez świąteczny tłum.

— Bo rozumiem jej przygnębienie! To, jak te zwierzęta wisiały, jakby zdechły od wykrwawienia się przez nos. Straszne. Biedna Isis. — Wszystkie sklepy w Paryżu przeszły same siebie w ustrajaniu witryn i rzeźnicy nie stanowili w tym wyjątku. Mijam martwe króliki za każdym razem, gdy udaję się do kina.

— W razie gdybyś nie zauważyła, Isis żyje i czuje się świetnie na swoim szóstym piętrze — irytuje się St. Clair.

Wychodzimy szklanymi drzwiami na ulicę. Pełno tu spieszących się przechodniów, tak że przez chwilę mam wrażenie, że jestem z wizytą u ojca na Manhattanie. Ale zaraz pojawiają się znajome latarnie, ławeczki i bulwary i iluzja znika. Niebo jest białoszare. Wygląda, jakby za chwilę miał spaść śnieg, ale to nigdy nie następuje. Klucząc między przechodniami, zmierzamy w stronę metra. Jest chłodno, ale nie przejmująco chłodno; w powietrzu unosi się dym z kominów.

St. Clair i ja kontynuujemy naszą sprzeczkę na temat królików. Wiem, że jemu też nie podobają się wystawy z nimi, ale z jakiegoś powodu ma ochotę na kłótnię. Mer jest nami zmęczona.

— Przestaniecie wreszcie? Psujecie mi świąteczny nastrój.

— Tak przy okazji świątecznego nastroju — zaczynam, zwracając się do Mer, ale wcześniej spoglądając wymownie na St. Claira. — Nadal mam ochotę na przejażdżkę na jednym z tych diabelskich młynów rozstawionych przy Polach Elizejskich. Albo na tym wielkim przy placu Zgody. Tym, co jest tak pięknie podświetlony.

St. Clair zerka na mnie ze złością.

— Poprosiłabym cię, żebyś mnie tam zabrał, ale wiem, co odpowiesz — mówię i

natychmiast robi mi się wstyd. Mam wrażenie, jakbym go spoliczkowała. Boże, co się ze mną dzieje?

— Anno — rzuca z wyrzutem Mer.

— Przepraszam. — Spuszczam wzrok. — Nie wiem, czemu to powiedziałam.

Facet z czerwonymi policzkami, stojący przed supermarketem, głośno wyklina. Sprzedaje kosze wypełnione ostrygami w lodzie i choć musi mieć zmarznięte dłonie, bez zastanowienia zamieniłabym się z nim miejscami. Błagam, St. Clair, powiedz coś.

Ale on tylko wzrusza ramionami.

— Nic się nie stało.

— Anno, miałaś ostatnio jakieś wiadomości od Tophy? — pyta Mer, koniecznie chcąc zmienić temat.

— Taa. Właśnie wczoraj wieczorem przysłał mejla. — Tak szczerze, to od jakiegoś czasu nie myślę za wiele o Tophie. Ale skoro St. Clair znowu definitywnie i nieodwołanie usunął się z obrazka, zaczynam się zastanawiać, co mnie czeka podczas świątecznej przerwy. Ostatnio rzadko rozmawiałam z Tophem i Bridge, bo byli zajęci kapelą i jak my wszyscy przygotowani do egzaminów. Tym bardziej więc wczorajsza wiadomość mnie zaskoczyła i... podekscytowała.

— I co pisał? — docieka Mer.

wybacz, że się nie odzywałem, ale ciągle mamy próby. to zabawne o tych gołębiach karmionych ziarnem z antykoncepcyjnymi środkami. paryżanie są szaleni. powinni dodawać te środki do naszej szkolnej pizzy. w tym roku zaciążyło co najmniej sześć dziewczyn. bridge mówi, że będziesz na naszym występie. czekam na to, annabel lee. do zobaczenia. toph.

— Niezbyt długi mejl, ale pisze, że czeka — dodaję. Mer szeroko się uśmiecha.

— Ty pewnie też już dostajesz świra.

Wzdrygamy się na odgłos tłukącego się szkła. To St. Clair kopnął butelkę, która wpadła do rynsztoka.

— A tobie co? — pyta ze zdziwieniem Mer. Ale on odwraca się do mnie.

— Miałaś już okazję zajrzeć do tego tomiku poezji ode mnie?

Jestem tak zaskoczona pytaniem, że odpowiadam dopiero po dłuższej chwili.

— Eee, jeszcze nie. Mamy go przecież przeczytać dopiero na następny semestr. —

Zwracam się do Mer i wyjaśniam: — Dostałam tomik poezji Nerudy.

Mer szybko odwraca głowę w stronę St. Claira, ten jednak unika jej spojrzenia.

— No tak, cóż. Tak sobie tylko pytam. Bo nic nie wspominałaś... — Milknie zniechęcony.

Rzucam mu pełne zdziwienia spojrzenie, a potem powracam do Mer. Ona też jest przybita,

a ja odnoszę wrażenie, że coś mi umknęło. Nie, ja wiem, że coś mi umknęło. Zaczynam gadać, żeby zapęlić niezręczną ciszę.

— Tak się cieszę, że jadę do domu. Mam lot o szóstej rano w tę sobotę, więc muszę wstać okropnie wcześnie, ale warto. Dzięki temu zdążę zobaczyć występ Penny Dreadfuls. Ma być w sobotę wieczorem — dodaję.

Głowa St. Claira gwałtownie podrywa się do góry.

— O której odlatujesz?

— O szóstej rano — powtarzam.

— Ja też — mówi. — I mam przesiadkę w Atlancie. Założę się, że lecimy tym samym samolotem. Powinniśmy wziąć jedną taksówkę na lotnisko.

Czuję w żołądku jakiś ucisk. Sama nie wiem, czy chcę z nim jechać. Te nasze sprzeczki i godzenie się są takie dziwne. Szukam jakiejś wymówki, ale właśnie mijamy bezdomnego mężczyznę z postrzępioną brodą. Leży przy wejściu do metra, obłożony kartonami, żeby było mu cieplej. St. Clair szpera w kieszeniach i wrzuca wszystkie znalezione drobnaki do kubka.

— *Joyeux Noël*. — Odwraca się do mnie. — No więc jak? Wspólna taksówka?

Przed odpowiedzią zerkam za siebie na bezdomnego, który oniemiałym wzrokiem wpatruje się w pieniądze na dłoni. Lód skuwający me serce pęka.

— O której się spotkamy?

Rozdział 23

Ktoś wali pięścią w drzwi. Otwieram gwałtownie oczy i moja pierwsza sensowna myśl brzmi: *-ai, -as, -a, -âmes, -âtes, -èrent*. Dlaczego śnię o końcówkach czasu przeszłego czasowników zakończonych na „er”? Jestem nieprzytomna. Strasznie zmęczona. Straaasznie śpią... Co, co, co? Kolejna seria walenia jak na pożar wyrывa mnie z otępienia. Zezuję na budzik. Kto, do diabła, dobija się do mnie o czwartej nad ranem?

Chwila. Czwarta rano? Czy przypadkiem nie miałam...

O, nie. Nie, nie, nie.

— Anno? Anno, jesteś tam? Czekam na ciebie w lobby od kwadransa. — Rozlega się jakieś szurgotanie, a potem przekleństwa dobiegające z poziomu podłogi. — I widzę, że się u ciebie nie pali. Świetnie. Mogłaś dać znać, że wyjeżdżasz beze mnie.

Wyskakuję z łóżka jak oparzona. Zaspałam! Nie mogę uwierzyć, że zaspałam! Jak mogło do tego dojść?

Słysząc dudnienie kroków oddalającego się St. Claira i szuranie ciągniętego bagażu. Szybko otwieram drzwi i natychmiast mrugam i przysłaniam oczy, bo choć o tej porze żarówki w korytarzu są przyciemnione, to ich blask i tak mnie razi.

St. Clair odwraca się i robi zdumioną minę.

— Anna?

— Pomocy — mówię zduszonym głosem. — Szybko, pomóż mi.

Upuszcza walizkę i biegnie ku mnie.

— Co ci jest? Co się stało?

Wciągam go do pokoju i zapalam światło. Ujawnia się chaos. Moja otwarta walizka i piętrzące się w niej ubrania niczym akrobaci. Rozrzucone przy umywalce przybory toaletowe. Skotłowana pościel. I ja. Zbyt późno sobie przypominam, że nie tylko mam na głowie ptasie gniazdo, a twarz wysmarowaną kremem na pryszcze, ale też że jestem w dwuczęściowej piżamie w obrazki z Batmanem.

— Nie wierzę — mówi St. Clair, dusząc się śmiechem. — Zaspałaś? Obudziłem cię?

Opadam na ziemię i zaczynam histerycznie upychać ciuchy w walizce.

— Jeszcze się nie spakowałaś?

— Chciałam skończyć rano! Mógłbyś mi, do cholery, pomóc? — Szarpię się z suwakiem, w którym zacina się kawałek piżamy, akurat na znaczku Batmana, a ja klnę z frustracji.

Spóźnimy się na samolot. I to z mojej winy. A kto wie, kiedy odlatuje drugi. Może dopiero następnego dnia. Nie zdążę na występ Bridge i Topha. I mama St. Claira będzie płakała, bo się

okaże, że musi sama jechać do szpitala na pierwszą serię radioterapii, bo jej syn utknął na lotnisku po drugiej stronie świata. I to będzie moja wina!

— Już dobrze, dobrze. — Chwyta za suwak i wyszarpuje spod niego zakleszczony kawałek piżamy. Wydaję z siebie dziwny dźwięk, coś pomiędzy jęknięciem a skrzekiem. Suwak wreszcie puszcza i St. Clair kładzie mi ręce na ramionach, żeby mnie uspokoić. — Ubierz się. I zmyj twarz. Ja zajmę się resztą.

Taa, wszystko po kolei. Dam sobie radę. Na pewno.

Wrrrr!

St. Clair pakuje moje ciuchy. Nie myśl o tym, że dotyka twojej bielizny. Nie myśl o tym! Sięgam po ubranie, w którym mam jechać — szczęśliwie przygotowałam je poprzedniego dnia — i zamieram.

— Hm...

St. Clair spogląda na mnie i widzi, że stoję nieruchomo z dzinsami w rękach. Zaczyna się jąkać:

— Ja... ja.. wyjdę...

— Odwróć się. Po prostu się odwróć. Nie mamy czasu!

Robi to pospiesznie i zwiesza nisko głowę na dowód, że naprawdę nie patrzy.

— No więc, co się stało?

— Nie wiem. — Kolejne zerknięcie, aby się upewnić, że nadal nie patrzy, a potem jednym ruchem ściągam piżamę. Jestem teraz oficjalnie zupełnie naga, stojąc w tym samym pokoju z najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego znam. Zabawne, ale nie tak wyobrażałam sobie tę chwilę.

Nie. Nie zabawne. Na sto procent dokładne przeciwieństwo zabawnego.

— Wydaje mi się, że chciałam wcisnąć guzik drzemki w budziku — trajkoczę, żeby pokryć zmieszanie. — Ale chyba się pomyliłam i zwyczajnie wyłączyłam alarm. Tylko że ustawiłam też alarm w komórce, więc nie wiem, co się mogło stać.

Teraz wkładam majtki. Szybko.

— A uaktywniłaś dźwięk w komórce?

— Co? — Wskakuję w dzinsy, czyniąc hałas, który St. Clair umyślnie ignoruje. Jego uszy są szkarłatnoczerwone.

— Byłaś wczoraj w kinie, prawda? Nie ustawiłaś wtedy telefonu na tryb milczący?

Ma rację. Ależ jestem głupia. Gdybym nie zabrała Meredith na *Hard Day's Night*, film z Beatlesami, jej ulubiony, na pewno nie wyłączyłabym głośności w komórce. I już ja i St. Clair bylibyśmy w taksówce jadącej na lotnisko.

— Taksówka! — Wciągam sweter przez głowę i spoglądam przed siebie, i widzę, że stoję tuż naprzeciwko lustra.

Lustra, do którego St. Clair jest zwrócony twarzą.

— Nie denerwuj się — uspokaja. — Przed przyjściem tutaj poprosiłem taksówkarza, żeby zaczekał. Będziemy tylko musieli dać mu większy napiwek. — Głowę ma nadal opuszczoną. Nie sędzę, że coś widział. Odchrząkuję, a on zerka przed siebie. Nasze spojrzenia spotykają się w lustrze i St. Clair podskakuje.

— Boże! Ja nie... to znaczy ja dopiero teraz...

— W porządku. Nie ma sprawy. — Próbuję się otrząsnąć z zawstydenia i odwracam wzrok. On robi to samo. Policzki mu płoną. Przeciskam się do umywalki i zmywam białą skorupę z twarzy, a St. Clair w tym czasie wrzuca moją szczoteczkę, dezodorant i zestaw do makijażu do torby. A potem zbiegamy schodami do lobby.

Na szczęście taksówkarz czeka na nas z papierosem zwisającym z ust i zniecierpliwionym wyrazem twarzy. Narzeka na coś po francusku, ale St. Clair zwraca mu ostro uwagę i już po chwili pędzimy ulicami Paryża, przejeżdżając czerwone światła i wpychając się przed inne pojazdy. Z przerażenia zamykam oczy i kurczowo chwytam się oparcia.

Taksówka zatrzymuje się z piskiem, a my lądujemy na oparciu przednich siedzeń.

— Dotarliśmy na miejsce. Nic ci nie jest? — pyta St. Clair.

— Nie, nic — kłamię.

Płaci taksówkarzowi, który odjeżdża bez przeliczania pieniędzy. Próbuję mu wcisnąć kilka banknotów, ale on kręci głową i mówi, że przejazd był na jego koszt. Jestem tak zdenerwowana, że choć raz postanawiam nie oponować. Rzucamy się biegiem do właściwego terminalu, odprawiamy bagaże, przechodzimy przez stanowisko ochrony i szukamy naszego wyjścia. I wtedy St. Clair pyta:

— A więc Batman, tak?

Pieprzony St. Clair.

Splatam ramiona i opadam na najbliższe plastikowe krzeselko. Jestem zupełnie nie w nastroju na takie żarty. St. Clair siada obok i opiera ramię na oparciu krzesła z drugiej strony. Siedzący naprzeciw nas mężczyzna jest pochłonięty czytaniem czegoś w laptopie, a ja udaję, że jestem pochłonięta wpatrywaniem się w jego laptopa. No, w tył jego laptopa.

St. Clair nuci coś pod nosem, a potem, ponieważ nadal milczę, zaczyna śpiewać głośniej:

— „Dzwonki dzwonią, Batman śmierdzi, Robin zatkał nos...”

— Tak, jasne. Kapuję. Ha, ha. Ale śmieszne.

— Co? Przecież to tylko świąteczna piosenka. — Szeroko się uśmiecha i wraca do śpiewania: — „Batmobil sunie już po autostradzie wprost!”

— Zaraz, zaraz. — Marszczę czoło. — Jak to było?

— Co jak było?

— To nie te słowa.

— Jak nie te? A według ciebie, jak to leci?

Klepię się po kieszeni kurtki, żeby sprawdzić, czy mam przy sobie paszport. Uff. Mam.

— A tak: „Dzwonki dzwonią, Batman śmierdzi, Robin znosi jajo...”

St. Clair prycha.

— Znosi jajo? Robin nie znosił jaj...

— „Batmobil pędzi już, a Joker sunie za nim”.

Patrzy na mnie przez chwilę, a potem z pełnym przekonaniem oświadcza:

— Nie. To nie tak.

— A właśnie że tak. Zresztą, skąd ta autostrada w twojej wersji? To nie ma sensu.

— Chodzi o M1. Tę, co łączy Londyn z Leeds.

Teraz ja prychem.

— Batman jest Amerykaninem. Nie jeździ M1.

— Kiedy jest na wakacjach, jeździ.

— Ale on nie ma czasu na wakacje.

— Czemu sprzeczymy się o Batmana? — Nachyla się. — Próbujesz uniknąć właściwego tematu. Tego, że ty, Anno Oliphant, dzisiaj zaspalaś.

— Dzięki.

— Ty. — Szturcza mnie palcem w udo. — Zaspalaś.

Znów skupiam wzrok na laptopie faceta naprzeciwko.

— Taa... Już mówiłeś.

Posyła mi przewrotny uśmiezek i wzrusza ramionami, a raczej całym ciałem, i przy tym geście z Anglika przemienia się we Francuza.

— Hej, przecież zdążyliśmy, więc ostatecznie nic się nie stało.

Wyciągam z plecaka książkę, *Your Movie Sucks*, zbiór ulubionych recenzji złych filmów Rogera Eberta. Na znak, żeby St. Clair zostawił mnie w spokoju. Chwyta aluzję, osuwa się niżej i zaczyna przytupywać, stukając stopami w brzydką niebieską wykładzinę.

Mam wyrzuty sumienia, że jestem dla niego taka oschła. Gdyby nie on, przegapiłabym lot. Błądząc myślami gdzie indziej, bębni palcami po brzuchu. Jego włosy tego poranka są wyjątkowo potargane. To pewne, że nie wstał dużo wcześniej ode mnie, ale, jak zawsze, „łózkowa fryzura” u niego wygląda atrakcyjniej. Czując bolesne ukłucie w sercu, przypominam sobie te inne wspólne poranki. Święto Dziękczynienia. Jeszcze nie poruszaliśmy tego tematu.

Pracownica lotniska znudzonym głosem zawiadamia, najpierw po francusku, potem po angielsku, że już można przechodzić do samolotu. Postanawiam być miła i odkładam książkę.

— Jakie mamy miejsca?

Zagląda do swojej karty pokładowej.

— Czterdzieści pięć G. Masz swój paszport?

Ponownie klepię się po kurtce.

— Mam.

— To dobrze. — I nagle jego dłoń ląduje w mojej kieszeni. Łomoce mi serce, ale on tego nie zauważa. Wyciąga paszport i go otwiera.

Chwila. Po co mu mój paszport?

Jego brwi wystrzeliwiają w górę. Próbuję odzyskać dokument, ale St. Clair trzyma go poza moim zasięgiem.

— Dlaczego masz tu zeza? — Śmieje się. — Przeszłaś jakąś operację oczu, o której nie wiem?

— Oddawaj! — Znów się na niego rzucam, żeby dorwać paszport, ale nadaremnie.

Zmieniam więc taktykę i sięgam do jego kurtki po jego paszport.

— Nie!

Otwieram i widzę... małego St. Claira.

— Człowieku, jak stare jest to zdjęcie?

Rzuca mi mój paszport i wyszarpuje swój.

— Byłem w gimnazjum.

Nie mam czasu na komentarz, bo wzywają nasz rząd. Przyciskamy paszporty do piersi i ustawiamy się w kolejce. Znużona stewardesa przesuwając bilet St. Claira przez czytnik i St. Clair idzie dalej. Podaję mój bilet.

— Teraz wchodzi miejsca od czterdziestego do pięćdziesiątego. Proszę poczekać, aż wezwiemy pani przedział miejsc. — Kobieta oddaje mi bilet; jej polakierowane paznokcie stukają o papier.

— Co? Ja mam czterdziesty piąty...

Ale to nieprawda. Na bilecie jest wyraźnie wydrukowane: miejsce dwudzieste trzecie. Zapomniałam, że nie będziemy siedzieć obok siebie, bo przecież nie robiliśmy razem rezerwacji. To zwykły zbieg okoliczności, że lecimy tym samym rejsem. St. Clair czeka na mnie w głębi przejścia. Wzruszam bezradnie ramionami i podnoszę kartę pokładową.

— Miejsce dwudzieste trzecie.

Robi zdumioną minę. On też zapomniał.

Ktoś powarkuje na mnie po francusku. Biznesmen o kruczoczarnych włosach chce oddać bilet stewardesie. Mamroczę przeprosiny i odsuwam się na bok. St. Clair zwiesza ramiona, a następnie macha na pożegnanie i znika za rogiem.

Dlaczego nie możemy siedzieć obok siebie? Po co w ogóle ta rezerwacja miejsc? Stewardesa wzywa mój przedział, a ja myślę o niej same złe rzeczy, kiedy przesuwając mój bilet przez

czytnik. Ale przynajmniej mam miejsce przy oknie. Środkowe i przy przejściu zajęte są przez kolejnych biznesmenów. Znów sięgam po książkę — czeka mnie długi lot — gdy nagle słyszę, że ktoś o uprzejmym brytyjskim akcencie zwraca się do mężczyzny obok.

— Proszę wybaczyć, ale czy byłby to dla pana kłopot, gdyby zamienił się pan ze mną miejscami? Widzi pan, obok pana siedzi moja dziewczyna, która jest w ciąży. A ponieważ źle znosi podróż samolotem, pewnie będzie potrzebowała kogoś, kto przytrzyma jej włosy, gdy... no cóż... — St. Clair podnosi samolotową papierową torebkę i nią potrząsa. Torebka szeleści dramatycznie.

Biznesmen podrywa się z siedzenia jak oparzony, a ja płonę ze wstydu. Jego ciężarna dziewczyna?

— Dziękuję panu. Siedzę na czterdziestym piątym miejscu, rząd G. — Wsuwa się na zwolniony fotel i nic nie mówi do chwili, aż facet zniknie. Mężczyzna po jego drugiej stronie gapi się na nas z przerażeniem, ale St. Clair się tym nie przejmuje.

— Posadzili mnie koło jakiejś straszliwej pary w takich samych hawajskich koszulach. Nie ma sensu, żebyśmy cierpieli całą drogę samotnie, jeśli możemy cierpieć razem.

— Miło mi, dzięki — odpowiadam, ale się śmieję, a on sprawia wrażenie zadowolonego do momentu startu, gdy wczepia się palcami w oparcie fotela, a kolor jego twarzy zaczyna niepokojąco przypominać barwę ciasta cytrynowego. Odciągam jego uwagę, opowiadając historyjkę o tym, jak złamałam ręką przy zabawie w Piotrusia Pana. Okazało się, że latanie to nie tylko słodkie marzenia na jawie i wyskakiwanie przez okno. St. Clair rozluźnia się, gdy samolot wzbija się ponad chmury.

Jak na ośmiogodzinny lot czas mija nam zadziwiająco szybko.

Nie rozmawiamy o tym, co nas czeka po drugiej stronie oceanu. Ani o matce St. Claira. Ani o Tophie. Zamiast tego przeglądamy „SkyMall” i gramy w grę zatytułowaną „Co byś wybrał, gdybyś mógł kupić tylko jedną rzecz z każdej strony?” St. Clair śmieje się, gdy wybieram podgrzewacz do hot dogów, a ja się nabijam z jego niezasnuwającego się mgłą lustra do łazienki i największej na świecie krzyżówki.

— Przynajmniej moje typy są praktyczne — broni się.

— A jaki pożytek z tej olbrzymiej krzyżówki? „Och, wybac Anno, nie mogę iść z tobą do kina, bo szukam hasła na dwa tysiące liter: Śpiew norweskiego ptaka”.

— Ale przynajmniej nie kupuję Wielkiej Plastikowej Skały do chowania narzędzi. Chyba pamiętasz, że nie masz trawnika?

— Mogłabym w niej trzymać inne rzeczy. Na przykład... klasówki z francuskiego, za które dostałam pałę. Albo nielegalną aparaturę do pędzenia bimbru. — Składa się wpół w ataku uroczego, chłopięcego śmiechu, a ja uśmiecham się łobuzersko. — Lepiej powiedz, po co ci elektryczna, pływająca podstawa na przekąski.

— Używałbym jej w wannie. — Ociera łzę z policzka. — Ooo, popatrz! Rzeźba ogrodowa

w kształcie Mount Rushmore. Tego właśnie nam trzeba, Anno. I kosztuje tylko czterdzieści dolców! To okazja!

Na stronie z akcesoriami do golfa zaczyna nam się nudzić, więc przerzucamy się na rysowanie karykatur naszych sąsiadów w samolocie, a potem karykatur faceta w koszulce Euro Disney. St. Clairowi, gdy rysuje obrazek, na którym facet spada w dół po kręconych schodach Panteonu, błyszczą się oczy.

Na obrazku jest pełno krwi. I uszy Myszki Miki.

Po kilku godzinach robi się senny. Jego głowa opada na moje ramię. Jest wschód słońca i niebo przybiera różowo-pomarańczową barwę, co mi przypomina sorbet. Wącham włosy St. Claira. Nie dlatego, że jestem dziwaczką, a ot, tak, po prostu...

Musiał wstać wcześniej, niż sądziłam, bo pachną świeżością. Czystością. Zdrowiem. Mhm. Zapadam w sen i budzę się na zmianę, i nim się obejrzę, w samolocie z głośników rozlega się skrzekliwy głos kapitana. Dolecieliśmy na miejsce.

Jestem w domu.

Rozdział 24

Cała się trzęsę. Jakby w moim zwole kapela robotów z Chuck E. Cheese urządziła sobie huczne jamboree. Nienawidzę Chuck E. Cheese. Dlaczego myślę o Chuck E. Cheese? Nie wiem, czemu się denerwuję. Mam się tylko przecież spotkać z mamą. I Seany. I Bridge! Bridge powiedziała, że przyjdzie.

Samolot do San Francisco odlatuje dopiero za trzy godziny, więc St. Clair odwozi mnie pociągiem kursującym między dwoma terminalami do strefy przylotów. Od opuszczenia pokładu niewiele mówimy. Pewnie dlatego, że jesteśmy zmęczeni. Docieramy do stanowiska ochrony i dalej już St. Clair nie może iść. Głupie przepisy lotniskowe. Żałuję, że nie mogę przedstawić go rodzinie. Kapela Chuck E. Cheese znów daje o sobie znać, co jest dziwne, bo nie denerwuję się naszym rozstaniem. Zobaczymy się znowu za dwa tygodnie.

— No cóż, Banana. Chyba tu się pożegnamy. — Zaciska palce na szelkach plecaka i ja robię to samo.

Jest to moment, w którym powinniśmy się uściskać. Z jakiegoś powodu nie jestem jednak w stanie się do niego przytulić.

— Pozdrów ode mnie mamę. To znaczy, wiem, że jej nie znam. Ale z twoich opowieści wydaje się fajna. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży.

Uśmiecha się miękko.

— Dzięki, pozdrowię ją.

— Zadzwonisz?

— Taa, jasne. Tylko pewnie będziesz tak zajęta z Bridge i tym jak mu tam, że zupełnie zapomnisz o koledze Anglika.

— Ha! A więc jednak Anglik! — Dźgam go palcem w brzuch.

Łapie mnie za rękę i, śmiejąc się, zaczynamy udawać, że się boksujemy.

— Ja... nie mam żadnej... narodowości.

Uwalniam się.

— Tralalala. Przyłapałam cię. Au! — Siwowłosy mężczyzna w słonecznych okularach uderza mnie w nogę walizką w czerwonej kratce.

— Hej, należą się przeprosiny! — woła za nim St. Clair, ale facet jest już za daleko, żeby usłyszeć.

Pocieram łydkę.

— Daj spokój, tarasujemy przejście. Powinnam już iść.

Znów wypadałoby wymienić uściski. Dlaczego nie możemy się do tego zmusić? W końcu

zblizam się i obejmuję go. Jest sztywny jak kij i czujemy się dziwnie, zwłaszcza, że przeszkadzają nam plecaki. Znowu wacham jego włosy. O niebios.

Rozdzielamy się.

— Dobrej zabawy na wieczornym koncercie — mówi.

— Dzięki. Miłego lotu.

— Dzięki. — Przygryza kciuk, a ja odchodzę do stanowiska ochrony, a potem zjeżdżam ruchomymi schodami. Oglądam się po raz ostatni. St. Clair skacze w górę i w dół i macha rękami. Wybucham śmiechem, a jego twarz się rozpromienia. Schody zjeżdżają coraz niżej.

Tracę go z widoku.

Ciężko przełykam ślinę i się odwracam. I wtedy... dostrzegam ich. Mama ma gigantyczny uśmiech na twarzy, Seany podskakuje i wymachuje ramionami, zupełnie jak St. Clair.

— Powtarzam po raz setny, że Bridgette kazała ci powiedzieć, że bardzo jej przykro. — Mama podaje skrzywionej kobiecie z budki przy lotniskowym parkingu pieniądze za bilet. — Musiała zostać, żeby się przygotować do występu.

— No jasne, bo przecież wcale tak nie jest, że nie widziałyśmy się przez całe cztery miesiące.

— Bridge jest gwiazdą rocka — oświadcza Seany z tylnego siedzenia. Jego głos przepełniony jest podziwem.

Oho, ktoś się tu w kimś zadurzył.

— Naprawdę?

— Mówi, że jej kapela wystąpi kiedyś w MTV, ale nie w tym kiepskim, tylko takim ekstra, które się dostaje w specjalnym pakiecie kablowym.

Odwracam się. Mój braciszek jest zadziwiająco uradowany.

— A ty skąd wiesz, że są specjalne pakiety kablowe?

Seany macha nogami. Na jednym z usianych piegami kolan widać plastry z rysunkami ze *Star Wars*. Jest ich siedem lub osiem.

— No, rany, Bridge mi mówiła.

— Ach, rozumiem.

— Opowiadała mi też o modliszkach. Że dziewczyna modliszka zjada facetowi modliszce głowę. I mówiła o Kubie Rozpruwaczu i o NASA. I pokazała, jak się robi makaron z serem. Taki dobry, z paczki.

— I coś jeszcze?

— Mnóstwo rzeczy. — Jest w tej odpowiedzi jakiś zaczepny ton. Coś jak groźba.

— Och. Hej, mam coś dla ciebie. — Rozsuwam plecak i wyciągam plastikową muszlę. To

oryginalny Człowiek Pustyni ze *Star Wars*. Kupiłam go przez eBay, przeznaczając na to fundusze na cały tydzień posiłków, ale warto było. Seany naprawdę tego potrzebuje. Chciałam ten prezent zostawić na później, jednak sytuacja wyraźnie wymaga przypochlebiania się bratu.

Podnoszę pudełko. Mały człowieczek o złej minie spogląda groźnie na tylne siedzenie.

— Wszystkiego najlepszego z okazji świąt Bożego Narodzenia!

Seany splata ręce na piersiach.

— Już takiego mam. Bridge mi kupiła.

— Sean! Co ci mówiłam o takich sytuacjach? Podziękuj siostrze. Musiała się natrudzić, żeby ci to kupić.

— Już dobrze — mamroczę, chowając zabawkę z powrotem do plecaka. To zadziwiające, że niechęć siedmiolatka może tak na mnie wpłynąć, że czuję się nic niewarta.

— On po prostu za tobą tęsknił, to wszystko. Non stop o tobie mówił. I nie wie, jak to teraz wyrazić, gdy wreszcie jesteś. Sean! Przestań kopać w mój fotel! Co ci mówiłam o kopaniu, kiedy prowadzę?

Seany robi naburmuszoną minę.

— Pojedziemy do McDonalda?

Mama spogląda na mnie.

— Jesteś głodna? Dawali coś do jedzenia w samolocie?

— Mogłabym coś przegryźć.

Zjeżdżamy z międzystanowej i zatrzymujemy się przy McDonalddie. Jeszcze nie podają lunchu i Seany się awanturuje. Decydujemy się na zasmażane ziemniaczki. Mama i Seany biorą colę, a ja zamawiam kawę.

— Pijesz kawę? — Mama podaje mi ją ze zdumieniem.

Wzruszam ramionami.

— Wszyscy w szkole ją piją.

— Cóż, mam nadzieję, że przynajmniej nie przestałaś pić mleka.

— Tak jak Sean w tej chwili?

Mama zgrzyta zębami.

— To specjalna okazja. Jego starsza siostra wróciła do domu na święta. — Pokazuje na kanadyjską flagę na moim plecaku. — A to co?

— Dostałam od kolegi, St. Claira. Żebym nie czuła się wyobcowana.

Unosi brwi, wyjeżdżając z powrotem na autostradę.

— W Paryżu jest dużo Kanadyjczyków?

Dostaję wypieków na twarzy.

— Po prostu czułam się, no wiesz... trochę głupio na początku. Jak ci obciachowi turyści ze

Stanów w białych tenisówkach, obwieszeni aparatami fotograficznymi i kamerami. Więc kupił mi to, żebym... nie musiała się wstydzić.

— Bycie Amerykanką to nie powód do wstydu — oświadcza ostrym tonem.

— Boże, mamó, przecież wiem. Ja tylko... och, nieważne.

— Czy to ten Anglik, co ma ojca Francuza?

— A co to ma do rzeczy? — Jestem zła. Nie podoba mi się sugestia matki. — Poza tym on jest Amerykaninem. Urodził się tu. Jego mama mieszka w San Francisco. Siedzieliśmy koło siebie w samolocie.

Zatrzymujemy się na czerwonym świetle. Mama uważnie mi się przygląda.

— On ci się podoba.

— O rany, mamó!

— Tak. Podoba.

— To tylko kolega. Ma dziewczynę.

— Anna ma chłopaka — zaczyna skandować Seany.

— Wcale nie mam!

— Anna ma chłopaka!

Biorę łyk kawy i krztuszę się nią. Kawa jest obrzydliwa. Smakuje jak szlam. Nie, gorzej niż szlam — szlam przynajmniej jest organiczny. Seany nadal się ze mnie naigrawa. Mama sięga za siedzenie i łapie go za nogi, którymi znowu wali w oparcie. Widzi, że się krzywię na kawę.

— No, no. Jeden semestr we Francji i nagle mamy Pannę Wybredną. Twój ojciec będzie zachwycony.

Jakby to był mój wybór! Jakbym prosiła się o wyjazd do Paryża! I jak ona śmie wspominać o ojcu.

— Anna ma chłopaka!

Włączamy się do ruchu na międzystanowej. Są godziny szczytu i pojazdy w Atlancie prawie stoją w miejscu. Dudniące basy z auta za nami wprawiają w drgania nasze auto. Samochód przed nami bucha obłokiem spalin z rury wydechowej wprost w naszą wentylację.

Dwa tygodnie. Jeszcze tylko dwa tygodnie.

Rozdział 25

Sofia padła, bo mama od mojego wyjazdu korzystała z niej tylko trzy razy. I teraz stoi w jakimś warsztacie przy Ponce de Leon Avenue. Moje auto to może i jest kupa podrapanego złomu, ale to moja kupa podrapanego złomu. Zapłaciłam za nie własnymi pieniędzmi, zarobionymi kosztem smrodu kinowego popcornu we włosach i sztucznego masła na rękach. Nazwałam je imieniem mojej ulubionej reżyserki, Sofii Coppoli. Sofia kręci te klimatyczne, impresjonistyczne filmy w spokojnym, ale nieskazitelnym stylu. Jest również jedną z zaledwie dwóch Amerykanek nominowanych do Oscara w kategorii „najlepszy reżyser”, za *Między słowami*.

Powinna była go dostać.

— Dlaczego nie zabierzesz się ze znajomymi? — pyta mama, gdy zaczynam narzekać, że muszę jechać na koncert Penny Dreadfuls jej minivanem.

— Dlatego, że Bridge i Toph już tam będą. Muszą rozstawić instrumenty. — Kapitan Jack popiskuje, domagając się smakołyków dla świnek morskich, więc wkładam mu cząstkę pomarańczy do klatki i drapię za porośniętym futerkiem uchem.

— A Matt nie może cię zawieźć?

Nie rozmawiałam z nim od miesiący. Przypuszczam, że wybiera się na koncert, ale to znaczy, że, bleee, Cherrie Milliken też się wybiera. Nie, dziękuję.

— Nie będę dzwonić do Matta.

— Więc jak nie on, to minivan. Twój wybór, Anno.

Wybieram byłego chłopaka. Kiedyś byliśmy dobrymi przyjaciółmi, więc trochę się cieszę, że go zobaczę. I może Cherrie nie jest tak okropna, jak ją zapamiętałam. Ale okazuje się, że jest. Jest straszna. Już po pięciu minutach w jej towarzystwie zaczynam się zastanawiać, jak Bridge znosi ją codziennie obok siebie na lunchu w stołówce. Odwraca się, żeby spojrzeć na mnie na tylnym siedzeniu, zarzucając przy tym ze świstem odżywionymi witaminowymi preparatami włosami, które wyglądają jak wyjęte z reklamy jakiegoś szamponu.

— No więc jacy są faceci w Paryżu?

Wzruszam ramionami.

— Paryscy.

— Ha, ha. Śmieszne.

Ten pozbawiony życia śmiech to jej najmniej atrakcyjny atrybut. Co Matt w niej widzi?

— Nie poznałaś nikogo specjalnego? — Matt uśmiecha się i zerka na moje odbicie we wstecznym lusterku. Nie wiem dlaczego, ale zapomniałam, że ma brązowe oczy. Czemu tak jest, że niektórzy ludzie wyglądają oszałamiająco, a inni tylko przeciętnie? Tak samo rzecz się ma z

brązowymi włosami. Statystycznie rzecz biorąc, St. Clair i Matt są całkiem do siebie podobni. Oczy: brązowe. Włosy: brązowe. Rasa: biała. Różnią się wprawdzie wzrostem, ale mimo wszystko. Jakbym porównywała wykwintne trufle z batonem Mr. Goodbar.

Myślę o Panu Trufli. I jego dziewczynie.

— W zasadzie to nie.

Cherrie opowiada Mattowi jakąś historię, która wydarzyła się na próbie chóru, wiedząc, że nie będę mogła włączyć się do rozmowy, bo temat jest mi obcy. Pan Goodbar wyjaśnia, o co i o kogo chodzi, ale mój umysł odpływa. Do Bridge i Toph. Czy Bridge się zmieniła? Czy ja i Toph zaczniemy od tego samego punktu, w którym przerwaliśmy?

Dopiero teraz dociera to do mnie z całą mocą: zaraz spotkam się z Tophem.

Kiedy ostatnio się widzieliśmy, całowaliśmy się. Nie umiem się powstrzymać i zaczynam fantazjować na temat naszego spotkania. Toph wyszukuje mnie wzrokiem w tłumie, nie może oderwać ode mnie oczu, dedykuje mi piosenkę. Spotykamy się za kulisami. I całujemy w ciemnym kącie. To może być początek całej zimowej przerwy, którą spędzę na zacieśnianiu z nim znajomości. Gdy docieramy do klubu, mam żołądek w supłach, ale w ten pozytywny sposób.

Tyle że, kiedy Matt otwiera drzwi samochodu, uświadamiam sobie, że wcale nie jesteśmy przed klubem. Że to raczej coś jak... kręgielnia.

— Nie pomyliłeś miejsca?

Cherrie kręci głową.

— Wszystkie najlepsze nastoletnie kapele tu grają.

— Och. — Bridge nie wspominała, że daje koncerty w kręgielni. Ale w porządku, to nadal wielka sprawa. I zapomniałam o tej kwestii z wiekiem. Co jest głupie, bo przecież nie byłam w Paryżu aż tak długo.

W środku dowiadujemy się, że musimy wykupić tor, jeśli chcemy zostać na koncercie. To również oznacza, że musimy wypożyczyć buty na zmianę. Hm, nie. Nie ma mowy, żebym włożyła obuwie z kręgielni. Korzystają z nich setki ludzi i co, jedno psiknięcie lizolem ma zabić wszystkie paskudne, śmierdzące grzyby? Nie sądzę.

— Nie, nie — mówię do faceta, który rzuca mi parę na ladę. — Może je pan sobie zatrzymać.

— Paniusiu. Nie wolno grać bez obuwia.

— Ale ja nie będę w nic grała.

— Proszę wziąć buty. Wstrzymuje pani kolejkę.

Matt zabiera buty z lady.

— Przepraszamy. — Kręci głową. — Zapomniałem, jaka jesteś w tych sprawach. — A potem Cherrie się nadyma, więc jej buty też niesie. Chowa je pod pomarańczowe plastikowe

krzeselka i idziemy ku scenie, usytuowanej daleko w głębi. Stoi już przed nią niewielki tłumek. Bridge i Topha nigdzie jeszcze nie widać, a nie rozpoznaję nikogo innego.

— Chyba mają wystąpić jako pierwsi — mówi Matt.

— Chcesz powiedzieć, że otwierają koncert dla nieletniej młodzieży w kręgielni? — pytam.

Przeszywa mnie wzrokiem, a ja czuję, że się kurczę. Bo Matt ma rację. To naprawdę niesamowite, że tu grają! To ich pierwszy występ! Darmowe T-shirty rozciągnięte na monstrualnych piwnych brzucholcach. Pękate kurtki NFL i tłuste podgardla. Jasne, jestem tylko w kręgielni, ale różnica między Amerykanami a Francuzami jest szokująca. Odczuwam wstyd, patrząc na mój kraj oczami Francuzów. Czy ci ludzie nie mogliby przynajmniej się uczesać przed wyjściem z domów?

— Mam ochotę na pałeczkę lukrecji — oświadcza Cherrie i odchodzi do straganu z przekąskami. A ja mam w głowie tylko jedno: ci ludzie to twoja przyszłość.

Od tej myśli robi mi się nieco weselej.

Kiedy Cherrie znów jest z nami, informuję ją, że tylko jeden kęs czegoś, co zawiera czerwony barwnik numer czterdzieści, mógłby zabić mojego brata.

— Boże, straszne — wykrzykuje. Co ponownie przypomina mi o St. Clairze. Bo gdy przed trzema miesiącami powiedziałam mu to samo, zamiast wpadać w przerażenie, zapytał: „Dlaczego?”

A to uprzejma reakcja, gdy ktoś przekazuje ci tak interesujące fakty.

Zastanawiam się, czy St. Clair widział się już z mamą. Hm, jest w Kalifornii od dwóch godzin. Z lotniska miał go odebrać ojciec i od razu zawieźć do szpitala. Pewnie jest już z matką. Powinnam mu napisać SMS-a z jakimiś życzeniami. Wyciągam telefon i w tej samej chwili mały tłumek widzów wybucha wiwatami.

Zapominam o SMS-ie.

Pojawiają się Penny Dreadfuls, wibrujący ekscytacją i energią. Wychodzą z... pokoju dla personelu. Okej. To nie to samo co kulisy, ale wyglądają świetnie! No, dwoje z nich.

Basista jest ten sam co zawsze. Reggie często przychodził do kina w czasie naszej zmiany, sępić od Topha darmowe bilety na najnowsze komiksowe filmy. Ma tę długą grzywkę, która mu zasłania pół twarzy wraz z oczami. Nigdy przez to nie umiałam powiedzieć, co naprawdę myśli. Ja się go pytam: „Jak ci się podobał *Iron Man*?”, a on znudzonym głosem odpowiada: „W porzo”. Ale ponieważ miał zakryte oczy, nie wiedziałam, czy ma na myśli dobre w porzo, takie sobie w porzo, czy kiepskie w porzo. To było irytujące.

Ale Bridge promienieje. Jest ubrana w koszulkę odsłaniającą opalone ramiona, a blond włosy ma splecione w warkocze à la księżniczka Leia i przekłute pałeczkami. Zastanawiam się, czy to nie pomysł Seany'ego. Natychmiast odnajduje mnie w tłumie i jej twarz rozświetla się jak drzewko bożonarodzeniowe. Macham do niej, a ona unosi pałeczki nad głowę, zaczyna odliczanie,

a potem już lecą. Reggie dołącza ze swoją gitarą basową, a Toph — jego zostawiam sobie na koniec, bo wiem, że gdy raz na niego spojrzę, już więcej nie oderwę od niego oczu.

Bo Toph jest nadal totalnym ciachem.

Wali w struny gitary, jakby chciał wykrzesać z nich ogień, i drze się tym wściekłym punkowym wrzaskiem, a na czole i baczkach już teraz ma krople potu. Jest ubrany w obcisłe spodnie, jaskrawo niebieskie w szkocką kratę, coś, czego nikt inny by nie założył. I to mi przypomina pofarbowane jagodami usta i jest tak seksowne, że prawie tam umieram.

A potem... Toph mnie zauważa.

Unosi brwi i się uśmiecha. Tym leniwym uśmieszkiem, od którego zalewa mnie gorąco. Razem z Mattem i Cherrie rzucamy się i skaczemy, i jest tak odłotowo, że nawet nie myślę o tym, że tańczę obok Cherrie Milliken.

— Bridge jest fantastyczna! — krzyczy.

— Wiem! — Moje serce pęka z dumy. Bo to moja przyjaciółka i od zawsze wiedziałam, że ma wielki talent. A teraz wiedzą też o tym wszyscy inni. I już sama nie wiem, czego się spodziewałam — może że grzywka Reggiego przeszkodzi mu w grze — ale on też wygląda całkiem niezłe. Jego palce śmigają po strunach, doprowadzając linię basów do punktu szaleństwa. Jedyłą, drobną słabością tej kapeli jest... Toph.

Nie zrozumcie mnie źle. Wymyślone przez niego antyrządowe, buntownicze kawałki są doskonałe. Chwytliwie. Jest w nich tyle wściekłości i pasji, że nawet karczek za ladą z butami kiwa do rytmu głową. I, oczywiście, Toph pasuje do obrazka.

Ale słabym punktem jest to, jak gra. Choć może się mylę, bo w końcu żaden ze mnie ekspert w dziedzinie gry na gitarze. A poza tym z czasem na pewno nabierze wprawy. Zresztą trudno opanować coś po mistrzowsku, gdy trzeba stać za barem w kinie. Ale gra głośno, co nas cholernie nakręca. Zapominam, że jestem w kręgielni i że się bawię w towarzystwie byłego chłopaka i jego dziewczyny. I w ogóle wszystko kończy się stanowczo za szybko.

— Nazywamy się Penny Dreadfuls. Dzięki, że przyszliście nas posłuchać. Ja mam na imię Toph, na basie grał Reggie, a ta gorąca laska z tyłu to Bridge.

Wiwatuję i wrzeszczę.

Bridge posyła Tophowi promienny uśmiech, Toph porusza brwiami w górę i w dół, a potem odwraca się do tłumu i dodaje sprośne:

— I nie próbujcie przelecieć mojej dziewczyny, bo to moje zadanie. Chrzanić wszystko, Atlanto. Dobranoc!

Rozdział 26

Chwila. Co?

Przepraszam bardzo, ale co on właśnie powiedział? Toph wykonuje kopnięcie w powietrzu, nad stojakiem z mikrofonem, w geście wielkiego dupka, i cała trójka zeskakuje ze sceny. Trochę mniej dramatycznie robi się, gdy zaraz potem są zmuszeni zebrać swój sprzęt przed wejściem kolejnej kapeli. Próbuję przechwycić spojrzenie Bridge, ale ona na mnie nie patrzy. Wzrok utkwiła w perkusji. Toph bierze łyk wody z butelki, macha do mnie, a następnie podnosi wzmacniacz i rusza w stronę parkingu.

— Wow. Byli świetni! — stwierdza Cherrie.

Matt klepie mnie po plecach.

— A ty co sądzisz? Bridge puszczała mi ich kawałki kilka tygodni temu, więc wiedziałem, że są super.

Mrugam, żeby powstrzymać łzy.

— Uhm. Co on właśnie powiedział?

— Mówił, że Bridge puszczała mu ich kawałki kilka tygodni temu — powtarza Cherrie, zbyt blisko przysuwając twarz do mojej.

Odsuwam się.

— Nie. Co powiedział Toph? Przed tą częścią o Atlancie?

— Co, „nie próbujcie przelecieć mojej dziewczyny”? O to chodzi? — pyta Cherrie.

Nie mogę nabrać oddechu. Mam atak serca.

— Nic ci nie jest? — niepokoi się Matt.

Czemu Bridge nie chce na mnie spojrzeć? Chcę do niej pójść, ale Matt mnie przytrzymuje.

— Anno. Wiedziałaś, że ona i Toph są ze sobą, prawda?

— Muszę porozmawiać z Bridge. — Mam zaciśnięte gardło. — Nie rozumiem...

Matt rzuca przekleństwo.

— Nie wierzę, że ci nie powiedziała.

— Od jak... jak dawna?

— Od Święta Dziękczynienia.

— Od Święta Dziękczynienia? Ale ona nie mówiła... nie wspominała...

Cherrie wygląda na rozbawioną.

— Nie wiedziałaś?

— Nie, nie wiedziałam!

— Chodźmy, Anno. — Matt próbuje mnie odciągnąć, ale go odpycham i wskakuję na

scenę. Otwieram usta, tylko że nic się z nich nie wydobywa.

Bridge w końcu na mnie spogląda.

— Przykro mi — mówi szeptem.

— Tobie jest przykro? Chodzisz z Tophem od miesiąca i mówisz, że to tobie jest przykro?

— Tak jakoś wyszło. Zamierzałam ci powiedzieć, chciałam ci powiedzieć...

— Ale dostałaś paraliżu ust? Bo mówienie to nic wielkiego, Bridge. To łatwe. Popatrz na mnie! Ja właśnie mówię do...

— Dobrze wiesz, że to nie takie proste! Nie planowałam tego, po prostu...

— Och, nie planowałaś zrujnować mi życia? Po prostu się „stało”?

Bridge podnosi się zza perkusji. To niemożliwe, ale jest teraz ode mnie wyższa.

— Co masz na myśli z tym zrujnowanym życiem?

— Nie udawaj głupiej, doskonale wiesz, co mam na myśli. Jak mogłaś mi to zrobić?

— Co zrobić? Przecież nie byliście parą!

Jestem tak sfrustrowana, że zaczynam się wydzierać:

— I już na pewno nie będziemy!

Bridge prychnęła.

— Trudno być w parze z kimś, kto nie jest tobą zainteresowany.

— Kłamiesz!

— No co, zostawiasz nas dla Paryża i oczekujesz, że ze względu na ciebie wstrzymamy nasze życie?

Szczęka mi opada.

— Nie zostawiłam was. Zostałam odesłana.

— Ooo, taa... Do Paryża. A tymczasem ja gniję w tej Gównianie, w Georgii. W tej samej gównianej szkole, dorabiając w gównianej robocie jako opiekunka do dziecka...

— Jeśli opiekowanie się moim bratem jest takie gówniane, po co to robisz?

— Nie miałam na myśli...

— Bo jego też chcesz nastawić przeciwko mnie? No tak. Gratuluję, Bridge. Udało ci się.

Mój brat cię kocha, a mnie nienawidzi. Więc możesz się do nas wprowadzić, kiedy znowu wyjadę, bo tego właśnie chcesz, prawda? Mojego życia?

Z wściekłości cała się trzęsę.

— Idź do diabła.

— Bierz sobie moje życie. Proszę bardzo. Tylko uważaj na część, w której najlepsza przyjaciółka robi mnie w konia! — Niechcący potykam się o statyw perkusji i jeden z talerzy spada na ziemię z ogłuszającym hukiem, który roznosi się dudniącym echem po całej kręgielni. Matt woła mnie po imieniu. Czy robił to przez cały czas? Chwyta mnie za ramię i między kablami i

rozgałęziaczami sprowadza ze sceny.

Wszyscy wokół gapią się na mnie.

Spuszczam głowę, tak żeby włosy zasłaniały mi twarz. Płaczę. To by się nigdy nie wydarzyło, gdybym nie dała jej numeru Toph. Te wszystkie próby do późnej nocy i... powiedział, że uprawiali seks! A jeśli robili to u mnie w domu? Czy on tam przychodził, gdy Bridge opiekowała się Seanym? Robili to w mojej sypialni?

Czuję, że zaraz zwymiotuję. Porzygam się. Porzygam...

— Nie porzygasz — mówi Matt, a ja nie wiem, czy mówiłam to na głos, ale mam to w nosie, bo moja najlepsza przyjaciółka chodzi z Tophem. Chodzi z Tophem. Chodzi z Tophem. Chodzi z... Tophem.

Toph tu jest.

Tuż przede mną. Stoi na parking. Szczupły, zrelaksowany, opiera się biodrem o maskę swojego auta.

— Jak tam, Annabel Lee?

Nigdy nie był mną zainteresowany. Tak powiedziała.

Toph rozkłada ramiona do uścisku, ale ja już skręcam w stronę wozu Matta. Słyszę, jak pyta z irytacją:

— A ją co ugryzło?

Matt odpowiada coś z niesmakiem, ale nie wiem co. Bo uciekam, uciekam, uciekam. Chcę się znaleźć jak najdalej od nich, jak najdalej od tego wieczoru. Chciałabym być już w łóżku. W moim domu.

Chciałabym być w Paryżu.

Rozdział 27

Anno. Anno, wolniej. Bridge jest z Tophem? — pyta St. Clair przez telefon.

— Od Święta Dziękczynienia. Okłamy... okłamywała mnie przez ten cały czas!

W przedniej szybie auta kontury miasta na tle nieba są zamazane. Wieżowce błyszczą niebieskimi i białymi światłami. Są bardziej rozczłonkowane niż budynki w Paryżu; nic ich ze sobą nie łączy. To tylko głupie prostokąty, zaprojektowane tak, aby wznosiły się jak najwyżej, wyżej od innych.

— Weź, proszę, głęboki oddech i zacznij od samego początku, dobrze? — mówi St. Clair.

Matt i Cherrie przyglądają mi się we wstecznym lusterku, gdy ponownie relacjonuję całą historię. Na łączach robi się cicho.

— Jesteś tam? — pytam. Ogarnia mnie zaskoczenie, gdy przed moją twarzą pojawia się różowa papierowa chusteczka. Jest doczepiona do ręki Cherrie. Cherrie wygląda, jakby miała wyrzuty sumienia.

Przyjmuję chusteczkę.

— Jestem — potwierdza St. Clair zezłoszczonym głosem. — I bardzo żałuję, że mnie tam nie ma. Przy tobie. Żałuję, że nic nie mogę zrobić.

— Chcesz przyjechać i przyłać jej ode mnie?

— Już pakuję moje gwiazdy ninja.

Pociągam nosem, a potem go wycieram.

— Jestem taką idiotką. Nie mogę uwierzyć, że myślałam, że mu się podobam. To jest w tym najgorsze, że on nawet nie był mną zainteresowany.

— Brednie. Był zainteresowany.

— Nie, nie był — odpowiadam. — Bridge tak powiedziała.

— Bo jest zazdrosna! Anno, słyszałem waszą rozmowę, kiedy do ciebie zadzwonił pierwszego wieczoru w Paryżu. Widziałem, jak na ciebie patrzy na tym zdjęciu. — Chcę zaprotestować, ale mi przerywa. — Każdy koleś z działającym fiutkiem musiałby być nienormalny, żeby się tobą nie zainteresować.

Zapada wypełniona zdumieniem cisza. Po obu stronach linii.

— Oczywiście chodzi o twoją inteligencję. I to, jaka jesteś zabawna. Nie, żebyś nie była atrakcyjna. Bo jesteś. Atrakcyjna. Och, niech to szlag...

Czekam.

— Jesteś tam jeszcze czy się rozłączyłaś, bo gadam jak poraniony idiota?

— Jestem.

— Boże, to wszystko przez ciebie.

St. Clair powiedział, że jestem atrakcyjna. I to już drugi raz.

— Tak łatwo się z tobą gada — kontynuuje — że czasami zapominam, że nie jesteś jednym z moich kumpli.

Cholera. Myśli, że jestem Joshem.

— Lepiej daj już spokój. Nie zniosę teraz porównywania do faceta...

— Nie o to chodziło...

— Jak się czuje mama? Przepraszam, cały czas gadam o sobie, a miało być o niej, a ja nawet nie spytałam...

— Spytałaś. To była pierwsza rzecz, jaką zrobiłaś po odebraniu. I technicznie rzecz biorąc, to ja do ciebie zadzwoniłem. Żeby się zapytać, jak było na koncercie, i o tym właśnie rozmawiamy.

— Och. — Gmeram palcami w futerku pluszowej pandy, która leży na podłodze. Ma naszytą na piersi satynową łątkę z napisem „I wuv u”. Bez wątpienia prezent od Cherrie. — Ale, tak czy inaczej, jak ona się ma? Twoja mama?

— Chyba... dobrze. — W głosie St. Claira nagle pojawia się znużenie. — Nie wiem, czy jest lepiej, czy gorzej, niż się spodziewałem. Pod pewnymi względami jest i tak, i tak.

Wyobrażałem sobie najgorsze — siniaki i że będzie strasznie chuda — i z ulgą stwierdziłem, że tak nie jest. Ale mimo wszystko, gdy ją zobaczyłem... jednak straciła sporo kilogramów. I jest wyczerpana. No i leży w wyłożonym ołowiem pokoju. Z tymi wszystkimi plastikowymi rurkami...

— Wolno ci u niej zostawać? Jesteś tam teraz?

Przez chwilę nic nie mówi, a ja zaczynam się bać, że posunęłam się za daleko. Ale w końcu się odzywa.

— On tu jest. A ja jakoś go znoszę. Ze względu na mamę.

— St. Clair?

— Taa...?

— Przykro mi.

— Dzięki. — Jego głos jest teraz cichszy, tymczasem Matt skręca w ulicę w pobliżu mojego domu.

Wzdycham.

— Będę musiała kończyć. Już prawie dojeżdżamy. Matt i Cherrie mnie podwieźli.

— Matt? Twój były chłopak, Matt?

— Sofia jest w warsztacie.

Cisza.

— Hm.

Rozłączamy się, a Matt wjeżdża na podjazd. Cherrie odwraca głowę i się gapi.

— To było interesujące. Z kim rozmawiałaś?

Matt sprawia wrażenie nieszczęśliwego.

— No co? — pytam.

— Rozmawiałaś z tym koleśm, a z nami nie chciałaś?

— Przepraszam — mamrocę, gramoląc się z wozu. — To po prostu przyjaciel. Dzięki za podwózkę.

Matt również wysiada. Cherrie chce pójść w jego ślady, ale on posyła jej ostre spojrzenie.

— To znaczy, że co? — woła za mną. — My już nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi?

Kładziesz na nas łaskę?

Powłócząc nogami, zmierzam do domu.

— Jestem zmęczona, Matt. Idę spać.

Jednak on i tak mnie dogania. Wyciągam z torby klucz do drzwi, ale Matt łapie mnie za rękę i nie pozwala jeszcze otworzyć.

— Słuchaj, rozumiem, że nie chcesz o tym mówić, ale powiem ci jedno, nim sobie pójdziesz pograć się w rozpacz...

— Matt, błagam...

— Toph to nie jest fajny gość. Nigdy nie był. Nie wiem, co ty w nim kiedykolwiek widziałaś. Ze wszystkimi się kłóci, kompletnie nie można na nim polegać, nosi te głupie, dziwaczne ciuchy...

— Po co mi to wszystko mówisz? — Znowu płaczę i wyszarpuję rękę z jego uścisku.

— Wiem, że nie lubiłaś mnie tak, jak ja ciebie. Wiem, że wolałabyś być z nim i już dawno się z tym uporałem. Pogodziłem się i mi przeszło.

Ogarnia mnie totalne zawstydzenie. Mimo że wiedziałam, iż Matt miał świadomość, że Toph mi się podoba, to jednak to straszne słuchać, jak mówi o tym na głos.

— Ale nadal jestem twoim przyjacielem. — Wydaje się naprawdę przejęty. — I nie chcę już więcej patrzeć, jak marnujesz energię na tego kretyna. Przez cały czas bałaś się z nim porozmawiać o tym, co się między wami dzieje, ale gdybyś go zapytała, może odkryłabyś, że nie jest wart twojej sympatii. Tyle że nie zapytałaś. Nigdy go o to nie pytałaś, prawda?

Jestem przytłoczona uczuciem zranienia. Ból jest nieznośny.

— Idź już sobie, proszę. Zostaw mnie — mówię szeptem.

— Anno. — Matt obniża ton głosu i czeka, aż na niego spojrzę. — Co by nie mówić, Bridge i on postąpili źle, że ci nie powiedzieli. Zaslługujesz na lepsze traktowanie. I mam szczerą nadzieję, że ten gość, z którym przed chwilą rozmawiałaś... — Matt pokazuje gestem dłoni na torebkę, w której tkwi moja komórka — ...to ktoś lepszy od Tophy.

Rozdział 28

Do: Anna Oliphant <bananaelephant@femmefilmfreak.net>

Od: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Temat: SZCZĘŚLIWYCH ŚWIĄT

Przyzwyczyłaś się już do zmiany czasu? Cholera jasna, ja w ogóle nie mogę spać. Zadzwońiłbym, ale nie wiem, czy śpisz, czy jesteś z rodziną, czy może robisz coś jeszcze innego. Mgła nad zatoką jest tak gęsta, że przez okno nic nie widać. Ale gdybym coś widział, jestem pewien, że okazałoby się, że jestem w San Francisco jedyną żywą istotą.

Do: Anna Oliphant <bananaelephant@femmefilmfreak.net>

Od: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Temat: Zapomniałem ci powiedzieć

Wczoraj w szpitalu widziałem faceta w koszulce z festiwalu filmowego w Atlancie. Spytałem, czy cię zna, ale nie zna. Widziałem też olbrzymiego, zarośniętego gościa w przebraniu Świętego Mikołaja. Rozdawał prezenty pacjentom chorym na raka. Mama zrobiła zdjęcie, które załączam. Zawsze wyglądam na takiego przerażonego?

Do: Anna Oliphant <bananaelephant@femmefilmfreak.net>

Od: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Temat: Nie śpisz jeszcze?

Obudź się. Obudź się. Obudź się.

Do: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Od: Anna Oliphant <bananaelephant@femmefilmfreak.net>

Temat: Re: Nie śpisz jeszcze?

Nie śpię! Seany zaczął skakać po moim łóżku i to trwało jakieś trzy godziny. Przy śniadaniu rozpakowywaliśmy prezenty i jedliśmy ciastka. Tata dał mi złoty pierścionek z oczkiem w kształcie serca. „Dla słodkiej córeczki tatusia” — powiedział. Jakbym była tego typu dziewczyną, co nosi pierścionki z serduszkami. OD OJCA. Seany’emu podarował tonę zabawek ze *Star Wars* i zestaw

do polerowania skałek. Sto razy wolałabym coś takiego. Nie mogę uwierzyć, że mama zaprosiła go na święta. Twierdzi, że to dlatego, że rozstali się w przyjaźni (hm, nie), a Seany i ja potrzebujemy ojca. Ale oni nic, tylko się kłóć. Dziś rano z powodu moich włosów. Tata chce, żebym je z powrotem przefarbowała, bo uważa, że teraz wyglądam jak „zwykła prostytutka”, a mama chce, żebym je znowu rozjaśniła. Jakby oboje mieli coś w tej kwestii do powiedzenia. Ups, muszę lecieć. Właśnie przyjechali dziadkowie i dziadek krzyczy, że chce zobaczyć swoją kościstą dziewczeczkę. Chodzi o mnie. PS Zdjęcie jest świetne. A pan Mikołaj wyraźnie przygląda się twojemu tyłkowi. I mówi się „Wesołych Świąt”, dziwaku.

Do: Anna Oliphant <bananaelephant@femmeilmfreak.net>

Od: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Temat: HAHAHA!

Czy to był PIERŚCIONEK WSTRZEMIĘŹLIWOŚCI? Twój ojciec dał ci PIERŚCIONEK WSTRZEMIĘŹLIWOŚCI[4]?

Do: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Od: Anna Oliphant <bananaelephant@femmeilmfreak.net>

Temat: Re: HAHAHA!

Nawet nie zamierzam na to odpowiadać.

Do: Anna Oliphant <bananaelephant@femmeilmfreak.net>

Od: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Temat: Niezwykłe prostytutki

Nie mam nic do powiedzenia na temat prostytutek (oprócz tego, że się do tego nie nadajesz, bo to bardzo „brudna” profesja). A poza tym, nie dziwi cię, że oboje musimy spędzać święta z naszymi ojcami? I tak przy okazji niemiłych tematów, rozmawiałaś już z Bridge? Jadę teraz autobusem do szpitala. Kiedy wrócę, oczekuję, że ze szczegółami opisz mi swój świąteczny obiad. Ja na razie zjadłem miskę muesli. Jak mama może jeść to świństwo? Mam wrażenie, jakbym przeżuwał trociny.

Do: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Od: Anna Oliphant <bananaelephant@femmeilmfreak.net>

Temat: Świąteczny obiad

MUESLI? Są święta, a ty jesz płatki śniadaniowe? Przesyłam ci mentalnie talerz smakołyków z mojego domu. Kiedy to piszę, indyk piecze się w piekarniku, sos dochodzi na kuchence i szykują się gniecione ziemniaki i zapiekanka. Czekaj. Założę się, że ty jadasz pudding chlebowy i miętowe placki czy coś w tym stylu, prawda? Cóż, posyłam ci więc chlebowy pudding. Cokolwiek to jest. Nie, nie rozmawiałam z Bridgette. Mama naciska na mnie, żebym odbierała od niej telefony, ale ta zimowa przerwa już i tak jest do niczego. (DLACZEGO mój ojciec musi tu być? MÓWIĘ POWAŻNIE, SPRAW, ŻEBY ZNIKNAŁ). Nosi ten ogromny biały sweter robiony na drutach i wygląda jak nadęty bałwan. I ciągle przestawia rzeczy w szafkach w kuchni. WŁAŚNIE DLATEGO MAMA NIE POWINNA ZAPRASZAĆ GO NA ŚWIĘTA. Tak czy inaczej, wolę nie pogarszać sytuacji.

PS Mam nadzieję, że twojej mamie się poprawia. Tak mi przykro słuchać, że musiałeś ten dzień spędzić w szpitalu. Naprawdę bardzo bym chciała móc wam obojgu posłać talerz indyka.

Do: Anna Oliphant <bananaelephant@femmeilmfreak.net>

Od: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Temat: Re: Świąteczny obiad

TY współczujesz MNIE? To nie ja jestem tym, który nigdy nie próbował chlebowego puddingu. W szpitalu było jak zawsze. Nie będę cię zanudzał szczegółami. Chociaż musiałem czekać całą godzinę na autobus powrotny i w dodatku zaczęło padać. Teraz, gdy już wróciłem, do szpitala pojechał ojciec. Obydwaj czynimy kosmiczne wysiłki, żeby udawać, że ten drugi nie istnieje.

PS Mama kazała ci życzyć „Wesołych Świąt”. Więc „Wesołych Świąt” od mamy, ale Szczęśliwych ode mnie.

Do: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Od: Anna Oliphant <bananaelephant@femmeilmfreak.net>

Temat: RATUNKU

Najgorszy obiad, jaki można sobie wyobrazić! Wystarczyło pięć minut, żeby bomba eksplodowała. Ojciec próbował zmusić Seany'ego do zjedzenia zapiekanki z zielonej fasolki, a

kiedy Seany odmówił, ojciec zarzucił matce, że mój brat jada za mało warzyw. Więc mama walnęła widelcem o stół i powiedziała, że tata nie ma prawa mówić jej, jak ma wychowywać dzieci. A potem on wyskoczył z tym swoim pieprzeniem, że „jestem ich ojcem”, a ona, że „ich porzuciłeś”. A moja na wpół głucha babcia przez cały czas darła się: „GDZIE JEST SÓL!? MUSZĘ DOSOLIĆ ZAPIEKANKĘ! GDZIE JEST SÓL!?” I dziadek zaczął narzekać, że indyk mamy jest „wyschnięty na wiór”. I wtedy mama nie wytrzymała. To znaczy, zaczęła wrzeszczeć. I Seany tak się przeraził, że uciekł do swojego pokoju, płacząc, a kiedy do niego zajrzałam, ZDZIERAŁ OPAKOWANIE Z CUKIERKOWEJ LASECZKI! Nie mam pojęcia, skąd się u niego wzięła. Wie, że nie wolno mu jeść czerwonego barwnika numer czterdzieści! Więc mu wyrwałam tę laseczkę, a on jeszcze bardziej się rozplakał, i wbiegła mama, i zaczęła się na mnie drzeć, że dałam mu ten cukierek. Zamiast powiedzieć: „Dziękuję, Anno, że uratowałaś życie mojemu jedynemu synowi”. I potem przyszedł tata i kłótnia rozpoczęła się od nowa, a oni nawet nie zauważyli, że Seany zanosi się płaczem. Więc zabrałam go na dwór, napchałam ciastkami i teraz biega w kółko po podwórku, a dziadkowie nadal siedzą przy stole, jakbyśmy mieli jeszcze do niego wrócić i skończyć obiad.

CO JEST NIE TAK Z MOJĄ RODZINĄ? A teraz tata puka do moich drzwi. Świetnie. Czy te głupie święta mogą być jeszcze gorsze?

Do: Anna Oliphant <bananaelephant@femmeilmfreak.net>

Od: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Temat: PRZYBYWAM NA RATUNEK

Teleportuję się do Atlanty. Przychodzę do ciebie i zabieram gdzieś, gdzie nie znajdą nas nasze rodziny. Zabierzemy ze sobą Seany'ego. I pozwolimy mu biegać w kółko, aż się zmęczy. I wtedy ty i ja pójdziemy na długi spacer. Jak w Święto Dziękczynienia. Pamiętasz? I będziemy gadali o wszystkim, TYLKO NIE o naszych rodzicach... A może wcale nie będziemy gadali. Tylko spacerowali i spacerowali, aż w końcu cała reszta świata zniknie.

Przykro mi, Anno. Co chciał ojciec? Napisz proszę, jak ci pomóc.

Do: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Od: Anna Oliphant <bananaelephant@femmeilmfreak.net>

Temat: Ach. Byłoby cudownie.

Dzięki, ale było spoko. Tata przyszedł przeprosić. Przez ułamek sekundy przypominał nawet istotę ludzką. Ale tylko przez ułamek sekundy. Potem mama też wszystkich przeprosiła i

teraz razem zmywają naczynia, jakby nic się nie stało. Nie wiem. Nie chciałam robić z siebie królowej dramatu, kiedy to ty masz prawdziwe problemy. Przepraszam.

Do: Anna Oliphant <bananaelephant@femmefilmfreak.net>

Od: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Temat: Zwariowałaś?

Ja tu się strasznie dzisiaj nudziłem. To ty miałaś koszmarny dzień. Jak się czujesz?

Do: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Od: Anna Oliphant <bananaelephant@femmefilmfreak.net>

Temat: Re: Zwariowałaś?

W porządku. I cieszę się, że mam ciebie, bo mam z kim pogadać.

Do: Anna Oliphant <bananaelephant@femmefilmfreak.net>

Od: Étienne St. Clair <etiennebonaparte@asp.fr>

Temat: Więc...

Czy to znaczy, że mogę do ciebie teraz zadzwonić?

Ze wszystkich dotychczasowych okropnych świąt, te są najokropniejsze. Gorsze od Dnia Niepodległości, gdy dziadek na pokazie sztucznych ogni zjawił się w kilcie i upierał, żebyśmy śpiewali *Flower of Scotland* zamiast *America the Beautiful*. Gorsze od Halloween, kiedy ja i Trudy Sherman poszłyśmy do szkoły w takim samym przebraniu Glindy Dobrej Wiedźmy i Trudy powiedziała, że jej kostium jest lepszy, bo przez mój przeświecają różowe majtki z napisem „poniedziałek”, co było prawdą!

Nie rozmawiam z Bridge. Dzwoni codziennie, ale ją ignoruję. Prezent gwiazdkowy, który dla niej kupiłam, mała paczuszka owinięta w papier w czerwono-białe paski, wylądował na dnie walizki. To miniatura Pont Neuf, najstarszego mostu w Paryżu. Stanowiła część zestawu z modelem kolejki i z powodu moich kiepskich umiejętności językowych St. Clair musiał poświęcić aż piętnaście minut na przekonanie ekspedienta, żeby sprzedał mi most oddzielnie.

Mam nadzieję, że da się go zwrócić.

W Royal Midtown 14 byłam tylko raz i chociaż widziałam się z Herculesem, to Toph też tam był. Rzucił luzackie: „Cześć, Anno” i spytał, dlaczego nie rozmawiam z Bridge. I dlatego musiałam uciec do łazienki. Jedna z nowych dziewczyn pobiegła za mną i powiedziała, że jej zdaniem Toph jest nieczułym, zarozumiałym, zakochanym w sobie pajacem, i że nie powinnam pozwolić mu się zranić. Co było słodkie, ale niewiele pomogło.

Później razem z Herculesem oglądaliśmy najnowszy przesłodzony film bożonarodzeniowy i nabijaliśmy się ze świątecznych swetrów, w jakie ubrani byli aktorzy. Hercules opowiedział mi o tajemniczej paczce z pieczenią wołową znalezioną w sali szóstej i dodał, że podobało mu się to, co czytał na mojej stronie internetowej. Uważa, że moje recenzje są coraz lepsze. Przynajmniej to było miłe.

I miłe było jeszcze to, że tata wyjechał. Nieustannie mnie przepytywał ze znajomości historycznych miejsc we Francji i wykonywał te irytujące telefony do swoich wydawców. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, kiedy zniknął. Jedynym stałym jasnym punktem był St. Clair. Kontaktowaliśmy się codziennie — przez telefon, pisząc do siebie mejle lub SMS-y. Nie umknęło mojej uwadze, że kiedy ja i Toph byliśmy rozdzieleni, nasza komunikacja znacznie podupadła, ale z St. Clairem jest inaczej. Teraz, gdy nie widuję go codziennie, rozmawiamy nawet więcej.

I przez to czuję się jeszcze gorzej w kwestii Tophy. Gdybyśmy bardziej się przyjaźnili, na pewno nasze kontakty byłyby częstsze. To durne z mojej strony, że myślałam, że nam się uda. Nie mogę uwierzyć, że ze wszystkich ludzi na świecie właśnie Matt mi uzmysłowił, jak kiepsko wszystkim pokierowałam. A poza tym, szczerze mówiąc, gdy już nieco ochłonęłam, uznałam, że

utrata Toph'a nie jest wcale taką wielką tragedią. Myśl o nim sprawia mi ból tylko ze względu na Bridge. Jak ona mogła trzymać w tajemnicy to, że zeszła się z Tophem? Jej zdrada boli nieskończenie bardziej.

Nie mam dokąd iść na sylwestra, więc zostaję w domu z Seanym. Mama świętuje Nowy Rok z kolegami z pracy. Zamawiam serową pizzę i oglądamy *Mroczne widmo*. Aż tak bardzo pragnę udowodnić bratu, że go kocham — zniosę nawet Jar Jara — walniętego Binksa. Później, gdy w telewizorze pokazują odliczanie na Times Square, Seany wyciąga figurki. Pszy, pszy! Han Solo strzela do mojego szturmowca, a potem kryje się za oparciem kanapy.

— Dobrze, że mam na sobie moją kamizelkę przeciwlaserową — mówię, krocząc dalej.

— Nie istnieje nic takiego jak przeciwlaserowa kamizelka! Zastrzeliłem cię. Nie żyjesz! — Han biegnie wzdłuż kanapy. — Jupiiii!

Biorę królową Amidalę.

— Han, grozi ci niebezpieczeństwo! Musisz uciekać. Szturmowiec ma przeciwlaserową kamizelkę.

— Annoooo, przestań! Pszy, pszy!

— No tak — złości się Amidala. — Kobiety zawsze muszą wykonywać brudną robotę za mężczyzn. — Amidala wali głową w czerep szturmowca. Buum! Figurka spada z kanapy.

Han rzuca się na dywan i zaczyna nowy obstrzał.

Podnoszę młodego Obi-Wana.

— Oooo, Amidalo. Jakaś ty piękna. Cmok, cmok, cmok.

— Nie! — Sean wyrywa mi Obi-Wana. — Żadnego całowania.

Z pudełka z zabawkami wyjmuję kolejną figurkę. To Człowiek Pustyni, pewnie ten, którego kupiła Bridgette. Och, no cóż...

— Oooo, Amidalo. Cmok, cmok, cmok.

— Ludzie Pustyni się nie całują! Oni atakują! Bum! — Tę figurkę również mi wyrywa, ale za chwilę zamiera w miejscu i przygląda się małej gruzelkowatej główce. — Dlaczego nie rozmawiasz z Bridge? — pyta niespodziewanie. — Zrobiła ci przykrość?

Jestem zaskoczona.

— Tak, Sean. Zrobiła coś bardzo niemiłego.

— Czy to znaczy, że nie będzie się mną więcej opiekowała?

— Nie, na pewno będzie. Bridge cię lubi.

— Ale ja jej nie lubię.

— Sean!

— Przez nią płakałaś. Cały czas płaczesz. — Rzuca Człowieka Pustyni na dno pudła z zabawkami. — Masz jeszcze tego, co mi kupiłaś?

Uśmiecham się. Sięgam po plecak i już mam oddać zabawkę, ale coś mi nie pozwala. Wzdycham.

— Dam ci, ale pod jednym warunkiem. Musisz być miły dla Bridge. Albo ona, albo dziadek. Mama nie ma nikogo innego, kto by cię pilnował. A dziadek robi się za stary na takie rzeczy. — Pokazuję na stertę rozrzuconych zabawek.

— Dobrze — zgadza się niechętnie. Podaję mu zabawkę, a on ją bierze i przyciska do piersi. — Dziękuję.

W kuchni odzywa się telefon. Pewnie mama chce sprawdzić, co u nas. Sean biegnie odebrać, a ja szukam nowego chłopaka dla Amidali.

— Nic nie rozumiem — woła Sean. — Proszę mówić po angielsku.

— Sean! Kto to? Rozłącz się. — Aha! Luke Skywalker! Brakuje mu ręki, ale co tam.

Amidala i Luke się całują. Chwileczkę. Czy ona nie jest jego matką? Odrzucam Luke'a, jakby mnie osobiście obraził, i znowu nurkuję w pudle z zabawkami.

— Ma pan dziwny głos. Tak, jest.

— Sean?

— Czy to twój chłopak? — Mój brat pęka ze śmiechu.

Biegnę do kuchni i łapię za słuchawkę.

— Halo? St. Clair? — Po drugiej stronie słyszę śmiech. Seany pokazuje mi język, a ja odpycham go od siebie. — Zmywaj się stąd!

— Co proszę? — pyta głos w słuchawce.

— Mówiłam do Seana. To ty?

— Tak, ja.

— Skąd masz mój numer?

— No wiesz, istnieje taka książka. Z białymi kartkami. I są w niej spisane wszystkie numery telefoniczne. Można ją też znaleźć w Internecie.

— To twój chłooopak? — pyta Sean, drąc się prawie do słuchawki.

Znowu go odpycham.

— To chłopak, ale nie mój. Idź oglądać odliczanie.

— Co się dzieje z twoją komórką? — docieka St. Clair. — Zapomniałaś ją naładować?

— Niemożliwe! To do mnie niepodobne.

— No właśnie. Zdziwiłem się, gdy przełączyło mnie na pocztę głosową. Ale cieszę się, że mam twój domowy numer. Tak na wszelki wypadek.

Dodatkowy wysiłek, jaki musiał włożyć, żeby do mnie zadzwonić, budzi we mnie radość.

— A ty co porabiasz? Nie wyszedłeś nigdzie na sylwestra?

— Eee. Mama nie czuła się dobrze, więc z nią zostałem. Teraz śpi i muszę sam oglądać

odliczanie. — Jego mama wróciła kilka dni temu do domu i raz jest z nią lepiej, raz gorzej.

— A co u Ellie? — pytam, nim zdążę się powstrzymać.

— Ja, eee... rozmawiałem z nią wcześniej. W końcu to Nowy Rok w Paryżu. Poleciała tam dzień po Bożym Narodzeniu — dodaje.

Wyobrażam ich sobie, jak przez telefon przesyłają sobie całusy. I moje serce natychmiast kurczy się z bólu.

— Ellie poszła na jakieś przyjęcie. — Głos ma raczej przybity.

— Przykro mi, że zostałam ci tylko ja.

— Nie żartuj. Jest też mama, zapomniałaś? — Znowu się śmieje.

— No dzięki, ale chyba się rozłączę, nim zaśnie mój partner na sylwestra. — Zerkam na Seany'ego, który siedzi w salonie dziwnie milczący.

— Hej, co ty. Przecież dopiero co zadzwoniłem. Ale co tam u twojego partnera? Wydawało się, że jest w dobrym nastroju, mimo że nie rozumiał ani słowa z tego, co mówiłem.

— Bo faktycznie śmiesznie mówisz. — Uśmiecham się. Uwielbiam jego głos.

— Przyganiał kocioł garnkowi, Atlanto. Nieraz słyszałem, jak wymyka ci się południowy akcent...

— Nieprawda!

— A właśnie że prawda. Nawet kilka razy w tym tygodniu.

Mruczę powątpiewająco, ale mój uśmiech jest jeszcze większy. W czasie ferii rozmawiałam przez telefon również z Meredith, ale z nią nie jest jednak tak wesoło jak z St. Clairem. Idę ze słuchawką do salonu, gdzie Sean leży na dywanie zwinięty w kłębek, tuląc do siebie Człowieka Pustyni ode mnie. Razem oglądamy odliczanie. U nas północ zaczyna się trzy godziny wcześniej niż u St. Claira, ale nam to nie przeszkadza. Kiedy wybija dwunasta, dmiemy w nieistniejące piszczałki i rzucamy nieistniejące konfetti.

A trzy godziny później, gdy dochodzi północ u St. Claira, świętujemy ponownie.

I po raz pierwszy od przyjazdu do domu jestem całkowicie szczęśliwa. To dziwne. Dom. Jak mogłam tak długo marzyć o powrocie, a gdy już się tu znalazłam, przekonać się, że to wcale nie to miejsce, o jakie mi chodziło? Że mój dom jest teraz gdzie indziej.

Ale to też nie tak.

Tęsknię za Paryżem, jednak to nie dom. Chyba raczej... tęsknię za tym. Za ciepłym płynącym ze słuchawki. Czy to możliwe, że domem jest osoba, a nie miejsce? Kiedyś moim domem była Bridgette. Może St. Clair stał się nowym.

Zastanawiam się nad tym, a tymczasem nasze głosy robią się coraz bardziej znużone i w końcu zupełnie przestajemy rozmawiać. Po prostu dotrzynamy sobie towarzystwa. Mój oddech. Jego oddech. Mój oddech. Jego oddech.

Nie mogłabym mu tego nigdy powiedzieć, ale to prawda.

To jest dom. My dwoje.

Rozdział 30

Trochę mnie to smuci, że powrót do Francji budzi we mnie tak wielkie uczucie ulgi. Lot jest długi i spokojny. Pierwszy raz lecę sama. A gdy lądujemy na lotnisku Charlesa de Gaulle'a, wprost nie mogę się doczekać dotarcia do ASP. Nawet mimo tego, że oznacza to samotne przemieszczanie się metrem. Chyba przestałam się już bać nim jeździć. Choć to raczej mało prawdopodobne. A może? Jednak podróż do Dzielnicy Łacińskiej przebiega gładko i nim się obejrzę, otwieram drzwi mojego pokoju i rozpakowuję walizkę. Résidence Lambert huczy przyjemnie głosami innych przybywających uczniów. Zerkam przez zasłonę na restaurację po drugiej stronie ulicy. Nie widzę pieśniarki operowej, ale jest dopiero wczesne popołudnie. Zjawi się wieczorem. Myśl ta wywołuje mój uśmiech.

Dzwonię do St. Claira. Przyleciał do Paryża poprzedniego dnia wieczorem. Na zewnątrz jest zadziwiająco ciepło i on oraz Josh postanowili skorzystać z ładnej pogody. Siedzą na stopniach przed Panteonem. St. Clair namawia mnie, żebym do nich dołączyła. Oczywiście, że tak zrobię.

Nie umiem tego wyjaśnić, ale gdy idę ulicą, nagle ogarnia mnie zdenerwowanie. Dlaczego się trzęsę? Minęły tylko dwa tygodnie, ale za to bardzo dziwne dwa tygodnie. St. Clair przemienił się z kogoś nieokreślonego, kto mnie nieustannie wprawiał w zmieszanie, w najbliższego przyjaciela. On myśli tak samo o mnie; wiem to, tak jak wiem, jak wygląda moje odbicie w lustrze.

Żeby zyskać na czasie, wybieram dłuższą trasę do Panteonu. Miasto wygląda przepięknie. Pojawia się wspaniały St-Etienne-du-Mont, a mnie na myśl przychodzi mama St. Claira, szykująca kosz piknikowy i szkicująca gołębie. Próbuję wyobrazić sobie małego St. Claira, biegającego po placu w szkolnym mundurku, krótkich spodenkach i z podrapanymi kolanami, ale nie jestem w stanie. Widzę tylko chłopaka, którego znam — spokojnego, pewnego siebie, z rękoma w kieszeniach, o dumnym kroku. Osobę emanującą wrodzonym magnetyzmem, do której wszyscy się garną i którą wszyscy podziwiają.

Styczniowe słońce wychyla się zza chmur, rozgrzewając mi policzki. Dwóch facetów niosących coś, co można nazwać jedynie męskimi portmonetkami, zatrzymuje się, aby podziwiać widok nieba. To samo robi szczupła kobieta w szpilkach. Uśmiecham się i mijam ich. A potem skręcam za róg i moja klatka piersiowa zaciska się tak mocno, tak boleśnie, że nie mogę złapać oddechu.

Bo on tam jest.

Pogrążony w lekturze jakiejś wielgachnej książki, nad którą się pochyla, nie widząc nic dookoła. Gryzie paznokcie, a włosy powiewają mu, mierzwiłone wiatrem. Josh siedzi kilka kroków dalej i rysuje coś czarnym piórkiem w szkicowniku. Na schodach jest jeszcze kilka innych osób,

kąpiących się w promieniach słonecznych, tak rzadko się teraz pokazujących. Ale ja je tylko omiatam wzrokiem i zaraz o nich zapominam. Przez niego.

Chwytam się brzegu stojącego na chodniku kawiarnianego stolika, żeby się nie przewrócić. Klienci kawiarni patrzą na mnie z niepokojem, ale ja się tym nie przejmuję. Kręci mi się w głowie i głośno sapię, próbując złapać powietrze.

Jak mogłam być aż tak głupia?

Jak mogłam nawet przez moment myśleć, że nie jestem w nim zakochana?

Rozdział 31

Przyglądam się mu. Ogryza najmniejszy palec u lewej ręki, a więc książka, którą czyta, musi być interesująca. Mały palec oznacza podekscytowanie albo radość, kciuk — zastanowienie lub niepokój. Zaskakuje mnie, że znam znaczenie tych gestów. Jak bardzo uważnie go obserwuję?

Mijają mnie dwie starsze kobiety w futrach i takich samych kapeluszach. Jedna zatrzymuje się i ogląda. Pyta o coś po francusku. Nie rozumiem wszystkiego, ale wiem, że zaniepokoił ją mój wygląd. Kiwam głową i dziękuję. Posyła mi jeszcze jedno zatroskane spojrzenie, ale potem odchodzi.

Nie mogę się ruszyć. Jak mam z nim rozmawiać? Co mam powiedzieć? Czternaście dni przegadanych przez telefon, a jednak teraz, gdy go widzę, boję się, że nie zdołam wydusić zwyczajnego „cześć”. Jeden z klientów kawiarni podnosi się, żeby mi pomóc. Puszczam brzeg okrągłego stolika i chwiejnym krokiem przechodzę ulicę. Mam kolana jak z waty. Im jestem bliżej, tym bardziej czuję się oszołomiona. Panteon wydaje się taki wielki. Do schodów tak daleko.

St. Clair podnosi głowę.

Nasze spojrzenia się spotykają i na ustach St. Claira z wolna zakwita szeroki uśmiech. Serce bije mi szybciej i szybciej. Już prawie jestem na miejscu. Odkłada książkę i wstaje. I wtedy — w chwili, gdy wykrzykuje moje imię — wszystko się zmienia.

St. Clair nie jest już St. Clairem, kumplem i przyjacielem wszystkich.

To Étienne. Étienne, jak tego wieczoru, gdy się poznaliśmy. To Étienne; mój przyjaciel.

I nie tylko. Ktoś o wiele ważniejszy.

Étienne. Moje stopy uderzają o bruk w takt trzech sylab. É-ti-enne, É-ti-enne, É-ti-enne. To imię spływa na mój język jak roztopiona czekolada. Jest taki piękny, taki doskonały.

Gdy rozkłada ramiona i otula mnie nimi w uścisku, w gardle rośnie mi gruda. Moje serce wali jak szalone i robi mi się głupio z tego powodu, bo wiem, że on to czuje. Rozdzielamy się, a ja prawie przewracam się w tył. St. Clair łapie mnie, nim zdążę sturlać się po schodach.

— O rany — mówi. Ale nie sądzę, by miał na myśli to, że mało brakowało, żebym spadła.

Czerwienię się i zrzucam całą winę na moją niezdarność.

— Taa, byłoby kiepsko.

Uff. Mam spokojny głos.

Sprawia wrażenie oszołomionego.

— Dobrze się czujesz?

Uzmysławiam sobie, że nadal trzyma dłonie na moich ramionach, i natychmiast sztywnieję pod tym dotykiem.

— Taa. Wspaniale. Super!

— Cześć, Anno. Jak ci minęła przerwa świąteczna?

Josh. Zapomniałam o nim. Étienne wypuszcza mnie ostrożnie, gdy odwracam się do Josha, ale przez cały czas naszej paplaniny pragnę tylko, żeby Josh wrócił do rysowania i zostawił nas samych. Po jakiejś minucie zerka ponad moim ramieniem — tam, gdzie stoi Étienne — i jego twarz przybiera dziwny wyraz. Milknie i wsadza nos w szkicownik. Oglądam się, ale mina Étienne niczego już nie wyraża.

Siadamy razem na stopniach. Nie czułam się tak podenerwowana w jego obecności od czasu pierwszego tygodnia szkoły. W głowie mam chaos, język staje mi kołkiem, żołądek zawiązał się w supeł.

— No i co? — odzywa się po minucie krępującej ciszy. — Czyżbyśmy w święta wyczerpali wszystkie tematy do rozmów?

Ucisk, jaki czuję wewnątrz, słabnie na tyle, że mogę wydobyć z siebie głos.

— W takim razie lepiej wróć do akademika — odpowiadam i udaję, że chcę się podnieść, a on się śmieje.

— Mam coś dla ciebie. — Ciągnie mnie w dół za rękaw. — Spóźniony prezent gwiazdkowy.

— Dla mnie? Ale ja nie mam nic dla ciebie!

Sięga do kieszeni i wyjmuje z niej dłoń zaciśniętą w pięść na czymś bardzo małym.

— To nic wielkiego, więc się nie podniecaj.

— Ooo, co to takiego?

— Wpadło mi to w oko, kiedy byłem na spacerze z mamą, i pomyślałem o tobie...

— Étienne! No coś ty!

Mruga powiekami na dźwięk swojego imienia. Moja twarz pokrywa się rumieńcem i ogarnia mnie przemożne przekonanie, że on doskonale wie, o czym myślę. Zdumiony, mówi:

— Zamknij oczy i wyciągnij rękę.

Nadal czerwona jak burak, wysuwam jedną dłoń. Muska palcami jej wnętrze i moja ręka odskakuje jak porażona prądem. Coś wlatuje w powietrze i upada za nami na ziemię z cichym „klink”. Otwieram oczy. Étienne wpatruje się we mnie z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

— Ups — mamroczę.

Kiwa głową w moją stronę.

— Chyba... chyba tam poleciało. — Podrywam się, ale nie wiem, czego mam szukać. Nie czułam nawet, co upadło w moją dłoń. Czułam tylko dotyk jego palców.

— Niczego tu nie widzę! Tylko kamyki i gołębkie bobki — dodaję, starając się zachowywać normalnie.

Gdzie to jest? Co to jest?

— Mam. — Podnosi coś maleńkiego ze stopnia tuż nad tym, na którym siedzieliśmy.

Zbliżam się z lekką obawą i, szykując się na kolejne dotknięcie, znowu wyciągam dłoń. Étienne nieruchomieje i spuszcza mi podarek do ręki z wysokości kilku centymetrów. Jakby unikał bezpośredniego kontaktu.

To szklany paciorek. W kształcie banana.

Étienne odchrząkuje.

— Wiem, że mówiłaś, że tylko Bridgette może mówić do ciebie „Banana”, ale mama czuła się lepiej w zeszłym tygodniu, więc zabrałem ją do jej ulubionego sklepu z koralikami. Zobaczyłem ten i przysłał mi na myśl. Chyba ci nie przeszkadza, że ktoś jeszcze doda coś do twojej kolekcji. Zwłaszcza że ty i Bridgette... no wiesz...

Zamykam dłoń na paciorku.

— Dziękuję.

— Mama bardzo się dziwiła, po co mi on.

— I co powiedziałeś?

— Że to dla ciebie, oczywiście. — Mówi to takim tonem, jakbym zadała bardzo niemądre pytanie.

Rozpromieniam się. Paciorek jest tak lekki, że prawie go nie czuję, nie licząc niewielkiej plamki chłodu we wnętrzu dłoni. A mówiąc o chłodzie...

Cała się trzęsę.

— Zrobiło się zimniej czy tylko mi się wydaje? — pytam.

— Proszę. — Ściąga czarną chustkę, którą miał luźno przewiązaną na szyi, i mi ją podaje.

Odbieram ją ostrożnie i zakładam. I czuję zawrót głowy. Chustka pachnie świeżo wykąpanym chłopakiem. Pachnie nim.

— Masz ładne włosy — mówi. — Znowu je rozjaśniłaś.

Na wpół świadomie dotykam pasemka.

— Mama mi pomogła.

— Strasznie wieje. Idę na kawę — oświadcza Josh i z trzaskiem zamyka szkicownik.

Znowu zapomniałam, że z nami jest. — Idziecie?

Étienne spogląda na mnie, czekając, co odpowiem.

Kawa! Umieram z tęsknoty za dobrą kawą. Uśmiecham się do Josha.

— Świetny pomysł.

A potem schodzę po schodach Panteonu, dumnego, białego i rozświetlonego, w najpiękniejszym mieście świata. Jestem z dwoma atrakcyjnymi, inteligentnymi i zabawnymi facetami i uśmiecham się uśmiechem od ucha do ucha. Gdyby tylko Bridgette mnie teraz widziała.

To znaczy, komu potrzebny jakiś tam Christopher, gdy na świecie istnieją tacy chłopcy jak Étienne St. Clair?

Ale zaraz na myśl o Tophie dostaję tych samych skrętów żołądka, co ostatnio zawsze, gdy go wspominam. Wstyd mi, że kiedykolwiek sądziłam, że na mnie zaczeka. Że zmarnowałam na niego tyle czasu. Przede mną Étienne śmieje się z czegoś, co powiedział Josh. I ten dźwięk znowu nakręca we mnie spiralę paniki, gdyż po raz kolejny uzmysławiam sobie, w jakiej znalazłam się sytuacji.

Co ja biedna pocznę? Zakochałam się w swoim najlepszym przyjacielu.

Rozdział 32

To boli prawie fizycznie. Étienne. Jak ja go kocham.

Kocham Étienne'a.

Kocham to, jak unosi brew, zawsze gdy mówię coś w jego mniemaniu mądrego lub zabawnego. Kocham wsłuchiwać się w dudnienie jego kroków nad moją głową, gdy chodzi po swoim pokoju. Kocham to, że akcent kładziony przy jego imieniu nazywa się akcentem ostrym, i to, że on sam mówi z akcentem.

Kocham to.

Kocham siedzieć obok niego na fizyce. Dotykać niechcący jego dłoni w laboratorium. Kocham jego niedbałe pismo w naszych arkuszach. Kocham podawać mu plecak po skończonej lekcji, bo potem moje palce pachną jak on przez następne dziesięć minut. I to, gdy Amanda powie coś obciachowego, a on odszukuje mnie wzrokiem, żeby przewrócić oczyma — to też kocham. Kocham jego chłopięcy śmiech i jego wygniecione koszule, i śmieszna, robiona na drutach czapkę. Kocham jego duże brązowe oczy i to, jak ogryza paznokcie. I kocham jego włosy tak bardzo, że mogłabym umrzeć.

Istnieje tylko jedna rzecz, której w nim nie kocham. Ona!

Jeśli nawet nie lubiłam Ellie wcześniej, to jest to nic w porównaniu z tym, co czuję obecnie. Nieważne, że nasze spotkania mogłabym policzyć na palcach jednej ręki. Chodzi o ten pierwszy obraz, to od niego nie mogę się uwolnić. Pod latarnią. Jej dłonie w jego włosach. Ilekroć jestem sama, moje myśli powracają do tego wieczoru. I zaczynam sobie wyobrażać ciąg dalszy. Jego pokój. Zdejmuje z niej sukienkę. Ich usta się spotykają, ciała napierają na siebie i... o mój Boże... robi mi się gorąco i niedobrze.

Fantazjuję na temat ich rozstania. O tym, jak on rani ją, ona jego, a potem ja na tysiące sposobów ją. Mam ochotę chwycić tę jej ufryzowaną po parysku czuprynę i tak mocną nią targać, aż bym ją oskalpowała. Chcę wbić paznokcie w jej gałki oczne i wyrwać je z oczodołów.

Okazuje się, że nie jestem miłą osobą.

Przedtem rzadko rozmawialiśmy o niej z Étienne'em, ale teraz temat Ellie to temat tabu. Przez co cierpię katusze, bo od powrotu ze świątecznej przerwy oni chyba znów mają problemy. Jak jakiś obsesyjny natręt, porównuję liczbę wieczorów spędzonych z nią z tymi, które Étienne spędza ze mną. Na razie wygrywam.

W takim razie dlaczego on z nią nie zrywa? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

To pytanie tak straszliwie mnie dręczy, że cała aż puchnę, a ciśnienie wewnątrz jest tak duże, że muszę z kimś o tym porozmawiać. Inaczej eksploduję. Wybieram Meredith. Tak jak ja to

widzę, ona prawdopodobnie zamęcza się tą sytuacją na równi ze mną. Jesteśmy w jej pokoju i Meredith pomaga mi w pisaniu wypracowania na francuski o mojej świnie morskiej. Ma na sobie spodenki do gry w piłkę nożną i kaszmirowy sweter. I choć zestawienie jest śmieszne, do niej pasuje. Wygląda wprost uroczo. I robi pompki. Dla rozrywki.

— Dobrze, ale to czas terażniejszy — mówi. — Nie karmisz Kapitana Jacka marchewką w tej chwili.

— Och, racja. — Wykreślam błąd, ale tak naprawdę nie w głowie mi czasowniki. Zastanawiam się, jak tu mimochodem nawiązać do Étienne’a.

— Przeczytaj to jeszcze raz. Ooo, i zrób to w ten śmieszny sposób! Ten, gdy naśladowałaś francuski akcent, kiedy wczoraj zamawiałaś z St. Clairem *café crème* w tym nowym miejscu.

Nie mówiłam ze śmiesznym akcentem celowo, ale postanawiam skorzystać z okazji.

— Wiesz, jest coś, hm, co mnie zastanawia. — Mam świadomość, że nad moją głową w tej chwili rozbłyska wielki neon z napisem; „Kocham Étienne’a!”, ale mimo wszystko prę dalej. — Czemu on i Ellie ciągle są razem? Przecież prawie się już nie spotykają. Mylę się?

Mer zamiera w połowie pompki, a do mnie dociera, że... się wygadałam. Że teraz ona już wie, że kocham się w Étienne.

Ale potem widzę, że walczy ze sobą, żeby odpowiedzieć. Że sama jest tak bardzo emocjonalnie zaangażowana, że nawet nie zwróciła uwagi na dziwne brzmienie mojego głosu.

— Taa. — Opuszcza się wolno na podłogę. — Ale to nie takie proste. Są ze sobą od zawsze. Praktycznie jak stare małżeństwo. A poza tym... oboje są bardzo... ostrożni.

— Ostrożni?

— No tak, wiesz. St. Clair nie lubi bujać łodzią. I Ellie jest taka sama. Wybór uczelni zajął jej całe wieki, a i tak padło na tę, która jest blisko. To znaczy Parsons to prestiżowa uczelnia i tak dalej, ale wybrała ją, bo ją zna. A St. Clair, teraz, gdy jego mama zachorowała, boi się chyba stracić następną bliską osobę. I Ellie też z nim teraz nie zerwie, nie w trakcie choroby jego matki. Pomimo że to już nie jest zdrowy związek.

Nerwowo wciskam przycisk w długopisie. Klik, klik, klik, klik.

— Więc uważasz, że są nieszczęśliwi?

Wzdycha.

— Może nie nieszczęśliwi, ale... szczęśliwi też nie są. Względnie szczęśliwi, myślę. Czy to ma jakiś sens?

Owszem, ma. I to mnie tak wkurza, że hej. Klik, klik, klik, klik.

Bo to znaczy, że nic mu nie mogę powiedzieć. Inaczej ryzykowałabym naszą przyjaźń. Muszę się zachowywać, jakby się nic nie zmieniło, że nie czuję do niego czegoś więcej niż na przykład do Josha. Który następnego dnia olewa wykład z historii, jak zresztą bilion lekcji do tej

pory. Na kolanach trzyma powieść graficzną Craiga Thompsona *Goodbye, Chunky Rice* i bazgrze w szkicowniku ukrytym pod powieścią. Robi notatki, ale nie o szturmie na Bastylie.

W czasie lunchu on i Rashmi mieli kolejną z rzędu kłótnię. Nikt już się nie martwi tym, że Étienne może wylecieć, ale Josh opuszcza lekcje z zastraszającą regularnością. I zupełnie przestał odrabiać prace domowe. A im bardziej Rashmi go karci, tym bardziej on się odsuwa.

Professeur Hansen przechadza się w tę i z powrotem na froncie klasy. To niski mężczyzna w okularach z mocnymi szklami i o przerzedzonych wątłych włosach, które fruują na wszystkie strony, gdy wali pięścią w nasze ławki w celu podkreślenia tego, co mówi. Uczy nas o mniej sławnych i nie tak wzniosłych wątkach w historii i nigdy nie każe zapamiętywać dat. Już rozumiem, czemu, mając takiego nauczyciela przez wiele lat, Étienne tak się zainteresował tym przedmiotem.

Chciałabym przestać sprowadzać wszystko do Étienne'a.

Rozglądam się po otaczających mnie trzecioklasistach i widzę, że nie tylko we mnie hormony sięją spustoszenie. Emily Middlestone pochyla się, żeby podnieść upuszczoną gumkę, a Mike Reynard zapuszcza żurawia w jej dekolt. Ohyda. Ma, chłopak, niefart, bo Emily podoba się jego najlepszy przyjaciel, Dave. Upuszczenie gumki było celowe, ale Dave niczego nie zauważył. Szklistym, niewidzącym wzrokiem wodzi za drepczącym na przedzie sali *professeur* Hansenem.

Dave spostrzega, że się na niego gapię, i natychmiast się prostuje. Szybko odwracam głowę. Emily posyła mi wściekle spojrzenie, a ja jej w zamian słodki uśmiešek. Po świętach wróciła do szkoły z ufarbowanym pasemkiem we włosach. Jest różowe, a reszta blond, więc niedokładnie tak jak u mnie. Mimo to...

Professeur Hansen opowiada o egzekucji Marii Antoniny. Nie mogę się skoncentrować. Po szkole idziemy z Étienne'm do kina. No dobra, idą też Rashmi i Josh — Mer nie może, bo ma trening — ale i tak wynik w tym tygodniu wygląda jak następuje: Anna 4, Ellie 1. Nauczyciel wali pięścią w ławkę obok i dziewczyna o rudych włosach podskakuje, upuszczając na ziemię jakieś kartki.

Nachylam się, żeby pomóc jej zebrać, i ze zdumieniem stwierdzam, że cała strona zabazgrana jest znajomymi rysunczkami trupich czaszek. Podnoszę zdziwiony wzrok, a twarz rudej przybiera barwę jej włosów. Zerkam na Josha i unoszę wymownie brwi. Ruda jest przerażona, ale ja kręcę głową i się uśmiecham. Nie wydam jej.

Jak ona się nazywa? Isla. Isla Martin. Mieszka na moim piętrze, ale jest tak cicha, że często o niej zapominam. Będzie musiała nauczyć się robić więcej szumu wokół siebie, jeśli Josh się jej podoba. Oboje są nieśmiali. Szkoda, bo fajnie razem wyglądają. I pewnie mniej by się kłócili niż ma to miejsce z Rashmi. Czemu tak jest, że pasujący do siebie ludzie tak rzadko się schodzą? Czemu ludziom tak trudno porzucić związek, nawet jeśli wiedzą, że jest niedobry?

Rozmyślam nad tym również wtedy, gdy czekamy z Étienne'em na Josha przed jego

pokojem na pierwszym piętrze, gotowi do wyjścia. Étienne przykłada ucho do drzwi, ale zaraz od nich odskakuje, jakby się oparzył.

— O co chodzi?

Krzywi się.

— Znowu się pogodzili.

Idę za nim na zewnątrz.

— U Josha jest Rashmi?

— Pukają się — stwierdza bez ogródek. — Nie chcę im przerywać.

Cieszę się, że jest przede mną i nie widzi mojej twarzy. Nie żebym była gotowa do przespania się z kimś — nie jestem — ale z tego powodu dzieli nas ten głupi mur. Zawsze jestem bardzo świadoma tych spraw. I teraz znów myślę o nim i Ellie. Jak gładzi dłońmi jej nagie ramiona, a ona rozchyła usta, przysunięte do jego odsłoniętej szyi. Przestań o tym myśleć, Anno!

Przestań, przestań, przestań!

Żeby zmienić temat, pytam o jego matkę. Skończyła już terapię, ale o tym, czy choroba minęła, dowiemy się dopiero w marcu. Lekarze muszą poczekać, aż jej organizm oczyści się z promieniowania, i dopiero wtedy będą mogli przeprowadzić testy. Étienne jest w ciągłym stanie zawieszenia między niepokojem a nadzieją, więc kiedy mogę, staram się go natchnąć tym drugim uczuciem.

Dzisiaj jego matka czuje się dobrze, zatem i on ma dobry nastrój. Opowiada coś o jej leczeniu, ale moja uwaga jest rozproszona, bo wpatruję się w jego profil. Wracam wspomnieniami do Święta Dziękczynienia. Te same rzęsy, ten sam nos, odcinające się na tle mroku w moim pokoju.

Boże, jest taki piękny.

Idziemy do naszego ulubionego kina, tego, które przezwaliliśmy „kino mamuśki i tatuśka basseta”. Znajduje się zaledwie kilka ulic dalej, ma tylko jedną, wygodną salę i prowadzi je ten elegancki pan, który spaceruje z Poucem, bassetem z *pâtisserie*. Nie sądzę, żeby w rzeczywistości kręciła się tam jakaś mamuśka — właściciel Pouce’a wygląda mi bardziej na kogoś preferującego układ: tatusiek i tatusiek — ale nazwa i tak jest dobra. Wchodzimy do środka i przyjazny, wytworny pan za kontuarem woła do nas: „Hej ho, Atlanto, hej ho!”

Uśmiecham się. Ćwiczyłam z tym panem francuski, a on ze mną angielski. Pamięta, że jestem z Atlanty w Georgii (Hej ho!). Ucinamy sobie krótką pogawędkę o pogodzie, a potem ja pytam, czy Pouce to radosny pies i czy mój rozmówca, elegancki dżentelmen, lubi wykwintne jedzenie. Przynajmniej się staram.

Tego popołudnia leci film zatytułowany *Rzymskie wakacje* i stąd sala jest zupełnie pusta. Étienne wyciąga nogi i rozkłada się wygodnie na oparciu fotela.

— W porządku, mam coś. Bycie złym nigdy...

— ...nie wyglądało tak dobrze.

— Zgadza się! — Oczy mu błyszczą. To jedna z naszych ulubionych zabaw. Najpierw ktoś z nas wypowiada początek utartego powiedzonka, a potem drugie je kończy.

— Z takimi przyjaciółmi...

Dopasowuje ton głosu do mojego, ponurego.

— ...komu potrzebni wrogowie?

Gdy mój głośny śmiech odbija się echem od zasłoniętych kurtynami ścian, Étienne walczy o zachowanie poważnej miny. Nie udaje mu się to jednak i w końcu uśmiecha się jeszcze szerzej, niż gdyby się nie powstrzymywał. Moje serce na ten widok lekko przyspiesza, ale robię zdziwioną minę, bo Étienne zasłania usta.

— Nie gap się tak.

— O co ci chodzi?

— O moje zęby. Gapisz się na moje dolne zęby.

Znów wybucham śmiechem.

— Jakbym miała prawo nabijać się z czyichś zębów. Może nie wiesz, ale przez tę szparę potrafię strzelać wodą na niesamowite odległości. Bridge zawsze kpiła sobie ze mnie, że... —
Milknę, bo robi mi się nieswojo. Nadal jeszcze nie rozmawiam z Bridgette.

Étienne odejmuje rękę od ust. Ma poważny wyraz twarzy, może nawet obronny.

— Mnie tam twój uśmiech się podoba.

Mnie twój też.

Ale nie mam odwagi powiedzieć tego na głos.

Rozdział 33

Dziewczyna z recepcji uśmiecha się na mój widok. — Mam dla ciebie przesyłkę.

Drzwi wejściowe do Résidence Lambert otwierają się i do środka pakują się za mną moi przyjaciele. Dziewczyna podaje mi duże brązowe pudło, a ja, cała uradowana, podpisuję potwierdzenie odbioru.

— Od mamy? — pyta Mer. Jej policzki są zaróżowione od zimna.

— Tak! — Dziś są moje urodziny. Wiem, co jest w środku. Zanoszę paczkę na kanapę w lobby i szukam czegoś, czym dałoby się ją otworzyć. Josh wyciąga klucz do pokoju i przedziera nim taśmę.

— Ach! — woła.

Rashmi, Mer i Étienne zagląдают do wnętrza, a ja puchnę z dumy.

— No nie! — rzuca Mer.

— A właśnie, że tak — odpowiadam.

Étienne wyciąga wąską zieloną paczuszkę.

— Ciastka?

Josh wrywa mu paczkę.

— To nie jakieś tam zwyczajne ciastka, mój angielski przyjacielu. To Thin Mints. — Odwraca się do mnie. — Mogę otworzyć?

— Jasne! — W mojej rodzinie przyjęł się zwyczaj, że zawsze na urodziny zamiast tortu dostają ciasteczka sprzedawane przez dziewczęce drużyny skautów.

Rashmi wyjmuje z pudła paczkę markiz z nadzieniem z kremu cytrynowego.

— Twoja mama jest genialna.

— A co jest takiego specjalnego w... Tagalongach? — dziwi się Étienne, oglądając następne pudełko.

— Tagalongi?! — Mer wyszarpuje mu ciastka.

— To najlepsze smakołyki pod słońcem — wyjaśniam. — Można je kupić tylko o tej porze roku. Nie słyszałeś o ciasteczkach sprzedawanych przez skautki?

— Czy ktoś wspominał coś o skautowskich ciasteczkach?

Ze zdumieniem stwierdzam, że nad moim ramieniem nachyla się Amanda Spitterton-Watts. Patrzy na zawartość mojej paczki i aż jej oczy wychodzą na wierzch.

— Skautowskie ciasteczka? — Za naszymi plecami pojawia się kolejna twarz, na której widnieje znajomy wyraz zdumienia. To Cheeseburger. Amanda wykrzywia usta z odrazą i odwraca się do mnie.

— Musisz mnie poczęstować Thin Mintem — oświadcza.

— Och, taa. Jasne. Proszę — odpowiadam. Josh się krzywi, ale ja mimo wszystko wysuwam pudełko. Amanda zatapia zęby w czekoladowym herbatniku i chwyta się ramienia Étienne’a. Jęczy na znak rozkoszy. Étienne próbuje się uwolnić, ale Amanda nie wypuszcza go z uścisku. Oblizuje wargi. Jestem zdumiona, że nie został na nich nawet najmniejszy okruszek. Jak ona to robi?

— Jadłeś kiedyś takie? — pyta.

— Tak — kłamie Étienne.

Rashmi prycha.

Za mną rozlega się chrząknięcie i gdy się ogłdam, widzę Cheeseburgera, który nachalnie wpatruje się w pudło ze słodyczami. Spoglądam ze wściekłością na Amandę, Dotykaczkę Ramion, i wyciągam cały rząd Thin Mintów.

— Częstuj się, Cheeseburger.

Patrzy na mnie ze zdumieniem, ale z drugiej strony, on zawsze tak patrzy.

— Wow, dzięki, Anno. — Bierze ciasteczka i odchodzi ciężkim krokiem ku klatce schodowej.

Josh jest oburzony.

— A gdzie ty leżesz z tymi ciastkami?!

— Lepiej chodźmy w jakieś ustronniejsze miejsce — proponuje Mer, z poirytowaniem zerkając na Amandę. Łapie moją przesyłkę i wnosi na górę. Zawsze przygotowana, ma w lodówce świeże mleko. Wszyscy składają mi życzenia z okazji urodzin i stukamy się szklaneczkami. A potem napychamy, aż nam brzuchy pękają.

— Mniam — mlaszcze Étienne z podłogi. — Tagalongi.

— Mówiłam ci — rzuca Mer, wylizując czekoladowe masło orzechowe ze swoich markiz.

— Głupio, że my nic dla ciebie nie mamy. — Rashmi opada ciężko na łóżko. — Ale dzięki za poczęstunek.

Uśmiecham się.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Chciałem ci to dać przy obiedzie — odzywa się Étienne, podnosząc się z podłogi. —

Ale w sumie teraz też mogę. — Sięga do swojego plecaka.

— Ale ty przecież nienawidzisz urodzin! — dziwię się.

— Jeszcze mi nie dziękuj. I wcale nie nienawidzę, tylko nie obchodzę własnych.

Przepraszam, że nie jest opakowany. — Podaje mi kołonoćnik.

Jestem zaskoczona i zmieszana.

— Uhm... dzięki.

— Dla osób leworęcznych. Widzisz? — Przekłada kartki. — Twój stary notes prawie cały zapisałaś notatkami i recenzjami filmowymi, więc pomyślałem, że wkrótce będziesz potrzebowała nowego.

Nikt nigdy nie pamięta o tym, że jestem leworęczna. W gardle rośnie mi wielka gula.

— Jest super.

— Wiem, że to niewiele...

— Nie. To idealny prezent. Dzięki.

Zaczyna ogryzać najmniejszy palec, po czym oboje uśmiechamy się do siebie.

— Och, St. Clair, jakie to słodkie — naigrawa się Josh.

Étienne rzuca w niego poduszką Mer.

— No więc, nigdy tego bliżej nie wyjaśniałaś — wtrąca Rashmi. — O co chodzi z tymi recenzjami?

— Och. — Na siłę odrywam wzrok od Étienne'a. — To po prostu coś, czym od zawsze chciałam się zajmować. Lubię rozmawiać o filmach. A ponieważ trudno zaistnieć w tej branży — to coś jak zawód na całe życie — muszę dużo ćwiczyć.

— Dlaczego nie chcesz być reżyserem? Albo scenarzystką lub aktorką? — dziwi się Rashmi. — Nikt nie marzy o zostaniu krytykiem filmowym. To trochę dziwne.

— Wcale nie — sprzeciwia się Étienne. — Moim zdaniem pomysł jest super.

Wzruszam ramionami.

— Po prostu lubię wyrażać swoją opinię. I mam okazję zwrócić czyjąś uwagę na coś dobrego i wartościowego. A poza tym, no nie wiem... Często rozmawiałam z jednym znanym krytykiem z Atlanty — mieszkał w pobliżu kina, w którym pracowałam, i przychodził tam na premiery — i on kiedyś głądził coś o tym, że od czasu Pauliny Kael wśród krytyków filmowych nie ma żadnych liczących się kobiet, bo kobiety są za miękkie. Że dają nawet najgłupszym filmom po cztery gwiazdki. Chcę mu udowodnić, że to nieprawda.

Mer uśmiecha się kwaśno.

— Oczywiście, że nie.

Étienne podpira głowę na rękach.

— Nie sądzę, żeby ktokolwiek, kto cię zna, uważał, że łatwo zasłuży u ciebie na pozytywną recenzję.

Rzucam mu zdziwione spojrzenie.

— Co masz na myśli?

— Auuu — ziewa Josh, choć tak naprawdę tylko udaje, że ziewa. — No więc, jakie mamy plany?

Czekam na odpowiedź Étienne'a, ale ponieważ milczy, lekko nieprzytomna odwracam się

do Josha.

— Co mówiłeś?

— Nie siedźmy tutaj cały wieczór. Chodźmy gdzieś.

Nie mówi o kinie, więc nieco skępowana, odpowiadam:

— Ja wolę zostać.

Oczy Josha błyskają w moją stronę.

— Anno, ty nigdy dotąd nie piłaś?

— Oczywiście, że piłam — kłamię, ale zdradza mnie rumieniec. Wybucha wrzawa.

— Jak ci się udało przetrwać połowę roku bez picia? — dziwi się Rashmi.

Kurczę się w sobie.

— Tak... jakoś. Nadal mam wrażenie, że to niedozwolone.

— Jesteś we Francji — przypomina Josh. — Powinnaś przynajmniej spróbować.

I teraz wszyscy podskakują w górę i w dół. Można by pomyśleć, że to oni skończyli osiemnastkę.

— Tak! Upijmy Annę! — wrzeszcza.

— Nie wiem, czy...

— Nie upijmy — mówi Étienne z uśmiechem. Tylko on siedzi jeszcze na podłodze. — Tylko... uszczęśliwmy.

— Szczęśliwych pijanych urodzin — rzuca Josh.

— Szczęśliwych — powtarza Étienne. — Chodźmy, Anno. Znam doskonale miejsce na taką okazję.

I ponieważ to on, moje usta odpowiadają szybciej niż mój umysł.

— No dobra — zgadzam się.

Ustalamy, że spotkamy się za jakiś czas. Co ja sobie myślałam? O wiele bardziej wolałabym zostać i zrobić sobie maraton filmów Michela Gondry'ego. Ze zdenerwowania cała się trzęsę i mam trudności z wybraniem ciuchów. W mojej garderobie raczej brak takich, w których pokazuje się w klubach. Kiedy wreszcie schodzę do lobby, wszyscy już tam są, nawet Étienne. Jestem zaskoczona, że choć raz się nie spóźnił. Stoi plecami do mnie.

— No to już — mówię. — Zaczynamy tę imprezę.

Na dźwięk mojego głosu odwraca się i niemal gubi szczękę.

Jestem w krótkiej spódnicy. Włożyłam ją w Paryżu po raz pierwszy, ale uznałam, że urodziny to odpowiednia okazja.

— Wow, Anno! — Rashmi udaje, że poprawia okulary. — Dlaczego dotąd ukrywałaś te cudeńka?

Étienne gapi się na moje nogi. Nieco zawstydzona otulam się płaszczem, a on podskakuje i

wpada na Rashmi.

Może ona ma rację. Może powinnam częściej chodzić w spódnicy.

Ostre wycie gitar, bębnienie perkusji i wrzask solisty kapeli grającej w klubie są tak głośne, że prawie nie słyszę własnych myśli. Wiem tylko, że dobrze się czuję. Naprawdę dobrze. Dlaczego dotąd unikałam alkoholu? Jak idiotka — to przecież nic wielkiego. Teraz już rozumiem, po co ludzie piją. Nie jestem pewna, co piłam, ale wiem, że było to coś o smaku owocowym. Na początku wydawało się ohydne, ale im więcej w siebie tego wlewałam, tym robiło się lepsze. Lub tym mniej zwracałam uwagę na smak. Coś w tym stylu. Ludzie, ale dziwnie się czuję. Przepęlnia mnie siła.

Gdzie jest Étienne?

Rozglądam się po mrocznym pomieszczeniu, przeczesując wzrokiem tłum podrygujących i rzucających się jak w konwulsjach, pozbawionych złudzeń paryskich nastolatków, którzy swój gniew wyładowują przy zdrowej dozie francuskiego punk rocka. W końcu go dostrzegam. Oparty o ścianę rozmawia z Mer. Dlaczego on z nią rozmawia? Mer śmieje się i potrząsa kręconymi włosami. A potem dotyka jego ramienia.

Meredith zamieniła się w Amandę Dotykaczkę Ramion. Nie mogę uwierzyć.

Zanim zdaję sobie z tego sprawę, moje nogi niosą resztę mego ciała w ich kierunku. Muzyka wibruje mi w żyłach. Potykam się o stopy jakiegoś chłopaka. Przeklina mnie po francusku, a ja, idąc dalej, mamroczę przeprosiny. Co za problem ma ten koleś?

Étienne. Muszę porozmawiać z Étienne'em.

— Hej — wrzeszczę mu prosto w twarz, aż się wzdryga.

— Jezu, Anno. Dobrze się czujesz? Ile drinków wypijaś? — pyta Mer.

Macham ręką. Trzy palce. Cztery palce. Pięć. Coś koło tego.

— Zatańcz ze mną — mówię do Étienne'a. Jest zaskoczony, ale oddaje Mer szklankę z piwem. Ona rzuca mi niechętnie spojrzenie, ale mam to w nosie. Étienne jest bardziej moim przyjacielem niż jej. Łapię go za rękę i wyciągam na parkiet. Rozpoczyna się następny utwór, jeszcze ostrzejszy od poprzedniego. Daję się ponieść muzyce. Étienne przez chwilę mi się przygląda, po czym on też odnajduje swój rytm i potem tańczymy już razem.

Sala wiruje wokół nas. Jego włosy są spocone. Moje są spocone. Przyciągam go do siebie, a on nie protestuje. Wyginając się zmysłowo do rytmu, powoli przykucam, a kiedy się prostuję, widzę, że ma zamknięte oczy, a usta rozchylone.

Tańczymy blisko, w jednym tempie. Kapela rozpoczyna nowy kawałek. Jeszcze głośniejszy. Tłum podskakuje w zapamiętałym szale. Étienne na całe gardło śpiewa refren piosenki z całą resztą. Ja nie znam słów — pewnie i tak bym ich nie rozróżniła w tym ogłuszającym hałasie, nawet gdybym znała francuski. Wiem tylko, że zespół jest sto razy lepszy od Penny Dreadfuls. Ha!

Tańczymy do upadłego. Aż brakuje nam tchu, a nasze ubrania są mokre od potu. Ledwo trzymając się na nogach, idziemy do baru i tam, prawie nieżywa, padam na jeden ze stołków. Étienne łąduje na stołku obok i oboje wybuchamy śmiechem. I śmiejemy się tak bardzo, że aż mi łązy lecą.

Jakaś dziwna dziewczyna drze się do nas po francusku.

— *Pardon?* — Étienne odwraca się i jego oczy na widok nieznajomej robią się okrągłe. Dziewczyna ma proste włosy i stężałą od gniewu twarz. Cały czas coś krzyczy, a ja w tym wrzasku dosłuchuję się kilku niewybrednych przekleństw. Étienne odpowiada po francusku i widać po pozie, jaką przyjął, i po tonie głosu, że się broni. Dziewczyna znowu coś wrzeszczy i kończy kpiącym uśmiechem, po czym się odwraca i odchodzi przez pulsujący tłum.

— O co jej chodziło? — pytam.

— Cholera. Cholera jasna!

— Kto to był? Co się stało? — Podnoszę włosy do góry, żeby chociaż trochę się ostudzić. Jest mi gorąco. Strasznie gorąco.

Étienne w panice oklepuje kieszenie.

— Kurwa, gdzie mój telefon?

Szperam w torebce i wyciągam komórkę.

— Proszę, zadzwoń z mojego! — wrzeszczę, przekrzykując muzykę.

Kręci głową.

— Nie mogę. Domyśli się. Kurwa, ona się domyśli. — Szarpie się za włosy i po chwili, nim zdążę się zorientować, odchodzi przez tłum do wyjścia. Biegnę za nim. Wypadamy z klubu w zimną noc.

Z nieba lecą białe płatki. Nie wierzę. W Paryżu nigdy nie pada śnieg! A teraz pada i to w moje urodziny! Wystawiam język, ale niczego nie czuję, więc wysuwam go jeszcze bardziej. Étienne nadal nerwowo szuka telefonu. W końcu znajduje go w kieszeni kurtki. Dzwoni do kogoś, ale ten ktoś chyba nie odbiera, bo zaczyna się drzeć.

Podsakuję i się odwracam.

— Co się dzieje?

— Co się dzieje? Co się dzieje?! Powiem ci, co się dzieje. Ta dziewczyna w środku, ta, która chciała mnie ukatrupić... To współlokatorka Ellie. Widziała, jak tańczyliśmy, i zadzwoniła do niej, i wszystko jej powiedziała.

— I co z tego? Przecież tylko tańczyliśmy? Kogo to obchodzi?

— Kogo? Tak się składa, że Ellie od dawna świruje na twoim punkcie! Nienawidzi, kiedy się spotykamy, a teraz pomyśli, że między nami...

— Ona mnie nienawidzi? — Jestem skołowana. A co ja jej zrobiłam? Przecież od wielu

miesiący nawet się nie widziałyśmy.

Étienne znowu wrzeszczy i kopie w mur, a potem zaczyna wyc z bólu.

— Kurwa!

— Uspokój się! Boże, Étienne, co się z tobą dzieje?

Potrząsa głową i przybiera przegraną minę.

— To nie miało się tak skończyć. — Przesuwa ręką po mokrych włosach.

Co się nie miało skończyć? Ma na myśli ją czy mnie?

— Od dawna się rozpadało...

O mój Boże. Czyżby ze sobą zrywali?

— Ale nie jestem jeszcze gotowy — kończy.

Moje serce zamienia się w sopel lodu. Chrzanić go. Poważnie. Chrzanić.

— A dlaczego nie jesteś, St. Clair? Dlaczego nie jesteś gotowy?

Na dźwięk swojego nazwiska podnosi na mnie oczy. St. Clair, nie Étienne. Jest urażony, ale nie dbam o to. Znowu jest St. Clairem. Flirtującym, przyjaźniącym się ze wszystkimi. Nienawidzę go! Zanim zdąży odpowiedzieć, odchodzę chwiejnym krokiem. Nie mogę więcej na niego patrzeć. Byłam strasznie głupia. Jestem straszną idiotką.

Powtarza się historia z Tophem.

Woła za mną, ale ja idę dalej. Jedna noga, potem druga. Tak bardzo koncentruję się na stawianiu kroków, że nie widzę latarni i na nią wpadam. Rzucam głośne przekleństwo i zaczynam kopać w metal. Raz, drugi, trzeci. I nagle czuję, że St. Clair mnie odciąga, ale ja nadal kopię powietrze, drąc się wniebogłosy. Jestem strasznie zmęczona i chciałabym już być w swoim pokoju.

— Anno, Anno!

— Co się dzieje? — pyta ktoś. Otaczają nas Meredith, Rashmi i Josh. Kiedy zdążyli tu dotrzeć? Jak długo nam się przyglądali?

— Nic specjalnego — uspokaja St. Clair. — Trochę się tylko wstawiła...

— Wcale się nie wstawiłam!

— Anno, jesteś pijana i ja też. A to wszystko jest niedorzeczne, więc lepiej wracajmy.

— Nie chcę z tobą nigdzie wracać!

— Co w ciebie wstąpiło, do cholery?

— Co we mnie wstąpiło? Masz naprawdę tupet, że o to pytasz. — Potykając się, podchodzę do Rashmi, która mnie obejmuje, żebym nie upadła, a St. Clairowi posyła oburzone spojrzenie. — Powiedz mi tylko jedną rzecz, St. Clair. Chcę wiedzieć tylko jedno.

Wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczyma. Widać w nich gniew i dezorientację.

Milczę chwilę, czekając, aż głos mi się uspokoi.

— Dlaczego nadal z nią jesteś?

Cisza.

— W porządku. Nie odpowiadaj. I wiesz co? Do mnie też nie dzwoń. Między nami koniec.

Bonne nuit.

Odpowiedź pada, gdy zaczynam się oddalać.

— Bo nie chcę być teraz sam. — Jego głos niesie się echem przez noc.

Odwracam się, żeby po raz ostatni spojrzeć mu w twarz.

— Nie byłeś sam, ty dupku.

Rozdział 35

Ho, ho, Anno. Po pijaku jesteś ostra jak żyleta.

Naciągam koldrę na głowę. Dzwoni Rashmi. Głowa mi pęka.

— Ile wczoraj wypiliście z St. Clairem?

Étienne. Co się wczoraj wydarzyło? Pamiętam klub. Pamiętam muzykę i... Były jakieś tańce? Chyba były... I, och, tak... krzyczała na nas jakaś dziewczyna, a potem wyszliśmy z klubu i... och, nie.

Och, nie, nie, nie.

Siadam gwałtownie i — o mój Jezusie — w głowie mi wali jak młotem. Zamykam oczy, żeby odciąć się od sprawiającego ból światła, i powoli, powoli znów ześlizguję się na poduszkę.

— Prawie żeście się na tym parkiecie kochali.

Naprawdę?

Ponownie otwieram oczy i natychmiast tego żałuję.

— Chyba się zaziębiłam — skrzeczę do słuchawki. — Chce mi się strasznie pić i mam sucho w ustach. I ten ohydny smak. Jakbym najadła się wyściółki z klatki Kapitana Jacka.

— To raczej kac. Powinnaś się napić wody. Ale nie za dużo, bo znowu zwymiotujesz.

— Znowu?

— Zajrzyj do swojej umywalki.

Głośno stękam.

— Wolę nie.

— Josh i ja praktycznie zanieśliśmy cię do akademika. Powinnaś mi podziękować.

— Dziękuję. — Zupełnie nie jestem w tej chwili w nastroju na Rashmi. — Co z

Étienne'em?

— Nie widziałam go. Pojechał wczoraj w nocy do Ellie.

A już sądziłam, że nie mogę poczuć się gorzej. Wbijam pięść w poduszkę.

— Czy ja, eee... wygadywałam wczoraj jakieś... dziwne rzeczy?

— Poza tym, że zachowywałaś się jak zazdrosna dziewczyna i mówiłaś, że nie chcesz go więcej widzieć? Nie. Więcej nic dziwnego nie było. — Jęczę, gdy cios za ciosem referuje mi wydarzenia poprzedniej nocy. — Posłuchaj — dodaje na koniec. — O co chodzi z tobą i St. Clairem?

— To znaczy, co masz na myśli?

— Dobrze wiesz. Wy dwoje jesteście nierozłączni.

— Nie licząc momentów, kiedy spotyka się ze swoją dziewczyną.

— Fakt. No więc, w czym rzecz?

Znów stękam.

— Nie wiem.

— Czy między wami... no wiesz... coś zaszło?

— Nie!

— Ale on ci się podoba? A ty jemu, prawda?

Przestaję okładać poduszkę.

— Tak sądzisz?

— No, błagam cię. Facet robi się sztywny, jak tylko cię widzi.

Szybko otwieram oczy. Czy Rashmi użyła przenośni, czy faktycznie coś widziała? Nie.

Skup się, Anno.

— Więc czemu...

— Dlaczego nadal jest z Ellie? Powiedział ci to wczoraj. Czuje się samotny albo boi się, że będzie samotny. Josh twierdzi, że przez tę całą historię z jego mamą nie chce niczego zmieniać w swoim życiu, bo go to przeraża.

A więc Meredith miała rację. Étienne boi się zmian. Dlaczego nie poruszyłam tego tematu z Rashmi wcześniej? Teraz wszystko jest jasne. To oczywiste, że zna poufne informacje, bo Étienne zwierza się Joshowi, a Josh jej.

— Naprawdę myślisz, że mu się podobam? — Nie umiem się powstrzymać, żeby o to nie zapytać.

Wzdycha.

— Anno. Ciągłe się z tobą droczy. To klasyczny syndrom chłopaka, który podrywa dziewczynę, ciągnąc ją za warkocze. A jeśli ktoś inny próbuje ci dokuczać, natychmiast staje w twojej obronie.

— Hm?

Chwila milczenia.

— Tobie on też się podoba, co?

Walczę ze sobą, żeby się nie rozplakać.

— Nie. To nie tak.

— Kłamczucha. No więc jak, podnosisz się z wyrka? Powinnaś coś zjeść, od razu lepiej się poczujesz.

Zgadzam się, że spotkamy się w stołówce za pół godziny, ale nie mam pojęcia, czemu to robię, bo w chwili gdy tylko moje stopy dotykają podłogi, mam ochotę natychmiast wpełznąć z powrotem pod kołdrę. Czuję mdłości i boli mnie głowa, jakby ktoś przyłożył mi w nią kijem bejsbolowym. A poza tym dopiero teraz dociera do mnie mój własny zapach. Z ust śmierdzi mi

przetrawionym alkoholem, a od włosów bije odór zatęchłego dymu z papierosów. Podobnie jak od ubrań. Ohydztwo. Ciężko dysząc przez zeschnięte wargi, rzucam się do umywalki.

I odkrywam pawia z poprzedniego dnia, na którego widok rzucam następnego. Już naprawdę porządnego.

Pod prysznicem znajduję na łydkach i stopach dziwne siniaki. Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły. Wbijam się w mój mały, obłożony kafelkami róg łazienki i puszczam gorącą wodę. I stoję pod nią, i stoję. Jestem dwadzieścia minut spóźniona na śniadanie. A może lunch. Nieważne. Paryż pokryła kilkucentymetrowa warstwa śniegu. Kiedy zdążyło go tyle napadać? Jak mogłam przespać pierwszą śnieżycę? Biel śniegu zmusza mnie do przysłonięcia oczu.

Na szczęście, gdy powłócząc nogami wchodzę do stołówki, okazuje się, że Rashmi siedzi sama przy naszym stoliku. W tym momencie nie byłabym w stanie spojrzeć w twarz komukolwiek innemu.

— Witaj, słoneczko. — Parska śmiechem na widok moich wilgotnych włosów i zapuchniętych oczu.

— Nie pojmuję, jak ludzie mogą uważać, że upijanie się jest fajne.

— Przecież było fajnie, kiedy wczoraj tańczyłaś?

— Szkoda tylko, że tego nie pamiętam.

Rashmi podsuwa mi talerz z wyschniętymi tostami.

— Zjedz. I napij się wody, ale nie za dużo, bo zwymiotujesz.

— Już to zrobiłam.

— Cóż, to dobry początek.

— Gdzie jest Josh? — Odgryzam kęs tosta. Fuj. Nie jestem głodna.

— Poczujesz się lepiej, jeśli to zjesz. — Kiwa głową, wskazując na mój talerz. — Jeszcze śpi. No wiesz, nie spędzamy ze sobą każdej nocy.

— Taa... Jasne. Dlatego ty i ja mamy tak dużo czasu dla siebie.

Ups.

Śniada cera Rashmi pokrywa się lekkim rumieńcem.

— Wiem, że może cię to zszokować, Anno, ale nie ty jedna masz problemy. Nam z Joshem też ostatnio nie najlepiej się układa.

Osuwam się na swoje miejsce.

— Przykro mi.

Rashmi bawi się zakrętką do soku.

— Nieważne.

— No więc... co się dzieje? — Muszę na nią chwilę ponaciskać, ale gdy już zaczyna, wygląda to, jakby zerwała się tama. Okazuje się, że ona i Josh kłócą się częściej, niż sądziłam. O to,

że Josh zrywa się z lekcji. O to, że ona mu to wypomina. Rashmi myśli, że Josh jest przybity, bo ona w przyszłym roku wyjeżdża z Paryża, a on nie. Wszyscy wyjeżdżamy na nowe uczelnie, ale nie on.

Nie zastanawiałam się nad tym wcześniej.

Poza tym Rashmi martwi się o młodszą siostrę, Sanjitę, która zadaje się z bandą Amandy, jak również o brata, Nikhila, któremu koledzy w szkole dokuczają. I jest wściekła na rodziców, bo ci nieustannie porównują ją ze starszą siostrą, Leelą, która przed dwoma laty ukończyła ASP z wyróżnieniem. A Mer jest ciągle zajęta treningami, ja i St. Clair kumplujemy się tylko ze sobą i... tak w ogóle to Rashmi straciła najlepszą przyjaciółkę.

Ellie nadal do niej nie dzwoni.

I gdy tak się przede mną uzewnętrznia, ja czuję okropne zawstydzenie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Rashmi nie ma z kim pogadać. To znaczy, wiem, że Ellie była jej przyjaciółką i że już nie jest, ale jakoś umknęło mojej uwadze, że to oznacza, iż Rashmi nie ma nikogo. A może uznałam, że wystarcza jej Josh.

— Ale jakoś się dogadamy — stwierdza, nawiązując do Josha. Widać, że stara się nie rozplakać. — Zawsze się jakoś dogadujemy. Tylko to trudne. — Podaję jej serwetkę, a ona wydmuchuje w nią nos. — Dzięki.

— Ależ nie ma za co. To ja dziękuję za tosty.

Posyła mi krzywy uśmiezek, który jednak szybko znika. Coś za moimi plecami przykuło jej uwagę. Odwracam się, żeby sprawdzić, na co patrzy.

I widzę jego.

Rozczochranego, w koszulce z Napoleonem, wygniecionej bardziej niż zazwyczaj. Człapie w stronę *monsieur* Boutina z talerzem, na którym leży... suchy tost. Wygląda tak, jakby nie spał od tygodnia. A mimo to nadal jest piękny. Moje serce łomocze. Co mam powiedzieć? Jak z nim rozmawiać?

— Głęboki oddech — radzi Rashmi. — Weź głęboki oddech.

Ale to niemożliwe.

— A jeśli nie będzie chciał ze mną gadać? Kazałam mu się więcej do siebie nie odzywać.

Rashmi ściska moją rękę.

— Będzie dobrze. On tu idzie, więc się zmywam. Zachowuj się naturalnie. Będzie dobrze.

Racja, będzie dobrze.

Zbliża się do naszego stolika w denerwująco żółtym tempie. Zamykam oczy, boję się, że przy nas nie usiądzie, że naprawdę już nigdy się do mnie nie odezwie. Ale jego taca uderza w stół tuż przede mną. Nie pamiętam, kiedy ostatnio nie siedział obok mnie, ale w porządku.

Najważniejsze, że jest.

— Hej — rzuca.

Otwieram oczy.

— Hej.

— O kurde! — wykrzykuje Rashmi. — Muszę zadzwonić do Josha. Obiecałam, że go obudzę, zanim coś zjem, i zupełnie o tym zapomniałam. To na razie. — I zmyka, jakbyśmy byli nosicielami jakiejś choroby zakaźnej.

Przesuwam tost po talerzu. Biorę kolejny kęs i się nim duszę.

Étienne kaszle.

— Dobrze się czujesz?

— Tak. A ty?

— Strasznie.

— I tak wyglądasz.

— Powiedziała dziewczyna z włosami ociekającymi wodą jak u jakiegoś potwora z bagien.

Wybucham wymuszonym, anemicznym śmiechem. Étienne wzrusza ramionami, ale też jakoś niemrawo.

— Wielkie dzięki, Étienne.

Trąca palcem swojego tosta, lecz go nie podnosi.

— A więc znowu jestem Étienne'em?

— Masz za wiele imion.

— Mam tylko jedno, tylko ludzie dziwnie je rozdzielają.

— Możliwe. Taa... znowu jesteś Étienne'em.

— To dobrze.

Zastanawiam się, czy ta wymiana zdań liczy się jako pogodzenie.

— I jak tam u niej? — Nie mam ochoty wypowiadać jej imienia.

— Zła jak osa.

— Bardzo mi przykro. — Wcale tak nie jest, ale z całych sił pragnę udowodnić, że nadal możemy być przyjaciółmi. Wewnątrz mojego ciała gnieździ się jakiś ból, który domaga się bliskości Étienne'a. — Nie chciałam narozrabiać. Nie wiem, co we mnie...

Étienne trze skronie.

— Błagam, nie przepraszaaj. Nie zrobiłaś nic złego.

— Ale gdybym nie wyciągnęła cię na parkiet...

— Anno — zaczyna wolno. — Do niczego mnie nie zmuszałaś. Robiłem tylko to, na co miałem ochotę.

Moją twarz zalewa fala gorąca, bo nagle eksploduje we mnie pewne przeświadczenie.

On mnie lubi. Étienne naprawdę mnie lubi.

Ale w chwilę po tym olśnieniu ogarniają mnie uczucia dezorientacji i niemocy, które przerzucają moje emocje na przeciwny koniec spektrum.

— Ale... nadal z nią jesteś?

Zamyka oczy, wyraźnie zboląły.

Nie umiem zapanować nad głosem:

— Spędziłeś z nią noc!

— Nie! — Szybko podnosi powieki. — Nie. Nic z tych rzeczy. Już dawno... nie spałem u Ellie. — Wpatruje się we mnie błagalnie. — Ostatnio chyba przed Gwiazdką.

— Nie rozumiem, dlaczego z nią nie zerwiesz. — Teraz już płaczę. Jestem zrozpaczona, że to, czego pragnę, znajduje się tak blisko, a jednak, mimo wszystko, tak daleko.

Wygląda, jakby się wystraszył.

— Chodzimy ze sobą od bardzo dawna. Wiele razem przeszliśmy. To skomplikowane...

— Wcale nie. — Podnoszę się i rzucając moją tacą przez stół. Tost podskakuje na talerzu i spada na ziemię. — Odkryłam się tam przed tobą, a ty mnie odrzuciłeś. Więcej nie popełnię tego błędu.

Jak burza wypadam ze stołówki.

— Anno! Anno, zaczekaj!

— Oliphant! Lepiej się czujesz? — Odskakuję w bok, o włos unikając zderzenia z Dave'em. Jego przyjaciele Mike i Emily Middlestone, znana również jako Dziewczyna z Różowym Pasemkiem, stoją za nim, trzymając w rękach tace.

— Uhm. Co? — Oglądam się i widzę, że Étienne zerwał się od stolika. Miał zamiar za mną pobiec, ale gdy zobaczył Dave'a, chyba zmienił zdanie.

Dave chichocze.

— Widziałem cię wczoraj w lobby. Pewnie nie pamiętasz. Twój znajomi próbowali cię wnieść do windy, ale mieli z tym trudności, więc im pomogłem.

Rashmi nic mi o tym nie wspominała.

— Zarzygałaś sobie całą umywalkę.

Dave był w moim pokoju?

— Ale już ci lepiej? — pyta, zakładając za ucho pasmo skołtunionych włosów.

Jeszcze raz zerkam za siebie na Étienne'a. Znów ruszył w moim kierunku, ale po kilku krokach się zawahał. Odwracam się do Dave'a, czując, że w moim sercu budzi się coś nowego i niezbyt ładnego.

— Lepiej — odpowiadam.

— Ekstra. No bo wiesz, idziemy dzisiaj wieczorem do tego irlandzkiego pubu na Montmartrze. Może się wybierzesz?

Na jakiś czas dosyć mam picia.

— Dzięki za zaproszenie, ale wolę zostać w akademiku.

— No trudno. Może innym razem? — Uśmiecha się i szturcha mnie palcem w ramię. —

Kiedy już będziesz w lepszej formie.

Chcę ukarać Étienne'a, zranić go, tak jak on zranił mnie.

— Taa... Chętnie.

Brwi Dave'a ulatują w górę, być może pod wpływem zdziwienia.

— Super. No to nara. — Znów się uśmiecha, tym razem bardziej nieśmiało, po czym odchodzi za kolegami do ich stałego stolika.

— Super — słyszę za sobą głos Étienne'a. — Mnie też się z tobą super gadało.

Okręcam się gwałtownie na pięcie.

— O co ci chodzi? Ty możesz umawiać się z Ellie, ale mnie nie wolno nawet porozmawiać z Dave'em?

Chyba zrobiło mu się głupio, bo wbił oczy w czubki butów.

— Przepraszam.

— Nawet nie wiem, co miałabym zrobić z tymi twoimi przeprosinami.

— Przepraszam — powtarza. I tym razem patrzy mi w oczy. Błagalnie. — I wiem, że to nie fair cię o to prosić, ale potrzebuję więcej czasu.

— Miałeś cały rok. — Mój głos jest zimny jak lód.

— Proszę cię, Anno. Bądźmy przyjaciółmi.

— Przyjaciółmi. — Wybucham krótkim, gorzkim śmiechem. — Jasne. Oczywiście.

Étienne patrzy na mnie bezradnie. Mam ochotę mu odmówić, ale nie potrafię tego zrobić.

Nigdy nie potrafiłam.

— Proszę — powtarza.

Krzyżuję ręce na piersi, jakbym się broniła.

— Jasne, St. Clair. Będziemy przyjaciółmi.

Rozdział 36

Nie wierzę, że jadłaś lunch z Davidem. — Mer, kręcąc głową, przygląda się mu, jak idzie napuszony korytarzem. My zmierzamy w przeciwnym kierunku, w stronę pracowni fizycznej.

— Z Dave'em — poprawiam. — I w ogóle, o co ci chodzi? To miły chłopak.

— Jeśli się lubi gryzonie — wtrąca St. Clair. — Chociaż mogę się założyć, że z tymi wystającymi zębiskami trudno mu przeżuwać.

— Wiem, że go nie lubisz, ale mógłbyś przynajmniej spróbować być uprzejmy. — Powstrzymuję się i nie przypominam, że prowadziliśmy już dyskusję o naszych własnych, dalekich od perfekcji zgryzach. Ostatnie kilka tygodni były okropne. St. Clair i ja nadal się kumplujemy — w teorii — ale teraz to „coś” wróciło i jest nawet silniejsze i paskudniejsze niż po Święcie Dziękczynienia. Jest tak wielkie, że prawie namacalne. Jakby miało ciężar i masę. I nie pozwala się nam do siebie zbliżyć.

— Bo co? — pyta podejrzliwym tonem. — Zaczęliście się spotykać?

— Taa... umówiliśmy się na pierwszą randkę zaraz po tym, jak mnie poprosił o rękę.

Błagam. Tylko się przyjaźnimy.

Mer uśmiecha się kpiąco.

— Dave liczy na coś więcej.

— Hej, załapaliście, co mamy dzisiaj zadane z anglika? — pytam.

— Zmieniaczu tematów, twoje imię brzmi Anna — kpi sobie Rashmi. Ale w przyjazny sposób. Od naszego wspólnego śniadania w dzień po moich urodzinach między nami układa się lepiej.

— Nie zmieniam tematu, tylko nie usłyszałam, co mamy zadane.

— Dziwne — odzywa się St. Clair. — Bo widziałem, jak notowałaś.

— Naprawdę?

— Naprawdę — odpowiada wyzywającym tonem.

— Och, dajcie spokój — irytuje się Mer. Wszyscy z mojej paczki mają dosyć moich kłótni z St. Clairem, mimo że nikt nie zna szczegółów naszej obecnej sytuacji. Co mi akurat bardzo odpowiada. — Anno, to ma być wypracowanie porównujące dwa opowiadania z *Kitchen*. Już sobie przypominasz?

Oczywiście, że sobie przypominam. Nawet mam wielką ochotę napisać to wypracowanie. Właśnie skończyliśmy czytać powieść Banany Yoshimoto, japońskiej pisarki, i jak dotąd, to moja ulubiona książka. Oba opowiadania są o złamanym sercu i żałobie i oba posiadają ten rys... prostoty i romantyzmu. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie porównywać ich z powieściami ojca.

On też pisze o miłości i śmierci. Ale jego powieści są naiwnymi melodramatami, podczas gdy proza Yoshimoto to refleksja nad procesem ozdowieńczym. Jej bohaterowie również cierpią, mimo to udaje im się jakoś pozbierać. Uczą się kochać na nowo. Opowieści Yoshimoto są trudniejsze, ale też dają więcej satysfakcji. Bohaterowie cierpią na początku i w środku, ale nie na końcu. Opowiadania mają szczęśliwe zakończenie.

Powinłam wysłać tacie ich kopię, zakreślając końcowe ustępy na czerwono.

— Eee... To jak, piszemy tę pracę razem? Wieczorem? — pyta St. Clair, jękając się.

Próbuje być przyjacielski. Ale kiepsko mu to wychodzi. On się stara, ja go nieustannie gaszę.

— No, nie wiem — odpowiadam. — Mam dzisiaj tę przymiarkę sukni ślubnej.

Po jego twarzy przemyka grymas frustracji, ale z jakiegoś powodu nie budzi to we mnie takiego zadowolenia, jak powinno. Wrr, niech mu będzie.

— No, już dobra — dodaję. — Byłoby nawet... miło.

— A ja potrzebuję pożyczyć od ciebie notatki z matmy — zwraca się Mer do St. Claira. — Dzisiaj jakoś nie mogłam się skupić na lekcji, nic do mnie nie docierało.

— Och — rzuca takim tonem, jakby dopiero zauważył, że Mer z nami jest. — Taa... Pewnie, że możesz je pożyczyć. Kiedy do nas dołączysz.

Rashmi cicho prychnęła, lecz nic nie mówi.

St. Clair znów odwraca się do mnie.

— No więc podobała ci się ta książka?

— Tak, a tobie? — Jest między nami wyczuwalne skrępowanie.

Chwila zastanowienia.

— Najbardziej imię autorki — stwierdza w końcu. — *Ba-nah-na*.

— Nie tak się to wymawia — zauważam.

Puka mnie lekko palcem w ramię.

— Ale i tak imię podoba mi się najbardziej.

— Oliphant, co jest pod dziewiątką? — pyta szeptem Dave.

Robimy test. Nie idzie mi najlepiej, bo odmiana czasowników nie jest moją mocną stroną. Z rzeczownikami jeszcze jakoś sobie radzę — łódź, sznurówka, tęcza. *Le bateau, le lacet, l'arc-en-ciel*. Ale czasowniki? Gdyby tylko wszystko dało się powiedzieć w czasie teraźniejszym.

Ja idę wczoraj do sklepu po mleko!

Wczoraj wieczorem on jedzie autobusem aż dwie godziny!

Tydzień temu śpiewam dla ciebie na plaży!

Upewniam się, że professeur Gillet nie patrzy w moją stronę i dopiero wtedy odpowiadam.

— Nie mam pojęcia — szepczę. Ale w rzeczywistości znam poprawną odpowiedź. Po prostu nienawidzę oszukiwać. Dave pokazuje sześć palców, a ja kręcę głową. I na ten punkt, niestety, naprawdę nie znam odpowiedzi.

— Numer sześć? — syczy, nie będąc pewnym, czy go dobrze zrozumiałam.

— *Monsieur* Higgenbaum!

Dave sztywnieje na widok zbliżającej się *madame* Gilotyny. Nauczycielka zabiera mu kartkę z testem i coś mówi. Nie muszę znać francuskiego, żeby ją zrozumieć.

— I pani, *mademoiselle* Oliphant. — Mój test również zabiera.

To niesprawiedliwe!

— Ale...

— Nie toleruję oszukiwania. — Patrzy na mnie tak groźnie, że mam ochotę schować się pod ławkę. Potem wraca na przód klasy.

— Co to jest, do cholery? — złości się szeptem Dave. Uciszam go, ale *madame* Gilotyna odwraca się gwałtownie w naszą stronę.

— *Monsieur! Mademoiselle!* Syndziłam, że jasno to powidziłam — żadnych rozmów w czysie testu.

— Przepraszamy, pani *professeur* — mówię, przerywając Dave'owi, który protestuje i zarzeka się, że się nie odzywał ani słowem. Co jest durne, bo wszyscy go słyszeli.

A potem... *professeur* Gillet wyrzuca nas z klasy.

Nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze nigdy nie wyleciałam z lekcji. Nauczycielka każe nam czekać pod drzwiami do dzwonka, ale Dave ma inny pomysł. Na palcach odchodzi spod klasy i macha na mnie, żebym za nim poszła.

— Chodź. Wyjdziemy na schody, to będziemy mogli swobodnie pogadać.

Ale ja nie chcę nigdzie iść. I tak już napytaliśmy sobie biedy.

— Ona się nie zorientuje. Wrócimy przed końcem lekcji — namawia. — Słowo.

Mruka do mnie, na co ja kręcę głową, lecz i tak idę w jego ślady. Dlaczego nie potrafię odmawiać przystojnym chłopakom? Spodziewam się, że zatrzyma się na klatce, ale on schodzi na sam dół. Wychodzimy na ulicę.

— Tu lepiej, co? — pyta. — Komu chciałoby się gnić w środku w taki dzień jak ten?

Jest strasznie zimno i wołałabym wrócić do szkoły, ale trzymam język za zębami. Siadamy na wychłodzonej ławce i Dave zaczyna paplać coś o jeździe na snowboardzie lub nartach. Nie słucham go uważnie, bo jestem rozkojarzona. Zastanawiam się, czy *professeur* Gillet pozwoli mi nadrobić punkty stracone na teście. Zastanawiam się, czy wyglądała na korytarz. Zastanawiam się, czy właśnie nie szykuję sobie jeszcze większych kłopotów.

— Wiesz co, nawet się cieszę, że nas wyrzuciła — stwierdza Dave.

— Taa...? — Skupiam na nim uwagę. — A dlaczego?

Uśmiecha się.

— Nigdy nie widuję cię samej.

I potem... tak po prostu... Dave pochyla się i zaczynamy się całować.

Ja. Całuję się. Z Davem Higgenbaumem.

I nawet mi się to... podoba.

Nagle okrywa nas jakiś cień, więc szybko odrywam usta od ust Dave'a, które i tak zaczynały sobie zbyt śmiało poczynać.

— Cholera, przeoczyliśmy dzwonek? — pyta, zaniepokojony.

— Nie — odpowiada St. Clair. — Zostało wam jeszcze pięć minut tego ocierania się zębami.

Udręczona, kulę się w sobie.

— A ty co tu robisz?

Za St. Clairem stoi Meredith. W rękach trzyma stos gazet i szeroko się uśmiecha.

— To my powinniśmy cię o to zapytać. Ale nie mamy czasu, bo wykonujemy polecenie *professeur* Hansena.

— Och — mamroczę.

— Cześć, Dave — rzuca Mer.

Dave kiwa głową, ale gapi się na St. Claira i jego napiętą twarz.

— No dobra. Lecimy dalej i nie przeszkadzamy w tym, czym... jesteście zajęci. — Z roziskrzonymi oczyma Mer pociąga St. Claira za rękaw. — Na razie, Anno. Cześć, Dave!

St. Clair wbija ręce w kieszenie spodni i odchodzi, nie patrząc w moją stronę. Czuję, że żołądek wywraca mi się na drugą stronę.

— Co za problem ma ten gość? — pyta ze złością Dave.

— Który? Étienne? — Jestem zaskoczona, że użyłam tego imienia.

— Étienne? — Dave unosi brwi. — Myślałem, że ma na imię St. Clair.

Kusi mnie, żeby zapytać: „To czemu nazwałeś go »ten gość«?” Ale to byłoby nieuprzejme. Wzruszam więc ramionami.

— A w ogóle to po co się z nim zadajesz? Dziewczyny strasznie się na niego napalają, ale ja nie rozumiem, co w nim takiego specjalnego.

— Jest zabawny — odpowiadam. — I naprawdę miły.

Miły. Poprzedniego dnia tak samo opisywałam St. Clairowi Dave'a. Co się ze mną dzieje? Jakby Dave w jakikolwiek sposób przypominał St. Claira. Jednak Dave wygląda na niezadowolonego i robi mi się trochę głupio. Nie powinnam wychwalać przed nim St. Claira. Przynajmniej nie po tym, jak się całowaliśmy.

Chowa ręce do kieszeni.

— Powinniśmy wracać.

Idziemy niechętnie na górę, a ja po drodze wyobrażam sobie, że *professeur* Gillet czeka na nas przed klasą, a z jej nozdrzy bucha ogień, jak u jakiegoś wściekłego potwora. Jednak, gdy docieramy na miejsce, okazuje się, że korytarz jest pusty. Zaglądam do klasy przez szybkę w drzwiach i widzę, że *madame* Gilotyna dopiero kończy lekcję i na mój widok kiwa głową.

Nie mogę w to uwierzyć.

Dave miał rację. Nauczycielka nie zorientowała się, że odeszliśmy spod drzwi.

Rozdział 37

No więc dobrze, Dave nie jest tak atrakcyjny jak St. Clair. Ma wystające górne zęby i jest trochę za chudy, ale upstrzony piegami nos ma fajny. I podoba mi się, jak odsuwa z oczu grzywkę, a jego zalotny, łobuzerski uśmiech nadal na mnie działa. Jasne, jest też trochę niedojrzały, ale nie tak jak jego kumpel, Mike Reynard, który bez przerwy gada o biuście Dziewczyny z Różowym Pasemkiem. Nawet gdy ona znajduje się w zasięgu głosu. I choć nie sądzę, żeby Dave kiedykolwiek zainteresował się książką z dziedziny historii lub włożył śmieszna czapkę zrobioną na drutach przez jego mamę, to liczy się, że Dave jest dostępny. A St. Clair nie.

Minął tydzień od tamtego dnia, kiedy się całowaliśmy, i teraz umawiamy się już regularnie. No, w pewnym sensie. Kilka razy byliśmy na spacerze, kilka razy Dave zapłacił za mnie w knajpce i kilka razy pieściliśmy się w różnych miejscach na terenie kampusu. Ale nie zadaję się z jego znajomymi, a on z moimi. I tak jest lepiej, bo moi z jego powodu nieustannie mi dokuczają.

Teraz siedzę z nimi w lobby, gdzie — ponieważ jest piątkowy wieczór — nie ma dużego tłoku. Za biurkiem w recepcji tkwi Nate, a to dlatego, że zwykli pracownicy strajkują. W Paryżu zawsze ktoś strajkuje; nasz strajk też musiał się wydarzyć wcześniej czy później. Josh szkicuje szkic Rashmi, która w języku hindi rozmawia z rodzicami przez telefon, a St. Clair i Meredith przepytują się nawzajem, przygotowując się do testu z prawa administracyjnego. Ja natomiast sprawdzam skrzynkę mejlową i jestem zaskoczona, gdy znajduję na niej wiadomość od Bridgette, która się nie odzywała od prawie dwóch miesięcy.

Wiem, że nie chcesz ze mną gadać, ale postanowiłam spróbować ostatni raz. Przepraszam, że nie powiedziałam ci o Tophie. Bałam się, bo wiedziałam, jak bardzo go lubisz. Mam nadzieję, że kiedyś zrozumiesz, że nie chciałam cię zranić. I mam też nadzieję, że drugie półrocze we Francji dobrze ci idzie. Ja jestem strasznie podekscytowana tym, że do końca zostały tylko dwa miesiące i już nie mogę się doczekać balu maturalnego! Czy w ASP macie bal? Wybierasz się z kimś? I co słyhać z tych kolesiem z Anglii? Na moje oko wyglądało to jak coś więcej niż zwykła znajomość. Tak czy inaczej, jeszcze raz przepraszam i mam nadzieję, że czujesz się dobrze. I już więcej nie będę ci się naprzykrzała. Aha, i nie używałam wielkich słów, bo wiem, że tego nienawidzisz.

— Wszystko w porządku, Anno? — pyta St. Clair.

— Słucham? — Szybko zamykam pokrywę laptopa.

— Masz taką minę, jakby zamknęli „kino mamuśki i tatuśka basseta”.

Bridgette i Toph idą na bal maturalny. I co z tego? Czemu tak mnie to przybiło? Nigdy nie

zależało mi na tym balu. Ale oni dostaną te małe zdjęcia, co się mieszczą w portfelu. On będzie w smokingu, który pewnie, jak prawdziwy punkrockowiec, ozdobi agrafkami. Ona w prześlicznej, klasycznej sukni. I on będzie ją niezręcznie obejmował w pasie, i oboje zostaną w tej pozycji uwiecznieni na zdjęciu. A ja nigdy nie będę miała balu maturalnego.

— Wszystko w porządku — odpowiadam, nie odwracając się i ocierając łzy z oczu.

St. Clair podciąga się do siedzącej pozycji.

— Jak to w porządku? Przecież płaczesz. Otwierają się drzwi frontowe i poziom decybeli wzrasta, gdyż do lobby pakują się Dave, Mike i trzy trzecioklasistki. Są napici i głośno się śmieją. Emily Middlestone, Dziewczyna z Różowym Pasemkiem, ścisza Dave'a za ramię. A on jedną ręką niedbale obejmuje ją w pasie. Jakby pozowali do zdjęcia na balu maturalnym. Czuję ukłucie zazdrości i jestem tym ogromnie zaskoczona.

Emily ma rozpalone policzki i śmieje się głośniejsz niż inni. Mer trąca moją stopę czubkiem buta. Reszta, nawet Rashmi i Josh, obserwuje sytuację z zainteresowaniem. Znow otwieram laptopa, żeby ukryć fakt, że wszystko we mnie buzuje.

— Anno! — Dave macha do mnie tak energicznie, jakbyśmy nie widzieli się sto lat. Emily natychmiast robi kwaśną minę. — Szkoda, że tego nie widziałaś! — Dave strząsa z siebie Emily i rusza do mnie chwiejnym krokiem. Ma spuszczone ramiona i wygląda jak świeżo wyklute pisklę z przetrąconymi skrzydełkami. — Kojarzysz tę kawiarnię z niebieskimi oknami? Buchnęliśmy im stoliki i krzesła z ogródka na zewnątrz i wstawiliśmy do fontanny. Żałuj, że nie widziałaś min kelnerów. To było niesamowite!

Spoglądam na jego buty. Faktycznie są mokre.

— Co robisz? — Opada na kanapę obok mnie. — Sprawdzasz mejle?

St. Clair prycha.

— Facetowi ktoś powinien dać medal za wyjątkowy talent śledczy.

Moi przyjaciele parszają śmiechem, a mnie znowu ogarnia wstyd, za Dave'a i za siebie. Ale Dave nie zwraca uwagi na St. Claira i nadal ma na twarzy ten sam głupkowaty uśmiech.

— Cóż, zobaczyłem laptopa i że piękna marszczy czoło, więc uznałem, że się na czymś mocno koncentruje. I dodałem dwa do dwóch...

— Nie — mówię do St. Claira, który już otwiera usta, żeby coś powiedzieć. Zamyka je natychmiast, zdumiony.

— Idziesz z nami na górę? — pyta Dave. — Planujemy posiedzieć trochę u mnie.

Prawdopodobnie powinnam. W końcu w pewnym sensie jest moim chłopakiem. A poza tym jestem wkurzona na St. Claira. Jego wrogie spojrzenie przyspiesza moją decyzję.

— Jasne.

Dave wiwatuje i ciągnie mnie za rękę, żebym wstała. Przy okazji potyka się o podręcznik

St. Clair i St. Clair robi taką minę, jakby chciał kogoś zamordować.

— To tylko książka — zauważam.

Krzywi się z odrazą.

Dave zabiera mnie na piąte piętro. Na którym mieszka St. Clair. Zapomniałam, że są sąsiadami. Pokój Dave'a okazuje się najbardziej... amerykańskim miejscem, jakie widziałam w Paryżu. Ściany pokrywają tandetne plakaty — *99 butelek piwa na ścianie*, *Reefer Madness*, kobieta z wielkim biustem w białym bikini. W przedziałku między piersiami ma piasek i wydyma usta, jakby chciała powiedzieć: „Dacie wiarę? Piasek! Na plaży!”

Dziewczyny zwalają się na nieposłane łóżko Dave'a. Mike rzuca się na nie, a one zaczynają pisać i okładać go pięściami. Ja sterczę w drzwiach, aż w końcu Dave wciąga mnie do środka i sadza sobie na kolanach. Siedzimy na krześle przy jego biurku. Wchodzi kolejny chłopak. Paul? Pete? Coś takiego. Jedna z trzecioklasistek, dziewczyna o ciemnych włosach i w obcisłych dżinsach, przeciąga się tak, żeby pokazać kolczyk w pępku Paulowi/Pete'owi. Och, błagam.

Imprezowicze dzielą się w pary i zaczynają się całować. Emily nie ma partnera, więc wychodzi, choć wcześniej posyła mi kolejne mordercze spojrzenie. Język Dave'a ląduje w moich ustach, ale nie mogę się rozluźnić, bo dzisiaj Dave okropnie się ślini. Jego dłoń zakrada się pod moją bluzkę i zastyga w okolicy krzyża. Zerkam na drugą dłoń i nagle sobie uświadamiam, że te ręce nie są dużo większe od moich. To ręce małego chłopca.

— Muszę się odlać. — Mike Reynard wstaje, zrzucając swoją dzisiejszą partnerkę na podłogę. Spodziewam się, że wyjdzie z pokoju, ale on robi coś niewybaczalnego. Rozsuwa rozporek — na naszych oczach — i sika do prysznica.

I nikt tego nie komentuje.

— Nie zamierzasz mu przeszkodzić?

Ale Dave nie odpowiada. Głowę ma odchylną w tył, usta otwarte. Zasnął?

— Wszyscy szczają do prysznica. — Mike uśmiecha się kpiąco. — A ty co? Stoisz w kolejce do klopa?

Zbiegając po schodach na moje piętro, walczę z mdłościami. Co ja sobie myślałam? Mogłam tam sobie zafundować całe stado śmiertelnych chorób. Dave na pewno nigdy nie sprząta pokoju. Myślę o czystym, przyjemnym pokoju St. Claira i zaczynam zazdrościć Ellie w zupełnie nowy sposób. St. Clair nigdy by nie powiesił na ścianie plakatu z butelkami piwa ani nie urządzałby u siebie imprez. I nie używałby prysznica jako toalety.

Jak to możliwe, że zesłam się z Dave'em? Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek o tym decydowała. Po prostu się stało. A może spotykam się z nim tylko dlatego, że jestem wściekła na St. Claira? Czuję, że trafiłam w sedno, i robi mi się strasznie głupio. Sięgam do łańcuszka na szyi i

wpadam w jeszcze większą panikę.

Klucz. Nie mam klucza.

Gdzie ja go zostawiłam? Rzucam przekleństwo, bo nie ma mowy, żebym wróciła do pokoju Dave'a. Może jest gdzieś na dole? A może w ogóle go nie zabrałam. Czy to znaczy, że muszę się zgłosić do recepcji? Tyle że — znów rzucam soczyste słówko — personel strajkuje. Co oznacza, że muszę iść do Nate'a, a to oznacza, że muszę go obudzić w środku nocy. Co oznacza, że Nate się na mnie wścieknie.

Otwierają się drzwi do pokoju Mer. To St. Clair.

— To na razie — mówi, zamykając drzwi, a Mer odkrzykuje „dobranoc”. St. Clair patrzy na mnie z taką złością, że aż się kurczę pod tym spojrzeniem.

— Dobrze się bawiłaś z Higgenbaumem? — pyta kpiąco.

Nie chce mi się rozmawiać o Davie. Chcę znaleźć pieprzony klucz do pokoju i chcę, żeby St. Clair sobie poszedł.

— Tak. Było super.

Mruga.

— Ty płaczesz. To już drugi raz tego wieczoru. — W jego głosie pobrzmiwa jakiś nowy ton. — Czy on ci coś zrobił?

Wycieram oczy.

— Co?

— Zabiję tego skur...

Jest już prawie w połowie korytarza, zanim udaje mi się go zatrzymać.

— Nie! — St. Clair spogląda na moją dłoń na jego ramieniu, więc szybko ją zabieram. — Zatrzasnęłam się. Rozpłakałam się, bo zgubiłam ten cholerny klucz.

— Och.

Stoimy tam przez chwilę jak słupy soli, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

— Idę na dół. — Unikam jego wzorku. — Może tam go zostawiłam.

St. Clair idzie za mną, a ja jestem zbyt wyczerpana, żeby mu tego zabronić. Jego buty głośno stukają na pustej klatce schodowej. Klap, klap, klap. W lobby jest ciemno. Nie ma tu żywego ducha. Marcowy wiatr brzęczy szybami w drzwiach frontowych. St. Clair szuka po omacku i włącza lampę. Jest w stylu Tiffany w czerwone ważki z wybałuszonymi turkusowymi ślepiami. Zaczynam podnosić poduchy na kanapach.

— Ale ty cały czas siedziałaś na podłodze — przypomina St. Clair. Zastanawiam się i uznaję, że ma rację. Pokazuje na fotel. — Pomóż mi go podnieść. Może ktoś kopnął klucz pod spód.

Odsuwamy fotel, ale klucza nie ma.

— Mogłaś go zostawić na górze? — Jest skrępowany, więc wiem, że ma na myśli pokój Dave'a.

— Nie wiem. Jestem tak zmęczona, że nie umiem zebrać myśli.

— Idziemy sprawdzić? — Chwila wahania. — A może... sam pójde?

Kręcę głową i z ulgą przyjmuję fakt, że nie nalega.

Zresztą on też wygląda, jakby mu ulżyło.

— Nate?

— Nie chcę go budzić.

St. Clair zaczyna ogryzać kciuk. Denerwuje się.

— Mogłabyś przespać się u mnie. Ja się położę na podłodze, a ty w moim łóżku. Nie musimy, eee, spać razem. Tak jak kiedyś. Jeśli nie chcesz.

To zaledwie drugi raz — nie licząc mejla od niego w Boże Narodzenie — gdy któreś z nas wspomina tamten weekend. Jestem zdumiona. A propozycja tak mnie kusi, że cała aż się skręcam. Jednak z wielu powodów jest to bardzo zły pomysł.

— Nie, lepiej... lepiej załatwię to od ręki. Bo rano i tak musiałabym iść do Nate'a i powiedzieć, że... u ciebie spałam.

Czyżby był zawiedziony? Odpowiada dopiero po chwili:

— W takim razie pójde z tobą.

— Nate będzie wściekły. Lepiej wracaj do siebie.

Ale St. Clair maszeruje do drzwi Nate'a i puka. Minutę później Nate otwiera. Jest na bosaka, w starym T-shircie i bokserkach. Zawstydzona, odwracam wzrok. Drapie się po wygolonej czaszce.

— Uhm?

Wlepiam oczy we wzorzysty dywanik za drzwiami.

— Zatrzasnęłam się.

— Mhm?

— Zapomniała zabrać klucz — wyjaśnia St. Clair. — Może pożyczyć zapasowy?

Nate wzdycha, ale zaprasza nas do środka. Jego mieszkanie jest o wiele większe od naszych pokojów. Składa się z prywatnej toalety, saloniku i normalnej wielkości (choć na amerykańskie standardy małej) kuchni oraz oddzielnej sypialni. Nate, powłócząc nogami, idzie do drewnianej komody w salonie. Jest zapełniona miedzianymi kluczami wiszącymi na gwoździach, nad którymi widnieją wymalowane złotą farbą cyfry. Sięga po klucz pod 408 i mi go podaje.

— Chcę go z powrotem przed śniadaniem.

— Oczywiście. — Tak mocno zaciskam dłoń na kluczu, że robię sobie w niej wgniecenia.

— Przepraszam.

— Wynocha — mówi, a my wybiegamy na korytarz, choć po drodze w oko wpada mi miska z prezerwatywami, co znowu przywołuje niepokojące wspomnienia ze Świąt Dziękczynienia.

— Widzisz? — St. Clair gasi lampę z ważką. — Nie było tak źle.

Lobby znowu jest pogrążone w ciemności; jedyne światło dochodzi od wygaszacza ekranu w komputerze stojącym na recepcyjnym biurku. Idę po omacku, oklepując ściany, żeby nie zgubić drogi. St. Clair wpada na mnie.

— Przepraszam — mówi. Czuję jego ciepły oddech na szyi, ale on się nie odsuwa, tylko idzie korytarzem tuż za mną.

Wreszcie wyczuwam ręką drzwi na klatkę schodową. Otwieram je i oboje osłaniamy oczy przed nagłą jasnością. St. Clair zamyka drzwi, ale nie wchodzimy na schody. Nadal stoi blisko. Odwracam się. Jego usta są o milimetr od moich. Serce wali mi tak mocno, że prawie wyskakuje z piersi. I wtedy St. Clair się odsuwa.

— Więc ty i Dave jesteście...?

Gapię się na jego dłonie, spoczywające na klamce. Nie są to dłonie małego chłopca.

— Byliśmy — odpowiadam. — Ale już nie jesteśmy.

St. Clair nieruchomieje, a potem daje krok w przód.

— I pewnie nie powiesz, czego dotyczył ten mejl?

— Nie.

Jeszcze jeden krok.

— Ale on cię zasmucił. Dlaczego nie chcesz powiedzieć, o co chodzi?

Cofam się.

— Bo to krępujące, a poza tym nie powinno cię interesować.

St. Clair marszczy czoło w grymasie frustracji.

— Anno, jeśli nie możesz powiedzieć przyjacielowi, co cię dręczy, to komu to powiesz?

I tak po prostu znowu muszę ze sobą walczyć, aby się nie rozpląkać po raz trzeci tego dnia. Ponieważ, pomimo naszej dziwnej sytuacji i tego, że się kłócimy, St. Clair nadal uważa mnie za swoją przyjaciółkę. Ta wiadomość sprawia mi tak ogromną ulgę, że to aż boli. Brakowało mi go. Nienawidzę się na niego złościć. Bez zastanowienia zaczynam szybko opowiadać o Bridgette i Tophie, i o balu. A on słucha uważnie, nie odrywając ode mnie oczu.

— Nigdy nie będę miała balu! Kiedy tata mnie tu zapisał, odebrał mi także i to!

— Ale bale maturalne to... obciach. — St. Clair jest zdezorientowany. — Myślałam, że się cieszysz, że u nas go nie organizują.

Siedzimy obok siebie na najniższym stopniu.

— Bo tak było. Do teraz.

— Ale... Toph to palant. Nienawidzisz go. I Bridgette też! — Spogląda na mnie z ukosa. —

Nadal nienawidzimy Bridgette, tak? Chyba że coś mi umknęło?

Kręcę głową.

— Nadal jej nienawidzimy.

— No to mamy wspaniałą karę. Tylko się zastanów. Będzie musiała wpakować się w tę satynową potworność, jakiej żadna normalna dziewczyna w życiu by na siebie nie włożyła. I będą jej robili te straszne zdjęcia...

— Ale za to jakie znaczące — jęczę.

— Nie, Anno. Te zdjęcia są okropne. — I widać po jego pełnej odrazy minie, że naprawdę tak uważa. — Trzeba do nich pozować w pokracznych pozycjach, i te straszne slogany: „Pamiętny wieczór”. „Magiczna noc”.

— „Bal marzeń”.

— Właśnie. — Szturcza mnie łokciem. — Och, i pamiętaj o łańcuszku do kluczy z pamiątkowymi fotografiami. Bridgette będzie musiała taki kupić. I skompromituje się przed Tophem, a on z nią zerwie. I to będzie ich koniec. Zdjęcie z balu doprowadzi do ich rozstania.

— Mimo wszystko ubiorą się elegancko.

— Przecież nienawidzisz się stroić.

— I będą tańczyli.

— Ty też tu tańczysz! Tańczyłaś na biurku w lobby w Święto Dziękczynienia. — Wybucha śmiechem. — Nie ma szans, żeby Bridgette zatańczyła na biurku w czasie balu.

Na siłę próbuję utrzymać moje przygnębienie.

— Chyba że się upije.

— Chyba że.

— Co na pewno będzie miało miejsce.

— Bez cienia wątpliwości. Tak się nawali, że nie będzie wiedziała, jak się nazywa.

— I dlatego będzie naprawdę obciachowo, gdy zwymiotuje całą kolację...

St. Clair wyrzuca przed siebie ramiona.

— Okropne żarcie z przyjęcia na balu! Jak mogłem o tym zapomnieć. Kurczaki jak guma, sos barbecue w butelkach...

— ...na butach Tophy.

— Tragedia — rzuca. — I wszystko wydarzy się w trakcie robienia zdjęć. Gwarantuję ci to. Wreszcie wykrzesuję z siebie słaby uśmiech, za to St. Clair śmieje się na całe gardło.

— I dobrze.

Spoglądamy na siebie. Jego uśmiech łagodnieje i znów szturcza mnie pod żebro. Opieram głowę na jego ramieniu i wtedy na schodach gaśnie światło. Wszędzie są zamontowane czasowe czujniki.

— Dzięki, Étienne.

Sztywnieje na dźwięk swojego imienia. W ciemności sięgam po jego dłoń, żeby ją uścisnąć. Odwzajemnia uścisk. Ma ogryzione paznokcie, ale ja uwielbiam jego dłonie. Są dokładnie takiej wielkości, jaka mi odpowiada.

Teraz już wiem, dlaczego ludzie tak się rozplývają nad Paryżem na wiosnę. Młode liście są jasnozielone, kasztanowce pokrywają się różowymi pączkami, a pobocza ciągów dla pieszych porastają rzędy cytrynowożółtych tulipanów. Wszędzie, gdzie nie spojrzę, paryżanie się uśmiechają. Wełniane szaliki zamienili na cieńsze, lżejsze i delikatniejsze. Le Jardin du Luxembourg, Ogrody Luksemburskie, są dzisiaj zatłoczone, ale to przyjemny tłok. Wszyscy są szczęśliwi, bo to pierwszy ciepły dzień roku. Nie widzieliśmy słońca od wielu miesięcy.

Ale ja jestem zadowolona z innej przyczyny.

Dziś rano Étienne miał ważny telefon. Susan St. Clair nie zostanie bohaterką powieści Jamesa Ashleya. Wyniki badań PET-CT[5] okazały się pomyślne — brak oznak nowotworu. Nadal będzie musiała co trzy miesiące robić testy, ale w tej chwili mama St. Claira żyje w najpełniejszym znaczeniu tego słowa.

Wyszliśmy na miasto, aby to uczcić.

Étienne i ja leżymy wygodnie wyciągnięci przy Grand Bassin, ośmiokątnym basenie, znanym z tego, że dzieci puszczają w nim łódki zabawki. Meredith bierze udział w meczu ligowym odbywającym się na zamkniętym stadionie po drugiej stronie ulicy, a Josh i Rashmi siedzą na widowni. My też tam przez chwilę byliśmy. Meredith jest świetna, niemniej nie starczyło nam cierpliwości i umknęliśmy z widowni. Widać mnie i Étienne'owi trudno skupić się na oglądaniu zorganizowanych imprez sportowych. Już po piętnastu minutach szeptem i wymownym wyginaniem brwi dawał znać, że chce się ulotnić.

Nie musiał mnie długo przekonywać. Ale zamierzamy tam wrócić na koniec meczu.

To dziwne, że jestem tu pierwszy raz, gdyż ogrody graniczą z Dzielnicą Łacińską. Widocznie je przeoczyłam. Teraz Étienne pokazał mi szkółkę pszczelarską, sad, teatrzyk kukielkowy, karuzelę i dziedziniec, na którym dżentelmeni grają w *boules*, kule. Twierdzi, że jesteśmy w najładniejszym parku w Paryżu, ale moim zdaniem to najładniejszy park na całym świecie. Chciałabym przyprowadzić tu Seany'ego.

Małeńka łódka przepływa za nami z szelestem, a ja wzdycham ze szczęścia.

— Étienne?

Leżymy obok siebie, oparci o krawędź basenu. Étienne zmienia pozycję i jego noga opiera się wygodnie o moją. Mamy zamknięte oczy.

— Hm? — mruczy.

— To sto razy lepsze niż mecz.

— Mhm, prawda?

— Jesteśmy wstrętni — dodaję.

Leniwym ruchem klepie mnie po ramieniu i oboje parskamy cichym śmiechem. Jakiś czas później dociera do mnie, że woła mnie po imieniu.

— Co? — Musiałam przysnąć.

— Masz łódkę we włosach.

— Hę?

— Powiedziałem: „Masz łódkę we włosach”.

Chcę unieść głowę, ale nie mogę, bo coś ją przytrzymuje. Étienne nie żartował.

Zdenerwowany chłopiec w wieku Seany’ego zbliża się do nas, mówiąc coś szybko po francusku. Étienne się śmieje, a ja próbuję wyplątać się z żagli. Łódka się przewraca i końce moich włosów zanurzają się w wodzie. Chłopczyk wrzeszczy na mnie.

— Halo, pomocy! — Posyłam zrozpaczone spojrzenie Étienne’owi, który chichocząc, trzyma się za brzuch. Ale się podnosi, gdy chłopiec łapie mnie za włosy i zaczyna za nie szarpać.

— Au!

Étienne mówi coś do niego ostro i dzieciak puszcza włosy. Palce Étienne’a delikatnie oddzielają mokre pasma od płótna żagla, sznureczków i drewnianych palików. Potem podaje łódkę chłopcu, przemawiając do niego już łagodniejszym tonem. Może go przestrzega, żeby pilnował łodzi, tak aby nie wpadała na niewinnych widzów. Chłopak chwytą zabawkę i odbiega.

— Pfuj — jęczę, wyzymając włosy.

— Ta woda jest bardzo czysta — zapewnia i szeroko się uśmiecha.

— Już to widzę. — Ale miło mi, że się domyśla, co mi chodzi po głowie.

— Chodź. — Podnosi się i podaje mi rękę. Chwytam ją, a on pomaga mi wstać.

Spodziewam się, że zabierze dłoń, lecz tak się nie dzieje. Zamiast tego prowadzi mnie do spokojnego miejsca z dala od basenu.

To fajne tak się trzymać za ręce. Wygodne.

Bardzo bym chciała, żeby zwyczaj chodzenia, trzymając się za ręce, był bardziej rozpowszechniony wśród przyjaciół. Żeby dorośli mogli zachowywać się jak dzieci, które często tak robią. Nie bardzo rozumiem, czemu dorośli się tego wstydzą. Siedzimy na trawniku pod baldachimem z różowych pąków. Rozglądam się dokoła w poszukiwaniu żandarmów w ich małych konduktorskich czapeczkach, zawsze chętnych do usuwania mieszkańców z trawników, ale ich nie widzę. Étienne działa jak talizman na szczęście w takich sytuacjach. Z włosów na plecy nadal ścieka mi woda, lecz, z jakiegoś powodu, wcale mi to w tej chwili nie przeszkadza.

I nadal nasze dłonie są złączone.

Okej, powinniśmy je puścić. Jest to moment, w którym rozdzielenie dłoni wyglądałoby naturalnie.

Zatem czemu tego nie robimy?

Skrepowana, spoglądam w stronę Grand Bassin. Étienne również. Ale nie patrzymy na łódki. Jego dłoń jest coraz cieplejsza, ale jej nie zabiera. A potem... przysuwa się. Zaledwie o centymetr. Zerkam w dół i widzę, że podwinął mu się skraj koszulki, odsłaniając kawałek pleców. Są gładkie i jasne.

To najbardziej zmysłowa rzecz, jaką widziałam w życiu.

Znów się przysuwa, a ja idę w jego ślady. Siedzimy teraz ramię przy ramieniu, noga przy nodze. Jego dłoń ściska moją, zmuszając mnie, abym na niego spojrzała.

Robię to.

Jego ciemne oczy z napięciem wpatrują się w moje.

— Co my wyprawiamy? — pyta zduszonym głosem.

Jest taki piękny, doskonały. Czuję zawroty głowy. Serce mi wali, tętno szaleje. Przysuwam ku niemu twarz, a on wykonuje ten sam ruch. Zamyka oczy. Nasze usta ocierają się lekko o siebie.

— Jeśli chcesz, żebym cię pocałował, zrobię to — mówi.

Muska palcami mój nadgarstek, a ja stoję w płomieniach.

— Chcę — odpowiadam.

I Étienne mnie całuje.

Całujemy się jak szaleńcy. Jakby od tego zależało nasze życie. Jego język wślizguje się między moje wargi, delikatnie, lecz pożądliwie, a mnie ogarnia uczucie, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczałam. I nagle rozumiem, czemu ludzie opisują akt całowania jako rozpływanie się. Każdy centymetr mojego ciała wtapia się w ciało Étienne'a. Wsuwam mu palce we włosy i przyciągam go bliżej. Krew tętni mi w żyłach, a serce jest bliskie eksplozji. Jeszcze nigdy tak nikogo nie pragnęłam. Nigdy.

Popycha mnie na plecy i kładzie się na mnie, i całujemy się dalej na oczach dzieci z ich czerwonymi balonikami i grających w szachy starszych panów, i turystów z laminowanymi mapami. Ale ja się tym nie przejmuję. Nie przejmuję się niczym.

Zależy mi wyłącznie na nim, na Étienne.

Jego ciało przygniata moje i to jest niesamowite wrażenie. Czuję go — całego — jak się we mnie wtula. Zaciągam się zapachem jego kremu do golenia, szamponu i tym dodatkowym... zapachem jego samego. To najwspanialszy zapach, jaki można sobie wyobrazić.

Chciałabym go całego wchłonąć w siebie, zjeść, wypić. Jego usta mają smak miodu. Lekki zarost drapie mi twarz, ale o to nie dbam. Nic a nic. Po prostu rozkoszuję się jego bliskością. Jego dłonie przemykają po mnie pożądliwie, i choć nadal mnie całuje, chciałabym, żeby był jeszcze bliżej.

I nagle to wszystko się kończy. Étienne sztywnieje, jakby coś go zaniepokoiło.
— Jak możecie? — wrzeszczy jakaś dziewczyna.

Rozdział 39

Pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to Ellie.

Ellie nas znalazła i zaraz mnie udusi. Tu i teraz, gołymi rękami, na oczach marionetkarza, koników z karuzeli i pszczelarzy. Zrobię się sina, przestanę oddychać i umrę. A ona wylądjuje w więzieniu, z którego do końca życia będzie pisała psychotyczne listy do Étienne'a na pergaminie z wysuszonej skóry.

Ale to nie Ellie. To Meredith.

Étienne zrywa się ze mnie. Mer odwraca głowę, ale ja wcześniej dostrzegam, że płacze.

— Mer! — Ucieka, nim zdążę powiedzieć coś więcej. Patrzę na Étienne'a, który z miną pełną niedowierzania drapie się po głowie.

— Cholera — mamrocze.

— Słuszna racja — zgadza się Rashmi. Ze zdumieniem stwierdzam, że ona i Josh też tu są.

— Meredith — jęczę. — Ellie. — Jak mogliśmy do tego dopuścić? Étienne ma dziewczynę i obydwójce mamy przyjaciółkę, która się w nim kocha — tajemnica, która nie jest tajemnicą i nigdy nie była.

Étienne podrywa się na nogi — na koszulce ma żdźbła zeschniętej trawy — i wołając ją, rzuca się w pogoń za Mer. Po chwili znika za zagajnikiem. Josh i Rashmi coś mówią, ale do mnie to nie dociera.

Czy Étienne właśnie mnie porzucił? Dla Meredith?

Mam zaciśnięte gardło i nie mogę przełknąć śliny. Nie dość, że przyłapano mnie na całowaniu się z kimś, z kim nie powinnam tego robić — choć była to najcudowniejsza chwila mojego życia — to jeszcze zostałam odtrącona.

Na oczach wszystkich.

Przede mną pojawia się czyjaś dłoń. Oszołomiona, przesuвам po niej ręką, podążając do nadgarstka, łokcia, ramienia z wytatuowaną trupią czaszką, szyi i twarzy. Josh. Zaciska palce na mojej ręce i pomaga mi wstać. Mam mokre policzki, a przecież nawet nie pamiętam, kiedy zaczęłam płakać.

Josh i Rashmi prowadzą mnie w milczeniu do najbliższej ławki. Ja bełkoczę, tłumacząc, że nie wiem, jak to się stało, że nie chciałam nikogo zranić, i — „błagam, nie mówcie nic Ellie”. I jeszcze, że nie mogę uwierzyć, że zrobiłam to Mer i że ona już nigdy się do mnie nie odezwie. I że wcale się nie dziwię, że Étienne mnie zostawił, bo przecież jestem okropna. Najgorsza.

— Anno, Anno — przerywa mi Josh. — Gdybym za każdą głupią rzecz, jaką zrobiłem w życiu, dostawał jedno euro, mógłbym sobie kupić na własność *Monę Lisę*. Wszystko się jakoś

wyprostuje. Będzie dobrze.

Rashmi krzyżuje ręce na piersiach.

— Nie tylko twoje usta brały udział w tym procederze.

— Meredith jest taka... — dławię się łzami — ...miła. — Znowu to słowo. Tak bardzo nieadekwatne. — Jak mogłam jej coś takiego zrobić?

— Taa... Faktycznie jest miła — zgadza się Rashmi. — I faktycznie wybraliście bardzo kiepski moment na taki numer. Co wy w ogóle sobie myśleliście?

— Wcale nie myślałam. Po prostu się stało. Wszystko popsłam. Ona mnie nienawidzi. Étienne mnie nienawidzi!

— St. Clair z pewnością cię nie nienawidzi — zauważa rzeczowo Josh.

— Chociaż, gdybym była na miejscu Mer, znienawidziłabym jego — dodaje z grymasem niesmaku Rashmi. — Zwodził ją stanowczo zbyt długo.

— Ani razu nie dał jej odczuć, że lubi ją bardziej niż zwykłą koleżankę — obrusza się Josh.

— Możliwe, ale też nigdy jej nie zniechęcał!

— Chodzi z Ellie od półtora roku. Nie sądzisz, że to wystarczająco zniechęcające? Och... wybacz, Anno.

Ryczę jeszcze mocniej.

Zostają ze mną na ławce do chwili, aż słońce zachodzi za drzewami, a potem prowadzą do Résidence Lambert. Gdy tam wchodzimy, w lobby jest pusto. Wszyscy są nadal na mieście, świętując ładną pogodę.

— Muszę porozmawiać z Mer — stwierdzam.

— O, nie, nic z tych rzeczy — protestuje Rashmi. — Daj jej trochę czasu.

Czując się podłe, niczym zbity pies, przekradam się do mojego pokoju i już na miejscu wyciągam klucz. W tę noc, gdy go zgubiłam, w rzeczywistości zapomniałam go tylko zabrać. Z pokoju Mer przez ścianę dochodzi dudnienie muzyki, co mi przypomina mój pierwszy wieczór w akademiku. Mer puszcza *Revolution* Beatlesów. Czyżby starała się zagłuszyć odgłos płaczu? Chowam klucz z powrotem za dekolt bluzki i rzucam się na łóżko. Ale zaraz się z niego zrywam i zaczynam krążyć po pokoju. A później znów się kładę.

Nie mam pojęcia, co robić.

Meredith mnie nienawidzi. Étienne zniknął i nie wiem, czy nadal mnie lubi, czy może też mnie znienawidził albo uznał, że popełnił błąd, lub coś jeszcze. Powinnam do niego zadzwonić? I co powiem? „Cześć, tu Anna. Dziewczyna, z którą pieściłeś się w parku, a potem porzuciłeś. Masz ochotę się spotkać?” Tylko że ja muszę się dowiedzieć, dlaczego mnie zostawił. Muszę wiedzieć, co o mnie myśli. Ręce mi się trzęsą, ale przystawiam telefon do ucha.

Łączy mnie od razu z pocztą głosową. Spoglądam na sufit. Czy on tam jest? Nie umiem

powiedzieć. Muzyka u Mer gra za głośno, żebym mogła usłyszeć kroki. Będę musiała pójść na górę. Sprawdzam w lustrze, jak wyglądam. Oczy mam spuchnięte i zaczerwienione, a włosy nastroszone jak u kakadu.

Oddychaj. Wolno i raz za razem.

Oplucz twarz. Uczesz się. Umyj zęby.

I kolejna seria głębokich oddechów. Otwórz drzwi. Wyjdź na klatkę schodową.

Kiedy pukam do Étienne'a, żołądek mam związany w supeł. Nikt nie odpowiada.

Przyciskam ucho do rysunku Napoleona w czapce, próbując usłyszeć, co dzieje się w środku. Cisza. Gdzie on jest? Gdzie on jest?!

Wracam na moje piętro, gdzie nadal dudni muzyka i słyszeć ochrypy głos Johna Lennona. Mijając pokój Mer, zwalniam. Muszę ją przeprosić. Nie obchodzi mnie, co mówi Rashmi. Ale gdy Meredith otwiera drzwi, widzę, że jest wściekła.

— Mer... przykro mi.

Parska szyderczym śmiechem.

— Taa...? Widać było, jak ci przykro, kiedy pakowałaś mu jęzor do tchawicy.

— Przepraszam. — Czuję się strasznie bezradna. — To się jakoś samo stało.

Meredith zaciska palce dłoni. Nie ma na nich pierścionków, co wygląda dziwnie. I nie jest umalowana. W gruncie rzeczy wygląda, jakby była w totalnej rozsypce. Widzę ją taką po raz pierwszy. Wcześniej zawsze była zrobiona na tip-top.

— Jak mogłaś, Anno? Jak mogłaś mi to zrobić?

— Ja... ja...

— Ty co? Przecież wiesz, co do niego czuję! Nie wierzę ci!

— Przepraszam — mówię ponownie. — Nie mam pojęcia, co sobie myśleliśmy...

— Taa... cóż, to i tak jest bez znaczenia. Nie wybrał żadnej z nas.

Zamiera mi serce.

— O czym ty mówisz?

— Dogonił mnie. Wyjaśnił, że nie jest zainteresowany. — Twarz jej czerwienieje. — A potem pojechał do Ellie. Jest teraz u niej.

Wszystko staje się nagle zamazane i niewyraźne.

— Pojechał do Ellie?

— Jak zawsze, kiedy ma problemy. — W jej głosie pojawia się nuta kęśliwości. — I jak się teraz czujesz? Już nie tak wspaniale, co? — I trzaska mi drzwiami przed twarzą.

Ellie. Wybrał Ellie. Znowu.

Biegnę do łazienki i podnoszę klapę sedesu. Czekam na wymioty, ale tylko wierci mi w żołądku, więc zamykam klapę i na niej siadam. Co się ze mną dzieje? Dlaczego zawsze wybieram

nie tych facetów, co trzeba? Nie chciałam, żeby Étienne okazał się drugim Tophem. Tyle że z nim jest o wiele gorzej, bo Toph tylko lubiałam.

A Étienne'a kocham.

Nie chcę go więcej widzieć. Jak mogłabym znowu spojrzeć mu w oczy? Chcę wracać do Atlanty. Chcę do mamy. Robi mi się głupio od tej myśli. Osiemnastolatki nie powinny potrzebować matek. Nie wiem, jak długo tu siedzę, ale nagle uświadamiam sobie, że z korytarza dochodzą mnie jakieś irytujące odgłosy. Ktoś dobija się do drzwi.

— Jezu, zamierzasz tam tkwić całą noc?

Amanda Spitterton-Watts. A myślałam, że już gorzej być nie może.

Zerkam do lustra. Moje oczy wyglądają tak, jakbym pomyliła sok żurawinowy z kroplami do oczu. A usta są spuchnięte, jak po użądleniu osy. Odkręcam kranik z napisem *froid* i zimną wodą spryskuję twarz. Wycieram ją szorstkim papierem, zakrywam dłońmi i uciekam do pokoju.

— Cześć, bulimiczko — krzyczy za mną Amanda. — Słyszałam cię, wiesz?

Czuję, jak jeży mi się kark. Odwracam się do Amandy, której oczy błyszczą nad kaczym nosem wyrazem udawanej niewinności. Obok stoją Nicole i siostra Rashmi, Sanjita, i... Isla Martin, rudowłosa trzecioklasistka. Ale ona stoi trochę z tyłu. Nie jest z paczką Amandy. Po prostu czeka w kolejce do łazienki.

— Zwracała kolację. To pewne. Spójrzcie na jej twarz. Ohydztwo.

Nicole prycha złośliwie.

— Anna zawsze wygląda ohydnie.

Twarz mi płonie, ale nie reaguję, bo na to właśnie liczy Nicole. Nie mogę jednak zignorować jej przyjaciółeczki.

— Niczego nie słyszałaś, Amando. Nie jestem bulimiczką.

— Słyszałyście? *La Moufette* zarzuca mi kłamstwo.

— Ja słyszałam — odzywa się Sanjita, unosząc wymanikiowaną dłoń.

Najchętniej bym jej przyłożyła, ale się odwracam. Zignoruj je, mówię sobie w duchu.

Amanda chrząka.

— A tak w ogóle, o co chodzi z tobą i St. Clairem?

Zamieram.

— Bo kiedy rzygałaś, słyszałam, jak Rashmi rozmawiała z tą lesbą przez drzwi.

Odwracam się gwałtownie. Ona tego nie powiedziała. To niemożliwe!

Głos Amandy jest jak cukierek, słodki, ale zabójczy.

— Gadały coś, że wy dwoje się zeszliscie i teraz ta wielka lesba wypłakuje sobie oczy.

Szczęka mi opada. Zatkalo mnie.

— Ona i tak nie miała z nim szans — dopowiada Nicole.

— Tak jak i Anna. Dave miał rację. Jesteś dziwką. Nie byłaś dobra dla niego i z pewnością nie jesteś dla St. Claira. — Amanda zarzuca włosami. — On jest na liście „A”. Ty na jakiejś „D”.

Trzęsie mną taka złość, że nie umiem nawet zebrać myśli.

— Nigdy więcej nie nazywaj tak Meredith — mówię rozdygotanym głosem.

— Chodzi ci o lesbę? O to, że Meredith Chevalier to wielka, pieprzona lesbą?

Rzucam się na nią z taką siłą, że obie wpadamy przez drzwi do łazienki. Nicole wrzeszczy, Sanjita się śmieje, a Isla błaga, żebyśmy przestały się bić. Ludzie wybiegają ze swoich pokoi, otaczają nas, podburzają jedną na drugą. A potem ktoś odrywa mnie od Amandy.

— Co tu się, do cholery, dzieje? — pyta Nate, przytrzymując mnie za sobą. Coś mi ścieka po brodzie. Wycieram ją i przekonuję się, że to krew.

— Anna napadła na Amandę! — krzyczy Sanjita.

— Amanda umyślnie ją podjudzała... — odzywa się Isla.

Amanda dotyka nosa i się krzywi.

— Chyba jest złamany. Anna złamała mi nos.

Czy to ja to zrobiłam? Czuję pieczenie łez na policzku. Krew musiała pochodzić z zadrapania na twarzy, które zrobiła mi Amanda swoimi długimi paznokciami.

— Czekamy na wyjaśnienia, *mademoiselle* Oliphant — mówi Nate.

Potrząsam głową, Amanda zaś zaczyna wygłaszać tyradę oskarżeń.

— Wystarczy! — woła Nate i Amanda natychmiast milknie. Nigdy wcześniej nie słyszeliśmy, żeby podnosił głos. — Anno, na rany boskie, co tu się wydarzyło?

— Amanda nazwała Mer... — mówię szeptem.

Jest wściekły.

— Nie słyszę cię.

— Amanda nazwała... — Nie kończę, bo za plecami gapiów dostrzegam jasne loki Meredith. Nie mogę tego powiedzieć. Nie po tym wszystkim, co jej dzisiaj zrobiłam. Opuszczam wzrok i z trudem przełykam ślinę. — Przepraszam.

Nate wzdycha.

— W porządku, ludzie — zwraca się do grupy widzów. — Przedstawienie skończone. Wracajcie do swoich pokoi. Wy trzy. — Wskazuje na mnie, Amandę i Nicole. — Zostajecie.

Nikt się nie rusza.

— Wracać do pokoi!

Sanjita szybko zmyka na klatkę schodową. Reszta też się rozchodzi. Zostajemy tylko Nate i my trzy. I Isla.

— Isla, idź do siebie — nakazuje Nate.

— Ale ja tu byłam i wszystko widziałam — protestuje Isla już odważniejszym głosem.

— Dobrze. W takim razie wszystkie cztery, marsz do gabinetu dyrektorki.

— A co z lekarzem? — jęczy Nicole. — Ona złamała Amandzie nos.

Nate nachyla się do twarzy Amandy.

— Nie jest złamany — oświadcza.

Wzdycham z ulgą.

— Na pewno? — upewnia się Nicole. — Moi zdaniem powinien ją obejrzeć lekarz.

— *Mademoiselle*, proszę powstrzymać się od gadania do czasu, aż znajdziemy się w gabinecie dyrektorki.

Nicole się zamyka.

Nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze nigdy nie byłam wysyłana na dywanik. Dyrektor liceum Clairemont High nie znał nawet mojego nazwiska. Amanda kuśtyka do windy, a ja, coraz bardziej przerażona, wlokę się za nią. Lecz gdy tylko Nate odwraca się do nas tyłem, Amanda prostuje plecy, przymruża oczy i mówi, bezgłośnie poruszając ustami: „Dostaniesz za swoje, dziwko”.

Rozdział 40

Za karę mam areszt po lekcjach.

Ja! Ukarana!

Amanda dostała tylko jeden tydzień. Ja aż dwa.

— Zawiodłaś mnie, Anno — oświadczyła dyrektorka, masując zgrabny kark baleriny, aby pozbyć się z niego napięcia. — Co na to powie twój ojciec?

Ojciec? A kogo obchodzi, co on powie? Raczej jak zareaguje mama? Zabije mnie. Będzie tak zła, że zostawi mnie w tym więzieniu na zawsze. Skończę jako jeden z tych włóczęgów nad Sekwaną, co śmierdzą jak pot spod pach i zepsuta kapusta. Żeby coś zjeść, będę musiała ugotować własne buty, jak Charlie Chaplin w *Gorączce złota*. Moje życie jest zrujnowane.

Kara została wymierzona nierówno, bo nie chciałam powiedzieć, co powiedziała Amanda. A nie chciałam, bo nienawidzę tego określenia. Jakby fakt, że jest się odmiennej orientacji, był czymś wstydliwym. Jakby to, że Mer lubi uprawiać sport, automatycznie znaczyło, że jest lesbijką. Zresztą gdyby była, to czy przejmowałaby się mną i Étienne'em?

Nienawidzę Amandy.

Kiedy dyrektorka poprosiła Isłę o opowiedzenie, co się wydarzyło, Isła mnie broniła. I tylko dlatego nie dostałam aresztu do końca roku. Ale Isła załapała, o co mi chodzi; nie powiedziała dyrektorce, jak Amanda nazwała Mer. Podziękowałam jej za to bez słów, samym spojrzeniem.

Potem wróciłyśmy do Résidence Lambert. W lobby zebrał się niemal cały akademik. Wieść o bójce rozeszła się głośnym echem i uczniowie zeszli na dół popatrzeć na siniaki. Zасыpują nas pytaniami, jakby to była konferencja prasowa dla okrytych niesławą celebrytów, ale ja ignoruję zaczepki i przepycham się przez tłum do schodów. Za to Amanda, otoczona dworem, ze swadą opowiada swoją wersję zdarzenia.

Niech sobie gada. Jestem tak wściekła, że nie mam teraz siły na to gówno.

Na klatce schodowej mijam Dave'a i Mike'a. Mike przechodzi blisko i trąca mnie ramieniem, jak robią wszyscy kretyni, gdy chcą, żeby ktoś stracił równowagę.

— Masz jakiś problem, do cholery? — wrzeszczę.

Dave i Mike wymieniają się zaskoczonymi, zadowolonymi uśmieškami.

Wpadam do swojego pokoju. Wszyscy mnie nienawidzą. Étienne porzucił mnie dla swojej dziewczyny. Ponownie! Meredith mnie nienawidzi i nawet Rashmi i Josh nie są zachwyceni tym, co zrobiłam. Dave i Mike też mnie nienawidzą. I Amanda ze swoją paczką. I wszyscy, którzy zebrałi się w lobby. Gdybym tylko poszła za radą Rashmi. Gdybym nie wystawiała nosa z pokoju, Mer nie nakrzyczałaby na mnie. Nie dowiedziałabym się, że Étienne wybrał Ellie. Nie

zaatakowałabym Amandy. I nie dostałabym aresztu na dwa tygodnie.

Dlaczego Étienne woli Ellie? Dlaczego?!

Étienne. Chłopak, który ma perfekcyjne usta i perfekcyjnie się całuje. Którego pocałunki smakują jak miód. Który nigdy, przenigdy nie rozstanie się z tą swoją głupią dziewczyną! Wzdrygam się, bo ktoś puka do drzwi. Tak jestem nakręcona, że nawet nie słyszałam zbliżających się kroków.

— Anno? Anno, jesteś tam?

Moje serce zamiera. Brytyjski akcent.

— Nic ci nie jest? Amanda na dole rozpowiada jakieś totalne brednie. Twierdzi, że ją uderzyłaś. — Puka jeszcze raz, głośniej. — Anno, proszę, otwórz. Musimy porozmawiać.

Rzucam się do drzwi i gwałtownie je otwieram.

— Porozmawiać? Och, teraz chcesz rozmawiać, tak?

Étienne patrzy na mnie zaszokowanym wzrokiem. Białka moich oczu są nadal przekrwione, na policzku mam długie zadrapanie i stoję w takiej pozie, jakbym szykowała się do walki.

— Anno?

— Co, myślałeś, że się nie dowiem, że pojechałeś do Ellie?

Jest skonsternowany.

— C... co?

— No jak? — Krzyżuję ręce na piersiach. — Byłeś u niej czy nie?

Nie spodziewał się, że będę o tym wiedziała.

— Byłem, ale... ale...

— Ale co? Masz mnie za skończoną idiotkę? Za wycieraczkę, która zawsze będzie na ciebie czekała? Myślisz, że będę spokojnie patrzyła, jak biegasz do niej za każdym razem, gdy masz problem?

— To wcale tak nie jest!

— A właśnie, że jest! Cały czas!

Étienne otwiera usta, lecz zaraz je zamyka. Na jego twarzy na zmianę pojawia się wyraz zranienia i furii. A na koniec rysy mu twardnieją. I potem wypada jak burza z pokoju.

— Myślałam, że chciałeś porozmawiać! — krzyczę za nim.

I z trzaskiem zamykam drzwi.

Rozdział 41

No to sprawdźmy. Wczoraj: (1) całowałam się z przyjacielem, mimo że obiecywałam sobie, że nigdy tego nie zrobię, (2) tym całowaniem zraniłam uczucia przyjaciółki, (3) pobiłam się z dziewczyną, która tylko na to czekała, (4) dostałam dwa tygodnie siedzenia w kozie, (5) słownie zaatakowałam najlepszego przyjaciela, aż ode mnie uciekł.

Korekta. Aż znowu ode mnie uciekł.

Gdyby urządzono zawody, mające określić, kto potrafi narobić sobie najwięcej szkód w jeden dzień, jest prawie pewne, że zajęłabym w nich pierwsze miejsce. Mama ziała ogniem, kiedy się dowiedziała o bijatyce z Amandą. I teraz jestem uziemiona na całe lato. Nie mogę nawet popatrzeć w twarz przyjaciółom. Wstydę się tego, co zrobiłam Meredith, a Rashmi i Josh wyraźnie stanęli po jej stronie. Zaś St. Clair... On nawet nie chce na mnie spojrzeć.

St. Clair. Po raz któryś nie jest już Étienne'em, moim Étienne'em.

To boli bardziej niż wszystko inne.

Poranek mam okropny. Nie idę na śniadanie, a na angielski wślizguję się w ostatniej sekundzie. Moi przyjaciele udają, że mnie nie widzą, lecz wszyscy pozostali szepczą i się gapią. Przypuszczam, że wzięli stronę Amandy. Mam tylko nadzieję, że nie wiedzą o mojej sytuacji z St. Clairem. Choć to raczej mało prawdopodobne, zważywszy, że wczoraj na korytarzu tak głośno się na niego darłam. Całą lekcję rzucam mu ukradkowe spojrzenia. Jest wykończony i ledwo udaje mu się utrzymać oczy otwarte. I chyba się nie kąpał.

Mimo to nadal jest piękny. Co mnie doprowadza do szału. Tak jak to, że tak bardzo pragnę, żeby na mnie spojrział. A jeszcze bardziej się wściekam, gdy widzę, że Amanda przechwytuje moje spojrzenie, bo jej złośliwy uśmiezek mówi wtedy: „Widzisz, mówiłam, że nie jesteś z jego ligi”.

I Mer. Wcale nie musi odwracać się do mnie bokiem jak St. Clair — choć się odwraca, oboje się odwracają — ponieważ i tak bijąca od niej wrogość uderza we mnie falami całą lekcję. Matematyka stanowi przedłużenie tej tortury. Kiedy *professeur* Babineaux oddaje nam nasze prace domowe, St. Clair przekazuje mi stos kartek nad głową, nawet na mnie nie patrząc.

— Dzięki — mamroczę. Sztynnieje, ale tylko na chwilę, po czym znowu przyjmuje pozę, która mówi, że zupełnie ignoruje moje istnienie.

Więcej nie próbuję się do niego odzywać.

Francuski, jak mogłam się spodziewać, przebiega równie okropnie. Dave zajął miejsce jak najdalej ode mnie, ale sposób, w jaki mnie ignoruje, wydaje mi się nieco dziwny i jakby celowy. Niektórzy koledzy z klasy zadręczają mnie pytaniami, o co chodzi, ale ja nie wiem, co go ugryzło. A zresztą na samą myśl o nim robi mi się niedobrze. Każę namolnym podpytywaczom się

odpieprzyć. Słyszy to *madame* Gilotyna i jest na mnie zła. Nie za to, że użyłam brzydkiego wyrazu, ale za to, że nie powiedziałam go po francusku. Z tą szkołą jest coś bardzo nie tak!

W porze lunchu instaluję się w toalecie, jak pierwszego dnia.

Zresztą i tak nie chce mi się jeść.

Podczas fizyki cieszę się, że nie mamy zajęć laboratoryjnych, bo nie zniosłabym myśli, że St. Clair znalazł sobie innego partnera. *Professeur* Wakefield opowiada monotonnym głosem o czarnych dziurach, a Amanda, udając, że się przeciąga, upuszcza za siebie zwinięty skrawek kartki, który łąduje u moich stóp. Czytam wiadomość pod ławką.

„Hej, Dziewczyno Skunksie, zadrzyj ze mną jeszcze raz, a zarobisz coś więcej niż tylko zadrapanie na policzku. Dave mówi, że jesteś zdzirą”.

Uuu. Nie powiem, że nikt mnie wcześniej tak nie nazywał, tylko nie pojmuję, czemu Dave rozmawia o mnie z Amandą. Już drugi raz słyszę od niej to samo. I nie wierzę, że ktoś nazywa mnie zdzirą tylko dlatego, że się całowałam z chłopakiem! Zbijam karteczkę w kulkę i rzucam nią w tył głowy Amandy. Na dobre lub złe pudłuję i kulka trafia w oparcie krzesła. Odbija się od niego i zaplątuje w długie pukle Amandy. Ona tego nie czuje. Za to ja czuję się odrobinę lepiej. Kulka tkwi mocno w jej włosach.

Ale nagle... ups... Amanda się porusza i zwitek spada na ziemię, akurat w chwili, gdy *professeur* Wakefield postanawia przejść się wzdłuż rzędu naszych ławek. O, nie. A jeśli zobaczy kartkę i przeczyta na głos? Nie potrzebuję kolejnego przezwiska, to pewne jak słońce. Obok mnie St. Clair również spogląda na kulkę papieru na podłodze. *Professeur* Wakefield jest już prawie przy nas, gdy nagle St. Clair wysuwa nogę i przygniata stopą feralną wiadomość. Oczekuje, aż nauczyciel nas minie, i dopiero wtedy schyla się po kartkę. Słyszę, jak ją rozwija, i twarz mi czerwienieje. Zerka w moją stronę po raz pierwszy tego dnia. Ale nadal się nie odzywa.

Na historii Josh milczy. Ale przynajmniej nie siada gdzie indziej. Isla posyła mi uśmiech i, o dziwo, ten pojedynczy moment życzliwości bardzo mnie podnosi na duchu. Na jakieś trzydzieści sekund. Potem Dave, Mike i Emily pochylają się do siebie i słyszę, że wymieniają moje imię, oglądając się na mnie i śmiejąc. Ta cała sytuacja, jak by jej nie nazwać, staje się coraz gorsza.

W czasie *la vie* mamy wolne. Rashmi i St. Clair rysują coś na zajęcia z malarstwa, a ja udaję, że odrabiam lekcje. Za mną rozlega się perlisty śmiech.

— Może gdybyś nie była taką zdzirą, Dziewczyno Skunksie, nadal miałabyś przyjaciół.

Amanda Spitterton-Watts, największa lanserka w szkole. Ładna, złośliwa dziewczyna. Perfekcyjne włosy, perfekcyjna cera. Lodowaty uśmiech, lodowate serce.

— Masz jakiś problem? — pytam.

— Tak, ty jesteś moim problemem.

— Wspaniale. Dzięki.

Zarzuca włosami.

— Nie chcesz wiedzieć, co się o tobie mówi?

Nie odpowiadam, bo wiem, że i tak mi powie.

— Dave twierdzi, że przespałaś się z nim tylko po to, żeby wzbudzić zazdrość w St.

Clairze.

— Co?

Amanda znowu wybucha śmiechem i odchodzi, pusząc się jak paw.

— Dave miał rację, że cię spuścił.

Jestem zaszokowana. Przecież wcale nie spałam z Dave'em! I jeszcze opowiada, że to on ze mną zerwał? Bezczelny! Czy właśnie to wszyscy o mnie myślą? O mój Boże, nawet St. Clair? Czy on myśli, że przespałam się z Dave'em?

Do końca tygodnia targają mną na przemian totalna rozpacz i wrzący gniew. Każdego popołudnia muszę zostawać w szkole i zawsze gdy idę korytarzem, słyszę moje imię wypowiedane szeptem sensacyjnym tonem. Nie mogę się doczekać weekendu, lecz kiedy nadchodzi, jest jeszcze gorzej. Prace domowe odrobiłam, siedząc w kozie, więc nie mam nic do roboty. Wybieram się zatem do kina, ale jestem tak przybita, że nie sprawia mi to żadnej przyjemności.

Szkoła zabiła kino. To już oficjalne. Nie zostało mi już nic, po co warto żyć.

W poniedziałek rano nastrój mam już tak podły, że zbieram się na odwagę i w kolejce po śniadanie zaczepiam Rashmi.

— Dlaczego ze mną nie rozmawiasz?

— Przepraszam? — dziwi się. — To ty ze mną nie rozmawiasz.

— Co?

— Nie przeganiałam cię od naszego stolika. Sama przestałaś przychodzić. — Ma spięty głos.

— Ale przecież byliście na mnie wściekli. Za to, co... zrobiłam Mer.

— Przyjaciele czasem się kłócą. — Krzyżuje ramiona, a ja uświadamiam sobie, że cytuję mnie. Powiedziałam to samo jesienią, gdy kłóciła się z St. Clairem o Ellie.

Ellie. Porzuciłam Rashmi zupełnie jak ona.

— Przepraszam — mówię, całkowicie zdołowana. — Ja zawsze wszystko muszę schrzanić.

Rashmi rozplata ręce i łapie się za jeden z długich warkoczy. Widać, że czuje się skrępowana, co jej się chyba rzadko przydarza.

— Tylko obiecaj, że gdy następnym razem napadniesz na Amandę, to już naprawdę coś jej

złamiesz.

— Ale ja nie chciałam na nią napadać!

— Wyluzuj. — Spogląda na mnie z lekkim zdziwieniem. — Nie wiedziałam, że jesteś taka wrażliwa.

— Wiesz, że mam jeszcze tydzień aresztu za tę bójkę?

— To była surowa kara. Czemu po prostu nie powiedziałaś, co mówiła Amanda?

— Co? — pytam ze zdumieniem, prawie upuszczając tacę. — Skąd wiesz, co powiedziała?

— Nie wiem. — Rashmi marszczy czoło. — Ale musiało to być coś bardzo podłego, skoro tak zareagowałaś.

Czując ulgę, odwracam wzrok.

— Amanda trafiła po prostu na mój zły moment. — Co nie jest całą prawdą. Składałam zamówienie u *monsieur* Boutina — duża miska jogurtu z granolą i miodem, moje ulubione danie — i odwracam się do Rashmi. — Wy chyba... chyba nie uwierzyliście w to, co gadają Amanda i Dave, prawda?

— Dave to palant. Gdybym uważała, że się z nim przespałaś, nie rozmawiałybyśmy teraz.

Tak mocno zaciskam palce na tacy, że robią się białe.

— Więc, uhm, St. Clair wie, że z nim nie spałam?

— Anno. My wszyscy uważamy, że Dave jest palantem.

Milczę.

— Powinnaś porozmawiać z St. Clairem.

— Nie sędzę, żeby tego chciał.

Rashmi odsuwa tacę.

— A ja myślę, że chce.

Znowu jem śniadanie sama, bo nadal nie mam odwagi spotkać Mer. I spóźniam się pięć minut na angielski. *Professeur* Cole siedzi na blacie biurka i popija kawę. Gdy zakradam się do mojej ławki, przymruża oczy, ale nic nie mówi. Za to dalej macha stopami, a dół jej pomarańczowej sukienki powiewa wesoło.

— Ludzie, obudźcie się. Kto mi powie, jakie problemy mogą napotykać tłumacze w swojej pracy?

Rękę podnosi Rashmi.

— No cóż, większość słów ma wiele znaczeń.

— Zgadza się — potwierdza nauczycielka. — Rozwiń to, proszę.

St. Clair siedzi obok Rashmi, ale nie słucha. Zawzięcie coś bazgrze na marginesie książki.

— Cóż — odzywa się Rashmi. — To tłumacz musi zdecydować, o które znaczenie chodziło autorowi. I nie tylko to, bo znaczenie może się też zmieniać w zależności od kontekstu.

— Więc mówisz, że tłumacz musi podejmować wiele decyzji — komentuje wypowiedź profesorka. — Że każde słowo, zdanie, sytuacja mogą być różnie zinterpretowane.

— Właśnie — zgadza się Rashmi i spogląda na mnie.

Professeur Cole wybuchają śmiechem.

— I założę się, że każdemu z was zdarzyło się opacznie zrozumieć czyjeś słowa. A przecież mówimy tym samym językiem. A gdy dodamy metafory... Domyślcie się, jakie to wyzwanie dla tłumacza? Niektórych rzeczy po prostu nie da się przetłumaczyć na inny język, choćby dlatego, że w innej kulturze nie istnieją ich odpowiedniki.

Słowa nauczycielki zmuszają mnie do zastanowienia się nad własnymi błędami w interpretacji. Toph. Rashmi. St. Clair?

— A co powiecie o tym? — *Professeur Cole* podchodzi do jednego z wysokich okien. — Każdy tłumacz, choć może szczerze uważać, że wiernie trzyma się tekstu, podejmując decyzje, zawsze przy tym korzysta ze swojego życiowego doświadczenia i przekonań. Może nie czyni tego świadomie, ale ilekroć wybiera między znaczeniami, opiera się na tym, co uważa za słuszne, na osobistej historii dotyczącej tematu.

Osobistej historii. Jak na przykład to, że ponieważ St. Clair zawsze, gdy miał kłopoty, udawał się do Ellie, ja uznałam, że zrobił tak i tym razem. Czy o to chodzi? I czy tym razem był u niej? Już nie jestem tego tak pewna. Cały ostatni rok liceum spędziłam, dusząc się pożądaniem, bólem serca, ekstazą, zdradą, i teraz trudno mi zdobyć się na obiektywizm. Ile razy druga osoba może pobudzać nasze emocje — przyciągać nas, naciągać, zwodzić — zanim się zniechęcimy? Zanim nie da się już nic naprawić?

Lekcja się kończy. Skołowana, wlokę się na matematykę. Już prawie jestem na miejscu, gdy nagle to słyszę. Ciche zawołanie, prawie jak chrząknięcie.

— Zdzira.

Zamieram.

Nie. Nie zatrzymuj się. Mocniej przyciskam książki i idę dalej.

Znowu słyszę to samo, tylko nieco głośniejsze.

— Zdzira.

I gdy się odwracam, najgorsze jest, że nie wiem, kogo ujrzę. W tej chwili nienawidzi mnie tak wiele osób. Dzisiaj chodzi o Mike'a. Uśmiecha się kpiąco, ale ja patrzę ponad jego ramieniem na Dave'a. Drapie się po głowie i odwraca wzrok.

— Jak mogłeś? — pytam.

— A ty? — odzywa się Mike. — Mówiłem Dave'owi, że nie jesteś tego warta.

— Taa...? — Nadal nie odrywam oczu od Dave'a. — Ale przynajmniej nie jestem kłamcą.

— Jesteś. — Ale Dave mówi to pod nosem.

— Co powiedziałeś?

— Słyszałaś. — Mówi już głośniej, lecz zarazem mrugnięciem pokazuje na przyjaciela.

Przepływa przeze mnie fala pogardy. Służalczy piesek Mike'a. To oczywiste. Czemu wcześniej tego nie zauważyłam? Zaciskam pięści. Jeszcze jedno jego słowo, jeszcze jedno słowo...

— Zdzira — rzuca.

Dave pada na ziemię.

Ale to nie ja go znokautowałam.

Rozdział 42

Wrrr! — St. Clair zaciska dłoń.

Mike rzuca się do niego; ja daję nura między nich. — Nie!

Dave jęczy na podłodze. Mike odpycha mnie na bok; St. Clair rzuca go na ścianę.

— Nie dotykaj jej! — krzyczy ze wściekłością.

Mike jest zszokowany, ale odrywa się od ściany.

— Ty psycholu! — I leci na St. Claira. W tej samej chwili pomiędzy nimi staje *professeur* Hansen, osłaniając się przed ciosami.

— Hej, hej, hej! Co tu się dzieje? — Nauczyciel historii patrzy gniewnie na ulubionego ucznia. — *Monsieur* St. Clair. Do gabinetu dyrektorki, proszę. Natychmiast!

Dave i Mike zaklinają się, że są niewinni, ale *professeur* Hansen im przerywa:

— Cisza albo wylądujcie tam, gdzie Étienne.

Obaj milkną, a St. Clair, unikając mojego wzroku, odchodzi.

— Nic ci nie jest? — zwraca się do mnie *professeur* Hansen. — Czy któryś z tych kretynów coś ci zrobił?

Jestem zaszokowana.

— St. Clair mnie bronił. To... to nie była jego wina.

— W tej szkole nie bronimy nikogo pięściami. Dobrze o tym wiesz. — Posyła mi kwaśny uśmiezek, po czym oddala się za St. Clairem do gabinetu dyrektorki.

Co tu się właściwie wydarzyło? To znaczy, wiem, co się wydarzyło, ale... ale w sumie nie wiem. Czyżby St. Clair jednak mnie nie nienawidził? Czuję przyływ nadziei, mimo że istnieje możliwość, że po prostu bardziej nienawidzi Dave'a i Mike'a. Do końca dnia nie mam z nim kontaktu, ale gdy po lekcjach zjawiam się w kozie, St. Clair już tam siedzi, w ostatniej ławce.

Sprawia wrażenie znużonego. Pewnie tkwił tu całe popołudnie. W klasie nie ma jeszcze nauczyciela, który ma nas pilnować, więc jesteśmy sami. Siadam na swoim stałym miejscu — to przykre, że mam stałe miejsce — po drugiej stronie sali. St. Clair gapi się na swoje ręce. Są umazane węglem drzewnym, więc domyślałam się, że rysował.

Oczyszczam gardło.

— Dziękuję. Za to, że się za mną ująłeś.

Zero odpowiedzi. W porządku. Odwracam się do tablicy.

— Nie masz za co dziękować — mówi minutę później. — Już dawno powinienem przyłożyć Dave'owi. — Wypowiedzi towarzyszy odgłos walnięcia butami w marmurową posadzkę.

Znowu oglądam się za siebie.

— Ile aresztu dostałeś?

— Dwa tygodnie. Jeden za każdego dupka.

Parskam cichym śmiechem, a on gwałtownie podrywa głowę. W oczach ma błysk nadziei, odzwierciedlający to, co sama czuję. Ale to się zaraz zmienia, a mnie ogarnia boleść.

— To nie jest prawda, wiesz — mówię gorzkim tonem. — To, co gadają Dave i Amanda.

St. Clair przymyka oczy i milczy przez kilka sekund.

A gdy znów je otwiera, wyraźnie widać, że mu ulżyło.

— Wiem.

Drażni mnie jego spowolniona reakcja.

— Jesteś pewien?

— Tak, jestem. — Po raz pierwszy od tygodnia patrzy mi prosto w oczy. — Ale i tak miło jest usłyszeć to z twoich ust. Rozumiesz?

— Jeszcze jak — odpowiadam i się odwracam.

— A to co ma znaczyć?

— Nic, zapomnij o tym.

— Nie. Żadne zapomnij. Mam dosyć zapominania, Anno.

— Ty masz dosyć? — Głos mi drży. — To ja muszę ciągle o wszystkim zapominać.

Myślisz, że łatwo mi każdego wieczoru siedzieć w pokoju i myśleć o tobie i Ellie? Myślisz, że cokolwiek z tego jest łatwe?

St. Clair bezradnie zwiesza ramiona.

— Przykro mi — mówi szeptem.

Ale ja już płaczę.

— Mówisz, że jestem ładna i że podobają ci się moje włosy i uśmiech. Dotykasz mnie nogą w ciemnym kinie, a potem, kiedy światła się zapalają, zachowujesz się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Spałeś w moim łóżku trzy noce z rzędu, a potem... przez cały miesiąc jakbyś mnie nie widział. Co mam z tym zrobić, St. Clair? W moje urodziny powiedziałeś, że boisz się zostać sam, ale przecież ja tu jestem, przez cały czas.

— Anno. — Wstaje i idzie w moją stronę. — Bardzo mi przykro, że sprawiłem ci ból. Podejmowałem błędne decyzje. I mam świadomość, że być może nie zasługuję na twoje wybaczenie, bo tak dużo czasu mi zajęło dotarcie do tego miejsca. Ale nie pojmuję, dlaczego nie chciałaś dać mi szansy. W zeszłym tygodniu nie pozwoliłaś nawet, żebym się wytłumaczył. Napadłaś na mnie, zakładając najgorsze. Ale dla mnie jedyną prawdą jest to, jak się czuję, gdy jesteśmy razem. Myślałem, że ty też masz zaufanie do tego uczucia, że masz zaufanie do mnie. Myślałem, że mnie znasz...

— Ale przecież w tym cała rzecz! — Podrywam się z krzesła i staję tuż przed nim. —

Wcale cię nie znam. Ja ci mówię wszystko, St. Clair. O ojcu, Bridgette, Tophie. O Matcie i Cherrie. Wyznałam ci nawet, że jestem dziewicą. — Odwracam wzrok, zawstydzona, że poruszam te sprawy na głos. — A ty co mi o sobie opowiedziałeś? Nic! Nic o tobie nie wiem. Ani o twoim ojcu, ani o Ellie...

— Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny — stwierdza z furią w głosie. — A gdybyś była bardziej uważna, wiedziałabyś, że w tej chwili moje stosunki z ojcem to jedno wielkie szambo. I nie mogę uwierzyć, że masz o mnie aż tak złą opinię. Założyłaś, że po tym, jak cały rok czekałem, żeby cię pocałować, rzucę cię, gdy to się już wydarzy. Oczywiście, że tamtej nocy pojechałem do Ellie. Żeby z nią zerwać, do cholery!

Zapada ogłuszająca cisza.

Oni ze sobą zerwali? O Boże. Nie mogę nabrać oddechu. Nie mogę oddychać. Nie mogę...

Patrzy mi prosto w oczy.

— Twierdzisz, że boję się samotności, i masz rację. I wcale nie jestem z tego dumny. Ale powinnaś przyjrzeć się sobie, Anno, bo nie ja jeden tutaj zmagam się z tym problemem.

Stoi tak blisko, że czuję, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada, szybko i gniewnie. Moje serce wali do wtóru jego serca. Ciężko przełyka ślinę. Ja też to robię. Nachyla się do mnie i moje ciało mnie zdradza, naśladowując jego ruchy. Zamyka oczy. Ja też.

I w tym momencie otwierają się drzwi, a my odskakujemy od siebie.

— Zerwałem się z matmy — oświadcza Josh, wchodząc do klasy.

Rozdział 43

Do końca kary nie jestem w stanie nawet zerknąć w jego stronę. Jak to możliwe, że boję się samotności, skoro ostatnio bez przerwy jestem sama? Przecież cały rok nie miałam chłopaka. Za to on chodził z Ellie. Choć w pewnym sensie miałam Tophę. Trzymałam go — aż się krzywię na tę myśl — w rezerwie. No i jeszcze był Dave. Cóż. On był sam, ja byłam sama, on był chętny, więc ja też. Martwiłam się, że zesłam się z Dave'em tylko dlatego, że byłam zła na St. Claira, ale może... może chodziło o to, że miałam dosyć samotności.

Tylko co w tym złego?

I czy to znaczy, że nie ma nic złego w tym, iż St. Clair też nie chce być sam? On się boi zmian, boi się podejmowania ważnych decyzji, ale przecież ze mną jest tak samo. Matt powiedział, że gdybym pogadała z Tophem, oszczędziłabym sobie wiele udręki. Ale ja tak się bałam popsuć to, co mogłoby się między nami wydarzyć, że nie potrafiłam radzić sobie z tym, co już mieliśmy. I gdybym poświęciła nieco uwagi słowom Matta, może ja i St. Clair przeprowadzilibyśmy tę rozmowę wieki temu.

Tylko że St. Clair mógł coś powiedzieć! Nie tylko ja jestem winna.

Chwileczkę. Czy nie to właśnie powiedział? Że wina leży po obu stronach? Rashmi zarzuciła mi, że to ja się od niej odwróciłam. I miała rację. Tamtego dnia w parku ona i Josh pomogli mi, a ja ich odtrąciłam. I Mer również.

O mój Boże, Meredith.

Co się ze mną dzieje? Dlaczego nie spróbowałam przeprosić jej jeszcze raz? Czy ja nie potrafię utrzymać przyjaźni? Muszę z nią porozmawiać. Dzisiaj. Teraz. Natychmiast.

Gdy tylko *professeur* Hansen zwalnia nas z kozy, rzucam się do drzwi. Ale na korytarzu coś mnie zatrzymuje. Nieruchomieję pod nimfami i satyrami na suficie. Odwracam się.

St. Clair stoi w progu i uważnie mi się przygląda.

— Muszę porozmawiać z Meredith — wyjaśniam i przygryzam dolną wargę.

Kiwa wolno głową.

Za nim pojawia się Josh.

— Ona za tobą tęskni. Będzie dobrze — stwierdza z dziwną pewnością siebie i zerka na St. Claira.

Już kiedyś to od niego słyszałam.

— Taa...? — pytam bez przekonania.

Josh unosi brew i lekko się uśmiecha.

— Taa...

Oddalam się, zastanawiając, czy gdy powiedział „będzie dobrze” i zerknął przy tym na St. Claira, miał na myśli, że będzie dobrze między mną i Meredith, czy między mną i St. Clairem. Mam nadzieję, że chodziło o jedno i drugie. Wracam do Résidence Lambert i po szybkiej wizycie u siebie pukam do Mer.

— Mer? Możemy pogadać?

Mer uchyla drzwi.

— Hej. — Jej głos brzmi dość życzliwie.

Patrzemy na siebie. Ja trzymam dwa kubki.

— *Chocolat chaud?*

Robi taką minę, jakby się miała rozplakać. Wpuszcza mnie do środka, a ja stawiam kubki na jej biurku.

— Przepraszam. Przepraszam, Meredith.

— Nie, to ja przepraszam. Zachowałam się jak kretynka. Nie miałam prawa się na ciebie wściec.

— To nieprawda. Wiedziałam, co do niego czujesz, a mimo to całowałam się z nim. To nie było w porządku. Powinnam była ci powiedzieć, że mnie też się podoba.

Siedzimy na jej łóżku. Mer obraca na palcu pierścionek z oczkiem w kształcie gwiazdy.

— Wiedziałam, co do siebie czujecie. Wszyscy wiedzieli.

— Ale...

— Nie chciałam w to uwierzyć. Po tak długim czasie nadal miałam... miałam nadzieję. Wiedziałam, że coś się psuje między nim i Ellie, więc pomyślałam, że może... — Meredith zaczyna dławić się płaczem i trzeba całej minuty, żeby znowu mogła mówić.

Mieszam moją czekoladę. Jest gęsta prawie jak sos. Mer to dobra nauczycielka.

— Ciągle gdzieś razem łaziliśmy, St. Clair i ja. Ale kiedy przyjechałaś, prawie zupełnie przestałam go widywać. Siadał koło ciebie na lekcjach, w stołówce, w kinie. Wszędzie. I chociaż coś podejrzewałam, to gdy pierwszy raz usłyszałam, że mówisz do niego Étienne... wiedziałam, że się w nim zakochałaś. I sądząc po jego reakcji — po tym, jak błyszczały mu oczy, zawsze gdy go tak nazywałaś — domyśliłam się, że on też się w tobie zakochał. Ale zignorowałam to, bo nie chciałam w to uwierzyć.

Czuję, że znowu budzą się we mnie wątpliwości.

— Nie jestem pewna, że tak jest lub było. Wszystko jest takie poplątane.

— To oczywiste, że chce czegoś więcej niż przyjaźni. — Mer zabiera kubek z moich drżących dłoni. — Nie widzisz tego? Cierpi, ilekroć na ciebie spojrzy. Nigdy w życiu nie widziałam kogoś tak nieszczęśliwego.

— To nieprawda. — Przypomina mi się, że St. Clair mówił coś o bardzo złej sytuacji z

ojcem. — Ma na głowie inne rzeczy, o wiele ważniejsze.

— Dlaczego wy dwoje nie zostaniecie parą?

Bezpośredniość pytania trochę mnie odrzuca.

— Nie wiem. Czasami sobie myślę, że okazji, żeby... się z kimś zejść, jest ograniczona ilość. A my schrzaniłiśmy ich tak wiele... — zniżam głos niemal do szeptu — ...że chyba wykorzystaliśmy całą pulę.

— Anno — zaczyna Mer i milknie. — To najdurniejsze stwierdzenie, jakie w życiu słyszałam.

— Ale...

— Ale co? Kochasz go. On kocha ciebie. I mieszkacie w najromantyczniejszym mieście świata.

Kręcę głową.

— To nie jest takie proste.

— W takim razie powiem inaczej. Zakochał się w tobie superfacet, a ty nie sprawdzisz, czy wam się uda?

Brakowało mi Meredith. Wracam do pokoju z uczuciem spokoju, ale i smutku. Gdybym się nie pokłóciła z St. Clairem, czy zdobyłabym się na ponowną próbę przeproszenia Mer? Prawdopodobnie nie. Rok szkolny by się skończył, każda z nas pojechałaby w swoją stronę i nasza przyjaźń byłaby na zawsze zaprzepaszczona.

Och, nie. Straszna prawda uderza we mnie jak obuchem.

Jak mogłam tego nie zauważyć? To ta sama sytuacja. Dokładnie taka sama.

Bridge nie mogła nic zrobić. Pojawiło się przyciąganie. Mnie tam nie było. I oni się zeszli, a ona nie mogła temu zaradzić. A ja przez cały czas miałam pretensję do niej. Obarczałam ją winą za coś, nad czym nie miała kontroli. Nawet nie chciałam jej wysłuchać; nie odbierałam telefonów, nie odpisywałam na mejle. A ona i tak próbowała. Znowu sobie przypominam, co mówili Rashmi i Josh. Ja naprawdę porzucam przyjaciół.

Wyciągam z szafy walizkę i otwieram przednią kieszeń. Nadal tam jest. Trochę pomięta, ale jest. Mała paczuszka, zawinięta w papier w czerwono-białe paski. Model mostu. A potem siadam i piszę najtrudniejszy list w moim życiu. Mam nadzieję, że Bridge mi wybaczy.

Rozdział 44

Reszta tygodnia przebiega spokojnie. Wysyłam pocztą paczkę dla Bridge, wracam do naszego stałego stolika w stołówce i kończę karę siedzenia w kozie. Z St. Clairem jeszcze nie rozmawiałam. To znaczy rozmawiałam, ale o niczym poważnym. Najczęściej jesteśmy w swoim towarzystwie skrępowani, co jest głupie, bo czyż właśnie nie o to chodzi? Że nie rozmawiamy?

Ale przełamywanie starych przyzwyczajzeń nie jest łatwe.

Kiedy odsiadujemy nasze kary, siedzimy w klasie w dwóch różnych rzędach. Całą godzinę, każdego dnia tygodnia czuję, że St. Clair mi się przygląda. Ja również to robię. Ale nie wracamy razem do akademika; St. Clair pakuje swoje rzeczy powoli, pozwalając, bym wyszła pierwsza. Myślę, że doszliśmy do podobnych wniosków. Nawet gdybyśmy zdołali coś zacząć, nie ma dla nas nadziei. Szkoła prawie dobiega końca. W przyszłym roku ja będę studiowała na Stanowym Uniwersytecie San Francisco teorię kina i krytykę filmową, a on... nie wiadomo. Nadal milczy na ten temat. Spytałam go nawet o to otwarcie w piątek po lekcjach, ale coś tam dukał, że nie bardzo chce o tym mówić.

Przynajmniej nie ja jedna mam problem z radzeniem sobie ze zmianami.

W sobotę w kinie mamuśki i tatuśka bassetta leci mój ulubiony film Sofii Coppoli *Między słowami*. Witam się grzecznie z dystyngowanym panem i z Poucem, a potem wślizguję na swoje ulubione miejsce. Oglądam ten film po raz pierwszy od przyjazdu do Paryża i nie omieszkam dostrzec zbieżności między pokazywaną historią i moją sytuacją.

Film opowiada o dwójce Amerykanów, mężczyźnie w średnim wieku i młodej kobiecie, i ich przesiąkniętym samotnością pobycie w Tokio. Oboje próbują zaaklimatyzować się w nieznanym otoczeniu i zarazem rozpamiętują swoje miłosne związki, które zdają się rozpadać. A potem spotykają się i przed nimi pojawia się nowe wyzwanie — zaczynają coś do siebie czuć, mimo że wiedzą, iż ich związek nie ma szans.

To historia o odizolowaniu i samotności, ale też o przyjaźni. O dopasowaniu. W pewnym momencie filmu dziewczyna pyta mężczyznę: „Czy wraz z upływem lat jest łatwiej?” Mężczyzna najpierw odpowiada „nie”, potem „tak”, a potem „jest łatwiej”. A jeszcze później mówi: „Im lepiej wiesz, kim jesteś i czego chcesz, tym rzadziej pozwalasz, żeby coś wytrąciło cię z równowagi”.

I nagle ja też sobie uświadamiam, że... że tak jak jest, jest okej. Jest dobrze, nawet jeśli nasza przyjaźń z St. Clairem nie przeobrazi się w coś więcej. Choćby dlatego, że ta przyjaźń wzmocniła mnie bardziej niż przyjaźń kogokolwiek innego. St. Clair wyciągnął mnie z mojego pokoju i pokazał, jak wygląda niezależność. Innymi słowy, był dokładnie kimś, kogo potrzebowałam. I z pewnością nie chcę go stracić.

Po filmie idę do łazienki i w lustrze przechwytyję swoje odbicie. Pasemko we włosach nieco wyblakło od ostatniego farbowania w czasie świąt Bożego Narodzenia. To kolejna rzecz, którą muszę się nauczyć robić sama. Chcę się nauczyć. Wstępuję do Monoprix — jest trochę jak mini-SuperTarget — żeby kupić rozjaśniacz. Wychodząc, spostrzegam na ulicy znajomą twarz.

Nie mogę uwierzyć własnym oczom. To St. Clair.

Trzyma ręce w kieszeniach i rozgląda się, jakby na kogoś czekał. Serce mi rośnie. St. Clair wie, że Sofia to moja ulubiona reżyserka. Wiedział, że tu będę i czeka, aż wyjdę z kina. Wreszcie nadeszła pora na rozmowę. Jak na skrzydłach przebiegam skrzyżowanie, żeby znaleźć się po jego stronie ulicy. Jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek. I już mam go zawołać, gdy zauważam, że nie jest sam.

Dołączył do niego jakiś pan. Mężczyzna jest przystojny i sposób, w jaki stoi, wydaje mi się dziwnie znajomy. St. Clair mówi po francusku. Nie słyszę go, ale jego usta poruszają się inaczej. Gdy używa francuskiego, zmieniają się jego gestykulacja i mowa ciała, stają się bardziej płynne. Pojawia się grupa biznesmenów i na chwilę tracę go z oczu, bo jest niższy od przechodzących mężczyzn.

Chwileczkę. Ten facet, z którym stoi, też jest niski.

Z zaszokowaniem uzmysławiam sobie, że patrzę na ojca St. Claira. Wbijam w niego wzrok. Jest ubrany bardzo sztywnie, po parysku. Kolor włosów mają taki sam, tylko u ojca widać pasma siwizny. Ponadto włosy ojca są krótsze i porządniej obcięte. Ale obaj emanują podobną aurą pewności siebie, chociaż w tej chwili St. Clair sprawia wrażenie niespokojnego.

Ogarnia mnie wstyd. Znowu zrobiłam to samo. Nie wszystko zawsze kręci się wokół mnie. Kryję się za znakiem metra, lecz nieświadomie ustawiam się w zasięgu słuchu. Znowu dopada mnie poczucie winy. Powinnam odejść, ale... to przecież największa tajemnica St. Claira. Tuż przed moimi oczami.

— Dlaczego się nie zarejestrowałaś? — pyta ojciec. — Termin minął trzy tygodnie temu. Twoje postępowanie utrudnia mi przekonanie ich, żeby cię przyjęli.

— Nie chcę tu zostać — odpowiada St. Clair. — Chcę wrócić do Kalifornii.

— Przecież nienawidzisz Kalifornii.

— Chcę iść do Berkeley!

— Ty nie wiesz, czego chcesz! Jesteś jak ona. Leniwy i samolubny. Nie umiesz podejmować decyzji. Ktoś musi to robić za ciebie, a ja mówię, że masz zostać we Francji.

— Nie zostanę w tej pieprzonej Francji, rozumiesz? — St. Clair wybuchą po angielsku. — Nie zostanę tu z tobą! Ciągle siedzisz mi na karku!

I wtedy to we mnie uderza: słucham rozmowy, która jest prowadzona po... francusku.

O Maryjo najświętsza.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić? — Ojciec St. Claira jest wściekły. — I to w miejscu publicznym! Zaslugujesz na to, żeby ci przyłożyć...

St. Clair przechodzi na francuski.

— Chętnie zobaczę, jak próbujesz. Tutaj, na ulicy. — Pokazuje na policzek. — No, proszę, ojczu.

— Ty, ty...

— *Monsieur St. Clair!* — woła z drugiej strony ulicy miło wyglądająca kobieta w kusej sukience, a St. Clair i jego ojciec, zaskoczeni, odwracają się w jej kierunku.

Monsieur St. Clair. To było do ojca. Jakie to dziwne.

Kobieta podchodzi i całuje dystyngowanego pana w oba policzki. Ojciec St. Claira oddaje *les bises* z uprzejmym uśmiechem. Przedstawiając syna, wygląda zupełnie inaczej. Kobieta wydaje się zaskoczona wzmianką o synu i St. Clair — Étienne — dostrzegając to, pochmurnieje. Ojciec i kobieta rozmawiają, zapominając o nim. St. Clair splata ręce. Rozplata. Trąca butem kamyczki. Wkłada ręce do kieszeni, wyciąga.

W gardle czuję rosnącą kulę.

Ojciec St. Claira nie przestaje flirtować z kobietą. Ona dotyka jego ramienia i nachyla się do niego. On posyła jej uroczy uśmiech — uśmiech St. Claira, a ja uświadamiam sobie, że Mer i Josh mówili prawdę. Jego ojciec faktycznie jest czarujący. Ma tę wrodzoną charyzmę, zupełnie jak syn. Kobieta nadal świergocze, a St. Clair odchodzi. Rozmawiająca para nie zauważa tego. Czy on płacze? Wychylam się, żeby lepiej widzieć, i nagle stwierdzam, że St. Clair patrzy wprost na mnie.

Och, nie. Och, nie, nie, nie.

Zatrzymuje się.

— Anna?

— Uhm. Cześć. — Twarz mi płonie. Chcę przewinąć taśmę, zatrzymać ją, zniszczyć.

W jego oczach widzę zmieszanie, za którym pojawia się gniew.

— Słyszałaś nas?

— Przykro mi...

— To niewiarygodne, że podsłuchiwałaś!

— To był przypadek. Przechodziłam tędy i... zobaczyłam cię. I byłam ciekawa, bo... tyle słyszałam o twoim ojcu. Przepraszam.

— No cóż — rzuca. — Mam nadzieję, że to, co zobaczyłaś, zaspokoilo twoją ciekawość.

— Mija mnie i idzie dalej, ale ja chwytam go za ramię.

— Zaczekaj! Przecież nawet nie znam francuskiego, zapomniałeś?

— Przysięgnij, że nie zrozumiałaś ani słowa z naszej rozmowy.

Puszczam go.

— Nie mogę, bo zrozumiałam. Słyszałam wszystko.

St. Clair się nie porusza. Patrzy na chodnik, ale nie jest zły. Jest zmieszany.

— Hej. — Dotykam jego ramienia. — Nic się przecież nie stało.

— Stało się, Anno. Bardzo dużo się stało. — Odwraca gwałtownie głowę w stronę ojca, który nadal flirtuje z nieznajomą. Który nadal nie zauważył zniknięcia syna.

— Możliwe — mówię, szybko zbierając myśli. — Ale sam mi kiedyś powiedziałeś, że rodziny się nie wybiera. To jest prawdą również w twoim przypadku, wiesz?

Wpatruje się we mnie tak intensywnie, że zaczyna mi się robić bardzo nieswojo. Prawie tracę oddech. W końcu jednak zbieram się na odwagę i biorę go pod ramię, po czym pociągamy za sobą. Przechodzimy jedną przecnicę i siadamy przy stoliku przed kawiarenką z jasnozielonymi okiennicami. Mały chłopiec, siedzący w środku, szarpie zasłony i przygląda się nam.

— Opowiedz mi o swoim ojcu.

St. Clair sztywnieje.

— Opowiedz mi o nim — powtarzam.

— Nienawidzę go — mówi cicho. — Nienawidzę każdą cząstką ciała. Nienawidzę tego, co zrobił matce i co zrobił mnie. Nienawidzę tego, że ilekroć się spotykamy, zawsze jest z inną kobietą. I nienawidzę, że wszyscy mają go za uroczonego, wspaniałego faceta, gdy tak naprawdę to podły sukinsyn, który woli mnie poniżyć, zamiast rozsądnie porozmawiać o mojej dalszej nauce.

— Wybrał dla ciebie uczelnię i dlatego nie chcesz z nim gadać.

— On nie chce, żebyśmy byli blisko niej. Woli, żebyśmy byli rozdzieleni, bo razem jesteśmy silniejsi od niego.

Dotykam jego dłoni i delikatnie ją ściskam.

— St. Clair, już teraz jesteś od niego silniejszy.

— Ty nic nie rozumiesz. — Zabiera rękę. — Mama i ja jesteśmy od niego zależni. We wszystkim! On ma pieniądze i jeśli go zdenerwujemy, mama wyląduje na ulicy.

Jestem zdezorientowana.

— A co z jej malarstwem?

St. Clair prychnął.

— Na tym się nie zarabia. A nawet jeśli, ojciec wszystko kontroluje.

Przez chwilę milczę. Tak wiele razy miałam do niego pretensję o to, że nasze problemy biorą się z jego niechęci do szczerzej rozmowy, ale nie miałam racji. Nie w sytuacji, gdy prawda jest aż tak okropna. Gdy okazuje się, że od urodzenia był poniżany przez ojca.

— Musisz mu się postawić — oświadczam.

— Łatwo ci mówić...

— Nie, wcale nie jest mi łatwo! Nie jest łatwo widzieć cię w takim stanie. Ale nie możesz

pozwolić, żeby zwyciężył. Musisz go przechytrzyć, musisz go pobić w jego własnej grze.

— Grze? — Wybuchła gorzkim śmiechem. — Nie, dziękuję. Nie chcę być taki jak on.

Głowa pracuje mi na zwiększonych obrotach.

— Posłuchaj. Kiedy ta kobieta się pojawiła, on się całkowicie zmienił...

— Och, zauważyłaś? No, no.

— Zamknij się i słuchaj. Zrobisz tak. Wrócisz do ojca i jeśli ta kobieta nadal z nim jest, opowiesz, jaki jesteś szczęśliwy, że ojciec wysłała cię do Berkeley.

Próbuje mi przerwać, ale ja prę dalej.

— A potem pójdziesz do jego galerii i powiesz to samo każdemu, kto tam pracuje.

Następnie zadzwonisz do dziadków i im też powiesz, że jesteś szczęśliwy, bo ojciec wysłała cię do Berkeley. I potem pochwalisz się tym przed jego sąsiadami, właścicielem pobliskiego spożywczaka, sprzedawcą papierosów, wszystkimi ludźmi z jego życia.

St. Clair ogryza kciuk.

— I on się wścieknie — kontynuuję. — To nie będzie przyjemne, ale twój ojciec bardzo dba o wizerunek, więc co mu pozostanie? Żeby zachować twarz, będzie musiał posłać cię do Berkeley.

— To szaleństwo — mamrocze niepewnie. — Ale... może właśnie dlatego może wypalić.

— Nie zawsze musisz sam rozwiązywać swoje problemy, wiesz? Właśnie po to ludzie zwierają się przyjaciółom. — Uśmiecham się i dla podkreślenia słów szeroko otwieram oczy.

St. Clair kręci głową i chce coś powiedzieć.

— Idź! — popędzam go. — Teraz, póki ona tam jeszcze jest! Widać, że się waha, więc go popycham.

— Idź! Idź już, idź. Pociera niepewnie kark.

— Dziękuję.

— Idź!

I St. Clair idzie.

Wracam do Résidence Lambert. Bardzo się niepokoję o St. Claira, ale wiem, że musi się sam zmierzyć z ojcem. Musi mu się postawić. Moją uwagę przyciąga szklany koralik w kształcie banana na toaletce. Podnoszę go i zaciskam w dłoni. St. Clair dał mi tyle prezentów — koralik, notes dla osób leworęcznych, flagę Kanady. Cieszę się, że wreszcie mogłam mu się czymś zrewanżować. Żeby tylko mój pomysł okazał się skuteczny.

Postanawiam odrobić lekcje. Przerzucam notatki, aż natrafiam na zadanie z angielskiego. Nasz ostatni dział, poezja. Zbiór wierszy Nerudy. Od Świąt Dziękczynienia stoi na półce nad biurkiem. Stoi tam, bo to przecież lektura szkolna, no nie? Kolejny zwyczajny prezent.

Ale to nie tak. Nie tak.

To znaczy, jasne, że to nasza lektura, ale zarazem tomik poezji miłosnej. Naprawdę seksownej. Czemu miałby mi go dawać, gdyby ten gest był bez znaczenia? Mógł przecież kupić powieść Banany Yoshimoto. Albo jakiś podręcznik.

Ale on mi dał w prezencie poezję miłosną.

Otwieram książkę na pierwszej stronie, tam gdzie widnieje stempel księgarni: „Shakespeare And Company, Kilometer Zero, Paris”. Natychmiast pamięć przenosi mnie do pierwszego wieczoru w akademiku, do gwiazdy, do chwili, gdy po raz pierwszy czuję, że zakochuję się w St. Clairze. I znów do gwiazdy w czasie Świąt Dziękczynienia. Znowu to samo uczucie. A potem z powrotem jestem w swoim pokoju i wpatruję się w tomik. Czemu po prostu mi nie powiedział? Czemu nie otworzyłam tego zbioru, gdy mnie o to prosił w czasie świąt Bożego Narodzenia? I nagle ogarnia mnie silna potrzeba powrotu do Punktu Zero.

Zostało mi tylko kilka tygodni w Paryżu, a ja nadal nie zwiedziłam Notre Dame. Co ja robię w akademiku w sobotni wieczór? Wkładam buty, wypadam z budynku i z prędkością światła pędzę bulwarami. Bardzo mi się spieszy. Chcę już być na miejscu. W tej chwili. Natychmiast. Nie umiem tego wytłumaczyć.

Oczy miasta śledzą mnie uważnie, gdy przebiegam przez most rozciągnięty nad Sekwaną, przedostając się na Île de la Cité, ale tym razem nic mnie to nie obchodzi. Widok katedry jest oszałamiający jak zawsze. Wokół Punktu Zero stoi grupka turystów. Z podziwem zerkam na gwiazdę, ale nie zatrzymuję się, tylko przedzieram się dalej i dalej, aż jestem w środku.

Kolejny raz Paryż budzi mój zachwyty.

Wysoki, sklepiiony sufit, finezyjne witraże, posągi z marmuru i złota, artystyczne rzeźbienia... Notre Dame jest olśniewająca. Otaczają mnie muzyka organowa i szepty w wielu językach. Powietrze wypełnia ciepły zapach palących się świec. I nigdy nie widziałam czegoś tak

pięknego, jak mieniące się wieloma barwami światło wpadające przez rozetowe okna.

Rozentuzjasmowany przewodnik mija mnie z tyłu, omiatając ręką otoczenie.

— Proszę sobie tylko wyobrazić! Na początku dziewiętnastego wieku katedra była tak zniszczona, że władze miasta chciały ją zburzyć. Na szczęście dla nas wszystkich Victor Hugo dowiedział się o planach rozbiórki i napisał *Dzwonnika z Notre Dame*, aby ludzie poznali historię tej wspaniałej budowli i zachwycili się nią. Paryżanie opowiedzieli się za jej ratowaniem i tak katedrę wyremontowano i doprowadzono do stanu świetności, jaki macie państwo możliwość oglądać obecnie.

Uśmiecham się i zostawiam grupę zwiedzających, zastanawiając się, jaką budowlę chciałby ratować swoim pisarstwem mój ojciec. Pewnie jakiś stadion albo Burger Kinga. Oglądam usytuowany wysoko ołtarz i rzeźbę Matki Boskiej. Emanuje od niej spokój, ale ja jestem rozedrgana. Zaglądam do książkowego przewodnika i moją uwagę przykuwa hasło *Galerie des Chimères*.

Chimery. Gargulce. Ależ oczywiście!

Muszę wejść na górę. Muszę zobaczyć miasto z lotu ptaka, póki mogę. Wejście na wieżę — na szczyt Notre Dame — znajduje się na lewo od wejścia głównego. Kiedy płacę za bilet, odnoszę wrażenie, że ktoś mnie woła. Rozglądam się po dziedzińcu, ale nie dostrzegam nikogo znajomego.

Więc wchodzę na schody. Na pierwszym półpiętrze znajduje się sklep z pamiątkami. Nie zwracam na niego uwagi, tylko idę wyżej. I wyżej. Uff. Strasznie dużo schodów. Cholera, czy one się nigdy nie skończą?

No nie. Niemożliwe.

Jeszcze wyżej?

To idiotyczne. Nigdy nie kupię domu ze schodami. Nie będę miała nawet schodków na ganek. Wystarczy mi lekkie wzniesienie. Z każdym pokonanym stopniem nienawidzę gargulców coraz bardziej i bardziej, do chwili aż docieram do wyjścia i...

Jestem naprawdę wysoko. Idę wąskim przejściem prowadzącym z wieży północnej do południowej. Widzę okolice akademika! I Panteon! Jego potężna kopuła zachwyca nawet stąd, jednak otaczający mnie turyści pstrykają zdjęcia gargulcom.

Nie, nie gargulcom. Chimerom.

St. Clair wytłumaczył mi kiedyś, że to, o czym ludzie myślą, gdy słyszą słowo „gargulec”, to w rzeczywistości chimera. A gargulce to takie wąskie coś, co wystaje z rynny dachowej. Nie pamiętam zastosowania chimery. Może miały strzec katedry? Były ostrzeżeniem dla demonów? Gdyby St. Clair był tu ze mną, przypomniałby mi, o co chodziło. Zastanawiam się, czyby do niego nie zadzwonić, lecz dochodzę do wniosku, że pewnie nadal jest z ojcem. Nie ma czasu na rozwiewanie moich wątpliwości co do znaczenia słów.

Galerie des Chimères robi wrażenie. Posągi to w połowie ludzie, w połowie potwory, groteskowe, fantastyczne stwory z dziobami, skrzydłami i ogonami. Najbardziej przypada mi do gustu ten, który opiera głowę na rękach i z wystawionym językiem przygląda się miastu. A może jest sfrustrowany. Albo smutny. Sprawdzam dzwonicę. Dzwon jest naprawdę ogromny.

Co ja tu robię?

Wejścia na kolejne schody pilnuje strażnik. Biorę głęboki oddech.

— *Bonne soirée* — mówię, a strażnik przepuszcza mnie z uśmiechem. Przeciskam się przez otwór wejściowy. Schody zawijają się jak korkociąg i im wyżej, tym są węższe. Od kamiennych murów bije chłód. Po raz pierwszy zaczynam się bać, że spadnę. Cieszę się, że jestem sama. Gdyby ktoś schodził z góry, nawet ktoś mojej postury, nie wiem, jak byśmy się wyminęli. Serce wali mi jak młotem, nasłuchuję kroków i zaczynam myśleć, że ten wypad to poważny błąd, gdy nagle...

Docieram na miejsce. Jestem na samym szczycie. Na dachu Paryża.

Podobnie jak w przypadku galerii chimer, wokół dzwownicy rozciąga się żelazna siatka, żeby ktoś nie wypadł lub nie mógł skoczyć. I ponieważ znajduję się tak wysoko, jej obecność ogromnie podnosi mnie na duchu. Jestem tu sama, więc siadam w rogu i oglądam miasto.

Wkrótce wyjeżdżam. Ciekawe, co powiedziałyby tata, gdyby mnie teraz widział, pogrążoną w melancholii z powodu pożegnania, mimo że tak bardzo nie chciałam opuszczać Atlanty. Miał dobre intencje. Rozumiem to teraz, gdy patrzę na słońce po Sekwanie łodzie i dumną wieżę Eiffla na Polach Marsowych. Z zadumy wyrывa mnie jakiś hałas dochodzący ze schodów — krzyk, a potem dudnienie kroków. Ktoś wbiega na górę. A ja jestem sama.

Wyluzuj, Anno. To na pewno tylko turysta.

Turysta, który wbiega na dzwonicę?

Przygotowuję się na atak i nie muszę długo czekać. Na platformę widokową wypada jakiś mężczyzna. Jest ubrany w króciutkie spodenki i buty sportowe. Wspinał się na te schody dla rozrywki? Facet nie patrzy na mnie, tylko rozciąga się, biegnie w miejscu przez trzydzieści sekund, a potem wraca na schody.

To było dziwne.

Z powrotem sadowię się w swoim kącie, lecz po chwili znów słyszę czyjś krzyk. Podrywam się na nogi. Dlaczego ten biegacz miałby krzyczeć? Tam musi być ktoś jeszcze. Ktoś, kto się wystraszył biegacza i tego, że spadnie. Nasłuchuję odgłosu kroków, ale dociera do mnie wyłącznie cisza. Osoba, która krzyczała, musiała się zatrzymać. Na myśl przychodzi mi St. Clair i to, jak bardzo boi się wysokości. Ta osoba na schodach mogła wpaść w panikę. Z coraz większym przerażeniem zaczynam myśleć, że może ktoś faktycznie stoczył się w dół.

Wyglądam na klatkę schodową.

— Halo? *Bonsoir*? *Ça va*? — Żadnej odpowiedzi. Schodzę kilka stopni w dół,

zastanawiając się, czemu robię to ja, a nie strażnik. — Czy ktoś tam jest? Czy mogę jakoś pomóc?

Słyszę dziwne szuranie, więc schodzę jeszcze niżej.

— Halo? — Ten ktoś pewnie nie zna angielskiego. Słyszę, że dyszy. Jest tuż pode mną, za zakrętem schodów... Pokonuję go i...

Wrzeszczę przerażona. I ten ktoś również się drze.

Rozdział 46

A co ty tu robisz, do diabła? Jezu, St. Clair! Okropnie mnie wystraszyłeś.

St. Clair, pochylony, trzyma się kurczowo schodów. Jeszcze nigdy nie widziałam go aż tak przerażonego.

— To po co zeszłaś na dół? — warczy w odpowiedzi.

— Chciałam pomóc. Usłyszałam krzyk i pomyślałam, że może komuś coś się stało.

Jego jasna cera zabarwia się na krwistoczerwono.

— Nikomu nic się nie stało.

— Co tu robisz? — pytam ponownie, ale on milczy. — Przynajmniej pozwól mi sobie pomóc.

Prostuje się, a jego nogi trzęsą się jak u małego kozłęcia.

— Nic mi nie jest.

— Jak to nic? Przecież widzę. Podaj mi rękę.

St. Clair opiera się, ale i tak chwytam go za rękę i zaczynam sprowadzać w dół.

— Zaczekaj. — Zerka w górę i głośno przełyka ślinę. — Chcę zobaczyć, jak tam jest.

Spoglądam na niego z niedowierzaniem.

— Taa, jasne.

— Nie. Naprawdę chcę — zapewnia w przypiływie determinacji.

— W porządku. Idź. — Puszczam go.

Nie rusza się z miejsca, więc znów biorę go za rękę.

— Och, no chodź. — Wspinamy się bardzo powoli. Jestem szczęśliwa, że za nami nikogo nie ma. Nie rozmawiamy, ale uścisk St. Claira miażdży mi palce. — Już prawie jesteśmy. Idzie ci dobrze. Bardzo dobrze.

— Odpieprz się.

Powinnam zrzucić go w dół.

W końcu docieramy na szczyt. Puszczam jego dłoń, a on pada na ziemię. Daję mu kilka minut.

— Wszystko okej?

— Tak — mówi rozpaczliwym tonem.

Nie jestem pewna, co mam robić. Utknęłam na małym daszku w środku Paryża z najlepszym przyjacielem, który boi się wysokości i który najprawdopodobniej jest na mnie zły jak osa. A ja nawet nie wiem, dlaczego się tu zjawił. Siadam, wlepiam wzrok w łódki na rzece i pytam po raz trzeci:

— Po co tu przyszedłeś?

Bierze głęboki oddech.

— Po ciebie.

— A skąd, na rany boskie, wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz?

— Widziałem cię. — Milknie. — Przyszedłem wypowiedzieć nowe życzenie i kiedy stałem na Punkcie Zero, widziałem, jak wchodzisz do katedry. Wołałem cię, a ty się rozejrzałaś, ale mnie nie zauważyłaś.

— Więc postanowiłeś... wejść na górę? — Trudno mi uwierzyć w to, co słyszę, mimo że mam go przed sobą. Musiał wykrzesać z siebie nadludzką odwagę, skoro zdecydował się na tę samotną wspinaczkę.

— Musiałem. Nie chciałem czekać, aż zejdziesz. Nie mogłem czekać. Musiałem cię zobaczyć. Musiałem się dowiedzieć...

Przerywa, a ja czuję, że moje tętno przyspiesza. Czego musiał się dowiedzieć, czego, czego?

— Dlaczego mnie okłamałaś?

Zaskakuje mnie tym pytaniem. Nie tego się spodziewałam. Nadal leży na ziemi, ale wzrok ma utkwiony we mnie. Jego duże brązowe oczy są szeroko otwarte i przepelnione bólem. Nie wiem, co mam myśleć.

— Wybacz, ale nie rozumiem, o czym...

— Listopad. W *crêperie*. Zapytałem cię, czy rozmawialiśmy o czymś dziwnym w twoim pokoju tej nocy, kiedy się upiłem. Czy mówiłem coś o nas i o mnie, i Ellie. A ty zaprzeczyłaś.

O mój Boże.

— Skąd wiesz, jak było naprawdę?

— Od Josha.

— Kiedy ci to powiedział?

— W listopadzie.

Jestem zszokowana.

— Ja... ja... — Czuję suchość w gardle. — Gdybyś widział swoją minę tamtego dnia. W restauracji. Nie mogłam nic powiedzieć. Twoja mama...

— Ale gdybyś coś powiedziała, nie zmarnowałbym tylu miesięcy. Pomyślałem, że mnie nie chcesz. Że nie jesteś zainteresowana.

— Przecież byłeś pijany! Miałaś dziewczynę. Co miałam zrobić? Boże, St. Clair, nie wiedziałam nawet, czy mówiłeś poważnie.

— Oczywiście, że poważnie. — Podnosi się, lecz nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

— Uwważaj.

Kroczek za kroczkiem zbliża się, a ja podaję mu rękę. Jesteśmy prawie na samym skraju dachu. St. Clair siada obok mnie i jeszcze mocniej zaciska moją dłoń.

— Mówiłem serio, Anno. Bardzo serio.

— Nie rozu...

Twarz wykrzywia mu grymas zniecierpliwienia.

— Chcę po prostu powiedzieć, że się w tobie zakochałem! Kocham cię przez cały pieprzony rok!

Mam zamęt w głowie.

— Ale Ellie...

— Oszukiwałem ją każdego dnia. Myślałem tylko o tobie, w sposób, w jaki nie powinienem. Ona przy tobie nie miała szans. Jeszcze nigdy z nikim się tak nie czułem...

— Ale...

— Pierwszego dnia szkoły. — Przysuwa się bliżej. — Nie zostaliśmy parą na zajęcia laboratoryjne przez przypadek. Zauważyłem, że *professeur* Wakefield przydziela na partnerów osoby obok z ławki, więc w odpowiednim momencie nachyliłem się, żeby pożyczyć od ciebie długopis, tak aby Wakefield myślał, że siedzimy obok siebie. Anno, chciałem być z tobą w parze już pierwszego dnia.

— Ale... — Zupełnie nie mogę zebrać myśli.

— Kupiłem ci tomik poezji miłosnej! „Kocham cię tak, jak się kocha pewne ciemne rzeczy, potajemnie, w zasnutych mgłą zakamarkach duszy”.

Patrzę na niego i mocno mrugam powiekami.

— Neruda. Podkreśliłem ten urywek. Boże — jęczy. — Dlaczego nie zajrzałaś do środka?

— Bo mówiłaś, że to lektura.

— Mówiłem też, że jesteś piękna. Spałem w twoim łóżku!

— I nic więcej! Miałaś dziewczynę!

— Byłem okropnym chłopakiem, ale nigdy bym jej naprawdę nie zdradził. Ale sądziłem, że ty wiesz. Że wiesz.

Nasza rozmowa przypomina kręcenie się w kółko.

— Skąd mogłam wiedzieć, skoro nic nie mówiłaś?

— A skąd ja mogłem wiedzieć, jeśli ty nic nie mówiłaś?

— Miałaś Ellie!

— A ty Topha! I Dave’a!

Brakuje mi słów. Mrugając, odwracam wzrok na dachy Paryża.

St. Clair dotyka mojego policzka, zachęcając mnie tym gestem, bym znowu na niego spojrziała.

— Anno, przepraszam cię za to, co się stało w Ogrodach Luksemburskich. Nie chodzi o pocałunek — był najwspanialszy na świecie — ale o to, że ci nie powiedziałem, dlaczego cię zostawiłem. Pobiegłem za Meredith ze względu na ciebie.

Dotknij mnie jeszcze raz. Błagam, dotknij jeszcze raz.

— Myślałem tylko o tym, co ci zrobił w święta ten sukinsyn. Toph nie próbował ani przeprosić, ani wyjaśnić. Jak mogłem to samo zrobić Mer? I powinienem był zadzwonić do ciebie, zanim pojechałem do Ellie, ale tak bardzo chciałem z nią zerwać i skończyć tamten związek, że nie myślałem logicznie.

Wyciągam do niego rękę.

— St. Clair...

Odsuwa się.

— I jeszcze to. Czemu już nie mówisz Étienne?

— Ale... nikt inny cię tak nie nazywa. To brzmiało trochę dziwacznie, nie sądzisz?

— Nie, nie sądzę. — Robi się smutny. — Zawsze kiedy nazywasz mnie „St. Clair”, mam wrażenie, że znowu mnie odtrącasz.

— Nigdy cię nie odtrącałam.

— Ależ odtrącałaś. I to dla Dave’a. — W jego głosie słychać zjadliwość.

— A ty dla Ellie, i to w moje urodziny. Niczego już nie pojmuję. Jeśli tak bardzo ci się podobałam, czemu z nią nie zerwałeś?

Zerka na rzekę.

— Miałem zamęt w głowie. Byłem głupi.

— Tak, byłeś.

— Masz pełne prawo tak mówić.

— Tak, mam. — Milknę. — Ale ja też byłam głupia. Nie myliłeś się, gdy mówiłeś o... lęku przed samotnością.

Siedzimy w milczeniu.

— Ostatnio dużo myślałem — odzywa się w końcu. — O mamie i ojcu. O tym, że mama jest taka uległa. I że nie odchodzi od ojca. I że jej za to nienawidzę, choć w ogóle bardzo ją kocham. Nie rozumiem, czemu mu się nie postawi, dlaczego nie robi tego, co chce. Ale ja postępuję tak samo. Jestem taki jak ona.

Potrząsam głową.

— Nie jesteś taki jak twoja mama.

— Jestem, ale już nie chcę taki być. Chcę robić to, na co mam ochotę. — Znowu na mnie spogląda. Jest podenerwowany. — Powiedziałem znajomym ojca, że w przyszłym roku idę na Berkeley. Podziałało. Strasznie się na mnie wściekł, ale podziałało. Poradziłaś, żebym wszedł mu

na dumę, i miałaś rację.

— To znaczy, że przeprowadzisz się do Kalifornii? — pytam ostrożnie. Ledwie śmiem uwierzyć w to, co słyszę.

— Muszę.

— No tak. — Przełykam ślinę. — Ze względu na mamę.

— Ze względu na ciebie. Będę tylko dwadzieścia minut drogi od twojej szkoły. I będę przyjeżdżał każdego wieczoru. Jeździłbym o wiele dalej, żeby tylko móc być z tobą.

To niesamowite, co mówi. Pewnie źle go rozumiałam. Na pewno źle rozumiałam...

— Jesteś najwspanialszą dziewczyną, jaką poznałem w życiu. Piękną, mądrą i rozśmieszasz mnie jak nikt. I można z tobą pogadać. Wiem, że po tym wszystkim nie zasługuję na ciebie, ale mimo to chcę ci powiedzieć, że cię kocham, Anno. Bardzo kocham.

Wstrzymuję oddech. Nie mogę mówić, ale oczy napełniają mi się łzami.

St. Clair odczytuje to błędnie.

— O Boże. Znow coś schrząniłem, prawda? Nie chciałem tak na ciebie napaść. To znaczy, zrobiłem to... ale... No dobrze. — Głos mu się załamuje. — Pójdę już. Albo ty idź pierwsza, a ja zejdę po tobie. I obiecuję, że już nigdy więcej nie będę ci się naprzykrzał.

Zaczyna się podnosić, ale ja łapię go za rękę.

— Nie!

Zamiera w bezruchu.

— Przepraszam — mamrocze. — Nie chciałem zrobić ci przykrości.

Przesuwam palcem po jego policzku. Nadal stoi jak zamurowany.

— Błagam, skończ z tymi przeprosinami, Étienne.

— Powiedz to jeszcze raz — prosi szeptem.

Zamykam oczy i nachylam się do niego.

— Étienne.

Bierze moje dłonie w swoje. W te wspaniałe, które tak świetnie pasują do moich.

— Anno?

Stykamy się czołami.

— Tak?

— Powiedz, proszę, że ty też mnie kochasz. Bo inaczej zaraz tu umrę.

A potem wybuchamy śmiechem i padamy sobie w ramiona. I się całujemy. Najpierw szybko — żeby nadrobić stracony czas — potem coraz wolniej, bo przed nami cała wieczność. Jego usta są miękkie i słodkie jak miód, delikatne, namiętne. I wiem, po sposobie, w jaki mnie całuje, że Étienne myśli to samo o moich.

A później, między pocałunkami, mówię mu, że go kocham.

Rozdział 47

Rashmi chrząka i rzuca nam poirytowane spojrzenie. — My chyba nigdy tacy nie byliśmy, co? — pyta Josh. Mer wydaje głośny jęk i ciska w niego długopisem. Josh i Rashmi zerwali ze sobą. W pewnym sensie to aż dziwne, że tak długo z tym zwlekali. Koniec wydawał się nieuchronny, choć z drugiej strony, podobnie było w przypadku wielu innych spraw. Które również dość długo się rozwiązywały.

Rozstali się w przyjaźni. Uznali, że nie ma sensu utrzymywać związku na odległość. I chyba obojgu ulżyło. Rashmi jest zaaferowana przyszłymi studiami, a Josh... cóż, musi się jeszcze pogodzić z faktem, że my wyjeżdżamy, a on zostaje. Bo zostaje, choć, szczęśliwie, jakoś udało mu się przejść do następnej klasy. O dziwo, bo przecież nic nie robi, tylko ciągle szkicuje i ciągle dostaje kurczów w palcach. Szczerze mówiąc, martwię się o niego. Wiem, jakie to uczucie być samemu. Ale Josh to atrakcyjny, zabawny chłopak. Łatwo nawiąże nowe znajomości.

Przygotowujemy się do egzaminów w moim pokoju. Już zmierzcha i wpadająca przez okno lekka bryza porusza zasłonami. Lato jest blisko. Wkrótce znowu zobaczę Bridge. Napisała mi nowego mejla. Między nami nadal jest trochę dziwnie, ale się staramy.

Siedzimy z Étienne'em obok siebie, spleceni nogami. Jego palce krążą delikatnie po moim ramieniu. Wtulam się w niego, wdychając zapach szamponu i kremu do golenia, i jeszcze tego czegoś, co jest charakterystyczne tylko dla niego, a czym cały czas nie mogę się nasycić. Całuje moje pasemko, ja przesuwam ręką po jego wspaniałych, skołtunionych włosach.

Kocham te włosy i mogę ich teraz dotykać, gdy tylko przyjdzie mi na to ochota.

A Étienne się nawet nie irytuje. Zazwyczaj.

Meredith zaakceptowała nasz związek, choć oczywiście dobrze się składa, że wyjeżdża na studia do Rzymu.

— Tylko sobie wyobraźcie. Całe miasto pełne cudownych Włochów — mówiła, gdy się zarejestrowała. — Cokolwiek powiedzą, zawsze będzie brzmiało superseksownie.

— No pewnie. Kelner w pizzerii zapyta, jaką chcesz pizzę, a ty zaczniesz dyszeć i błagać: „Bierz mnie Marco” — nabijała się Rashmi.

— Ciekawe, czy Marco będzie lubił piłkę nożną — fantazjowała Mer.

Co do nas, Étienne miał rację. Między naszymi szkołami jest tylko dwadzieścia minut drogi. W weekendy będzie zostawał u mnie, a w ciągu tygodnia będziemy się widywali tak często, jak to tylko możliwe. Będziemy razem. Obojgu nam spełniły się życzenia wypowiedziane przy Punkcie Zero — prosiliśmy o siebie. Étienne powiedział, że prosił o mnie za każdym razem. Także wtedy, gdy poszłam na dzwonnice.

— Mhm — mruczę, bo całuje mnie po szyi.

— Dostyc tego — oświadcza Rashmi. — Idę stąd, bo zwariuję. Ulegajcie dalej czarowi hormonów, ja się żegnam.

Josh i Mer też wychodzą. Zostajemy sami. Tak jak lubię.

— Ha! — odzywa się Étienne. — To właśnie lubię.

Sadza mnie sobie na kolana, a ja opasuję go nogami. Jego usta są miękkie jak atlas.

Całujemy się, aż na zewnątrz zapalają się latarnie. Aż diwa operowa nie rozpocznie swojego stałego występu.

— Będzie mi jej brakowało — wyznaję.

— Zastąpię ją. — Zakłada mi pasemko za ucho. — Albo wybierzemy się do opery. Jak będziesz wołała.

Splatam palce dłoni z jego palcami.

— Najbardziej podoba mi się tutaj. Ta chwila.

— Czy to przypadkiem nie tytuł ostatniej powieści Jamesa Ashleya? *Ta chwila?*

— Uważaj. Kiedyś go poznasz i sam się przekonasz, że wcale nie jest tak zabawny, jak to się wydaje.

Étienne się krzywi.

— Och, więc będzie tylko nieco mniej zabawny, tak? W takim razie jakoś to chyba zniosę.

— Mówię serio! Musisz mi obiecać, tu i teraz, natychmiast, że mnie nie zostawisz, kiedy go poznasz. Bo większość ludzi by uciekła.

— Nie jestem jak większość ludzi.

Uśmiecham się.

— Wiem, ale i tak obiecaj.

Zagląda mi w oczy.

— Anno, przysięgam, że nigdy cię nie opuszczę.

Moje serce w odpowiedzi zaczyna bić mocniej. I Étienne o tym wie, bo bierze moją rękę i kładzie sobie na piersi, żeby pokazać, że jego również wali jak oszalałe.

— A teraz twoja kolej — mówi.

Nadal jestem oszołomiona.

— Na co?

Śmieje się.

— Obiecaj, że mnie nie zostawisz, kiedy poznasz mojego ojca. Albo, co gorsza, zostawisz mnie dla niego.

Przez chwilę milczę.

— Myślisz, że może mnie nie zaakceptować?

— Och, jestem pewien, że tak będzie.

Okej. Nie na taką odpowiedź liczyłam.

Étienne dostrzega mój niepokój.

— Anno, przecież wiesz, że mój ojciec nie lubi wszystkiego, co może mnie uczynić szczęśliwym. A ty uszczęśliwiasz mnie jak jeszcze nikt dotąd. — Uśmiecha się. — O, tak. On cię znienawidzi.

— A więc... to dobrze, że tak będzie?

— Nie obchodzi mnie, co on sobie pomyśli. Zależy mi tylko na tobie i tym, co ty myślisz.

— Przytula mnie mocniej. — Choćby to, że uważasz, że powinienem przestać ogryzać paznokcie.

— Bo ogryzasz je prawie do krwi — zauważam z rozbawieniem.

— No i że trzeba prasować pościel.

— Ja wcale tego nie robię!

— Ależ robisz i ja to kocham. — Czerwienię się, a Étienne całuje moje rozpalone policzki.

— Ale wiesz, moja mama cię lubi.

— Naprawdę?

— Opowiadałem jej o tobie przez cały rok. Jest zachwycona, że ze sobą chodzimy.

Uśmiecham się w duchu i na zewnątrz.

— Już się nie mogę doczekać, kiedy ją poznam.

Étienne również się uśmiecha, lecz po chwili w jego oczach pojawia się błysk niepokoju.

— A twój ojciec mnie zaakceptuje? Chyba nie jest jednym z tych ześwirowanych na punkcie patriotyzmu szaleńców?

— Nie. Pokocha cię, bo dzięki tobie jestem szczęśliwa. Nie zawsze jest taki zły.

St. Clair unosi ciemne brwi.

— No wiem! Ale powiedziałam „nie zawsze”. Większość czasu jest. Tylko że... on chce dobrze. Wysyłając mnie tu, myślał, że robi dla mnie coś dobrego.

— I co? Miał rację?

— Patrzcie, jak się dopomina komplementów.

— Lubię komplementy.

Bawię się pasemkiem jego włosów.

— Podoba mi się sposób, w jaki mówisz „banana”. *Ba-nah-na*. I czasami tak wibrująco wymawiasz „r”. Uwielbiam to.

— Superrr — szeperze mi do ucha. — Bo długo ćwiczyłem.

W moim pokoju jest już ciemno. Otoczona ramionami Étienne'a, w spokojnym milczeniu przysłuchuję się śpiewowi operowej diwy. Jestem zdumiona myślą, że będzie mi strasznie brakowało Francji. Przez osiemnaście lat moim domem była Atlanta. Ale Paryż, choć spędziłam w

nim tylko dziewięć miesięcy, bardzo mnie zmienił. A w przyszłym roku będę musiała poznać nowe miasto. Jednak już się tego nie obawiam.

Bo miałam rację. Dla nas obojga dom to nie miejsce, a ludzie.

I my go wreszcie odnaleźliśmy.

Podziękowania

Gdyby nie Paula Davis, nadal tkwiłabym przy pierwszych trzech rozdziałach. Paula, dzięki Tobie napisałam powieść. Dziękuję, że byłaś pierwszą osobą, która uwierzyła w Annę i Étienne'a. Dzięki, że uwierzyłaś we mnie. Gdybym mogła, Twoim imieniem nazwałabym Księżyc, jakąś planetę lub całą galaktykę.

Dziękuję Kate Schafer Testerman, mojej Wymarzonej Agentce, która została moją Rzeczywistą Agentką. W życiu nieczęsto się zdarza, że dostajemy to, czego pragniemy. Nadal jeszcze muszę się szczytać, żeby w to uwierzyć.

Czuję się uprzywilejowana, mając po mojej stronie Julie Strauss-Gabel, wspaniałą redaktorkę, której karierę podziwiam od dawna. Julie, dziękuję za twoje cierpliwe i ogromnie pomocne poradnictwo. Nie mogę uwierzyć, że nie dość, że przeczytałaś moją powieść, to jeszcze chciałaś ją redagować. Jestem ci za to ogromnie wdzięczna. I zdumiona. Całym sercem rozszerzam te podziękowania na resztę pracowników Penguina. Wyjątkowe dzięki dla Lisy Yoskowitz, Lauri Hornik i Scottie Bowditch.

Dziękuję rodzicom, którzy wyłącznie mnie dopingowali, kiedy oświadczyłam, że zamierzam zrobić dyplom z pisarstwa. Czy zdajecie sobie sprawę, jacy jesteście wyjątkowi? Kocham Was.

Nieskończone podziękowania dla Laini Taylor i Sumnera Smitha. Laini, nie tylko udzielasz wspaniałych rad, lecz także piszesz wspaniałe mejle. Dzięki za przewodnictwo. Sumner, o bardziej szczerym czytelniku nie mogłabym marzyć. Dzięki za Twą romantyczną mądrość i zaraźliwy entuzjazm.

Bibliotekarze z Weaverville byli nieznuzenie niesamowici. Dzięki, że patrzyliście w inną stronę, zawsze gdy w trakcie pracy wstukiwałam w Google hasło „Notre Dame”. Specjalne podziękowania dla Lauren Biehl za to, że przez cały rok pozwoliła mi przetrzymywać jej pracę magisterską.

Merci beaucoup dla mojej siostry Kary za to, że wykazała się odwagą w chwilach, gdy ja nie mogłam się na nią zdobyć.

Merci, merci, merci dla Manninga Krulla, amerykańsko-paryskiego superbohatera.

I dziękuję Tobie, Kiersten White, za to, że jesteś. To takie proste: bez Ciebie nie przetrwałabym zeszłego roku. Czuję się zaszczycona, że możemy razem kroczyć tą dziwną ścieżką.

Następujące osoby udzielały odpowiedzi na moje pytania i oferowały niemierzalne moralne wsparcie: Jim Di Bartolo, Marjorie Mesnis, bibliotekarze z North Asheville, Taiyo la Paix, Fay i Roger Perkinsowie, Mary i Dave Prahlerowie, Tennerowie, Staci Thomas, Natalie Whipple, Thomas Witherspoon, Sara i Jeff Zentnerowie i wszyscy czytelnicy mojego bloga. Specjalne

podziękowania dla Amandy Reid za to, że moje włosy są nadal niebieskie, i dla Kena Hankego i Justina Southera, nadzwyczajnych krytyków filmowych. Chris Prahler podsunął mi kilka wersji tych podziękowań. Oto najkrótsza: „Dziękuję ulubionemu szwagrowi”. Chris jest moim jedynym szwagrem, niemniej i tak bardzo mu dziękuję.

Pomysł na powieść zrodził się podczas Narodowego Miesiąca Powieściopisarstwa. Dzięki Chris Baty wraz z zespołem za wszystko, co zrobiliście, aby zainspirować pisarzy.

Wreszcie dziękuję Tobie, Jarrodzie Perkinsie, który zawsze jesteś moim pierwszym czytelnikiem. Który wyciągasz mnie z łóżka, wlewasz kawę i herbatę do gardła i wypychasz do biura. Który szykujesz obiad, przynosisz do mojego biurka i odnosisz brudne naczynia. Który ocierasz mi łzy, śmiejesz się z zabawnych urywków i poważnie zastanawiasz nad pytaniem, które tak często zadawałam: „Czy ten chłopak jest wystarczająco gorący?” Bardzo Cię kocham i dziękuję, że Ty to Ty, ponieważ należysz do moich ulubieńców.

Przypisy

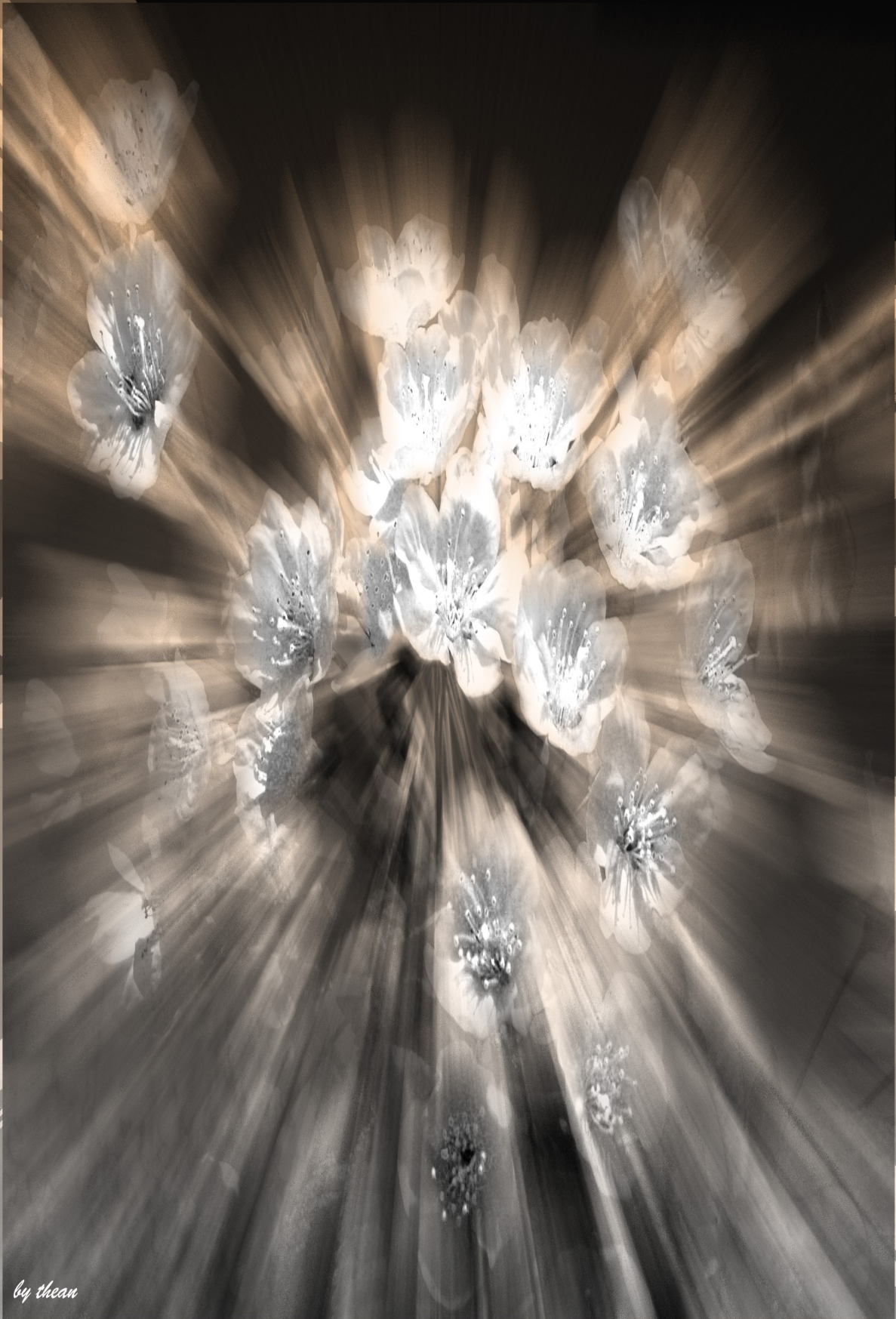
[1] *Rash* (ang.) — wysypka (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłum.).

[2] *Elephant* (ang.) — słoń.

[3] *Bridge* (ang.) — most; *sandwich* (ang.) — kanapka.

[4] *Purity ring* (ang.) — pierścionek wstrzeźliwości, czystości — pierścienie noszone na znak dziewictwa, religijnej obietnicy, że zachowa się cnotę do małżeństwa. Praktyka zapoczątkowana w latach 90. XX wieku w Stanach Zjednoczonych wśród powiązanych z chrześcijaństwem grup abstynentów seksualnych.

[5] PET-CT — Pozytonowa emisyjna tomografia komputerowa.



by thean